

ANDERS ROSLUND BÖRGE HELLSTRÖM

ODKUPIENIE

Ze szwedzkiego przełożył WOJCIECH ŁYGAŚ
Tytuł oryginału: EDWARD FINNIGANS UPPRÄTTELSE



Nie chodzi o to, że ma umrzeć. I nie o to, że czeka na tę chwilą od czterech i pół roku.

Nie o to.

Kara – ta prawdziwa – polega na tym, że się wie kiedy.

Nie potem. Nie, kiedy będzie starszy. Nie kiedyś tam, w tak dalekiej przyszłości, że nie musi o tym myśleć.

Chodzi tylko o to kiedy.

W którym roku, w którym miesiącu, którego dnia, o której godzinie.

Kiedy przestanie oddychać.

Gdy nie będzie już nic czuł, widział i słyszał.

Kiedyś tam.

Tylko ktoś, komu wyznaczono dokładną datę egzekucji, wie, jakie to pieprzone uczucie.

Inni żyją z myślą o śmierci, ale nie wiedzą, kiedy nadejdzie.

On wie.

Wie, że nie będzie go za siedem miesięcy, dwa tygodnie, jeden dzień, dwadzieścia trzy godziny i czterdzieści siedem minut.

Dokładnie wtedy.

WTEDY

Rozejrzał się po celi. Ten osobliwy zapach. Powinien się już do niego przyzwyczać. Powinien stać się częścią jego osoby.

Wiedział, że nigdy nie przywyknie.

Nazywał się John Meyer Frey. Podłoga, na którą się gapił, miała żółtawy kolor moczu i dziwnie błyszcząca; ściany, które napierały na niego z trzech stron, były kiedyś chyba białe, sufit straszyl wilgocią, a widoczne na nim okrągłe plamy przebijały przez zielonkawe tło, przez co pięć i dwie dziesiąte metra kwadratowego powierzchni celi wydawało się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

Najgorsze były te ich zegarki.

Radził sobie jakoś z widokiem niekończącego się korytarza przedzielonego kolejnymi, żelaznymi bramkami; przywykł też do dźwięku pobrzękujących kluczy, który rozbrzmiewał echem i powodował silny ból głowy, wypierając z niej wszystkie myśli. Potrafił nawet wytrzymać krzyki Kolumbijczyka z celi numer dziewięć, które w miarę upływającej nocy stawały się coraz głośniejsze.

Inaczej było z zegarkami.

Strażnicy nosili na rękach wielkie cebule wykonane z tombaku. Kiedy któryś z nich przechodził obok jego celi, cyferblaty jak gdyby ścigały go swoim widokiem. Na rurach wodociągowych, które biegły między blokiem wschodnim a skrzydłem zachodnim, wisiał inny zegar, choć John nie rozumiał, po co umieszczono go w tak dziwnym miejscu; w każdym razie zegar tam wisiał, tykał i nie można go było nie zauważyć. Czasami – John był tego najzupełniej pewien – słyszał bicie zegara dobiegające z białego kamiennego kościoła z niską wieżą stojącego przy rynku w Markusville; rozpoznawał ten dźwięk bardzo dobrze, zwłaszcza o świcie, kiedy na chwilę zapadała prawie całkowita cisza, a on, nie mogąc zasnąć, leżał na pryczy ze wzrokiem wlepionym w zielonkawy sufit; dźwięk uderzeń zegara wdzierał się wtedy do środka, a on liczył uderzenia.

Bo to właśnie robili. Liczyli. Odliczali czas.

Godzina za godziną, minuta za minutą, sekunda za sekundą; nie mógł się pogodzić z tym, że wie, ile czasu już upłynęło, i że przed dwoma godzinami jego życie było o dwie godziny dłuższe.

To był właśnie jeden z takich poranków.

Prawie przez całą noc leżał na pryczy, nie mogąc zasnąć; kręcił się z boku na bok, pocił, liczył mijające minuty i znowu zmieniał pozycję. Mniej więcej od północy Kolumbijczyk zaczął krzyżeć głośniejsze niż zwykle i robił to już przez całą noc, aż do chwili,

gdy minęła czwarta. Jego strach odbijał się echem tak jak szcęk przekręcanych kluczy, a krzyki stawały się głośniejsze z każdą godziną; wołał coś po hiszpańsku, czego John nie rozumiał, to samo zdanie, na okrągło.

John zapadł w drzemkę około piątej, nie widział tego na żadnym zegarze, ale czuł, że to mniej więcej ta pora, bo czas miał w sobie, a ciało odliczało upływające chwile nawet wtedy, gdy próbował myśleć o czymś innym.

Obudził się o wpół do siódmej, nie później.

Zapach celi natychmiast go zaatakował i już pierwszy oddech sprawił, że John zaczął się dusić; przez chwilę wisiał nad otworem śmierdzącego kibla, choć był to raczej porcelanowy otwór bez klapy umieszczony zbyt nisko nawet dla kogoś, kto miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Opadł na kolana i próbował zwymiotować; w końcu wsunął palce do gardła, bo nic nie chciało lecieć.

Musiał zwymiotować.

Musiał się pozbyć tego pierwszego wdechu, bo inaczej trudno mu będzie się podnieść, stanąć na wyprostowanych nogach.

Od czasu, gdy tu trafił, ani jednej nocy nie przespał w całości; minęły już cztery lata i stracił nadzieję, że kiedykolwiek mu się to uda. Jednak ta noc i ten poranek trwały dłużej niż poprzednie.

Dla Marvinina Williamsa była to przedostatnia noc jego życia.

Przed obiadem ten starszy już wiekiem więzień miał zostać zaprowadzony długim korytarzem do Domu Śmierci i zająć tam jedną z dwóch cel.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

Marv był jego przyjacielem z sąsiedniej celi. Jednym z tych, którzy w bloku śmierci siedzieli najdłużej. Marv – taki mądry, dumny, zupełnie inny w porównaniu z tutejszymi głupkami.

Dostanie stesolid¹ do odbytu, a potem, kiedy po niego przyjdą, zacznie się ślinić; tamci spokojnie go zbadają, a on powoli i potulnie pójdzie w otoczeniu umundurowanych strażników; a gdy zamkną się za nim drzwi bloku wschodniego, zapomni, jak tu kiedykolwiek pachniało.

– John...

– Tak?

– Nie śpisz?

¹ Rodzaj środka uspokajającego w działaniu przypominającego valium.

Marv też nie spał. John słyszał, jak tamten przewraca się z boku na bok na ciasnej pryczy i śpiewa coś, co przypominało dziecięce piosenki.

– Nie, nie śpię.

– Nie miałem odwagi, żeby zamknąć oczy. Rozumiesz mnie?

– Marv...

– Bałem się zasnąć. Bałem się zasnąć.

– Marv...

– Nie musisz nic mówić.

Kraty miały śmietankowobiały kolor, szesnaście wstrętnych, żelaznych prętów między jedną a drugą ścianą. Kiedy John uniósł się z pryczy i pochylił do przodu, zrobił to tak, jak zawsze: objął kciukiem i palcem wskazującym jeden z tych prętów i przytrzymał się go. Za każdym razem robił to w taki sam sposób: dłoń i dwa palce.

I znowu głos Marva, niski, spokojny baryton.

– Tak też jest dobrze.

John czekał w ciszy. Rozmawiali ze sobą od dnia, kiedy go tu zamknęli, już pierwszego ranka miły głos Marva sprawił, że uniósł się z pryczy i zdołał stanąć, nie tracąc równowagi. Od tamtej pory prowadzili rozmowę, która trwała nadal, słowa ulatywały przez kratę w powietrze, trafiały w ścianę, a oni rozmawiali tak przez kilka lat, nie widząc się wzajemnie. Teraz jednak słowa utknęły mu gdzieś w gardle. Odchrząknął. O czym tu rozmawiać z kimś, kto pożyje jeszcze jedną noc i jeden dzień, a potem umrze?

Marv oddychał ciężko.

– Nie rozumiesz tego, John? Ja już nie jestem w stanie dłużej czekać.

* * *

Każda doba trwała godzinę. I tylko tyle.

Na zewnątrz doba trwała dłużej. A tu było inaczej: jedna godzina, żeby pooddychać świeżym powietrzem, spacerować otoczony murem zwieńczonym wysokim na metr drutem kolczastym, strzeżony przez uzbrojonych strażników stojących na murowanych wieżach.

Dwudziestu trzech więźniów w celach, gdzie podłoga ma żółtawy kolor moczu, pięć metrów kwadratowych z kawałkiem na każdego z nich.

* * *

Trochę czytali. John nigdy przedtem tego nie robił. Nie z własnej woli. Po kilku

miesiącach Marv zmusił go, żeby przeczytał powieść *Przygody Hucka*. Kurwa, przecież to książka dla dzieci. Ale przeczytał ją. I następną. A teraz czytał każdego dnia. Żeby nie musieć myśleć.

- Co masz na dzisiaj, John?
- Dzisiaj chcę z tobą pogadać.
- Musisz czytać. Przecież wiesz.
- Nie dzisiaj. Jutro. Jutro znowu coś przeczytam.

* * *

Czarny Marv. Jedyne czarnuch we wsi.

Tak właśnie się wszystkim przedstawiał. Właśnie to powiedział tamtego pierwszego ranka, kiedy John nie mógł poruszać nogami. Na głos z celi za ścianą John zareagował dokładnie tak, jak robił to zazwyczaj, to znaczy kazał mu się odpiardolić. Jedyne czarnuch we wsi. Przecież John sam to widział, kiedy Marv zjawił się pierwszy raz w towarzystwie czterech strażników, którzy otworzyli, a zaraz potem zamknęli za nim drzwi celi. W bloku wschodnim nie było żadnych innych białych. John był tu sam. Miał siedemnaście lat i był przestraszony bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, pluł na ścianę i kopał w nią tak długo, aż drobne kawałeczki tynku osiadły na jego butach warstwą kurzu. „Ty pieprzony czarnuchu, dopadnę cię!” – wołał, aż głos uwiązł mu w gardle.

Wieczorem było podobnie. Cześć, mam na imię Marv, jedyne czarnuch we wsi. John nie był już w stanie dłużej krzyczeć. A Marv nadal opowiadał mu spokojnie, jak dorastał w jakiejś dziurze w Luizjanie, jak w wieku trzydziestu kilku lat przeprowadził się do górskiej wioski w Kolorado, jak w wieku czterdziestu czterech lat odwiedził pewną piękną kobietę w Columbus w stanie Ohio, a potem poszedł do chińskiej restauracji, gdzie trafił w niewłaściwe miejsce o niewłaściwej godzinie i widział, jak u jego stóp umiera dwóch mężczyzn.

- Boisz się?
- Śmierć. Tylko o niej nie wolno im było myśleć. I tylko o niej myśleli.
- Nie wiem, John. Już sam nie wiem.

* * *

Rozmawiali przez całe przedpołudnie, czasu zostało im niewiele, a tyle mieli sobie jeszcze do powiedzenia.

Widzieli, jak wyprowadzano stamtąd innych, dokładnie znali obowiązujące zasady

spisane w instrukcji przysłanej z Department of Rehabilitation and Correction; wisiały na ścianach i mówiły, gdzie i jak mają przeżyć każdą godzinę ostatniej doby życia. Chwilę wcześniej zjawiała się lekarka i wcisnęła Marvowi z tuby do odbytu stesolid, który właśnie teraz zaczął powoli działać; Marv bełkotał coś, próbując uporządkować słowa, ale podczas mówienia z kącika ust ściekała mu strużka śliny.

John żałował, że nie może go zobaczyć.

Co za uczucie, kiedy się obok kogoś stoi, a zarazem nie stoi, kiedy czuje się czyjaś bliskość, a jednocześnie nie można tej osoby dotknąć, nawet dłonią w ramię.

W sąsiedniej celi otwały się drzwi.

Głośne trzaskanie obcasów o żółtawą podłogę.

Wysokie czapki przypominające cyklistówki, zielono-brązowe mundury, błyszczące, wyczyszczone buty, czterej strażnicy maszerują dwójkami w stronę celi Marva. John obserwował każdy ich krok i widział, jak zatrzymują się metr od niego z twarzami zwróconymi w stronę tego, co znajduje się po drugiej stronie ściany.

– Wyciągnij ręce!

Głos Vernona Eriksena był jasny, mówił akcentem typowym dla południowego Ohio, typowy tutejszy chłopak, który gdy miał dziewiętnaście lat, zjawiał się w zakładzie karnym w Marcusville, żeby tam trochę popracować latem. Potem został na stałe, a już kilka lat później awansował na dowódcę straży w bloku śmierci.

John przestał widzieć, co się dzieje, widok zasłoniły mu mundury strażników.

Nie widział, ale wiedział.

Marv wysunął dłonie przez otwór w kratce, a Eriksen nałożył mu na przeguby kajdanki.

– Otworzyć celę numer sześć!

Vernon Eriksen był jedynym strażnikiem, którego z czasem John nauczył się szanować. Eriksen angażował się w życie codzienne skazańców, choć przecież nie musiał.

– Cella numer sześć otwarta!

Głośnik w pomieszczeniu strażników zatrzeszczał, otworzyły się drzwi w celi Marva. Eriksen odczekał chwilę, potem skinął na strażników, a gdy dwaj z nich weszli do środka, pozostał na miejscu. John mu się przyglądał. Wiedział, że Eriksen nie lubi sytuacji, gdy musi zaprowadzić do Domu Śmierci, a potem przyszykować do egzekucji więźnia, którego zdążył poznać. Eriksen nigdy tego nie powiedział i nigdy nie mógłby tego powiedzieć, ale John już dawno temu zrozumiał, że tak właśnie jest, po prostu wiedział o tym. Eriksen był wysoki, niezbyt silny, ale dobrze zbudowany. Jego rzadkie włosy tworzyły tonsurę, biegły szarym

półkolem wokół brzegów czapki. W pewnej chwili Eriksen zajął do celi Marva i przesuwał białymi rękawiczkami po obu pękach kluczy wiszących na pasie wokół bioder, obserwował ruchy strażników.

– Wstawaj, Williams.

– Już czas, Williams.

– Wiem, Williams, że mnie słyszysz, podnieś się, do diabła, żeby nie musiał cię dźwigać.

John słyszał, jak dwaj strażnicy ściągną jego sąsiada z pryczy, słyszał też słabe protesty odurzonego lekarstwem sześćdziesięcioletniego Murzyna. Potem spojrzął na Eriksena, który nadal był zwrócony twarzą w stronę celi. John chciał krzyknąć, ale nie na niego, bo Eriksen – co może zabrzmieć dziwnie – stał po ich stronie, więc pokrzykiwanie na niego nie miało sensu. John odwrócił się do wszystkich tyłem, ściągnął spodnie i zaczął sikać do dziury pełniącą funkcję muszli klozetowej. Żadnych zbędnych słów, żadnych myśli. Kiedy Marva wyprowadzano z celi, John strumieniem moczu zepchnął kawałek papieru aż na sam dół wypełnionego wodą otworu, po czym dalej olewał go ze wszystkich stron, aż papier przylgnął do białej porcelany.

– John.

To głos Marva, gdzieś z tyłu. John podciągnął spodnie i odwrócił się.

– Chcę ci coś powiedzieć.

John spojrzął na dowódcę strażników, który skinął przyzwalająco głową. Podeszedł do metalowych prętów między zamkiem drzwi a mурowaną ścianą. Pochylił się do przodu i jak zwykle objął jeden z prętów kciukiem i palcem wskazującym. I nagle stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego rzadko widywał, choć przez cztery lata rozmawiał z nim wiele razy, każdego dnia.

– Cześć.

Ten głos był mu dobrze znany, przyjazny, bezpieczny. Oto stał przed nim dumnie wyprostowany człowiek, z posiwiałymi dawno temu włosami, gładko ogolony, właśnie taki, jakiego wyobrażał sobie John.

– Cześć.

Marwowi ściekała z ust strużka śliny, John widział, jak próbuje się skoncentrować, ale mięśnie twarzy odmawiały mu posłuszeństwa. Więzień, który wkrótce umrze, musi być spokojny, nie ma tu miejsca na żal, choć John był pewien, że to przez wzgląd na strażników, żeby to im nie było żal.

– Masz. To dla ciebie.

John spostrzegł, jak Marv unosi dłoń do szyi, porusza przy niej niesprawnymi już palcami, aż w końcu udaje mu się chwycić to, czego szukał.

– I tak później będę musiał to z siebie zdjąć.

Krzyżyk. Dla Johna nic nie znaczył, ale wiedział, że dla Marva krzyżyk jest wszystkim. Dwa lata temu Marv przyjął Jezusa, podobnie jak wielu innych, którzy siedzieli w sąsiednich celach i czekali.

– Nie.

Stary Murzyn owinął srebrny łańcuszek wokół krzyżyka i wsunął go Johnowi do ręki.

– Nie mam nikogo innego, komu mógłbym go dać.

* * *

John spojrzał na łańcuszek, który trzymał w dłoni, a potem niespokojnie na Eriksena.

Nigdy wcześniej nie widział u niego takiej twarzy.

Była cała czerwona, płonęła, jakby targały nią drgawki. I ten jego głos, zbyt mocny, zbyt głośny.

– Otworzyć celę numer osiem!

Była to cela Johna.

Coś się tu nie zgadzało. John spojrzał na Marva, który chyba nie zareagował, a potem na trzech pozostałych strażników, którzy stali spokojnie i zerkali na siebie.

Zakratowane drzwi celi nadal były zamknięte.

– Proszę powtórzyć! – rozległ się w głośniku głos dyżurnego strażnika.

Poirytowany Eriksen wyciągnął szyję, jakby chciał pokazać strażnikowi na drugim końcu korytarza, że kiedy do niego mówi, patrzy na niego.

– Powiedziałem: otworzyć celę numer osiem. Natychmiast!

Potem spojrzał na kratę, czekając, aż drzwi się otworzą.

– Szefie...

Jeden z trzech pozostałych strażników zrobił ręką ruch, jakby chciał wyjaśnić, o co chodzi, ale ledwo zaczął mówić, Eriksen mu przerwał.

– Zdaję sobie sprawę, że to odbiega od ustalonego rozkładu czasowego. Jeśli stanowi to dla ciebie problem, możesz sformułować swą skargę na piśmie. Później.

I znowu spojrzenie w stronę dyżurnego. Kolejne kilka sekund wahania.

Stali tak wszyscy w ciszy, aż drzwi celi zaczęły się powoli przesuwają.

Eriksen odczekał, aż przesuną się do końca, a potem odwrócił się do Marva i dał mu

znak, że może wejść do środka.

– Możesz wejść.

Marv się nie poruszył.

– Chce pan, żebym...?

– Wejdz i pożegnaj się.

* * *

Później zrobiło się zimno i wilgotno, zaczęło ciągnąć od okna, które znajdowało się tuż przy dachu nad korytarzem i słychać było słaby powiew powietrza, które spływało na podłogę. John zapiął aż pod szyję swą pomarańczową, wełnianą i niezbyt dopasowaną bluzę; na jej tylnej części i na nogawce spodni, na wysokości ud, widać było drukowane litery BŚ.

Marzył.

I nie wiedział, czy broni się przed chłodem, czy też przed smutkiem.

TERAZ

Szedł powoli wśród mocnych porywów wiatru. Na pokładzie ani jednego człowieka. Wszyscy byli w środku, pośród ruchliwej społeczności odwiedzającej restauracje, parkiety taneczne i sklepy wolnocłowe. Usłyszał, jak ktoś się śmieje, a później dobiegł go gwar i brzęk szkła, a także dźwięki muzyki płynące z jednego z pokładów pełnych młodych i eleganckich pasażerów.

Nazywał się John Schwarz i myślał o niej, jak zawsze.

Była pierwszą tak bliską mu osobą. Pierwszą kobietą, która dała mu swoją nagość, skórę; czuł ją, marzył o niej i tęsknił za nią.

Zmarła przed osiemnastu laty.

W biały dzień.

Zbliżył się do drzwi, nabrał w płuca zimnego bałtyckiego powietrza, doleciał go zapach okrętu – smaru maszynowego, alkoholu i tanich perfum.

Pięć minut później stał na ciasnej scenie w ogromnej sali i rozglądał się ponad głowami tych, którzy stanowili wieczorną publiczność, a wolny czas zabijali drinkami z małymi parasoleczkami i orzeszkami ziemnymi podawanymi w niewielkich szklaneczkach.

Dwie pary. Na środku parkietu. Poza tym pusto.

Potrząsnął głową. Też nie spędzałby czwartkowego wieczoru na promie do Åbo, gdyby nie musiał. Jednak w domu czekał na niego Oscar, a na dodatek potrzebował pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek.

Goście ożywili się na dźwięk trzech szybkich kołyszących taktów; na parkiecie pojawiło się od razu osiem par, które mocno się obejmowały i pochylały ku sobie, licząc na to, że kolejny przebój pozwoli na bezpośredni kontakt cielesny. John śpiewał i rozglądał się wśród tańczących i tych, co stali trochę dalej, mając nadzieję, że ktoś ich zauważy i poprosi do tańca. Była tam pewna piękna kobieta z długimi, ciemnymi włosami i w czarnej sukience. Za każdym razem, kiedy partner deptał jej po palcach, uśmiechała się. John śledził ją wzrokiem i myślał o Elizabeth, która już nie żyła, i o Helenie, która czekała na niego w ich mieszkaniu w Nacka. Kobieta wyglądała jak obie razem, miała ciało Heleny i poruszała się jak Elizabeth. Ciekawe, jak ma na imię.

Tańcząca para zrobiła sobie przerwę, żeby napić się wody mineralnej; w oparach dymu i promieniach reflektorów turkusowoniebieska koszula z czarną lamówką wokół szyi zrobiła się wilgotna pod pachami. Kobieta, z którą John szukał kontaktu wzrokowego, w ogóle nie opuszczała parkietu, kilkakrotnie zmieniała partnerów, a jej twarz i szyja błyszczały od potu.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze godzina.

Jeden z pasażerów, w którym John rozpoznał kogoś, kto w Boże Narodzenie zeszłego roku dwa razy podróżował promem, podszedł do grupy osób, która chciała tańczyć; John domyślił się, że to jeden z tych pijanych spryciarzy, którym zdarzało się kłaść rękę na kobiecych udach, kiedy tylko trafiała się okazja. Mężczyzna przesuwiał się wśród par i przez chwilę dotknął nawet piersi jednej z młodszych kobiet; John nie był teraz pewien, czy coś zauważyła, bo kobiety rzadko to zauważały, przecież ciągle grała muzyka, wokół poruszało się tyle ludzkich ciał, a dłoń mężczyzny jakby nagle znikła.

John nienawidził go.

Widował już takich wcześniej: ciągnęło ich do muzyki dyskotekowej i mocnego piwa, a swój strach wydychali śmierdzącym oddechem na tych, którzy znaleźli się na ich drodze;

kobieta, która tańczy, może być zarazem kobietą, do której można się w ciemności dobrać, którą można przycisnąć.

I nagle mężczyzna zaczął się dobierać także do niej.

Do tej, która była i Elizabeth, i Heleną.

Do tej, która była kobietą Johna.

Kiedy kobieta pochyliła się w drugą stronę, mężczyzna wyciągnął rękę w stronę jej pośladków, ale trafił za daleko, więc przycisnął się do jej biodra w taki sposób, żeby wyglądało to jak niezdarny krok taneczny. A ona była jak inne kobiety, zbyt radosna i naiwna, żeby się zorientować, że facet się do niej dobiera. John śpiewał, patrzył i trząsał się ze złości, czuł się tak jak kiedyś, gdy wściekłość wywoływała w nim stan zamroczenia, który trwał tak długo, aż kogoś uderzył. Przez lata bił ludzi, a teraz wyładowywał się już tylko na ścianach i meblach. Jednak ten facet obrażał kobiety i zbyt mocno się o nie ocierał.

WTEDY

Leżał na pryczy i próbował czytać, ale mu to nie wychodziło. Słowa ulatywały, nie mógł zebrać myśli. Czuł się jak wtedy, za pierwszym razem, kiedy był nowy i po dwóch tygodniach kopania w ściany i żelazne pręty uświadomił sobie, że chodzi tylko o to, aby przetrwać i dalej oddychać po otrzymaniu kolejnej odpowiedzi na pismo z prośbą o ulaskawienie, żeby zyskać dodatkowy czas, chodzić bez konieczności mierzenia mijających godzin.

Tego dnia było inaczej. Dzisiaj nie robił tego właściwie przez wzgląd na siebie. Przecież wiedział o tym. Że myśli o Marvie. Że czyta dla Marva. *John* – każdego ranka słyszał to samo pytanie – *co będzie dzisiaj?* Dla Marva było to ważne. *Steinbeck?* *Dostojewski?*

Całkiem niedawno czterech umundurowanych strażników poprowadziło

sześćdziesięcioletniego, czarnego mężczyznę długim korytarzem obok zamkniętych cel. Z ust ściekała mu struzka śliny, a nogi ugięły się pod nim kilka razy, ale starał się zachowywać godnie: nie krzyczał i nie płakał. Ostry drut kolczasty rozciągnięty nad nimi błyszczał w słabym świetle, które przebijało się trochę dalej przez małe okienka.

Marvin Williams był dla niego prawie tym, kogo inni nazywali przyjacielem. Postarzały mężczyzna, który powoli zmusił siedemnastoletniego, agresywnego i bojącego się o swoje życie chłopca do tego, aby zaczął mówić, myśleć, tęsknić. Być może właśnie to zauważył Eriksen – poczucie pewnej więzi rodzinnej, które było na tyle silne, że mógł zrezygnować z rutynowych środków bezpieczeństwa. Teraz Marvin stał w celi Johna, rozmawiali ze sobą półgłosem, czując na sobie wzrok Vernona Eriksena, który spoglądał na nich z korytarza i pozwolił, aby te kilka chwil mogli spędzić wspólnie. Wkrótce Marv umrze.

Marv trafił do jednej z dwóch cel przeznaczonych dla więźniów skazanych na śmierć, jakie istniały w Domu Śmierci w zakładzie w Marcusville; była to ostatnia stacja życia, gdzie skazańcy mieli przed sobą już tylko dwadzieścia cztery godziny życia, cela numer cztery i cela numer pięć. Żadna inna cela nie miała tych numerów śmierci, przynajmniej nie tutaj, w bloku wschodnim, i nigdzie indziej na terenie tego ogromnego zakładu karnego. Jeden, dwa, trzy, sześć, siedem, osiem... tak właśnie odliczano na wszystkich oddziałach, na wszystkich korytarzach.

Jedyny Murzyn we wsi.

Marv wyjaśnił mu to po kilku miesiącach kłótni, kiedy John zaczął czytać książki, które Marv mu zaproponował. Zanim doszło do tamtych wydarzeń przed chińską restauracją w Ohio, z tymi dwoma facetami leżącymi u jego stóp, Marv mieszkał w górskiej wiosce Telluride w Kolorado; była to stara osada górnicza, która opustoszała, kiedy kruszec się skończył; umarła na krótko, aż do czasu, gdy w latach sześćdziesiątych zaludnili ją hippisi z wielkich miast prowadzący swój alternatywny styl życia. Dwustu białych, wykształconych, młodych Amerykanów, którzy wierzyli we wszystko, w co wtedy wierzono: wolność, równość, braterstwo i prawo do skręta dla wszystkich.

Dwustu białych i jeden Murzyn.

Marv faktycznie był jedynym Murzynem we wsi.

Po kilku latach zawarł fikcyjne małżeństwo z pewną białą kobietą z Afryki Południowej, która nie miała pozwolenia na pobyt w Stanach Zjednoczonych; zrobił to dla hecy, a może po prostu chciał nawiązać do tej idei braterstwa. Regularnie wysiadywał przed urzędnikami i wyjaśniał im, że jedyną prawdziwą miłością dla jedynego Murzyna we wsi jest biała kobieta z kraju nazywanego ojczyzną apartheidu, a robił to tak przekonująco, że kiedy

brali rozwód, kobieta miała już amerykańskie obywatelstwo.

To również przez nią pojechał potem do Ohio i wszedł nie do tej restauracji co trzeba.

John westchnął, zacisnął mocniej dłonie na książce i ponownie próbował coś przeczytać.

Przez całe popołudnie i przez cały wieczór przeczytał kilka linijek, a w celi, w której nie było prycz, widział w myślach Marva; może właśnie teraz siada na niebieskim krześle stojącym w rogu, a może leży zwinięty na podłodze, z oczyma wlepionymi w sufit?

Kilka nowych linijek tekstu, od czasu do czasu cała strona i znowu Marv.

Światło dnia powoli zniknęło z małych okienek, a jego miejsce zajmowała noc. Trudno mu było tak leżeć obok pustej celi i nie słyszeć ciężkiego oddechu Marva. Ku swemu zdziwieniu po dwóch godzinach John zdołał usnąć, choć zmęczenie nie opuszczało go od poprzedniej nocy, a Kolumbijczyk krzyczał mniej niż zwykle. Obudził się około siódmej, leżąc na książce, przeleżał jeszcze dwie godziny i wstał prawie całkowicie wypoczęty.

Wyraźnie słyszał głosy jakichś osób.

Z łatwością odróżniał głosy zwykłych ludzi od głosów osób skazanych na śmierć. Ten dźwięk, jaki wydobywa się z ust kogoś, kto nie wie dokładnie, kiedy umrze, niepewność, która sprawia, że nie musi liczyć... łatwo to było wyczuć.

Spojrzał w stronę dyżurki, gdzie siedzieli strażnicy, i doliczył się piętnastu przechodzących osób.

Byli za wcześnie, do egzekucji pozostały jeszcze trzy godziny, ale oni szli powoli, zerkając z ciekawością w głąb korytarza. Najpierw naczelnik więzienia, którego John widział przedtem tylko raz, a za nim świadkowie przyszłej egzekucji. John domyślił się, że skład jest ten sam co zwykle: krewni ofiary zbrodni, jakiś przyjaciel skazańca, kilku dziennikarzy. Mieli na sobie płaszcze, na ramionach resztki śniegu i zaczerwienione policzki – z zimna lub podniecenia. Przecież przybyli tu oglądać czyjąś śmierć.

John splunął przez pręty w ich stronę. Już miał się odwrócić, gdy nagle usłyszał, jak dyżurny strażnik otwiera drzwi i wpuszcza jedną z tych osób na korytarz w bloku wschodnim.

Był to niewysoki, przysadzisty mężczyzna z wąsami i ciemnymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Miał na sobie futro nałożone na szary garnitur, śnieg już na nim stopniał, ale kołnierz nadal był wilgotny. Szedł środkiem korytarza pewnym krokiem, na nogach miał mokasyny na gumowej podeszwie, które sprawiały wrażenie miękkich, choć trochę stuknęły na posadzce. Nie wahał się, wiedział, w którą stronę i do której celi ma iść, kierował się dokładnie w tamtą stronę.

John niespokojnie poprawił włosy i zaczesał je jak zawsze palcami za uszy, tak że

spadały mu jak warkoczyk na sam kark. Kiedy tu trafił, miał krótkie włosy, których nie strzygł, więc każdego miesiąca przyrastały o kolejny centymetr. Był to dla niego jak gdyby zapasowy zegarek, na wypadek gdyby ten, który miał w sobie, przestał nagle funkcjonować.

John widział go teraz bardzo wyraźnie, ponieważ mężczyzna zatrzymał się dokładnie naprzeciw jego celi. John ujrzał twarz, która ciągle go nawiedzała w snach. Kiedyś pokrywał ją trądzik, ale teraz pozostały po nim drobne blizny, których ani upływający czas, ani tłuszcz nagromadzony pod skórą nie zdołały wygładzić. Edward Finnigan odczekał chwilę, blady jak ściana, a jego oczy wyrażały zmęczenie.

– Morderca.

Nadał usta, przełknął ślinę i powiedział podniesionym głosem.

– Morderca!

Szybkie spojrzenie w stronę strażnika i Finnigan zrozumiał, że jeśli chce zostać tam dłużej, musi mówić ciszej.

– Zabrałeś mi moją córkę.

– Finnigan...

– Siedem miesięcy, trzy tygodnie, cztery dni i trzy godziny. Właśnie tyle. Możesz błagać o ulaskawienie, gdzie tylko chcesz, a ja i tak się postaram, żeby je odrzucono. Tak jak postarałem się, żebym mógł tu teraz stać przed tobą. Wiesz o tym, Frey.

– Odejdź.

Mężczyzna starał się mówić cicho, ale nie udało mu się; uniósł dłoń do ust i położył palec na wargach.

– Ciiii, nie przerywaj, nie lubię, kiedy jakiś morderca mi przerywa.

Odsunął palec od ust i znowu odezwał się silnym głosem.

– Dzisiaj, w imieniu gubernatora, będę obserwował, jak kończy Williams. A we wrześniu będę oglądał ciebie. Rozumiesz? Została ci tylko jedna wiosna... i jedno lato.

Mężczyzna w futrze i mokasynach z trudem zachowywał równowagę. Przystępował z jednej nogi na drugą, wymachiwał ramionami, a nienawiść, którą do tej pory tłumił, znalazła wreszcie ujście. John stał w milczeniu, tak jak wtedy, gdy spotykali się na procesie, kiedy dochodziło między nimi mniej więcej do podobnej wymiany zdań; na początku próbował odpowiadać, ale potem zrezygnował, bo stojący przed nim mężczyzna nie potrzebował żadnych odpowiedzi, nie był na nie jeszcze gotów i już nigdy nie będzie.

– Odejdź stąd. Nie masz mi nic do powiedzenia.

Finnigan sięgnął ręką do kieszeni płaszcza i wyjął książkę w czerwonej okładce, z kartkami, które wyglądały jak pozłacane.

– Posłuchaj, Frey.

Przez kilka chwil przerzucał kartki, szukał zakładki, aż wreszcie ją znalazł.

– Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty pierwszy...

– Zostaw mnie w spokoju, Finnigan.

– ...werset od dwudziestego trzeciego do dwudziestego piątego.

Znowu zerknął w stronę strażnika, zacisnął szczęki, chwycił Biblię i zaczął recytować.

– „Jeśli zaś poniesie jakąś szkodę, wówczas odda życie za życie, oko za oko, ząb za ząb...”.

Finnigan odczytywał tekst w taki sposób, jakby to było kazanie.

– „...rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec”².

Gdy zamykał Biblię, na jego twarzy pojawił się uśmiech. John odwrócił się i położył na przycy tyłem do kraty i korytarza, ze wzrokiem wbitym w brudną ścianę. Leżał tak, aż kroki ucichły i drzwi prowadzące na korytarz otwarły się, a potem znowu zamknęły.

* * *

Jeszcze kwadrans.

John nie potrzebował zegarka.

Zawsze dokładnie wiedział, jak długo leżał.

Spojrzał w górę, w stronę poplamionej świetlówki wiszącej pod sufitem celi. Muchy garnęły się do lampy, która zawsze była zapalona, podlatywały za blisko i natychmiast ginęły od gorąca. Przez pierwsze noce zasłaniał oczy dłońmi, nie umiał pozbyć się uczucia strachu i odseparować od wszystkich nowych dźwięków. Lampa paliła się na okrągło, więc trudno mu było się odprężyć, bo światło rozpraszało ciemność.

Miał je widzieć aż do ostatniej chwili swego życia.

* * *

Czasem liczył na to, że śmierć nie kończy wszystkiego.

Że potem jest jeszcze cokolwiek, coś więcej niż tylko krótkie, paskudne poczucie śmierci; coś więcej niż tylko świadomość, że właśnie teraz umiera, a po chwili już nie żyje.

Najsilniej czuł to właśnie teraz, kiedy na zawsze miał odejść ktoś, kto nie musiał już liczyć czasu.

W takich chwilach John kładł się zazwyczaj na pryczy i gryzł rękaw więziennej bluzy, czując, jak serce dudni mu coraz mocniej; oddychał z trudnością, aż w końcu dostał drgawek i zwymiotował na podłogę.

Głowa pulsowała mu od gwałtownych uderzeń fal gorąca.

Czuł się tak, jakby i on za każdym razem umierał.

* * *

Gdy nagle zgasło światło, John złapał się mocno pryczy. Światło rozbłysło na nowo, zajaśniało w pełni i znowu zgasło. Działo się to w bloku wschodnim, w skrzydle zachodnim i na innych oddziałach więzienia w Marcusville dokładnie w tym samym czasie, gdy ciało Marva Williamsa w ciągu zaledwie jednej minuty skurczyło się od uderzeń prądu o napięciu od sześciuset do tysiąca dziewięciuset woltów. Marv zwymiotował prawdopodobnie już po pierwszym takim uderzeniu, a potem, przy każdym nowym impulsie, wyrzucał z siebie po trochu resztkę, aż opróżnił cały żołądek.

Świelówka znowu rozbłysła i John już wiedział, że popalone ciało Marva zapadło się przed kilkoma sekundami w krzesło, wykazując ostatnie oznaki życia. Wbił zęby w rękaw bluzy i zastanawiał się, czy Marv wtedy myślał i czy jego myśli zdołały zagłuszyć ból.

Drugie uderzenie prądu trwało zawsze siedem sekund, płynął wówczas prąd o napięciu tysiąca woltów; ciecz, w której były zanurzone miedziane elektrody przymocowane do głowy i prawej nogi, zaczynała wtedy wrzeć.

John przestał gryźć rękaw bluzy. Rozpiął dwa górne guziki, a potem sięgnął po srebrny łańcuszek i krzyż, które miał zawieszane na szyi. Kiedy zaciskał je w dłoni, lampa rozbłysła i gasła jeszcze kilka razy; trzecie, a zarazem ostatnie uderzenie trwało zazwyczaj dłużej, była to dawka o napięciu dwustu woltów w ciągu dwóch minut.

W tym momencie prąd wysadza mu gałki oczne z orbit.

Teraz wypływa z niego mocz i ekskrementy.

A teraz ze wszystkich otworów jego ciała tryska krew.

John nienawidził wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z religią, ale zachował się tak, jak uczyniłby to Marv: chwycił krzyżyk jedną dłonią, a drugą nakreślił przed sobą w powietrzu znak krzyża.

² Cytaty zaczerpnięto z Biblii Tysiąclecia.

TERAZ

Była to ostatnia godzina rejsu, a on powinien patrzeć w inną stronę. Prom wypłynął już z Åbo i kierował się z powrotem do Szwecji; jeszcze kilka przebojów i trochę bardziej podkreślone tempo, które zmiotło z parkietu tych wszystkich, co wypili za dużo; potem jakiś wolny kawałek dla tych, co nie chcieli kończyć zabawy, kilka godzin w kajucie i wreszcie Sztokholm.

Nie potrafił jednak odwrócić wzroku po raz kolejny; mężczyzna, który dobierał się do kobiet na parkiecie, ten sam co przedtem, przycisnął właśnie swe narządy płciowe do biodra kobiety po raz drugi, a ona znowu nic nie zauważyła i nie poczuła.

John przez cały wieczór śledził ją wzrokiem.

Ciemne włosy, śmiech i radość, że może tańczyć aż do upadłego; była piękna, była jednocześnie Elizabeth i Heleną.

Jego kobieta.

– Co ty, do cholery, robisz?

Nagle John przestał śpiewać, choć nawet sam nie zdawał sobie z tego sprawy; wściekłość nie pozwalała mu czytać nut, a pozostali muzycy, którzy stali za nim, grali jeszcze kilka taktów, po czym opuścili instrumenty i czekali w ciszy.

Powinien był patrzeć w inną stronę.

John ze sceny zwracał się do mężczyzny, który nadal stał blisko niej.

– Zostaw ją w spokoju. Natychmiast!

Gdzieś przy wejściu zabrzączało szkło. To silny wiatr, który uderzał w wielkie szyby okien. Poza tym w sali panowała cisza. Taka, jaka zapada w chwili, gdy przestaje grać muzyka, bo solista przerwał nagle w połowie refrenu.

Trzyście par stało na parkiecie w całkowitym milczeniu.

Każda z nich zastygła w bezruchu w pół taktu, oddychali ciężko, aż nagle zaczęli rozumieć, co się stało; odwrócili się w stronę, w którą wskazywał John, w kierunku

wysokiego, jasnowłosego faceta, który stał pośród nich na parkiecie.

Mikrofon zatrzeszczał, gdy John przemówił zbyt głośno.

– Nie kumasz? Zaczniemy znowu grać, jak się zmyjesz.

Mężczyzna zrobił krok do tyłu, zachwiał się, a jego członek nie dotykał już jej bioder. Odzyskał równowagę, potem odwrócił się w stronę sceny i podniósł w górę palec. Zastygł w tej pozycji, nic nie mówił i nie poruszał się.

Ktoś zszedł z parkietu.

Ktoś inny pochylił się w stronę partnera lub partnerki, szepcząc coś do ucha.

Jeszcze ktoś inny zamachał niecierpliwie ramionami, jakby chciał powiedzieć: no graj wreszcie, przecież my tu tańczymy.

Mężczyzna, który nadal trzymał uniesiony palec, zaczął się przeciskać wśród stojących nieruchomo par w stronę sceny i Johna.

Usłyszał głos Lenny'go dobiegający z tyłu: „Olej to, John, odpuść sobie, niech zajmie się tym ochrona”, a potem głos Giny, która westchnęła i powiedziała: „Wystarczy, niech sobie ten pijaczyna trochę poprzeklina”; nawet basista, który do tej pory nie zabierał głosu, rzucił: „To bez sensu, jutro znowu nam się taki trafi”.

John ich słyszał.

A zarazem nie słyszał.

Pijany mężczyzna stał już przy nim pod sceną i uśmiechał się szyderczo, John czuł na sobie jego oddech, jego twarz sięgała mu gdzieś do wysokości pasa. Mężczyzna nadal trzymał palec w powietrzu, ale teraz powoli go opuścił, a potem z kciuka i palca wskazującego drugiej dłoni zrobił kółko; wtedy spojrzał Johnowi w oczy, a następnie długi palec pierwszej ręki dwa albo trzy razy wsunął w środek kółka zrobionego z palców.

– Tańczę, z kim chcę.

Ktoś upuścił widelec.

A może coś zgrzytnęło w którymś z głośników.

John nawet tego nie zauważył. Później nie potrafił opowiedzieć, co działo się wokół niego. Był zajęty liczeniem. Jeśli tylko będę liczył, ta cholerna złość mnie opuści, uspokoję się.

Przecież się tego uczył.

Nie uderzać.

Nigdy więcej nie uderzać.

John spojrzał w dół na faceta, który śmiał się szyderczo w jego stronę i wykonywał tamten gest; przeciągnął dłońmi po głowie, jakby wciąż miał jeszcze długie włosy i próbował

założyć je za uszy, tak jak robił to zawsze, kiedy niepokój i strach uniemożliwiały mu kontrolowanie swego zachowania; w myślach ujrzał twarz szesnastoletniej Elizabeth i twarz trzydziestosiedmioletniej Heleny; następnie spojrzał w kierunku kobiety, która jeszcze przed chwilą oddawała się na parkiecie szaleństwu tańca, a teraz stała w zupełnej ciszy niedaleko od niego; i znowu spojrzał na dłonie pijaka, który niedawno się do niej przyciskał, i nagle poczuł się tak, jakby wszystko w nim pękło, wszystkie te cholerne lata liczenia i kontrolowania złości, która wypełniała jego wnętrze, gdy próbował zasypiać; potem, nawet o tym nie wiedząc, odchylił nogę i z całej siły, jaka nagromadziła się w nim przez cały ten czas, kopnął mężczyznę w głowę, trafiając go w sam środek jego szyderczego uśmiechu. Potem, kiedy zebrani na sali ludzie zaczęli się do niego zbliżać, nawet nie słyszał odgłosów zamieszania i podniecenia.

CZEŚĆ I

PONIEDZIAŁEK

To był całkiem ładny poranek. Sztokholm spowity mgłą, słońce, które starało się przez nią przebić, kłęby pary tańczące na wodzie. Jeszcze pół godziny, potem nabrzeże, miasto i dom.

John wyrztał na zewnątrz przez plastikowe okno. Wielki prom sunął powoli wyznaczonym torem z prędkością kilku węzłów na godzinę, dziób łagodnie rozcinał fale.

Miał za sobą długą noc i czuł zmęczenie; po czwartej próbował zasnąć, ale nie mógł spać. Działo się tak wtedy, gdy terażniejszość zaczynała mieszać mu się z przeszłością. Czuł, że bołą go oczy, czoło, całe cholerne ciało. Bał się. Już od dawna niczego się nie bał i wpadł nawet w codzienną rutynę spokojnego życia. Helena, obok której zasypiał, i Oscar, który we śnie ciężko oddychał, leżąc w łóżku stojącym w sąsiednim pokoju. Mieli swoje życie i

mieszkanie – ciasne, ale własne, a on czuł się tak, jakby nic więcej nie istniało, jakby to, co minęło, udało się zapomnieć.

Od okna ciągnęło chłodem. W kajucie też panował chłód, jak zawsze w styczniu. Dwa wieczory na pokładzie promu, porządne honorarium, własna kajuta i darmowe jedzenie wystarczały mu i jakoś to wytrzymywał. Powoli przyzwyczał się do muzyki granej przez kapelę i do pijanych gości konferencyjnych; był już przecież ojcem, a regularne dochody równoważyły mu uczucie, które potrafiło nim nagle zawładnąć w samym środku piosenki, gdy stał na scenie wśród innych muzyków; podobnie jak uczucie samotności, gdy nie mógł się ruszyć, żeby z kimś porozmawiać, chociaż na parkiecie przed sceną było pełno tańczących gości.

Kopnął go w sam środek twarzy.

Przymknął oczy, zacisnął powieki aż do bólu i znowu wyjrzał przez okno. Sztokholm był coraz bliżej, zarysy dzielnicy Södermalm sprawiały wrażenie, jakby chciały runąć na ziemię przy nabrzeżu Stadsgård.

Nie powinno do tego dojść.

Nie powinien go uderzyć.

Ale ten bydlak wsadził jej rękę pod sukienkę, przyciskał się do niej, a ona próbowała się od niego odsunąć; potem ta jego ręka na jej pośladkach, przecież John go ostrzegał, ludzie przestali tańczyć, a gdy facet ją puścił i zaśmiał mu się szyderczo prosto w twarz, stojąc tuż przed nim, miał wrażenie, że to ktoś inny, na kogo John tylko patrzy, i że siła, z jaką uderzył, nie pochodziła od niego.

Ktoś zastukał w drzwi kajuty. Nie słyszał tego.

Stwierdzili, że posiada niską zdolność kontrolowania własnych impulsów. Wtedy, przed laty. Obserwowali go, oceniali i rozmawiali z nim, z nastolatkiem, który bił wszystko i wszystkich. Ktoś wspomniał o jego matce, która przedwcześnie zmarła, ktoś inny przypomniał zdarzenie, do którego doszło później, ale już wtedy takie wypowiedzi go złościły. Nie wierzył w tłumaczenia odwołujące się do lat dzieciństwa, w nocne moczenie czy zepsute zabawki; bił wszystkich, którzy stawali mu na drodze, bo nie miał innego wyboru, on po prostu tego chciał.

Pukanie do drzwi nie ustawało.

Sztokholm widziany przez okno stawał się coraz większy, zarysy budynków coraz wyraźniejsze. To jeden z tych zimowych dni, które nauczył się lubić, Sztokholm z ciepłym słońcem rozgrzewającym policzki i Sztokholm ogarnięty chłodem, gdy zapadał zmrok, walka między życiem, które miało nadejść, i tym starym, które musiało odejść. Spojrzał na właśnie

mijany pomost, na wielką willę, której zawsze się przyglądał, była tak pięknie położona, tuż przy wodzie, z wypielęgnowanym ogrodem pokrytym warstwą śniegu. Spojrzał na łód wokół pustego pomostu, przy którym latem cumowały drogie motorówki. Wyglądał inaczej niż zwykły łód. Tworzył kilka warstw poprzedzielanych wodą. Coś takiego działo się wtedy, gdy po nadejściu ciepłego powietrza i ponownym powrocie mrozu woda rozlewała się po lodzie i znowu zamarzała podczas zimnych nocy. Nie wiedział nawet, jak to zjawisko nazywa się po angielsku, nigdy nie zdążył się nauczyć tego słowa, nawet jeśli istniało.

Znowu stukanie do drzwi.

Tym razem usłyszał. Jakby z daleka, uderzenia, które wciskały się między jego myśli. Odwrócił się przodem w głąb kajuty, łóżka i szafki, białych ścian i drzwi, od których dobiegał dźwięk.

– Nie przeszkadzam?

Mężczyzna w zielonym mundurze, wysoki, barczysty, z rudą brodą. John od razu go poznał. To jeden z wynajętych ochroniarzy zatrudnionych na promie.

– Nie.

– Mogę wejść?

Wskazał w głąb kajuty. John nawet nie wiedział, jak ochroniarz się nazywa.

– Jasne.

Mężczyzna podszedł do okrągłego bulaja i spojrzał roztargnionym wzrokiem na odległe zarysy miasta.

– Bardzo ładny widok.

– Tak.

– Fajnie będzie zejść na ląd.

– Po co przyszedłeś?

Ochroniarz wykonał ręką pytający ruch w stronę łóżka i nie czekając na odpowiedź, usiadł na nim.

– Chodzi o to, co wydarzyło się wczoraj wieczorem.

John spojrzał na niego.

– Tak?

– Ja wiem, kto to jest. Jeden z tych, co lubią stać za blisko. Przedtem też to robił. Ale to nie ma znaczenia. Na promie nie wolno nikogo kopać w twarz.

John sięgnął po paczkę papierosów na półce, która udawała nocną szafkę. Zapalił. Ochroniarz demonstracyjnie odsunął się jak najdalej od dymu.

– Złożył na ciebie skargę. Ponad pięćdziesięciu świadków to trochę za dużo. Policja

przyjechała już na terminal i czeka na ciebie na nabrzeżu.

Tylko nie to!

Już od tak dawna nie odczuwał strachu. Niemal o nim zapominał.

– Przykro mi, chłopie.

Ochroniarz siedzący na łóżku. John spojrział na niego, palił papierosa, nie mógł się poruszyć.

Tylko nie to!

– Masz na imię John? Posłuchaj: osobiście mam w dupie, czy jakiś cholerny Fin zasłużył na kopa w ryj. Ale cóż, złożył na ciebie skargę, a teraz policja zabierze cię na przesłuchanie.

* * *

John nie krzyczał. Był przekonany, że krzyczy, ale nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Wydał tylko jeden cichy okrzyk, a potem usiadł na łóżku, spuścił głowę i mocno przycisnął dłonie do policzków.

* * *

Nie wiedział dlaczego, ale na chwilę znalazł się gdzie indziej, w innym czasie, kiedy miał piętnaście lat i właśnie przed chwilą uderzył od tyłu krzesłem jednego z nauczycieli. Było to jedyne mocne uderzenie zadane w twarz dokładnie w chwili, kiedy pan Coverson się odwracał. Od uderzenia stracił słuch, a John nadal pamiętał, co czuł, kiedy spotkał go na procesie, gdy po raz pierwszy uświadomił sobie, że każde uderzenie ma konsekwencje. Płakał jak nigdy przedtem, nawet bardziej niż na pogrzebie matki, bo zrozumiał – naprawdę zrozumiał – że już na zawsze odebrał temu starszemu człowiekowi możliwość odbierania dźwięków więcej niż tylko jednym uchem; poza tym wiedział, że było to jego ostatnie uderzenie i nawet trzymiesięczny pobyt w zakładzie poprawczym nie zmienił jego decyzji.

* * *

– Policja zatrzyma mikrobus, którym jeździcie na tournée.

Ochroniarz nadal tam siedział. John dziwił się, że zareagował tak silnie, nagle poczuł strach wypełniający niewielką kajutę. Okay, przesłuchanie na policji, ewentualne oskarżenie o ciężkie pobicie... Pewnie, że wcale tego nie chciał. Ale na dodatek to... Trzęsła mu się głowa,

twarz miał niemal białą, prawie nie mógł mówić. Nie, nie rozumiał tego.

– Będą tam na ciebie czekać. Przy pasie dla samochodów.

John słyszał, jak głos ochroniarza szybuje gdzieś nad jego głową, głos, który uleciał i znikł w papierosowym dymie.

– Jeśli jednak pójdziesz zwykłym przejściem dla pieszych pasażerów, zyskasz ze dwie godziny.

* * *

John zszedł z promu przejściem dla pasażerów z plastikowymi reklamówkami, którzy nie mieli nic do oclenia, jak również dla tych, którzy ciągnęli za sobą walizki na kółkach. Potem poszedł chodnikiem, który prowadził do centrum, w stronę Nacka. Powietrze było wilgotne, czuł w nim dwutlenek węgla i coś jeszcze; w końcu dotarł do Danvikstull, gdzie cały spocony pomachał ręką na taksówkę, a później zamówił kurs na ulicę Alphyddevägen 43. Od sześciu lat bał się dnia, kiedy coś takiego się zdarzy, i już dawno temu postanowił, że nie będzie uciekał. Musi teraz pojechać do domu. Do Heleny i Oscara. Przytulili ich, a oni opowiedzą mu o przyszłości, podczas gdy on będzie jadł pudding ryżowy z polewa jagodową, jakby to miał być jego ostatni posiłek.

Ewert Grens czuł, jak mróz szczypie go w policzki. Nie lubił tej cholernej, długiej zimy, a teraz, na początku stycznia, nienawidził każdego mroźnego dnia. Miał kłopoty z poruszaniem karkiem i lewą nogą, która nie za bardzo chciała go słuchać. Objawy nasilały się w miarę, jak robiło się coraz chłodniej, i sprawiały, że czuł się starzej, jakby miał więcej niż pięćdziesiąt siedem lat; każda kończyna, każdy mięsień, które już od dawna nie były młode, domagały się od niego wiosny i ciepła.

Stał na schodach prowadzących do bramy wejściowej budynku przy ulicy Sveavägen. Ta sama klatka schodowa prowadząca do tego samego mieszkania na czwartym piętrze, które należało do niego już prawie od trzydziestu lat. Trzydzieści lat w tym samym miejscu, a znał najwyżej jednego sąsiada.

Parsknął głośno.

Bo się nie chce. Bo brakuje czasu. Bo ciągle jest w podróży. Miał tego rodzaju sąsiadów, którzy umieszczali ogłoszenia na tablicy przed drzwiami wejściowymi, prosząc innych, aby przestali karmić ptaki ze swych balkonów. Tacy, którzy odzywali się do innych jedynie wtedy, gdy ktoś zbyt głośno lub zbyt późno puszczał muzykę, tacy, co grozili strażą miejską i policją. Po cholerę znać takich?

Jechał właśnie do Anni, kiedy w samym środku ulicznego korka przypomniał sobie nagle, że w ten jeden jedyny poniedziałek przenieśli spotkanie na czas lunchu. Przez wszystkie te lata rehabilitantka, która prowadziła ćwiczenia, przychodziła w każdy poniedziałek rano. Zmęczony i poirytowany wyrwał się z korka, przejechał przez ciągłą linię i wrócił na swój pas, żeby zaparkować w tym samym miejscu, które przed chwilą opuścił, a które teraz było już zajęte; zaklął głośno i zaparkował w miejscu, gdzie nie powinien.

Spotkanie w Kronobergu miał dopiero za dwie godziny, więc postanowił wrócić do mieszkania; nagle zatrzymał się na wysokości pierwszego piętra. To nie tutaj. Za duży ten korytarz, zbyt pusty. Od pewnego czasu w ogóle nie nocował w domu. Kanapa w jego pokoju na posterunku policji była wprawdzie mała, a jego wielkie ciało z trudem się na niej mieściło,

ale właściwie zawsze spało mu się tam lepiej.

Poszedł więc na spacer. Ulicą Sveavägen, przez plac Odengatan, obok kościoła Gustawa Wazy, aż do placu Dalagatan. Ta sama droga, dwadzieścia pięć minut niezależnie od pory roku. Rzadkie, siwe włosy, pomarszczona twarz, widoczne utykanie, bo lewa noga przestała działać... Chodnikiem szedł inspektor policji kryminalnej Ewert Grens, jeden z tych, którzy byli kimś, kogo słuchano, nawet jeśli nic nie mówił.

Zaczął sobie podśpiewywać.

Kiedy mijał pijaczków siedzących na ławkach w parku Wazów i ponure wejście do szpitala Sabbatsberg, zwykle zwiększał tempo, bo jego płuca właśnie tego potrzebowały, aby móc właściwie funkcjonować; w tym miejscu zaczynał śpiewać i robił to aż do posterunku policji przy ulicy Bergsgatan; w jego niezdarnym ciele pulsowała krew, a on śpiewał głośno, fałszując, ale nawet nie zwracał uwagi na tych, co na jego widok zatrzymywali się i przyglądali mu się uważnie. Zawsze śpiewał któryś z przebojów Siw Malmkvist, coś, co pozwalało mu wrócić pamięcią do czasów, których już nie było.

*Najdroższy Magnusie, przebacz mi, zrobiłam wczoraj głupotę
Słowa, które dziś do ciebie piszę, wkrótce przyniesie ci listonosz.*

Tytuł *Nie czytaj listu, który do ciebie napisałam*, orkiestra Harry'ego Arnolda, 1961 rok. Śpiewając, przypominał sobie dni bez samotności, życie tak długie, że nie potrafił go ogarnąć.

Trzydzieści cztery lata jako policjant. Zanim zaczął, miał wszystko. Minęły trzydzieści cztery lata i teraz nie miał nic.

Na środku mostu Barnhusbron, który łączył dzielnice Norrmalm i Kungsholmen, zaczął śpiewać jeszcze głośniej. Na ulicy panował hałas z powodu ruchu ulicznego i silnego wiatru, którego zawsze można było się tam spodziewać; Grens śpiewał dla całego Sztokholmu, próbował zdusić w ten sposób swoje myśli, niepokój i to, co czasem zamieniało się prawie w gorycz.

*Wprawdzie jesteś trochę grubiutki, ale nie jak słoń,
Myślę, że jesteś słodziutki, więc nie mogłabym nazwać cię błaznem.*

Rozpiął płaszcz, zdjął szalik i pozwolił, żeby niemodna już piosenka uniosła się swobodnie wśród samochodów jadących środkowym pasem i wśród ludzi, którzy spieszyli skuleni z zimna w różnych kierunkach. Chciał właśnie zacząć śpiewać refren, kiedy poczuł niecierpliwe wibrowanie w kieszeni marynarki. Jeden, dwa, trzy razy.

– Tak?

Mówił głośno wprost do swego telefonu komórkowego. Po dwóch sekundach usłyszał głos, którego nie cierpiał.

– Ewert?

– Tak.

– Co teraz robisz?

Gównu cię to obchodzi, cholerny lizusie. Grens gardził swoim szefem. Podobnie jak gardził w zasadzie wszystkimi innymi kolegami z pracy. I nawet nie próbował tego ukrywać. Każdy z nich odczuł to jakoś na własnej skórze. To ten cholerny inspektor, który był wprawdzie zbyt młody, ale zawsze starał się zawiązywać sznurowadła we właściwy sposób.

– Czego chcesz?

Usłyszał, jak tamten nabiera powietrza, więc przygotował się.

– Gramy różne role, i ty, i ja. Mamy też różne pełnomocnictwa. Tak na przykład to ja decyduję, kto tu jest zatrudniony. A także gdzie.

– Ty tak twierdzisz.

– Zastanawiam się więc, jak to się stało, że to ty zatrudniłeś niedawno kogoś na zwolnione stanowisko w swoim wydziale. Kogoś, kto na dodatek nie ma nawet odpowiedniej liczby odsłużonych lat, żeby go zatrudniać na stanowisku inspektora policji.

Powinien wyłączyć ten pieprzony telefon i coś sobie zaśpiewać, słońce właśnie wstało, a Sztokholm obudził się, ukazując swoje piękne oblicza; to był Ewerta czas, jego rytuał, jego cholerne prawo do tego, żeby nie zadawać się z idiotami.

– Tak to bywa, jak ktoś działa za wolno.

Przejechał pod nim pociąg, a dobiegający z dołu dźwięk uderzył o betonowy most i zagłuszył słowa płynące z telefonu. Nie zwracał na to uwagi.

– Nie słyszę cię.

Jego rozmówca spróbował ponownie.

– Nie możesz zatrudnić Hermansson. Mam innego kandydata, z kwalifikacjami.

Ewert Grens już za chwilę znowu będzie śpiewał.

– Jeszcze zobaczymy. Trochę za późno. Umowę o pracę podpisałem już wczoraj wieczorem, bo wiedziałem, że będziesz chciał się wtrącić.

Wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni marynarki.

Ruszył przed siebie, chrząknął i zaczął śpiewać od początku.

* * *

Dziesięć minut później otworzył ciężkie drzwi głównego wejścia do budynku przy ulicy Kungsholmsgatan.

Wszyscy ci głupcy już tam siedzieli i czekali.

Numerki do kolejki z porannymi zgłoszeniami, w każdy poniedziałek takie same, pełen budynek, szaleństwo po każdym weekendzie. Spojrzał na nich, w większości zmęczonych... włamanie do mieszkania w czasie wyjazdu do domku letniskowego, stłuczona wystawa sklepowa i zrabowane przedmioty. Szedł korytarzem w stronę zamkniętych na klucz drzwi swego biura, dwa piętra w górę, potem jeszcze kilka zamkniętych drzwi za automatem z kawą. Miał właśnie wstukać kod i wejść do środka, gdy nagle zerknął na mężczyznę leżącego na kanapie na samym końcu korytarza. W rękę trzymał numerki, twarz miał skrzywioną z bólu, a na niej skrzepniętą krew, która wypłynęła z ucha. Dźwięk przypominający bełkot, niewyraźne słowa, Grens był pewien, że to po fińsku.

Z jego ucha wypłynęła krew.

Krok bliżej. Leżący na kanapie mężczyzna śmierdział alkoholem, odór był taki, że Grens aż się cofnął.

Jego twarz. Coś w niej było nie tak.

Grens oddychał teraz tylko ustami. Zrobił dwa kroki do przodu i pochylił się nad mężczyznę, który był silnie posiniaczony od pobicia.

Żrenice różnej wielkości, jedna mała, druga powiększona.

Oczy... widział je przed sobą, jej głowa na jego kolanie. Przecież nie wiedział, jeszcze nie wtedy.

Podszedł szybko do lady, gdzie zapisywano petentów. Krótka wymiana słów, ramiona Grensa wyrzucone ze złością w górę i młody policjant podnosi się z krzesła, biegnie za inspektorem w stronę pijanego mężczyzny, który przyjechał pół godziny wcześniej taksówką, a od pewnego czasu leżał na kanapie.

– Niech patrol zawiezie go do szpitala Karolinska, na ostry dyżur, neurologia!
Natychmiast!

Grens był wściekły, uniósł palec.

– Silne uderzenie w głowę. Różnica w wyglądzie źrenic. Krwawienie z ucha,

bełkotliwa mowa.

Zastanawiał się, czy nie jest za późno.

– Wszystko wskazuje na krwawienie w mózgu.

Zastanawiał się, czy ktoś już to wie. Że może być za późno. Że na silne uderzenie w głowę nie da się nic poradzić.

On takie rzeczy wiedział już od ponad dwudziestu pięciu lat.

– Czy przyjąłeś od niego zgłoszenie?

– Tak.

Grens szukał wzrokiem blaszki z nazwiskiem policjanta, dał do zrozumienia, że jej szuka, potem znowu spojrzał mu w oczy.

– Daj mi ją.

Grens otworzył drzwi i wszedł na korytarz kryjący ciche pokoje biurowe.

Tamtemu człowiekowi niedawno płynęła krew z ucha, a on oglądał jego źrenice, z których jedna była mała, a druga duża.

I tylko to w nich widział.

Tylko to mógł wtedy zobaczyć.

Nie wiedział więc jeszcze, że ten przypadek, zwykłe pobicie, stanie się kontynuacją czegoś, co zaczęło się daleko stąd, kilka lat wcześniej, że będzie kontynuacją brutalnej zbrodni, że zbrodni będzie więcej i że będzie to prawdopodobnie najdziwniejsze śledztwo, jakie przyjdzie mu prowadzić w swej długiej policyjnej karierze.

Z okna na górnym piętrze bił silny snop światła. Gdyby dokładnie w tym samym momencie ktoś spacerował Mern Riffe Drive i zerknął w stronę dwunastopokojowej willi, zauważyłby za okienną szybą mężczyznę; był niski, miał pięćdziesiąt kilka lat, wąsy i ciemne, zaczesane do tyłu włosy. Zauważyłby bladą cerę mężczyzny, jego zmęczone oczy i to, jak stoi zupełnie cicho i szuka czegoś wzrokiem w ciemności, jak potem zaczyna płakać, a łzy powoli spływają mu po okrągłych policzkach.

W Marcusville w Ohio nadal trwała noc. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Cicha, spokojna okolica, całe miasto pogrążone było we śnie.

Oprócz niego.

Nie mógł spać ze smutku i tęsknoty, stał więc przy oknie w pokoju, który kiedyś należał do jego córki.

Edward Finnigan miał nadzieję, że te uczucia kiedyś znikną. Że przestanie grzebać się w przeszłości, zdoła położyć się obok swej żony, rozebrać ją do naga, kochać się z nią.

Osiemnaście lat. A było coraz gorzej. Coraz bardziej pogrążał się w smutku, coraz bardziej tęsknił, coraz bardziej nienawidził.

Poczuł, że zmarł.

Owinął się mocniej szlafrokiem, zrobił krok do tyłu, przeszedł boso z ciemnej, drewnianej podłogi na gruby dywan. Odwrócił wzrok od osiedla, od ulic, na których dorastał, od ludzi, których tak dobrze znał... odwrócił się i rozejrzał po pokoju.

Jej łóżko. Jej biurko. Jej ściany, podłoga, sufit.

Nadal tu mieszkała.

Już nie żyła, ale pokój nadal do niej należał.

1. Na stole sekcyjnym leży naga osoba płci żeńskiej, waga 65 kg, wzrost 172 cm.
2. Typowa budowa ciała, typowe umięśnienie. Normalne owłosienie ciała.
3. Na twarzy brak wyraźnych śladów. Widoczna rozległa smuga krwi biegnąca od nozdrzy w prawo.

Zamknął za sobą drzwi. Alice mogła się obudzić, a on potrzebował trochę spokoju; tutaj, w pokoju Elizabeth mógł się wyplakiwać, nienawidzić i tęsknić, nie przeszkadzając nikomu. Czasami po prostu stał w oknie i spoglądał w pustkę. Czasami kładł się na podłogę, opierał o jej łóżko, na którym tak jak kiedyś nadal leżały misie i różowe poduszki. Noce spędzał przy jej biurku, siedział w nowym fotelu, w którym ona już nie zdążyła usiąść.

Usiadł.

Przed nim leżała kupka ołówków i gumek do ścierania. Pamiętnik, taki z kłódką. Trzy książki, które z roztargnieniem zaczął przeglądać; właściwie to nigdy nie przestała czytać opowiadań o koniach. Na ścianie tablica do przypinania karteczek z informacjami do zapamiętania, po lewej poźółkła kartka, plan lekcji z Valley High School, jednego z dwóch państwowych gimnazjów w Marcusville. Od początku wiedzieli, że będzie uczęszczać do zwykłej szkoły. Gdyby córka najbliższego współpracownika gubernatora nie poszła do zwykłej szkoły, byłoby to złym sygnałem, a przecież o to właśnie w polityce chodzi – o wysyłanie właściwych sygnałów. Nad planem lekcji inna poźółkła kartka papieru, kilka numerów telefonów nabazgranych kopiowym ołówkiem na brzegu. Na samej górze informacja od trenera dla drużyny piłkarskiej w Marcusville o meczu ligowym przeciwko Otway FC, a także wezwanie na badanie lekarskie w Pike County Hospital w Waverly, potwierdzenie wizyty studyjnej z WPAY Radio Station, 104,1 FM w Portsmouth.

Zatrzymał się w połowie.

To wszystko na nią czekało, a on jej to odebrał.

14. Na tylnej części ciała plamy opadowe w kolorze niebieskofioletowym, rozłożone symetrycznie, kończące się przy końcu kręgosłupa i w pobliżu siedzenia.

15. Na przedniej i na tylnej części ciała widoczne kilka otworów po pociskach, ponumerowane.

Finnigan znienawidził go. Już na zawsze odebrał mu Elizabeth, zabrał ją od następnego dnia, z jego życia, z tego domu.

Poruszyła się klamka przy drzwiach. Finnigan szybko odwrócił głowę.

Alice spoglądała na niego zrezygnowanym wzrokiem.

– Znowu tu dzisiaj siedzisz.

Westchnął.

– Alice, wracaj do łóżka. Zaraz przyjdę.

– Siedzisz tu całymi nocami.

– Ale nie tym razem.

– Zawsze.

Weszła do pokoju. Jego żona. Powinien ją objąć, przytulić. Ale już nie potrafił. Czuł, jakby wtedy, przed osiemnastu laty, wszystko umarło. Jakiś czas później uprawiali seks, dwa razy dziennie, chciała zajść w ciążę, planowali nowe dziecko. Nie udało się. Nie wiadomo dlaczego: czy to z powodu żaloby, w jakiej się wspólnie pogrążyli, czy też po prostu dlatego, że miała już swoje lata, przecież kobiece ciało staje się z czasem mniej płodne. Nie, nie dlatego, że miało to jeszcze jakieś znaczenie. Byli sami. I już się nie obejmowali.

Usiadła na łóżku. Wzruszył ramionami.

– Co powinienem twoim zdaniem zrobić? Zapomnieć?

– Tak, może właśnie zapomnieć.

Finnigan podniósł się gwałtownie znad biurka, które kiedyś było biurkiem jego córki.

– Zapomnieć? Elizabeth?

– To nienawiść.

Potrząsnął głową.

– Nigdy jej nie zapomnę. I nigdy nie przestanę nienawidzić. Do cholery, Alice, on zamordował naszą córkę!

Siedziała w milczeniu, z rezygnacją w oczach, nie umiała na niego spojrzeć.

– Nie rozumiesz. Tu nie chodzi o Elizabeth. Nie możesz jednocześnie kochać i nienawidzić. Tak to już jest. A ty wybrałeś, Edwardzie. Wybrałeś już dawno temu.

32. W lewej opłucnej znaleziono prawie dwa litry krwi, częściowo zakrzepniętej.

33. W lewym płucu znajduje się otwór wlotowy w przedniej części i otwór wylotowy w tylnej ścianie, odpowiadający kanałowi postrzałowemu 1-5.

– Nigdy nie pozwolono mi patrzeć, jak on umiera.

Chodził po pokoju tam i z powrotem, aż kipiał ze złości i dlatego musiał chodzić.

– Czekaliśmy. Przez dwanaście lat. A on umarł! Jeszcze zanim miał umrzeć. Nigdy tego nie zobaczyliśmy. To on zdecydował, kiedy nastąpi koniec. Nie my!

Alice spojrzała na łóżko swej córki. Jedyne dziecko, jakie miała. Już na zawsze będzie pogrążona w żalobie. Ale wszystko inne... nienawiść Edwarda, małżeństwo, które przestało już być małżeństwem... już prawie się poddała, niemal zapomniała, na czym polega normalne życie. Jeszcze ze dwa lata takiej goryczy i odejdzie, zostawi wszystko, bo nie wie już, jak to znieść.

– Pójdę się już położyć. Chcę, żebyś też to zrobił.

Potrząsnął głową.

– Zostanę tutaj.

Wstała z łóżka i podeszła do drzwi, a wtedy on poprosił, żeby została.

– To takie uczucie... to takie uczucie, jakby ktoś kończył znajomość z tobą. Alice, posłuchaj mnie, choć przez chwilę. Kochasz kogoś i dlatego czujesz się porzucona. Ale tak naprawdę nie to tak boli, nie to przyprawia cię o ten przeklęty ból, nie to sprawia, że całe twoje ciało drży. Posłuchaj mnie, kochanie. Chodzi o siłę. Taką, jakiej ci brakuje. To, że musisz być uzależniona od decyzji innych. Że brakuje ci siły, żeby samej zdecydować, kiedy związek dobiegł końca. Właśnie to zawsze boli bardziej od faktu, że nie ma już miłości. Rozumiesz?

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Nie odezwała się ani słowem.

51. Wątroba waży około 1750 g. W jej tylnej ścianie widać kanał postrzałowy, który biegnie dalej pod pęcherzykiem żółciowym.

– To właśnie takie uczucie. Tak to właśnie czuję od chwili, gdy umarł. Gdybym tylko mógł tam stanąć i patrzeć, jak umiera, widzieć, jak powoli traci siły i nie może oddychać, gdyby pozwolono mi tam być i z nim skończyć... wtedy mógłbym dalej żyć, wiem o tym. Ale teraz? To on zdecydował. To on wszystko zakończył. Alice, to chyba jasne, musisz to zrozumieć, moje całe pieprzone ciało płonie, płonie coraz bardziej!

57. Lewa nerka waży 131 g, prawa nerka przestrzelona od lewej do prawej strony. Duża dziura postrzałowa w górnym biegunie, średnicy piłeczki do golfa, widoczne ślady krwawienia.

Nie odezwała się ani słowem.

Spojrzała na niego, odwróciła się i wyszła z pokoju. Finnigan nadal stał na środku pokoju. Usłyszał jeszcze, jak Alice zamyka drzwi ich wspólnej sypialni.

Wsluchiwał się w ciszę, w wiejący na zewnątrz wiatr, jakiś konar uderzył lekko w szybę. Podeszedł bliżej, spojrzał w ciemność. Marcusville spało i miało spać dłużej, bo do świtu pozostały jeszcze trzy godziny.

Zbliżała się już pora lunchu, gdy Grens zamówił taksówkę i szybkim krokiem skierował się do wyjścia z komisariatu. Był już spóźniony, a nie lubił tego, przecież ona tam na niego czeka, siedzi i ufa mu; ktoś zadbał, żeby ładnie wyglądała, uczesał ją jak zwykle i pomógł włożyć niebieską sukienkę. Kierowcą taksówki był niski, chudy mężczyzna, który często wybuchał śmiechem i przez cały czas mówił o Iranie, swoim ojczystym kraju, o tym, jak jest tam pięknie, o życiu, jakie tam prowadził, i o tym, że już nigdy więcej nie zobaczy ojczyzny; Grens poprosił go, aby po Kungsholmen jechał szybciej, pokazał mu swoją legitymację służbową i wyjaśnił, że chodzi o sprawę służbową.

W czternaście minut przez miasto, z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę przez most Lidingöbron.

Grens poprosił, aby kierowca wysadził go w pewnej odległości od budynku. Chciał się przejść, zebrać myśli. Przecież ona już tam na niego czeka.

Pobili go prawie do nieprzytomności. Najpierw musi załatwić sprawę faceta, który bełkotał coś po fińsku. *Z ucha płynęła mu krew.* Minęło już całe przedpołudnie, a Grens wciąż miał przed oczami człowieka, który leżał na policyjnej kanapie. *Oczy różnego koloru, jedna źrenica mała, druga duża.*

Ciężkie pobicie. Ale to nie wystarczy. To coś jeszcze.

Próba zabójstwa.

Wyciągnął komórkę i zadzwonił do Svena Sundkvista, jedyne spośród swoich podwładnych na terenie całej komendy, z którym mógł jakoś wytrzymać, w miejscu, gdzie przepracował całe swe dorosłe życie. Poprosił go, aby odłożył inną robotę, bo chce, żeby ustalił tożsamość osoby, która skopała głowę innej osoby, niech potem ściągnie podejrzanego na przesłuchanie, za coś takiego trafi za kraty na długi czas.

Jeszcze tylko sto metrów i będzie na miejscu, w domu opieki.

Przychodzi tam od dwudziestu pięciu lat, przynajmniej raz na tydzień, do jedynej osoby, która tak naprawdę go obchodziła, jedynej, której na nim zależało.

Już wkrótce znowu się zobaczą. Chciał, aby odbyło się to w godny sposób.

* * *

Mieli przed sobą całe życie, aż do chwili, gdy ją przejechał.

Już dawno temu uświadomił sobie, że wspomnienia z tamtego dnia nigdy nie przestaną go nachodzić. Każda myśl, każda chwila, w dowolnym momencie mógł przeżywać tamte sekundy na nowo.

Ta cholerna opona.

Nie zdążył.

Nie zdążył!

* * *

Wiało od wody, prosto w twarz, nad Bałtykiem utrzymywała się ujemna temperatura. Wbił wzrok w ziemię, piaszczysty chodnik pokrywał częściowo lód, jego zdrowa noga musiała utrzymywać zbyt duży ciężar, co utrudniało mu zachowanie równowagi; dwa razy o mało się nie poślizgnął, przeklinał na głos te bezsensowne pory roku i zaniedbane aleje spacerowe.

W chwili kiedy w nią uderzył, poczuł, jak zarzuciło samochodem.

Grens przeszedł przez duży parking znajdujący się od frontu, znalazł wzrokiem okno należące do jej pokoju, zwykle tam siedziała i spoglądała w pustkę.

Nie zobaczył jej. Spóźnił się. A przecież mu ufała.

Pospieszył schodami w górę, dziewięć stopni starannie wysypanych piaskiem. Jakaś kobieta w jego wieku siedziała w zbyt dużej recepcji, to jedna z tych, które pracowały w tym domu już wtedy, gdy przyjechał tam jednym z policyjnych samochodów transportowych; tak to właśnie załatwił, żeby czuła się pewnie.

– Siedzi w pokoju.

– Nie widziałem jej w oknie.

– Jest tam. Czeka. Zostawiliśmy jej lunch.

– Spóźniłem się.

– Ale ona wie, że pan przyjdzie.

Spojrzał w lustro wiszące przed toaletą między recepcją a korytarzem dla pacjentów. Włosy, twarz, oczy, jest już stary, wygląda na zmęczonego, spociał się po tym spacerze po lodzie. Odczekał jeszcze chwilę, wyrównał oddech.

Siedział tam wtedy i podtrzymywał jej krwawiącą głowę.

Grens przeszedł korytarzem, minął pozamykane drzwi, zatrzymał się przed numerem czternastym, czerwone cyfry nad jej nazwiskiem, tabliczka przykręcona nad klamką.

Siedziała na środku pokoju. Spojrzała w jego kierunku.

– Anni.

Uśmiechnęła się w stronę, skąd dobiegł głos. Może dźwięk otwieranych drzwi. Ewentualnie do światła, którego natężenie wzrosło po otwarciu drzwi.

– Spóźniłem się. Przepraszam.

Roześmiała się. Ten jej śmiech brzmiał jak bulgot. Podeszedł do niej, pocałował ją w czoło, wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni i starł ślinę, która ściekała jej po brodzie.

Czerwona sukienka w jasne prążki.

Był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział.

– Ładnie wyglądasz. To chyba nowa sukienka. Wyglądasz w niej tak młodo.

Nie postarzała się, w przeciwieństwie do niego. Jej policzki nadal były gładkie, a włosy równie gęste jak kiedyś. On tracił energię z każdym upływającym dniem, podczas gdy ona chyba ją magazynowała; to te dni spędzane w wózku inwalidzkim przed oknem, prawie wszystko miała pod ręką.

Jasna krew nie przestawała płynąć z uszu, nosa, ust.

Pogłaskał ją po policzku, poluzował hamulec, który blokował jedno z tylnych kół, i przewiózł ją korytarzem do pustej jadalni. Przysunął krzesło stojące przy stole pod duże okno z widokiem na wodę, posadził ją tam, przyniósł sztućce, szklankę i śliniak z twardego plastiku. Jedzenie czekało w lodówce, było to coś, co przypominało mięsną potrawkę z ryżem.

Siedzieli naprzeciw siebie.

Grens czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

I tak nie miało to znaczenia.

Karmił ją w takim samym tempie, w jakim sam jadł. Karmiono ją dobrze, miała duży apetyt, zresztą zawsze lubiła dobrze zjeść. Był pewien, że dobrą kondycję zachowała przez wszystkie te lata właśnie dlatego, że spędziła je w wózku inwalidzkim, z dala od rozmów prowadzonych przez innych; tak długo, jak mogła jeść i miała siły, pozostawała w tym domu, chciała żyć i jeszcze raz żyć.

Był zdenerwowany. Musiał jej o tym opowiedzieć.

– Zatrudniłem kobietę.

Nie miał odwagi, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Młodą kobietę, taką jak ty, wtedy. Jest mądra. Myślę, że będzie dobra.
Zastanawiał się, czy go zrozumiała. Chciał wiedzieć. Żałował, że nie może sprawdzić, czy go słucha, czy rzeczywiście go słucha.
– Między nami nic to nie zmieni. Mogłaby być naszą córką.
Poprosiła o dokładkę. Dwie łyżki brązowej potrawy, jedną łyżkę białej.
– Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

* * *

Kiedy wychodził przed budynek, padał śnieg z deszczem. Zawiązał szalik, zapiął wszystkie guziki w płaszczu. Zdążył zejść po schodach i właśnie przechodził przez parking, kiedy zadzwoniła komórka.

Sven Sundkvist.

– Ewert?
– Tak.
– Ustaliliśmy miejsce jego pobytu.
– Niech się stawi na przesłuchanie.
– To cudzoziemiec.
– Kopnął człowieka w głowę.
– Kanadyjski paszport.
– Chcę, żebyś go przywiózł.

Deszcz zaczął coraz mocniej, krople wymieszane ze śniegiem wydawały się coraz większe i coraz cięższe.

Grens wiedział, że w niczym mu to nie pomoże, ale patrzył w niebo, przeklinał tę niekończącą się zimę i prosił, aby wreszcie sobie poszła w diabły.

Wkrótce w Marcusville, gdzie dominującą budowlą było wielkie więzienie z wysokimi betonowymi murami, zacznie się przejaśniać. Na dworze jest zimno, śnieg pada jak każdej zimy, a mieszkańcy Marcusville zaczną swój dzień od odśnieżania podjazdów przed domem.

Vernon Eriksen robił swój ostatni obchód korytarzem, w którym znajdowały się cele z zamkniętymi w nich ludźmi.

Było wpół do szóstej, jeszcze tylko godzina i zejdzie z nocnej zmiany, włoży cywilne ubranie, a potem przejdzie się do Sofios na głównej ulicy, tej meksykańskiej restauracji, gdzie zje porządne śniadanie, podwójne naleśniki z jagodami i wypieczonym bekonem.

Szedł do bloku wschodniego, jego kroki odbijały się echem od betonowych ścian, które nadal wydawały mu się nowe, choć stały tu już od trzydziestu lat. Świetnie pamiętał ten budynek wyrosły na obrzeżach miasta, gdzie miały powstać cele dla skazańców. Jednak w miarę jak mury rosły, mieszkańcy Marcusville podzielili się na dwie grupy: do jednej należeli ci, co widzieli w tym szansę na nowe miejsca pracy i liczyli, że ich zapomniana przez wszystkich miejscowość dostanie drugą szansę; w drugiej znaleźli się ci, którzy obawiali się, że doprowadzi to do spadku cen na domy i wywoła stały niepokój z powodu bliskiej obecności przestępców. Eriksen nie za wiele o tym myślał. Miał wtedy dziewiętnaście lat i szukał pracy w nowo otwartym więzieniu, a pozostał w nim aż do teraz. Nigdy też nie wyjechał z Marcusville, choć czuł się trochę zbyt młody; był młody, lubił swoją robotę, z czasem stała się dla niego codziennością, podczas gdy lata płynęły i teraz, gdy skończył pięćdziesiątkę, było już za późno, żeby się stąd wyrwać. Któregoś dnia pojechał na tańce do Columbus, innym razem zjadł kolację z pewną kobietą kilka kilometrów na południe od Wheelersburga i na tym koniec, nic więcej, na nic bardziej intymnego sobie nie pozwalał, wolał w takiej chwili zrezygnować.

Jego życie jakby ciągle koncentrowało się wokół śmierci.

Czasem zastanawiał się, czy tam była, już od początku.

Nie żeby się jej bał, skądże, chodzi tylko o to, że zawsze była obok niego, że z nią żył,

pracował z nią. Kiedy był mały, schodził często z piętra, na którym mieszkali, i przez szpary w drewnianych schodach obserwował, jak jego ojciec przyjmuje klientów w firmie pogrzebowej. Potem, już jako nastolatek, wszedł w interes prowadzony przez rodzinę, był kolejną osobą, która pomagała myć, czesać i ubierać zwłoki. Umiał „przywracać” im życie, choć tylko na chwilę, a jako syn przedsiębiorcy pogrzebowego wiedział, że za pomocą kredki, szminki i nabytej wiedzy można stworzyć wrażenie, iż zmarły nadal żyje; rodziny, które patrzyły na bliską osobę, płakały i żegnały się z nią, tego właśnie chciały.

Rozejrzał się wokół siebie.

Te ściany mają już trzydzieści lat. Więzienie zaczęło się trochę sypać.

Miało w nim odsiadywać wyroki ponad tysiąc więźniów, czasami ich zwalniano. Prawie taka sama liczba zatrudnionych, około siedmiuset – ośmiuset osób. Pięćdziesiąt pięć milionów dolarów budżetu, trzydzieści siedem tysięcy dolarów na utrzymanie każdego osadzonego rocznie, czyli sto trzy dolary i osiemdziesiąt dwa centy dziennie.

To jego świat, znał go, czuł się w nim bezpiecznie.

Życie i śmierć też tam były, choć w inny sposób.

Przeszedł obok głównej dyżurki i skinął głową jednemu z nowo zatrudnionych, który siedział w środku i czytał jakieś czasopismo, ale gdy Vernon wszedł do środka, odrzucił je szybko na bok; teraz siedział wyprostowany w krześle i uważnie obserwował obraz przekazywany przez kamery.

Eriksen otworzył drzwi prowadzące na korytarz do bloku wschodniego.

Bloku śmierci.

Dwadzieścia dwa lata jako szef strażników pośród tych, których oskarżono o morderstwo karane śmiercią, którzy liczyli upływający czas i nigdy już mieli nie wyjść na wolność.

W całym Ohio na śmierć czekało dwustu dziewięciu więźniów.

Dwustu ośmiu mężczyzn i jedna kobieta.

Stu pięciu czarnych, dziewięćdziesięciu siedmiu białych, trzech Latynosów i czterech, których wpisano w ogólnej kolumnie pod hasłem „Inni”.

Wcześniej czy później większość z nich trafi tutaj.

Niektórzy już odsiadywali wyrok w jednej z cel znajdujących się w korytarzu, w którym w tej chwili stał Eriksen. Innych przywożono dopiero wtedy, gdy została im już tylko ostatnia doba życia. To tutaj, w Marcusville, przeprowadzano egzekucje skazanych na śmierć.

Są u mnie, pomyślał Eriksen.

Znam ich, każdego z osobna. To moje życie, moja rodzina, której nie zdążyłem

założyć, coś jakby małżeństwo.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Przeciągnął się mocno. Nadal był szczupły, w niezłej formie, miał jasne i krótkie włosy, chudą twarz i pomarszczone policzki. Czuł ogarniające go zmęczenie. To była długa noc. Musiał uspokajać Kolumbijczyka, który hałasował bardziej niż zwykle, i tego nowego z celi dwadzieścia dwa, który oczywiście nie mógł zasnąć, tylko płakał jak dziecko; z początku wszyscy zachowywali się podobnie. Zrobiło się zimno. Obecna zima należała do najsurowszych w historii południowego Ohio, a kaloryfery szwankowały. Planowano wymienić cały system grzewczy, ale administracja była dość oporna, bo urzędnicy nie pracowali na terenie więzienia, więc nie marzli.

Szedł powoli środkiem korytarza. Panował pewien spokój, z kilku cel słychać było głośny oddech śpiących więźniów, dość senna atmosfera tuż przed świtem.

Kierował się tam, dokąd zazwyczaj szedł, gdy noc przynosiła zmęczenie, gdy potrzebował nowych sił, aby móc stawić się na służbie następnego wieczoru.

Mijał kolejne cele. Szybkie spojrzenia na lewo i prawo, po obu stronach spokój.

Podszedł bliżej, odsuwając się od linii, która biegła środkiem podłogi, teraz szedł wzdłuż długiego szeregu metalowych prętów po prawej stronie, zajrzał do celi numer dwanaście i popatrzył na Brooksa, który leżał na plecach, do dwudziestki, gdzie spał Lewis z jednym ramieniem pod poduszką i głową przyciśniętą mocno do ściany.

I znowu stanął.

Cela numer osiem.

Zajrzał do środka, jak wiele razy przedtem.

Pusta.

W kolejnej celi nie było nikogo, bo więzień zmarł, a naczelnik zdecydował, że cela pozostanie pusta. Przesąd, nic więcej. Jednak więźniowie nie powinni umierać przedwcześnie, powinni dotrwać w zdrowiu do egzekucji.

Eriksen przez chwilę szukał czegoś wzrokiem w pustej celi. Lampa pod sufitem, która zawsze była zapalona, prycza bez pościeli. Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Zatrzymał wzrok na jednej z tych gównianych ścian, których nikt nie nienawidził, słyszał dźwięk wody spuszczonej w toalecie, z której nikt już nie korzystał.

Poczuł, że nogi już go nie bolą, a ból głowy jakby zelżał.

Uśmiechnął się.

Został w domu sam, a miał przecież posprzątać, ugotować kolację i odebrać Oscara z przedszkola znajdującego się dwa domy dalej.

Próbował zasnąć. Przez całe przedpołudnie leżał z poduszką pod głową na zaścielonym łóżku i przekręcał się z boku na bok. Światło przebijało z sypialni przez żaluzje i rozbłyskiwało na świeżo pomalowanych ścianach, a ból głowy tak bardzo dawał mu się we znaki, że zrobiło mu się niedobrze.

Wstał z łóżka i opuścił stopy na miękki dywan leżący po stronie, gdzie spała Helena. Pocił się. Kopnął go w środek twarzy. Czuł, jak drżą mu ręce, położył je na udach i podparł się mocno ramionami, ale dłonie nadal drżały, mimo że wzmocnił nacisk.

Zaraz przyjdzie Helena. Westchnęła lekko, kiedy do niej zadzwonił, prosząc, aby odebrała Oscara, bo jest zmęczony, noc była długa i musi się trochę przespać w spokoju.

Cokolwiek zrobisz, John, unikaj kontaktów z policją, zawsze.

Słyszał szept ojca, który długo go obejmował; potem odwrócił się i znikł na zawsze.

Usłyszał windę na klatce schodowej, ktoś jechał na górę. Winda się zatrzymała, wyszły z niej dwie osoby, a potem dobiegł go donośny głos zza drzwi i usłyszał, jak małe palce z uporem i długo naciskają przycisk dzwonka do drzwi, podczas gdy druga z osób szuka kluczy w bałaganie panującym w jej torebce.

– Tatusiu!

Oscar biegł korytarzem, potknął się o próg w drzwiach, wpadł do pokoju i wylądował na podłodze. Zapadła typowa cisza, aż w końcu chłopiec zdecydował, że jednak nie będzie płakał; podniósł się z podłogi, do łóżka zostało mu już tylko kilka kroków, szedł z rozpostartymi przed siebie ramionami.

– Tatusiu! Już jesteś w domu!

John spojrział na syna, a cała jego twarz rozpromieniła się z radości. Pochylił się, podniósł go i przyciskał do siebie tak mocno, aż chude ciało zaczęło się ruszać i Oscarowi znudziło się już być cicho. John przyglądał się swemu pięcioletniemu synowi, który biegał po

mieszkaniu, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Usłyszał też kroki Heleny, która pojawiła się w otwartych drzwiach.

– Cześć.

Była taka ładna, rude włosy i oczy, które sprawiały, że czuł się kochany.

– Cześć. Chodź do mnie.

Wyciągnął rękę, przyciągnął ją do siebie i objął, tuląc swój policzek do jej zimnego ubrania.

* * *

Próbował zająć się codziennymi pracami. Zauważył, że Helena przygląda mu się, kiedy sądziła, że on tego nie widzi, już czuła, że jest inny, nic nie mówiła, ale on rozumiał. Jeśli tylko zajmie się codziennymi pracami, nie będzie miała powodu, żeby go o cokolwiek pytać.

– Co się dzieje?

– Nic.

– Przecież widzę, że coś się stało.

Oscar był u Hildy, która mieszkała na czwartym piętrze. Dziewczynka miała sześć lat i tyle samo energii co jej gość. Mogli więc jeszcze trochę porozmawiać.

– Nic takiego. Może to ze zmęczenia.

Zmywał naczynia. Zmywanie naczyń było zwykłą czynnością.

Stała obok niego. Kilka pustych szklanek po mleku, podsunęła je pod bieżącą wodę, tuż przed nim.

– Nie było cię przez trzy dni. Mamy środek dnia. Oscara nie ma w domu. Zazwyczaj zaczynasz się do mnie w takiej sytuacji dobierać. Spieszysz się, żeby znaleźć się przy mnie.

To nic. Jeśli tylko zajmie się codziennymi czynnościami, nie będzie go o nic pytała.

Helena stała obok niego, jakby na coś czekała; nagle zrobiła krok do tyłu, ściągnęła przez głowę swój gruby sweter i rozpięła dżinsy, bielizna na podłogę, biustonosz, majtki. Stała tam przed nim taka piękna, trochę zmarznięta, z jasną kępką włosów na łonie, które tak bardzo lubił pieścić palcami.

– Chcę, żebyś mnie teraz wziął.

Nie potrafił ruszyć się z miejsca.

– Popatrz na mnie, John.

Ten cholerny ucisk w klatce piersiowej.

Podeszła bliżej i stanęła przy nim naga. Chciał ją objąć, potrzebował tego.

– Nie mogę. Muszę ci najpierw coś opowiedzieć.

* * *

Przyniósł swój szlafrok i owinął nim ją. Siedli przy stole w kuchni, zapytał, czy może zapalić papierosa, a ona ku jego zdumieniu nie odezwała się ani słowem, tylko wzruszyła ramionami. Sięgnął po paczkę leżącą na najwyższej półce kredensu, między głębokimi talerzami a szklankami.

– Była kiedyś pewna kobieta, miała na imię Elizabeth. Miałem wtedy siedemnaście lat i tylko ją kochałem. Aż do dnia, kiedy spotkałem ciebie.

Zapalił papierosa.

– Wczoraj znowu ją zobaczyłem. Właściwie nie ją. Przypominała siebie. I ciebie.

Zaciągnął się, dopiero po dłuższej chwili wypuścił dym. Chyba pierwszy raz palił w tym mieszkaniu.

– Kiedy graliśmy, ona tańczyła. Spocona, tak jak ty się pocisz podczas tańca. Świetnie się bawiła, śmiała. Aż do momentu, kiedy zaczął się do niej dobierać ten pieprzony, pijany Fin. Molestował ją. Stał koło niej i nie chciał jej puścić.

Był zdenerwowany. I zachowywał się dokładnie tak, jak wtedy, gdy był wzburzony, zły, smutny. Zaczynał mówić z coraz silniejszym akcentem amerykańskim, słysząc to było coraz wyraźniej.

– Doszło do bójki. Kopnąłem go w twarz.

Helena siedziała w milczeniu.

– Przykro mi, Heleno.

Nadal się nie poruszała, tylko patrzyła na niego długo i dopiero wtedy postanowiła się odezwać.

– Elizabeth. Ja. Jakaś spocona kobieta. I ktoś, kogo kopnąłeś w twarz. Nie rozumiem.

Przecież chciał jej to opowiedzieć. Wszystko. Ale nie dało się. Przeszłość była tak zablokowana, że nie potrafił się do niej wdrzeć. Znowu zaczął mówić o kopniaku, o mężczyźnie, który stracił przytomność i upadł przed nim. A Helena zareagowała tak, jak się spodziewał. Zaczęła krzyżeć. Że to niesprawiedliwe. Że ryzykuje pójście do więzienia, że to pobicie, na pewno ciężkie. Potem wybuchła płaczem, pytając, kim on jest. Kim jest jej mężczyzna, który pobił innego człowieka, chyba go jednak nie zna, nie wie, kim tak naprawdę jest.

– Heleno, posłuchaj mnie.

Objął ją i wsunął dłonie pod szlafrok, jej skóra była ciepła i dawała poczucie bezpieczeństwa, a on bardziej niż kiedykolwiek bał się samotności, która czaiła się obok niego.

– Wyjaśnię ci.

Ujął ją za dłonie i przycisnął je do swego policzka.

– Jest jeszcze coś, o czym nie powiedziałem. Zrobię to teraz.

Próbował oddychać normalnie. Czuł ogarniający go niepokój. Nabrał powietrza i chciał właśnie opowiedzieć jej prawdę, jedyną, jaką znał, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Spojrzał na nią, zawahał się, ale znowu rozległ się dzwonek.

Podniósł się i podszedł do drzwi.

Sven Sundkvist mocno naciskał przycisk dzwonka, który wyglądał na nowy; był przymocowany do białej, plastikowej listwy stanowiącej wykończenie drzwi. Charakterystyczny dźwięk dzwonka przypominał mu wczesne poranki w autobusie, którym jeździ z Gustavsbergu do Sztokholmu, i telefony komórkowe w rękach nastolatków, te irytujące zabawki, którymi posługiwali się w drodze do szkoły.

Spojrzał na drzwi. Nie bardzo mu się podobało, że musiał tu jechać.

Sędzia wydał nakaz zatrzymania wokalisty kapeli, który kopnął jednego z bawiących się gości w głowę. Teraz on miał go przywieźć na przesłuchanie, przedstawić mu zarzut o próbę zabójstwa i pouczyć o jego prawach, w tym o prawie do adwokata. Ewert dzwonił do niego kilka razy i z uporem domagał się, aby Sven i Hermansson pojechali po podejrzanego. Sven, którego przecież uważano za jednego z najzdolniejszych śledczych, zaprotestował, ponieważ nie miał ochoty łamać podstawowej zasady technik przesłuchiwanie: nigdy nie należy go prowadzić we wrogim dla niego otoczeniu.

Przecież to takie proste.

Stworzyć nić zaufania między przesłuchującym a przesłuchiwanym.

Zachować to zaufanie.

Wykorzystać je.

Sven zaproponował patrol. Taki, na jaki zwykle chodzili. Ewert przerwał mu szybko, kazał przestać gadać i sprowadzić tu tego gnojka, nie chce żadnych pomyłek i nie lubi, jak na promach kursujących do Finlandii ktoś kopie kogoś w głowę.

Sundkvist westchnął głęboko. Stoi tutaj przed drzwiami mieszkania na czternastym piętrze i za chwilę po raz pierwszy spotka się z tym głupcem.

Potrząsnął głową i spojrzał na towarzyszącą mu koleżankę z posterunku. Młoda kobieta z ciemnymi, krótko obciętych włosami mówiąca z południowym, skańskim akcentem. Była spokojna, przygotowana i uważnie przyglądała się zamkniętym drzwiom.

– Co myślisz?

Sundkvist wskazał skrzynkę na listy i tabliczkę z nazwiskiem. Zgadzało się.

– Idzie.

Sven lubił ją. Po raz pierwszy spotkali się poprzedniego lata. Przyjechała z Malmö na zastępstwo i akurat trafiła na jedno z najdziwniejszych dochodzeń, jakie kiedykolwiek prowadził. Dotyczyło prostytutki, która wzięła zakładnika i zamknęła się w kostnicy jednego z największych szwedzkich szpitali. Zrobiła się z tego niezła awantura, kiedy razem z Grensem prowadzili dochodzenie z sali operacyjnej, gdzie trwał ostry dyżur. W sumie ich nowa koleżanka zaimponowała im, miała wiedzę, była kompetentna i pewna siebie.

A teraz była już inspektorem policji kryminalnej. Zaledwie po trzech latach.

Sven wsłuchiwał się w ciszę. Nie mają za dużo czasu. Na biurku czekały na niego trzy różne dochodzenia w sprawie o zabójstwo, a teraz jeszcze ta sprawa, którą można było najwyżej zakwalifikować jako próbę zabójstwa. Odczuwał coraz większe obciążenie pracą, tak, to o jedno dochodzenie za dużo.

Zaczął tracić cierpliwość, ponownie wcisnął dzwonek, rozległ się długi sygnał.

– Już idzie.

Skinęła głową w stronę drzwi. Ktoś zbliżał się do nich od strony mieszkania, wolnym krokiem, był coraz bliżej.

Mężczyzna nie zrobił na nim wielkiego wrażenia. Pobicie i kopniaki zadane szpiczastymi butami. Jednak gdy ich oczy się spotkały, Sven nie myślał akurat o tym. Mężczyzna miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, był chudy i blady, miał rzadkie włosy. Sven był pewien, że przed chwilą płakał.

– Sven Sundkvist i Mariana Hermansson z policji. Szukamy Johna Schwarza.

Mężczyzna spojrział na dwie okazane mu legitymacje, po czym odwrócił się i niespokojnym wzrokiem zaczął szukać czegoś w mieszkaniu. Ktoś tam jeszcze był.

– Czy nazywa się pan John Schwarz?

Mężczyzna skinął głową. Nadal był odwrócony, jakby chciał pobiec, tylko nie mógł.

– Chcemy, żeby pan z nami poszedł. Na dole czeka samochód. Sądzę, że wie pan, o co chodzi.

Cokolwiek będziesz robił, John, unikaj kontaktów z policją, zawsze i wszędzie.

– Pięć minut. Tylko tyle.

Kanadyjski paszport. To może się zgadzać. Wyczuwalny akcent, taki, jaki mają osoby angielskojęzyczne. Sven skinął głową na zgodę, oczywiście, pięć minut. Weszli za nim do przedpokoju i zatrzymali się, podczas gdy John ruszył do sąsiedniego pokoju, w stronę, w którą niedawno zerkał. Sven popatrzył na Hermansson. Nadal zachowuje spokój.

Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. Z pokoju dobiegały ich jakieś głosy. Głos Schwarza, potem głos kobiety, rozmawiali po cichu, ale słysząc było, że jest wzburzona, tyle przynajmniej się domyślili; kobieta płakała, później zaczęła mówić podniesionym głosem, więc Sven zaczął się szykować do wejścia, gdy nagle właściciel chudej twarzy i rzadkich włosów wrócił do przedpokoju. Skórzana kurtka z wieszaka pod półką na kapelusze, długi szal z kosza stojącego na podłodze, a potem już wyszedł do nich i zamknął za sobą drzwi.

* * *

W samochodzie wiozącym ich z Nacka do Kungsholmen John siedział w zupełnym milczeniu. Sven stale go obserwował, początkowo się bał, że Schwarz go nagle zaatakuje; później John wydawał mu się zupełnie nieosiągalny, jakby nieobecny; tacy jak on właśnie tak zazwyczaj wyglądali, dopiero później przychodziło załamanie, a wtedy pograżali się w innym świecie.

Hermansson siadła za kierownicą i starała się jechać jak najlepiej, tak jak Sven, przez miasto poprzecinane gęstą siatką ulic. Sundkvist zastanawiał się nad rozmową, którą prowadzili w samochodzie w drodze do Nacka, zanim jeszcze zatrzymali się przed wieżowcem i pojechali windą na górę. Spytała go wtedy o coś, uczyniła to kilka razy z rzędu i nie odpuściła, aż jej odpowiedział. Chciała się dowiedzieć, w jakich okolicznościach przyjęli ją do pracy. Przecież pominięto przy tym wielu innych policjantów z dłuższym stażem pracy. Czy inspektor Grens miał z tym coś do czynienia? Sven powiedział jej prawdę. Tak, to Ewert podjął decyzję. A jak on coś postanowi, to tak się stanie. Jego nieformalna władza w komendzie policji była większa, niż ktokolwiek odważyłby się przyznać. Przy podejmowaniu decyzji rzadko brano pod uwagę hierarchię i drogi formalne, bo w rzeczywistości tak naprawdę rządził tu Ewert.

John nadal milczał. Gapił się przed siebie, nic nie słyszał, był nieobecny. Nawet wtedy, gdy samochód się zatrzymał, a oni z niego wysiadali, gdy później otworzyły się drzwi windy w areszcie w Kronobergu i weszli do środka. Czekano tam już na nich dwóch strażników, którzy pomogli Schwarzowi się rozebrać, obszukali go dokładnie, a także jego ubranie, a potem dali mu nowe, za duże, z emblematem aresztu na koszuli i spodniach. Dopiero gdy jeden ze strażników otworzył drzwi celi, John zatrzymał się nagle, rozejrzał wokół i zaczął drżeć. Widok małego pomieszczenia z niewielką toaletą i pryczą sprawił, że zaczął stawiać opór; rzucał się na wszystkie strony, a krzyząc ze strachu, przeszedł na

angielski.

– *No! Not in there!*

Zaczął na ślepo zadawać ciosy, aż obaj strażnicy złapali go za ramiona i przycisnęli do ściany; John nadal krzyczał, a wtedy z pomocą pospieszyli Sundkvist i Hermansson.

– *I can 't breathe! Not in there! I need to breathe!*

* * *

John patrzył na policjantów i na strażników. Być może chodziło o sposób, w jaki go obezwładnili albo o zapach bijący od gołych ścian celi... Poczul, że krzyczy i że nie może na to nic poradzić, że nie może utrzymać się na nogach i że jasność zamienia się nagle w ciemność.

* * *

Sundkvist zerknął szybko na Hermansson. Ta skinęła głową. Krótkie spojrzenie na obu strażników i ci też się zgodzili. Człowiek, którego trzymali za ramiona, a który według danych nazywał się John Schwarz, tracił przytomność. Szybko zwolnili uścisk.

– Spokojnie. To twoja cela. Ale możesz wejść do niej sam. A drzwi zostawimy otwarte.

Starszy ze strażników, który miał ponad sześćdziesiąt lat i siwe włosy, podobne sceny widział już wiele razy. Tacy jak on kopią ludzi w twarz, ale nie potrafią opanować strachu na widok celi. Dawniej zamykał drzwi na klucz, bo te łajdaki na to zasługiwały, ale teraz nie miał ochoty stać i gapić się, jak ktoś nagle odpływa w niebyt. A temu już niewiele brakowało. Popatrzył na drugiego strażnika, poprosił, aby wszedł z nim do celi i usiadł obok zatrzymanego, ale nie zamykał drzwi. Jeśli podejrzany chce się położyć na podłodze i dostać ataku spazmów, niech lepiej nie robi tego na tej zmianie.

* * *

John poczul, że ucisk wokół jego ramion zelzał – ktoś daje mi powietrze – a ci, co stali wokół niego, zrobili dwa kroki do tyłu; widział, jak wskazywali – ktoś mówi, żebym oddychał – w stronę drzwi, które stały otworem, i w stronę celi, która wydzielala jakiś zapach, próbował poruszyć się, jego stopy opadły ciężko na twardą posadzkę, wszedł do środka.

Sundkvist sięgnął po jego paszport w granatowej okładce, która błyszczała w silnym

światle lampy rtęciowej oświetlającej korytarz aresztu. Schwarz, William John, narodowość kanadyjska. Pobieźnie przeglądał dokument; zdjęcie mężczyzny, który siedział skulony w celi w odległości zaledwie kilku metrów od niego, data urodzenia chyba się zgadza, trzydzieści pięć lat, urodzony w jakiejś dziurze, o której Sven nigdy nie słyszał.

Oddał paszport Hermansson i poprosił, aby zaniósł go do wydziału technicznego do sprawdzenia.

– Zrobię to, ale za chwilę, jak tu skończymy.

Uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: „Jestem tu nowa, ale nie wysługuj się mną, chętnie to zrobię, choć biorę udział w tym dochodzeniu na takich samych prawach jak ty”. Sven odwzajemnił uśmiech, jakby chciał powiedzieć: „Oczywiście, ja też bym tak zrobił”.

Lekarz zatrudniony w areszcie był młody, miał niecałe trzydzieści lat, Sven widział, jak zbliża się powoli długim korytarzem, i pomyślał, że zawsze zatrudniają tu takich młodych, zaraz po studiach; zaczynają w areszcie, stanowisko o niezbyt dobrej reputacji, ale przecież trzeba gdzieś zdobyć doświadczenie, tylko tyle. Schwarz gapił się w podłogę i mruczał coś, podczas gdy lekarz trzymał go za ramię i pobierał krew do analizy DNA. Strach, jaki wywoływała ciasna cela, został chyba opanowany. Schwarz przestał drzeć, nie oddychał już tak gwałtownie jak przedtem, ale nagle wyprostował się i krzyknął, drżąc:

– *Not again!*

Młody lekarz pobrał krew i chciał wstrzyknąć mu środek uspokajający. Spojrzał na strażnika siedzącego w celi, a potem na Svena i na Hermansson, potrząsnął głową, rozłożył ramiona i z powrotem schował do torby strzykawkę z ciecżą w kolorze mleka.

Ktoś dał mi lekarstwo. Ktoś włożył mnie do worka. Ktoś podał mi tlen, regularne wdechy z przerwami co dwie minuty.

* * *

John siedział pochylony na pryczy w otwartej celi. Już nie krzyczał, nie ruszał się. Sundkvist i Hermansson pozostali z nim tak długo, aż usiadł, a nad paniką udało się zapanować przynajmniej na chwilę. Odczekali jeszcze kilka minut i zdążyli porozmawiać z Grensem, a szef polecił im, aby byli obecni podczas przeszukania mieszkania Schwarza, które zacznie się za jakąś godzinę; jest to rutynowe działanie, chodzi o zabezpieczenie dowodów – takich jak ubrania czy buty – do dalszych badań technicznych; on sam wraca właśnie z miejsca przestępstwa, bo czasami sędziemu nie wystarczą nawet zeznania kilku świadków, aby wystawić nakaz aresztowania.

Ostatnie spojrzenie na człowieka, który siedzi spokojnie w celi; potem wyszli, zjechali windą i skierowali się do swoich pokojów.

– Czy to typowe?

– Masz na myśli Schwarza?

– Tak.

Sven starał się znaleźć coś w pamięci obejmującej prawie dwadzieścia lat pracy w policji.

– Nie. Niektórzy robią się całkiem mali, kiedy mają trafić do celi. Ale coś takiego? Nie. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem równie silnej reakcji.

Szli dalej korytarzem, wciskając kody w drzwiach oddzielających jeden korytarz od drugiego; szli w milczeniu, starając się zrozumieć, w jaki sposób przeszłość mogła wywołać aż taki strach, jakie wydarzenia z ludzkiego życia były na tyle silne, aby wywołać strach przed ciasnym pomieszczeniem.

– Mój syn.

Mówiąc to, Sven odwrócił się w stronę Hermansson.

– Ma na imię Jonas. Ma siedem lat, niedługo skończy osiem. Adoptowaliśmy go. Przez dwa pierwsze lata ja i Anita nic nie rozumieliśmy, Jonas zachowywał się tak jak dzisiaj Schwarz.

Byli prawie na miejscu, zwolnili kroku, oboje chcieli dokończyć tę rozmowę.

– Tak właśnie krzyczał, cały spanikowany. Jeśli trzymaliśmy go za mocno albo obejmowaliśmy zbyt długo, albo jeśli było ciasno, a jemu trudno było się poruszać. Rozmawialiśmy o tym wtedy z każdym, z kim można było porozmawiać. I nadal nic nie wiemy. Wiemy tylko, że tam, w sierocińcu w Phnom Penh, owijali go. Całe jego ciało mocno owijali.

Minęli kserokopiarkę, zatrzymali się przed pokojem Svena.

– No, nie wiem. Pierwszy raz widziałem coś takiego.

Spojrzał na nią.

– Jestem pewien, że kiedyś już siedział.

WTOREK

Mariana Hermansson spała niespokojnie. Dźwięk przypominający ten, który dzień wcześniej wydawał z siebie na korytarzu aresztu John Schwarz, obudził ją przynajmniej dwa razy. Nie wiedziała, czy to ona była jego źródłem, czy też może ktoś, kto przechodził obok okna jej sypialni; a może w ogóle go nie było, może to był tylko sen, majaki jej zmęczonego mózgu?

Miała dwadzieścia pięć lat i od sześciu tygodni podnajmowała mieszkanie w zachodniej części dzielnicy Kungsholmen. Było umeblowane, a czynsz wysoki, stało w nim mnóstwo krzeseł, które własnoręcznie wykonał w swej firmie właściciel mieszkania. Jednak fakt, że mieszkała w niewielkiej odległości od posterunku policji znajdującego się w zatłoczonej części miasta, sprawił, że łatwiej pogodziła się z koniecznością wydania na ten cel kilku tysięcy koron.

Kiedy zamknęła na klucz drzwi mieszkania mieszczącego się w wieżowcu stojącym przy północnym filarze mostu Västerbron, a potem szła przez park Rålambshovsparken promenadą spacerową wzdłuż Norr Mälarstrand, nadal było zimno. Dziesięć minut otwartej przestrzeni parku i znowu asfaltowa ścieżka.

Nocne odgłosy sprawiały, że nie chciało jej się spać.

Tymczasem w celi aresztu drzwi były otwarte, a na pryczy leżał drżący człowiek, próbujący ukryć się przed tymi, którzy stali w jego pobliżu, a także przed tymi, którzy znajdowali się daleko od niego.

Jego strach był tak silny, nie potrafił się go pozbyć, jakby się nim zaraził i nie umiał wyzwolić z jego objęć.

Hermansson wdychała powietrze i wydawało jej się, że jest czyste; głęboko oddychała, spoglądała ponad wodę i śledziła łódź płynącą w oddali, która znikła w pobliżu Långholmskanalen. Powoli przyzwyczajała się do Sztokholmu. Pomyłonych było tu więcej, korki uliczne większe, a świadomość tego, że przeprowadziła się tutaj tylko na pewien czas, silnie dawała jej się we znaki; mimo wszystko z każdym mijającym dniem coraz lepiej radziła sobie z samotnością. W ciągu dnia pracowała, podobnie było wieczorami, odpowiadał jej taki tryb życia, ale czekała, aż przeprowadzi się na nowe miejsce także duchowo. Dobrze się czuła w starej siedzibie policji w Kronobergu. Grens był, jaki był, energiczny i hałaśliwy, miał jakieś takie smutne oczy; coraz lepiej rozumiała także Svena, którego na początku uważała za osobę nieśmiałą, podczas gdy on był tylko zamyślony; uważała, że jest mądry i miły, odpowiadał jej nacechowanemu przesadami obrazowi wiernego mężczyzny; wyobrażała go sobie z żoną i adoptowanym synem w ich szeregowcu w Gustavsbergu.

Doszła na miejsce, otrzepała o ścianę budynku śnieg z butów i weszła do środka,

ruszyła drzwiami prowadzącymi w lewo na piętro do wydziału technicznego. Starszy technik Nils Krantz był jednym z tych, którzy zaczynali w stopniu posterunkowego, a potem stopniowo doskonalili swoje kwalifikacje; wczoraj obiecał jej, że będzie mogła odebrać paszport Schwarza już rano, więc na pewno tak będzie. Westchnął, tak jak wzdychali wszyscy jego koledzy, ale potem wziął go od niej, podszedł do biurka i zaczął go przeglądać, nie patrząc na nią dłużej.

Kiedy otworzyła drzwi pokoju, Krantz już tam był.

Okulary do czytania podniesione na czoło, włosy jak zwykle nieuczesane.

Nie musiała nic mówić, paszport leżał już na stole gotowy do odbioru. Kiedy weszła, Krantz uniósł się, wskazał na dokument i lekko pokiwał głową, po czym uśmiechnął się w taki sposób, że ciągle jeszcze nie potrafiła określić, czy był to uśmiech miły czy ironiczny.

– John Doe.

Chyba nie dosłyszała.

– Co masz na myśli?

– Właśnie to. Osoba niezidentyfikowana. John Doe. Gratulacje.

Grensa tam nie było i to bez względu na to, jak długo wpatrywała się w jego krzesło. A jej tak bardzo się spieszyło. Nie wiedziała dlaczego, ale niepokój, jaki załagał się gdzieś w jej żołądku, sprawił, że czuła się jak ścigane zwierzę; ból doskwierał jej coraz bardziej, denerwował i zmuszał ją do intensywniejszego oddychania. Nie wiedziała dlaczego. Może z powodu rozmowy, jaką odbyła niedawno z lekarzem, który poinformował ją o krytycznym stanie zdrowia skopanego Fina o nazwisku Ylikoskis, co oznaczało, że sprawa ta może w każdej chwili zamienić się w dochodzenie w sprawie zabójstwa, czy też może z powodu reakcji Schwarza przed wejściem do celi, jego przerażenia; a może chodziło o fałszywy paszport, który trzymała w dłoni... Wiedziała tylko tyle, że chciała się pozbyć bólu, że pochłaniał jej energię i dlatego musi udać się w jakieś inne miejsce, jak najdalej od pustego pokoju Grensa.

Postanowiła spotkać się z prokuratorem Larsem Ågestamem, któremu powierzono wstępne dochodzenie, chciała mu przekazać informacje uzyskane od Schwarza. Potem wróciła do Kronobergu, gdzie w swoim pokoju przejrzała zgłoszenia sporządzone dobie wcześniej i własny raport z zatrzymania w Nacka oraz protokół z przeszukania mieszkania pod tym samym adresem.

Martwiła się. Rzadko jej się to zdarzało.

To uczucie... jego twarz wyrażała tak wielkie przerażenie, a zarazem pustkę, niepokoiło ją to, chciała zająć się jakąś pracą, przeglądała stos teczek zawierających materiały z kilku dochodzeń.

Jednak musiała.

Na polecenie Ågestama zadzwoniła do ambasady kanadyjskiej i zadała kilka pytań w sprawie paszportu, który leżał przed nią na biurku. Urzędnik ambasady uprzejmie odpowiadał na jej pytania. Były to jednak odpowiedzi, których nie chciała usłyszeć. Przerwała mu, wstała i nie odrywając słuchawki od ucha, powiedziała, że już tam jedzie, że chce kontynuować rozmowę na miejscu.

Szybko szła korytarzem, a gdy mijała pokój Grensa, zapinała guziki od płaszcza.

Domyśliła się, że jest w środku, zanim jeszcze się tam znalazła; to przez tę głośną muzykę, którą było słycać na korytarzu, pochodziła jeszcze z czasów, gdy jej nie było na świecie; Siw Malmkvist śpiewała, a Ewert, siedząc na krześle, poruszał się w takt muzyki. Już wcześniej kilka razy widziała, jak tańczy w swoim pokoju, sądząc, że nikt tego nie widzi, w takt muzyki, bez słów; kiedyś chciała go spytać, kogo tak naprawdę obejmuje, gdy tak tańczy koło biurka do refrenu piosenki śpiewanej przez Malmkvist.

Zastukała w otwarte drzwi. Spojrzał na nią poirytowany, jakby przeszkodzono mu w czymś ważnym.

– Tak?

Nie odezwała się, tylko podeszła bliżej i siadła w fotelu dla gości. Grens przyglądał jej się zdziwiony, nieprzywykły do tego, że ktoś wchodzi do jego pokoju nieproszony.

– Ja...

Grens uniósł palec i przysunął go do ust.

– Za chwilę. Kiedy skończy.

Przymknęła oczy i wsłuchiwał się w dźwięk, który wypełniał jego pokój, w muzykę z lat sześćdziesiątych, muzykę jego młodości, a zarazem przyszłości. Jeszcze minuta, może dwie, wreszcie głos ucichł. Orkiestra też przestała grać.

Grens spojrzał jej w oczy.

– No?

Hermansson zastanawiała się, czy powiedzieć mu, co myśli o tym, że kazał jej czekać, aż wysłucha muzyki do końca. W końcu zrezygnowała... tym razem.

– Byłam dziś rano na górze u Krantza. Wczoraj pracował dosyć długo.

Grens był zniecierpliwiony, dał jej znak, żeby powiedziała coś więcej. Mówiła więc dalej, ale czuła się tak, jakby mówiła zdyszana, choć nie wiedziała dlaczego, tak jakby spieszyła się bardziej, niż to było konieczne.

– Chodzi o paszport Johna Schwarza. Jest fałszywy. Zdjęcie i stempel, Krantz jest pewien, że dokument jest sfalszowany.

Grens westchnął głośno. Nagle poczuł się zmęczony.

Cholerny dzień.

Od samego początku, kiedy tuż po szóstej wszedł do tego budynku, na korytarzach panowała dochodzeniowa ciemność. Idioci, którzy informowali o bezsensownych przesłuchaniach, wracali po nieudanych akcjach, przynosili mu nic nieznaczące protokoły z obdukcji. Przesiedział dwie godziny, potem poszedł na spacer do parku, w końcu wrócił do

pokoju, który był równie pusty jak w chwili, kiedy z niego wychodził.

John Doe.

Niezidentyfikowany cudzoziemiec w areszcie.

Tylko tego mu brakowało.

– Przepraszam cię.

Grens podniósł się, wyszedł z pokoju i zatrzymał się przed automatem do kawy stojącym na korytarzu, czarna bez mleczka i cukru, plastikowy kubek ustawiony na dłoni, powoli wracał do pokoju, a idąc po dywanie leżącym na podłodze, starał się nie uronić ani kropli.

Dmuchnął na płyn i postawił kubek na biurku, żeby kawa wystygła.

– Dziękuję.

Spojrzał na nią pytająco.

– Co?

– Dzięki, że i mnie przyniosłeś.

– Też chcesz?

– Tak, poproszę.

Grens w demonstracyjnym geście uniósł kubek do ust i posmakował kilka kropel.

– Niezidentyfikowany cudzoziemiec. Wiesz, co to cholera może dla nas znaczyć?

Zrozumiał, co chciała mu powiedzieć, ale udało mu się obronić przed jej ironią.

Hermansson jakoś to przełknęła i mówiła dalej:

– Jestem tu wprawdzie nowa, ale nie mam wątpliwości. Reakcja Schwarza nie dawała mi spokoju przez cały wczorajszy wieczór, całą noc i dziś rano. Coś z nim jest nie tak.

Grens słuchał uważnie.

– Zadzwoiłam do ambasady kanadyjskiej, właśnie tam jadę. Numer paszportu się zgadza.

Uniosła dłoń.

– A paszport wystawiono na nazwisko John Schwarz.

Znowu ten gwałtowny oddech.

– Ciekawe jest to, że chociaż zdjęcie i stempel zostały sfalszowane, nikt nigdy nie zgłosił zaginięcia paszportu.

Zamachała paszportem, który trzymała w dłoni.

– Ewert, coś tu nie gra.

Drzwi prowadzące do celi aresztu nadal były otwarte. Schwarz siedział na pryczy z rękami oplecionymi wokół głowy, tak jak poprzedniego wieczoru i tak jak przez całą noc. Liczył każdy oddech w obawie, że nagle ustanie. Muszę kontrolować, czy wciągam powietrze, czy przechodzi przez gardło i trafia do płuc, nie mam odwagi zasnąć, bo jak śpię, to nie wiem, czy oddycham, a jak przestanę oddychać, umrę.

Teraz.

Strażnik siedzący obok niego zastąpił kilka minut wcześniej innego strażnika. Próbował rozmawiać z podejrzanym, pozdrowić go, ale ten nie słyszał, nie widział, przebywał gdzieś daleko, w głębi swego umysłu.

Właśnie umieram.

Już od dawna nikt nie zajmował tyle miejsca na korytarzu aresztu. Wprawdzie Schwarz nie zachowywał się gwałtownie, ale strażnicy, którzy pełnili służbę, zażądali przydzielenia jeszcze kogoś i obecności lekarza na dyżurze; przeświadczenie, że zaraz zdarzy się coś złego, było w nich bardzo silne, bali się, że aresztant rozsypie się na ich oczach, a oni będą na to patrzeć.

Świt zamienił się w ranek, a potem w przedpołudnie.

Dochodziło chyba wpół do dziesiątej. W pewnej chwili Schwarz nagle się podniósł, spojrzał na obu strażników i po raz pierwszy od chwili, gdy się tam zjawił, zaczął mówić do rzeczy.

– Śmierdę.

Strażnik siedzący obok niego też się teraz podniósł.

– Śmierdzi pan?

– Taki smród... muszę się go pozbyć.

Strażnik odwrócił się do swego kolegi, który stał na korytarzu najbliżej niego; był to ten siwowłosy strażnik, który zaczął kolejną służbę.

Ten starszy skinął głową.

– Może pan wziąć prysznic. Ale wejdziemy tam razem z panem.

– Chcę być tam sam.

– Zazwyczaj tak jest, że zamykamy drzwi na klucz i stawiamy pod drzwiami strażnika.

Ale nie tym razem. Nie mamy czasu na gwałtownie zachowujących się podejrzanych, którzy mogą tam odebrać sobie życie. Może się pan wykąpać, ale w naszym towarzystwie.

* * *

Usiadł na mokrej posadzce koło studzienki podłogowej, podciągnął kolana, plecy oparł mocno o ścianę. *Oczy Elizabeth, jak one się śmieją.* Woda uderzyła w jego ciało silnym strumieniem, wzmocnił go i dodał gorącej wody, na jego skórę spadały teraz gorące krople. *Ich nienawiść, nie rozumiem ich.* Twarz do góry, przymknął oczy, zapiekło, próbował pozbyć się myśli, ale one nie chciały go opuścić. *Tata płacze, obejmuje mnie, nigdy przedtem nie widziałem, żeby płakał.* Siedział tak przez pół godziny, nie widział nawet strażnika, który stał zbyt blisko. Woda i wysoka temperatura kazały mu wytrzymać, przynajmniej przez chwilę.

* * *

Schwarz już wiedział.

Musi stąd zniknąć.

Nie zdoła umrzeć ponownie.

Hermansson wyszła z pokoju Grensa, ale zanim jeszcze znalazła się na korytarzu, ponownie usłyszała muzykę, równie głośną jak przed chwilą. Uśmiechnęła się. Ewert ma swoją metodę. Lubiła ludzi, którzy zachowywali się na swój własny sposób.

Trzymała w dłoni paszport, który nie istniał.

Wprawdzie nie uświadamiała sobie jeszcze, że to początek większej sprawy, ale coś przeczuwała. Schwarz prześladował ją już od ponad doby i myśl o nim nie dawała jej spokoju. Szła więc szybkim krokiem ulicami Bergsgatan, Scheelegatan, Hantverkargatan, taki kilkuminutowy spacer w kierunku wschodnim, do centrum Sztokholmu; chwilę później ujrzała brzydki budynek przylegający do hotelu Sheraton. Zatrzymała się na chwilę, szukając wzrokiem okien ambasady kanadyjskiej na wyższym piętrze, i nagle tuż za sobą usłyszała jakiś głos.

– Ty, czarnulka.

Odwróciła się.

Mężczyzna stał za wysokim żelaznym ogrodzeniem, na trawniku przykościelnego cmentarza; był w średnim wieku i intensywnie się w nią wpatrywał.

– Czarnulka, popatrz tutaj.

Miał już rozpięty górny guzik od spodni, a teraz próbował rozpiąć zamek błyskawiczny rozporoka.

Widok, który ujrzała, wystarczył jej.

Już zrozumiała.

– No, wyciągaj kutasa, frajerze.

Wsunęła dłoń pod kurtkę i położyła ją na służbowym pistolecie.

– No, zrób to.

Patrzyła na niego spokojnie, głos miała opanowany.

– A ja ci go wtedy odstrzelę. Użyję do tego nowej amunicji policyjnej służącej do polowań. A wtedy nie będziesz miał czego pokazywać.

Mężczyzna długo przyglądał się kobiecie, która trzymała w ręce pistolet i twierdziła, że jest z policji. A potem rzucił się do ucieczki, byle dalej od niej; próbował w biegu zapiąć rozporek, przewrócił się o jakiś niewielki nagrobek z nieczytelnym napisem, porośnięty na brzegach mchem, a potem pobiegł dalej, nie oglądając się za siebie.

Hermansson potrząsnęła głową.

To właśnie jeden z tych głupców.

Wielkie miasta ich rodzą, karmią, ukrywają.

Śledziła go wzrokiem, aż znikł w krzakach, a potem ruszyła dalej; minęła ratusz, przeszła pod mostem kolejowym, potem jeszcze dwie minuty, windą do góry, szklane drzwi, które otwarły się od środka, kiedy zadzwoniła. Czekali już na nią.

* * *

Urzędnik ambasady kanadyjskiej przedstawił się jako Timothy D. Crouse. Był wysokim mężczyzną z jasnymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Miał miłą twarz i zachowywał się jak wielu innych urzędników. Hermansson poznała już kilku z nich w czasie prowadzonych dochodzeń i dość wcześnie zauważyła, że ludzie z ambasad są do siebie podobni: bez względu na narodowość i pochodzenie zachowują się jak dyplomaci, poruszają się jak dyplomaci, mówią jak dyplomaci. Ciekawe, czy są tacy od urodzenia i dlatego znaleźli tu pracę, czy też zrobili się tacy w trakcie sprawowania obowiązków. Może dopasowali się, aby nie różnić się od innych?

Dała mu paszport należący do mężczyzny, który siedział właśnie w celi aresztu podejrzany o próbę zabójstwa. Crouse dotknął palcami okładek paszportu, kartek w środku, przyjrzał się numerowi i danym osobowym.

Nie potrzebował zbyt wiele czasu, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał pewnie.

– Prawdziwy. Jestem o tym przekonany. I wszystko się zgadza. Sprawdziłem już numery. A dane osobowe są identyczne z tymi, które wprowadzано w chwili wyrobienia paszportu.

Hermansson spojrzała na niego. Podeszła bliżej i wskazała palcem na komputer.

– Chciałabym go zobaczyć.

– Nie ma żadnych innych danych. Przykro mi. Tylko tyle udało nam się dowiedzieć.

– Jednak chciałabym go zobaczyć.

Crouse zastanawiał się przez chwilę nad jej prośbą.

– To ważne.

Wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Czemu nie? Jak już pani tu jest... A ja i tak udzieliłem pani wszystkich informacji.

Przyniósł krzesło i poprosił, żeby usiadła obok, nalał wody do szklanki i przeprosił, że będzie musiała poczekać, aż komputer zostanie podłączony do sieci.

Za szklanymi drzwiami stało dwóch mężczyzn w ciemnych płaszczach, po chwili wpuszczono ich do środka, gdzie przyjęła ich jakaś urzędniczka. Przeszli obok Crouse'a, skinęli mu głową i poszli dalej.

– Jeszcze chwila. Zaraz się załaduje.

Obraz na monitorze poruszył się, Crouse wpisał hasło i otworzył jakąś bazę danych, która wyglądała jak rejestr. Kolejne dwa obrazy, nazwiska w układzie alfabetycznym, w sumie dwudziestu dwóch obywateli kanadyjskich o nazwisku Schwarz i imieniu John.

– Ten piąty John Schwarz od góry. Widzi pani? To on ma ten numer paszportu.

Crouse skinął głową w stronę monitora.

– Chciała pani zobaczyć, jak wygląda.

Nowy rejestr, nowe hasło.

W końcu pokazało się zdjęcie Johna Schwarza, który złożył podanie o paszport i odebrał go, ten sam paszport, który leżał teraz przed nimi na blacie stołu; zdjęcie Johna Schwarza, który według danych Urzędu Imigracyjnego miał też pozwolenie na stały pobyt w Szwecji, wypełniało ekran monitora.

Crouse spojrzał na nie bez słowa.

Pochylił się, przekartkował paszport i otworzył na stronie ze zdjęciem i danymi osobowymi.

Hermansson wiedziała, co sobie pomyślał.

Mężczyzna podejrzany o próbę zabójstwa, który siedział w areszcie, był biały.

Mężczyzna, który uśmiechał się do nich z ekranu monitora i który wcześniej był prawowitym właścicielem paszportu, był kolorowy.

Ewert Grens czuł irytację. Ten dzień od samego początku zaczął się źle, już wtedy, gdy o szóstej rano wszedł do komendy, a teraz, gdy nadeszła pora lunchu, było już tylko coraz gorzej. Nie wytrzyma dłużej z tymi idiotami. Marzył już tylko o tym, aby siedzieć za zamkniętymi drzwiami i słuchać muzyki puszczonej na cały regulator, a jednocześnie zapoznać się dokładnie przynajmniej z jednym ze stosów teczek dochodzeń, które powinny się zakończyć już dawno temu. Ledwo zagłębił się w ich treść, gdy ktoś zapukał do drzwi. Ciągłe te bezsensowne pytania i źle udokumentowane raporty, na których widok mógł się tylko zachnąć, a tych, którzy przychodzili prosić go, aby ściszył muzykę, wysyłał do diabła.

Tęsknił za nią.

Chciał ją objąć, wczuć się w jej regularny oddech.

Chociaż był tam dzień wcześniej, a po każdej takiej wizycie zazwyczaj oczekiwał kilka dni, tym razem znowu musiał tam pojechać już przed południem, hamburger w samochodzie, szybka, krótka wizyta.

Odczekał, aż Siw zaśpiewa swą piosenkę do końca, sięgnął po telefon komórkowy, którego nie nauczył się jeszcze dobrze obsługiwać, i zadzwonił do domu opieki. W słuchawce odezwała się któraś z młodszych kobiet, jedna z tych, które zdążył poznać. Powiedział jej, że chce przyjść za jakąś godzinę, i upewnił się, czy nie koliduje to z jakimś obchodem lekarskim albo wspólnymi zajęciami.

Od razu poczuł się lepiej. Złość, która zazwyczaj go wypełniała, trochę zelżała, zajmowała mniej miejsca, miał znowu na tyle sił, żeby ponownie zaśpiewać.

*Oj, dziewczyny, gdy płaczecie,
to tylko się wygłupiacie.*

Odważył się nawet zagwizdać *Miłosne rozterki* z 1964 roku, zafalszował trochę, a dźwięki piosenki wypełniły cały pokój.

*Więc lepiej powstrzymajcie się od łez
cokolwiek robicie.*

Dziesięć minut. Tylko tyle. I znowu pukanie do drzwi, pewnie jakiś palant, który czuje się samotny. Westchnął i odłożył na bok teczkę sprawy, którą właśnie trzymał w ręce.

Hermansson. Zamachał do niej.

– Usiądź.

Nie wiedział dlaczego, ale ucieszył się, kiedy ją zobaczył. Była młoda, ale nie o to chodziło, wystrzegał się takich myśli.

Chodziło o coś innego.

Coraz częściej myślał o tym, żeby nocować we własnym łóżku, w swoim wielkim mieszkaniu, o tym, że może wytrzyma.

Zzynał się, czytając program kin w „Dagens Nyheter”. Nie był w kinie od czasu *Moonraker* z Jamesem Bondem z 1978 roku. Zresztą przespał film, bo nudne podróże kosmiczne ciągnęły się w nieskończoność.

Czasami wybierał się nawet do centrum na jedną z tych ulic pełnych sklepów, żeby przymierzyć nowe ubranie, ale nigdy tam nie dotarł, bo zawsze tylko szedł w tamtym kierunku.

Hermansson położyła na biurku kartkę formatu A4. Twarz mężczyzny na zdjęciu paszportowym.

– John Schwarz.

Jakiś mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat. Ciemne, krótkie włosy, piwne oczy, ciemna cera.

– Prawowity właściciel paszportu.

Grens spojrział na zdjęcie i pomyślał o mężczyźnie, który nazywał siebie Johnem Schwarzem. Według raportu, jaki Grens otrzymał od Svena, Hermansson i władz aresztu, Schwarz czuł się cholernie źle. Teraz był już nikim. Dla policji szwedzkiej nie miał obecnie nazwiska. Jego dziwne zachowanie, strach i to, że kopnął tamtego faceta w głowę... coś się za nim wlokło stamtąd, skąd pochodzi.

Kto? Skąd? Dlaczego?

Dochodzenie w sprawie próby zabójstwa stało się od razu dokładniejsze.

– Chciałbym, żebyś przygotowała się do przesłuchania.

Grens chodził niespokojnie po pokoju, tak jak zwykle między biurkiem a zużytą kanapą, na której czasami sypiał, i znowu z powrotem do biurka, z powrotem do kanapy.

– Zmusz go do mówienia. Jestem pewien, że zrobisz to lepiej niż ja albo Sven, dopadnij go.

Grens zatrzymał się, usiadł na kanapie.

– Dowiedz się, kim jest. Chcę wiedzieć, co tu, do cholery, robi, dlaczego wokalista zespołu muzycznego posługuje się fałszywą tożsamością.

Odchylił się do tyłu, jego ciało przywykło do twardej kanapy, leżał tam przez tyle nocy.

– Ale tym razem melduj o wszystkim bezpośrednio mnie. Nie chciałbym w przyszłości otrzymywać informacji za pośrednictwem Ågestama.

– Nie było cię tu rano, kiedy przyszłam.

– To ja jestem twoim szefem, rozumiano?

– Jeśli następnym razem cię tu zastanę albo przynajmniej będzie szansa, że cię tu znajdę, z radością przekażę ci raport. Jeśli cię tu nie będzie, przekażę go prokuratorowi, który prowadzi dochodzenie.

Wyszła w kiepskim humorze i ruszyła do własnego pokoju. Nie przeszła jednak zbyt daleko, bo nagle zawróciła, poczuła się do tego zmuszona.

Zastukała do drzwi, już drugi raz w ciągu dziesięciu minut.

– Jeszcze jedno.

Grens nadal siedział na kanapie. Westchnął wystarczająco głośno, żeby to usłyszała, potem machnął ręką i poprosił, żeby powiedziała, o co chodzi.

– Muszę to wiedzieć, Grens.

Zrobiła krok i weszła do pokoju.

– Dlaczego mnie zatrudniłeś? Jak to się właściwie stało, że ominęłam kolejkę kandydatów mających o wiele dłuższe doświadczenie?

Kiedy Grens usłyszał jej pytanie, nie był pewien, czy sobie z niego żartuje.

– Czy to ważne?

– Przecież znam twoje nastawienie do kobiet policjantek. To jednak nie żarty.

– Tak?

– Wyjaśnij, proszę.

– Policja w Sztokholmie zatrudnia ponad sześćdziesiąt osób rocznie. Co, do cholery, chcesz wiedzieć? Że jesteś dobra?

– Chcę po prostu wiedzieć dlaczego.

Wzruszył ramionami.

– Bo jesteś cholernie dobra.

– A kobiety policjantki?

– To, że właśnie ty jesteś dobra, niczego nie zmienia. Kobiety nie nadają się do tego fachu.

Pół godziny później siedział już w samochodzie, jechał do tej, za którą tęsknił. Hamburger i piwo o niskiej zawartości alkoholu kupione w budce przy ulicy Valhallavägen, zanim jeszcze skręcił do Lidingö. Na dworze nadal było zimno, nawet o tej porze roku temperatura nie przekraczała zera. Trochę zmarzł, jak zawsze po jedzeniu, a to cholerne ogrzewanie w samochodzie znowu nie działało.

Zadzwoił do Ågestama, który rozmawiał z nim prawie falsetem. Grens naprawdę nie znosił młodego prokuratora, ale niechęć była wzajemna. Spotykali się i pracowali razem w ciągu kilku ostatnich lat o parę razy za dużo, a po każdym dochodzeniu ich wzajemna niechęć rosła. Grens nie mógł na to nic poradzić, po prostu tak się ułożyło, nie znosił facetów, którzy nosili garnitury w drobne prążki, będące ochroną przed zwykłym światem i niemądrymi ludźmi.

Jednak dzisiaj się zawziął. Jechał do Anni i chciał zachować przyjemne wrażenia po nadchodzącym spotkaniu, postanowił więc dać sobie tym razem spokój z sarkazmem.

Wyjaśnił tylko, że chce się czegoś dowiedzieć na temat procedur i formalności, które Ågestam zamierzał zastosować po południu w sprawie podejrzanego. Facet na podstawie dokumentów wystawionych przez sąd rejonowy nadal nazywał się John Schwarz. Rozmawiali o obrzęku mózgu Fina, który leżał w szpitalu Karolińska Sjukhuset na wydziale neurochirurgii; nadal znajdował się w stanie śpiączki farmakologicznej, aby mógł oddychać dzięki respiratorowi. Grens rozmawiał też z Ågestamem o strachu przed wejściem do celi, o krzykach na korytarzu, potem jeszcze krótko o fałszywej tożsamości Schwarza. „Schwarz” był już prawie aresztowany i obaj o tym wiedzieli.

– Ciężkie pobicie.

Grens drgnął, podjechał samochodem bliżej środkowej linii i już miał przeciąć linię ciągłą, gdy nagle mocno chwycił kierownicę i wrócił na właściwy pas.

– Ciężkie pobicie? Czy ja dobrze słyszę, Ågestam? To była próba zabójstwa!

– Schwarz nie zamierzał go zabić.

– Nie masz pojęcia, czym jest krwawienie w mózgu i obrzęk. Nie masz pojęcia, jakie mogą być tego konsekwencje. Przecież on kopnął go w głowę z całej siły!

Jechał trochę szybciej, nieświadomie przyciskał pedał gazu, a jednocześnie czekał na odpowiedź młodego prokuratora.

– Słyszę, co mówisz. Ale to ja mam wiedzę prawną na ten temat, to ja prowadzę

dochodzenie wstępne i to ja oceniam, z jakiego paragrafu będę oskarżał.

– Przecież to była...

– Ja i tylko ja.

Tym razem Grens nie krzyczał jak zwykle, kiedy Ågestam nadymał się, żeby wypełnić sobą zbyt obszerne ubranie. Zmęczony odłożył słuchawkę, a zjeżdżając z mostu Lidingöbron, zwolnił trochę; mijał wysokie domy i drogie wille, ruch był tu mniejszy. Przecież wiedział. Jechał do niej i wiedział.

* * *

Dom opieki był pięknie oświetlony i chociaż był sam środek dnia, fasadę budynku zdobiła całkiem nowa iluminacja świetlna, której Grens przedtem nie widział.

Kiedy wychodził z samochodu, było mu gorąco. Za każdym razem to samo uczucie, tak jakby całe napięcie opadło. Tu nie musiał się pilnować, nie musiał się nawet złościć. Ten dom oznaczał spokój i regularność, a ona tam już na niego czekała, wytrzymywała z nim bez względu na to, jaki był.

Jak zwykle siedziała już przy oknie. Przecież wiedziała, że tam na dole toczy się życie, w którym nie uczestniczy, więc korzystała z niego na swój sposób, na tyle, na ile mogła.

Przy wejściu czekała na niego młoda opiekunka. Miała na sobie biały fartuch. Grens wiedział, że studiuje medycynę, że dorabia tutaj, aby spłacić pożyczkę na studia, że jest zdolna i dobrze opiekuje się Anni. Miał nadzieję, że zostanie tu aż do egzaminu.

– Już na pana czeka.

– Widziałem ją. W oknie. Wyglądała na zadowoloną.

– Chyba przeczuwała, że pan przyjdzie.

Nie słyszała, gdy otwierał drzwi do jej pokoju. Stał na progu, spojrzał na jej plecy wystające znad wózka inwalidzkiego, jej jasne, długie, uczesane włosy.

Obejmowałem cię, kiedy z twojej głowy płynęła krew.

Podszedł do niej, pocałował ją w dłoń, odniósł wrażenie, że posłała mu uśmiech. Zdjął kamizelkę wiszącą na krześle przy jej łóżku i usiadł obok. Anni nadal wyglądała przez okno ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie. Próbował się domyślić, co przykuło jej uwagę, więc wyjrzał przez okno i spojrzał w tym samym kierunku. Woda. Łodzie płynące przez cieśninę między zachodnim Lidingö a wschodnim Sztokholmem. Zastanawiał się, czy ona rzeczywiście cokolwiek widzi. A jeśli tak, to czego tam szuka, kiedy tak całymi dniami siedzi przy oknie.

Gdybym wtedy był szybszy. Gdybym zrozumiał. Może wtedy byś u mnie została.

Przykrył jej dłoń swoją.

– Jesteś piękna.

Słyszała, że coś do niej mówi. I przynajmniej odwróciła się do niego.

– To był szalony dzień. Musiałem tutaj przyjść. Potrzebowałem cię.

Roześmiała się głośno swoim charakterystycznym śmiechem, który tak bardzo lubił.

– Ty i ja.

Siedzieli obok siebie i wyglądali przez okno prawie pół godziny. W ciszy, razem. Grens oddychał w tym samym tempie co ona, myślał o innych czasach, kiedy chodzili razem na spacer, o dniach, które mogły być inne, o dniu wczorajszym i o dzisiejszym ranku, a także o niezidentyfikowanym podejrzanym, który odbierał mu czas przeznaczony na inne sprawy, o Svenie, któremu powinien okazywać więcej szacunku, i o Hermansson, której tak naprawdę nie rozumiał.

– Mówiłem ci wczoraj, że zatrudniłem młodą kobietę. I że bardzo cię przypomina. Nie da się wziąć na byle co. Wie, kim jest. To tak, jakbyś po raz kolejny szła tym korytarzem. Rozumiesz? Dla nas nic to nie znaczy, ale czasami zapominam, że ona to nie ty.

Został dłużej, niż zamierzał. Jeszcze przez chwilę siedzieli przy oknie, a gdy zaczęła kaszleć, przyniósł jej wody. Z ust pociekła jej ślina, więc osuszył jej brodę.

A później wydarzyło się TO.

Siedziała blisko niego, a w dole widać było wyraźnie przepływający statek.

Pomachała ręką w jego kierunku.

Widział to, był tego najzupełniej pewien, pomachała.

Kiedy statek należący do firmy Waxholmsbolaget dał sygnał, roześmiała się głośno, uniosła dłoń i kilka razy nią poruszała.

Grens zdrętwiał.

Wiedział, że nie jest w stanie poruszać rękami. Przecież wszyscy neurologi twierdzili stanowczo, że prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła świadomie wykonać takiego ruchu.

Wybiegł na korytarz na tyle szybko, na ile pozwalała mu jego niesprawna noga i zaczął wołać w stronę tamtej młodej kobiety, którą spotkał wcześniej przy wejściu. Biegła za nim do pokoju, a on opowiadał jej, co widział.

Opiekunka, która miała na imię Susann, słuchała go uważnie. Położyła jedną dłoń na jego ramieniu, a drugą na ramieniu Anni. Próbowwała mu powoli uświadomić, że nic takiego się nie wydarzyło. Wyjaśniała mu, że rozumie, iż kocha Anni i tęskni za nią i dlatego chciałby zobaczyć to, co jego zdaniem widział, ale musi pogodzić się z faktem, że to niemożliwe, że

takie rzeczy się nie zdarzają.

Kilka razy poruszyła dłonią. A on wie, do cholery, co widział.

* * *

Ledwo wrócił do biura, a już poczuł ogarniający go stres. Kiedy wjeżdżał do centrum Sztokholmu, wciąż rozmyślał o Anni i tak do końca dnia. Nie lubił mieć zaległości, więc żeby o tym nie myśleć, sięgnął po telefon leżący w aktówce i wybrał jeden z zaprogramowanych numerów.

Dwa sygnały i usłyszał Hermansson mówiącą południowym dialektem.

– Tak?

– Co słyhać?

– Przeczytałam wszystko, co mamy. Myślę, że dobrze się przygotowałam. Przesłucham go zaraz po załatwieniu formalności związanych z aresztowaniem.

A jednak pomachała.

– Dobrze.

– To ty do mnie dzwonicz. Chciałeś czegoś?

Grens skoncentrował swą uwagę na jadącym przed nim samochodzie, musi na chwilę zapomnieć, o Anni będzie myślał potem. W szpitalu Karolińska leży pewien Fin, kolejny człowiek, który resztę swojego życia może przesiedzieć przy oknie.

– Tak. Chcę czegoś więcej. Chcę wiedzieć, kim jest ten łobuz.

– Ja...

– Interpol.

– Teraz?

– Chcę poznać jego tożsamość. Musi widnieć w jakimś rejestrze. Przemoc, jakiej się dopuścił... już kiedyś musiał zrobić coś podobnego.

Grens nie czekał na jej odpowiedź.

– Idź do Jensa Klövjega i do biura Interpolu w budynku C. Musisz dokładnie prześwietlić tego bydlaka. Weź ze sobą zdjęcie i odciski palców.

Ågestam chciał wiedzieć więcej. I na pewno dowie się więcej.

– Do rana dowiemy się, kim jest John Schwarz. Na pewno figuruje gdzieś w jakimś rejestrze w jakimś kraju. Jestem tego najzupełniej pewien.

Hermansson potrzebowała dokładnie pięciu minut, żeby przejść ze swojego pokoju do o wiele większego biura Jensa Klövjega w budynku C. Była to jej pierwsza wizyta w szwedzkim Interpolu, ale łatwo rozpoznała Klövjega, bo był jednym z wykładowców, którzy prowadzili zajęcia na kursie w szkole policyjnej. Klövje był w wieku Grensa, a gdy otworzył drzwi, powitał ją roztargnionym skinieniem głowy; i znowu poczuła się w pewien sposób upokorzona, jakby komuś przeszkadzała.

Położyła przed nim na biurku fałszywy paszport, a obok zdjęte świeże odciski palców.

– John Doe.

Klövje westchnął.

– Znowu?

– Mówi, że nazywa się John Schwarz. Wiek, wzrost, dane w paszporcie się zgadzają.

– Spieszysz się?

– Mamy go aresztować za jakąś godzinę.

Klövje przewracał kolejne strony w paszporcie, potem przyjrzał się odciskom palców, nucąc coś przy tym, ale Hermansson nie rozróżniła co.

– To już wszystko?

– Jutro możesz dostać profil jego DNA. Ale nie chcemy czekać tak długo. Grens jest przekonany, że facet jest gdzieś notowany, a jego dane znajdziemy w jakiejś bazie.

Klövje włożył wszystko, co dostał od Hermansson, do plastikowej koszulki, sprawdzając nieświadomie, czy jest ciężka.

– A jak mówi?

– Co masz na myśli?

– Czy mówi po szwedzku?

Hermansson przypomniała sobie, jak Schwarz siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu samochodu, ukrywając twarz w dłoniach, jak z wyciągniętymi przed siebie ramionami krzyczy po angielsku na korytarzu aresztu.

– Za dużo nie mówił. Ale z tego, co słyszałam, kiedy go zabieraliśmy z klatki schodowej... tak, mówi po szwedzku.

– Akcent?

– Brytyjski. Albo amerykański. Paszport jest kanadyjski.

Klövje się uśmiechnął.

– Troszkę nam to ułatwi poszukiwania.

Położył plastikową koszulkę na stojaku obok komputera.

– Wyślę to za piętnaście minut. Za pierwszym razem wybiorę tylko kraje angielskojęzyczne. Potrzebuję na to kilku godzin z powodu różnicy czasowej, ale dam ci znać, jak tylko coś dostanę.

Skinęła mu głowę, a on odpowiedział w taki sam sposób. Odwróciła się więc i chciała wrócić do siebie.

– Tak przy okazji... trzymam z Grensem.

Szła korytarzem i mówiła do siebie:

– Mamy go.

Odgłos kroków wydawany przez strażników odbijał się od starych kamiennych schodów, którymi szli, a zarazem mieszał się z monotonnym dźwiękiem wydawanym przez mężczyznę, który twierdził, że nazywa się John Schwarz. Szli do sali sądowej mieszczącej się na drugim piętrze sztokholmskiego ratusza. Kiedy później jeden ze strażników nałożył kajdanki na jego chude nadgarstki, John słyszał irytujący, ostry dźwięk, który przeszywał mu głowę i narastał, w miarę jak zbliżali się do sali.

Ubranie, jakie dano mu w areszcie, było na niego zbyt obszerne, a poza tym drażniło mu skórę i było zbyt cienkie, więc John marzył, bo na dworze było zimno, podobnie zresztą jak w wielkim budynku z wysokim dachem i niewielką liczbą kaloryferów. Obok Johna szli ci sami strażnicy co wczoraj po południu, ten starszy z siwymi włosami i młodszy, ten wysoki, który miał niebieskie oprawki od okularów. John prawie ich nie widział, wzmocnił tylko ów monotony dźwięk, dzięki któremu mógł zacisnąć szczęki, i patrzył wprost przed siebie.

Drzwi były drewniane, otwarte, a w środku siedzieli ludzie.

Prokurator Lars Ågestam (LÅ): W czasie przeszukania u Johna Schwarza znaleziono w poniedziałek te oto spodnie i te oto buty.

Adwokat podejrzanego, Kristina Björnsson (KB): Pan Schwarz przyznaje się, że kopnął pana Ylikoskiego w głowę.

Ktoś zapalił oświetlenie sufitowe. Do zmierzchu pozostawało jeszcze sporo czasu, ale był to jeden z tych dni, kiedy można było odnieść wrażenie, że światła zabraknie już przed południem i że mrok okryje miasto wielką płachtą. Siwy strażnik spojrzał mu w oczy i rozkuł go. John Schwarz – który tak siebie nazywał – nadal wydawał z siebie ów monotony dźwięk, a wzrok utkwiał w dużym, błyszczącym oknie. Znajdowało się dość wysoko od podłogi. John przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy przez nie wyskoczyć, ale zabrakło mu odwagi.

LÅ: Badania laboratoryjne materiału, z którego zrobiono spodnie, wykazały ślady śliny pana Ylikoskiego, natomiast na butach znaleziono jego włosy i krew.

KB: Mój klient przyznaje się, ale twierdzi, że zamierzał tylko zmusić pana Ylikoskiego, żeby przestał napastować kobietę tańczącą na parkiecie.

John siedział obok swojej adwokat. Czuł, że jest zestresowana, ale uśmiechała się uprzejmie.

– Ten dźwięk... Proszę przestać wydawać ten dźwięk.

Nie słyszał, co powiedziała, bo dźwięk mu w tym przeszkodził, ale nie ośmielił się przerwać, bo dźwięk pomagał mu zaciskać szczęki, a jeśli przestanie, zacznie krzyczeć.

– Może to być panu policzone na niekorzyść, ten dźwięk.

Dźwięk. Nie przestawał go wydawać.

– Nie rozumie pan, co mówię? A może woli pan, żebym mówiła po angielsku? To są formalności związane z pana aresztowaniem. Doświadczenie mi podpowiada, że wersja oskarżonego bardziej przemawia do odbiorców, jeśli zachowuje się on normalnie.

Uciszył się trochę, ale nadal wydawał z siebie ten dźwięk.

To był jego dźwięk, jedyny w tym pokoju.

LÅ: Podejrzany Schwarz nie nazywa się Schwarz. Nie posiada tożsamości. Domagam się, aby go aresztowano za ciężkie pobicie ze względu na ryzyko, iż może utrudniać śledztwo.

KB: Pan Schwarz nie zamierzał nikogo skrzywdzić. Poza tym cierpi na ciężką klaustrofobię. Dlatego też decyzja o jego aresztowaniu byłaby niehumanitarna.

John ucichł, gdy przewodniczący składu sędziowskiego informował go, że zostanie aresztowany, bo zachodzi prawdopodobieństwo, iż dopuścił się ciężkiego pobicia; John opadł na podłogę i zasłonił sobie dłońmi uszy, jakby nie chciał słuchać, podczas gdy zakłopotany przewodniczący przesuwał dłonią po swych rudych włosach i kolejny raz go prosił, żeby się podniósł.

Obaj strażnicy chwycili go za ramiona i tak długo go podnosili, aż stanął wyprostowany. Znowu kajdanki na nadgarstki. Kiedy wyprowadzali go z sali numer dziesięć, a potem prowadzili schodami w dół, drżał.

Na schodach słychać było takie samo echo jak poprzednio, siwy strażnik wyglądał na zrezygnowanego, szedł obok Johna przez całą drogę w dół i na przemian syczał cichym

głosem albo mówił podniesionym tonem.

– Opracowaliście taką strategię razem z panią adwokat?

– Długo sobie posiedzisz.

– Aż się dowiedzą, kim jesteś. Aż poznają twoje nazwisko. John spojrzał na strażnika, potrząsnął głową.

Nie chciał słuchać, nie chciał rozmawiać.

Siwy strażnik nie rezygnował; ruszył przodem, zatrzymał się na ostatnim schodku i odwrócił się, byli mniej więcej tego samego wzrostu, ich oddechy mieszały się ze sobą.

Strażnik zamachał rękami.

– Nie rozumiesz, o co chodzi? W areszcie siedzi pełno walniętych cudzoziemców, takich jak ty, i oni też nie mają tożsamości. W celach trwa nieustanna walka. Nie lepiej powiedzieć, kim jesteś? Żeby proces mógł się toczyć dalej? Oni mają czas. Poświęcą na to tyle czasu, ile trzeba. To ty będziesz przegrany, to ty będziesz tam siedział dłużej, niż trzeba, odseparowany od wszystkich, na których ci zależy.

Ubranie wydane w areszcie drażniło mu skórę, John był zmęczony, spojrzał na siwego strażnika i powiedział cicho:

– Nie zrozumiałeś.

Niespokojnie stawiał stopy na twardych stopniach.

– Mojego imienia i nazwiska.

Chrząknął i powiedział głośniejszym głosem:

– Nazywam się John Schwarz.

Było już po trzeciej, gdy Klövje przefaksował kilka dokumentów dotyczących trzydziestokilkuletniego mężczyzny, który twierdził, że nazywa się John Schwarz i właśnie został aresztowany. Klövje skoncentrował się na razie na krajach, gdzie językiem urzędowym był angielski, bo Hermansson wyraźnie zwracała mu uwagę na fakt, że akcent podejrzanego jest dość charakterystyczny, przez co łatwo było się domyślić, jaki jest jego język ojczysty.

Kilka minut później pracownicy Interpolu na całym świecie zdejmowali z faksu zapytanie przesłane im przez szwedzkich kolegów.

Jedni westchnęli i położyli faks na biurku, inni postanowili odłożyć poszukiwania na późniejszą porę dnia, jeszcze inni zaczęli je od razu, wchodząc do odpowiednich baz danych, które ukazały się na ekranie ich monitorów.

Wśród tych ostatnich znajdował się Marc Brock z Interpolu w Waszyngtonie. Na biurku stała wypita do połowy cafe latte w kartonowym kubku z plastikowym przykryciem, którą kupował każdego ranka w Starbucksie na Pennsylvania Avenue; pił ją powoli i niezbyt uważnie przyjrzał się faksowi, który właśnie dostał.

Dokument taki zawsze oznaczał dodatkową pracę i konieczność skupienia się przed ekranem monitora, a on był już zmęczony. To był jeden z takich właśnie poranków.

Wyjrzał przez okno.

Jedenasty stycznia i ciągle zimno, ale do wiosny już nie tak daleko.

Marc Brock ziewnął.

Faks nadal leżał na wierzchu, Marc przysunął do siebie stos papierów. Zapytanie ze Szwecji.

Wiedział, gdzie leży Szwecja. W północnej Europie. W Skandynawii. Kiedyś był nawet w Sztokholmie, był wtedy młody i zakochany, a jego kobieta piękna.

Treść faksu sporządzono w niezłym angielskim. Osoba o pochodzeniu innym niż szwedzkie została aresztowana za ciężkie pobicie. Jakiś niezidentyfikowany mężczyzna, który twierdzi, że nazywa się John Schwarz. Ma fałszywy paszport, a teraz nie chce wyjawic

prawdziwej tożsamości.

Brock spojrział na zdjęcie i zobaczył na nim białego mężczyznę o sztywnym uśmiechu i niespokojnych oczach.

Chyba już kiedyś widział tę twarz.

Włączył komputer, wszedł do właściwej bazy i zaczął ją przeszukiwać – zdjęcie, dane osobowe, odciski palców, wszystko to przesłała mu szwedzka policja wraz z prośbą o szybkie załatwienie sprawy.

Nie zabrało mu to zbyt wiele czasu, właściwie nigdy nie zabierało mu to zbyt dużo czasu, nawet gdy był zmęczony.

Dopił kawę, znowu ziewnął, a potem przestał rozumieć to, co zobaczył.

Potrząsnął głową.

Coś się nie zgadzało.

Siedział i wpatrywał się w ekran, aż obraz zrobił się zamazany. Później wstał z krzesła, przeszedł się po pokoju, znowu usiadł i postanowił jeszcze raz przeprowadzić całą procedurę. Wylogował się, wyłączył komputer, odczekał kilka sekund, ponownie włączył komputer, załogował się, otworzył wszystkie bazy i po raz drugi wyszukał dane dotyczące mężczyzny, który zaledwie przed godziną został aresztowany w jednym z miast północnej Europy i twierdził, że nazywa się John Schwarz.

Czekał ze wzrokiem utkwionym w blat biurka, a potem powoli spojrział na ekran.

Ta sama odpowiedź.

Niespokojnie przełknął ślinę.

To nie może być prawda. Dane absolutnie nie mogą się zgadzać.

Mężczyzna na zdjęciu, którego – jak mu się zdawało – kiedyś spotkał, nie żył.

Ewert Grens wiedział, co zobaczył. Czekał na to od dwudziestu pięciu lat. Gównu go obchodziło, czy jest to możliwe, czy nie. Widziała statek i kilka razy pomachała w jego kierunku. To były świadome ruchy. Kto jak nie on znał wszystkie sposoby, za pomocą których coś wyrażała, każdą minę, jaką robiła, wszystko to, o czym może wiedzieć jedynie ktoś, kto pozostaje z taką osobą w bliskiej zażyłości.

Był to jakiś statek żeglugi przybrzeżnej. Wszystkie wyglądały tak samo. Odsunął teczkę z wynikami dochodzenia w sprawie Schwarza na róg biurka, położył przed sobą pusty notatnik i zadzwonił do firmy Waxholmsbolaget, która organizowała rejsy wśród szkierów Sztokholmu. Zaklął, kiedy usłyszał, jak głos nagrany na automatycznej sekretarce prosi go, aby wybrał właściwy numer, a potem kolejny numer, krzyknął do słuchawki, że chce porozmawiać z jakimś człowiekiem, a potem odsunął ją od siebie. Później siedział z pustym notatnikiem przed sobą i słuchawką na blacie biurka, po chwili odwrócił się w stronę starego magnetofonu kasetowego i włączył jedną z trzech kaset z przebojami Siw Malmkvist nagranych w porządku chronologicznym. Przewinął taśmę od razu na piosenkę *Jon Andreas visa* z 1968 roku, była inna niż wszystkie i bardzo ją lubił. Przesłuchał raz całe nagranie, cztery minuty i piętnaście sekund, uspokoił się, przewinął taśmę z powrotem, ściszył głos i puścił ją znowu, a jednocześnie sięgnął po słuchawkę. Znowu ta cholerna automatyczna sekretarka, przelączała się na różne numery, czekał, jeśli tak mu nakazywał głos ze słuchawki, aż w końcu usłyszał ten prawdziwy – ludzki.

Poinformował swego rozmówcę o miejscu i godzinie, spytał, jak nazywał się statek, który płynął kanałem koło domu opieki. Dodał, że któregoś dnia w tygodniu chciałby zarezerwować bilety na wycieczkę dla dwóch osób.

Kobieta, która mówiła normalnym, ludzkim głosem, była bardzo pomocna.

Statek nazywał się „Söderarm”, to jemu machała Anni; odpływał z nabrzeża Gäshaga w Lidingö, a czterdzieści minut później przy pływał do Vaxholmu.

Ty to powiedziałaś.

Ty chciałaś jechać.

Znowu puścił muzykę głośniej, po raz trzeci piosenkę o Jonie Andreasie, i też śpiewał, podniósł się z krzesła i tańczył po pokoju, obejmując ją.

* * *

Ktoś zastukał do drzwi, choć były otwarte.

– Przepraszam, chyba przyszedłam za wcześnie.

Grens spojrzał na Hermansson, skinął głową, żeby weszła dalej i wskazał na krzesło dla interesantów. Potem jeszcze przez krótki czas podrygiwał na dywanie, do końca piosenki pozostało już tylko kilka taktów.

W końcu usiadł, czoło miał zroszone od potu, szybki oddech.

Hermansson spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Zawsze ta sama muzyka.

Grens wziął jeszcze kilka głębszych oddechów, teraz było mu już lżej.

– Nie ma żadnej innej, nie w tym pokoju.

– A może byś tak otworzył okno? Tam, na zewnątrz, też jest rzeczywistość, zupełnie inny czas.

– Nie rozumiesz. Jesteś jeszcze młoda. Wspomnienia... Tylko one ci kiedyś pozostaną, gdy już przeżyjesz swoje życie.

Potrząsnęła głową.

– Masz rację. Nie rozumiem tego. Nie uważam, żeby musiało tak być. Ale tańczysz dobrze.

Grens prawie się roześmiał. Nieczęsto mu się to zdarzało.

– Kiedyś trochę tańczyłem. Dawno temu.

– Jak dawno?

– Dwadzieścia pięć lat temu. A może wcześniej.

– Dwadzieścia pięć lat?

– Przecież widzisz, jak wyglądam. Kuleję i mam sztywny kark.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. W końcu Grens pochylił się i przysunął bliżej telefon.

– Chciałbym cię prosić, żebyś poczekała na zewnątrz. Aż inni przyjdą. Muszę zadzwonić, powinienem zrobić to wcześniej.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Grens wykręcił numer domu opieki i poprosił do telefonu dyrektora. Wyjaśnił, że chciałby zabrać Anni na wycieczkę statkiem i

żeby któraś z opiekunek mu towarzyszyła. Na przykład Susann, ta, która studiuje medycynę. Wiedział, że Susann pracuje na godziny i dlatego nalegał, że sam jej zapłaci, bo zależało mu, aby to była właśnie ona. Głos po drugiej stronie słuchawki wyraził słaby protest, ale w końcu Grens postawił na swoim, a kiedy chwilę później otworzył drzwi, żeby wpuścić do pokoju trzy osoby czekające na korytarzu przed automatem do kawy, był z siebie całkiem zadowolony.

Sven popijał coś, co miało w sobie substytut mleka, Hermansson coś, co przypominało herbatę, a kubek Ågestama pachniał napojem czekoladowym. Grens poprosił ich, aby usiedli, a potem wyszedł z pokoju, żeby przynieść własny kubek z czarną kawą, bez dodatków.

Wypił połowę i poczuł, jak ciepły napój zaczyna go rozgrzewać.

– Schwarz.

Spojrzał na wszystkich, ale oni też podzielali jego zdanie. No i jak tu wytrzymać?

– Klövje szuka czegoś na temat tego łobuza. Każdy kraj, w którym mówi się po angielsku, otrzymał od nas wszystko, co mamy na jego temat. Jeśli figuruje w bazie przestępców, dowiemy się o tym za kilka godzin.

Siedzieli wszyscy na starej kanapie, na której zwykle sypiał. W środku Hermansson, a po obu jej stronach Sven i Ågestam.

– No i co powiecie?

Hermansson podmuchała trochę na herbatę i dopiero potem zabrała głos.

– W Kanadzie jest dwudziestu jeden mężczyzn, którzy nazywają się John Schwarz. Poprosiłam urzędnika z ambasady kanadyjskiej, tego samego, który pomógł nam wczoraj, aby ich wszystkich sprawdził.

– No i?

– Żaden z nich nie ma nic wspólnego z facetem, który siedzi w areszcie.

Ågestam miał trochę napoju czekoladowego na górnej wardze.

– Nie wiemy, kim jest. Ani skąd przyjechał. Wiemy natomiast, że jest zdolny do tego, by kopać ludzi w twarz, a jednocześnie strasznie się boi, że jego przeszłość może wyjść na jaw. Wczoraj w sądzie – co było dość niesmaczne – położył się na podłodze, a gdy sędzia kazał go aresztować, zaczął drżeć. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Grens prychnął głośno.

– Tylko głupiec w to uwierzy. Czekolada na twarzy, jak u dziecka. A co ty w ogóle w swoim życiu widziałeś?

Ågestam podniósł się i zaczął chodzić szybko po pokoju na swych chudych nóżkach, kilka razy przesuwając dłoń po głowie, żeby się upewnić, czy grzywka leży po właściwej

stronie, robił to zawsze, kiedy był czymś wzburzony.

– Nie zetknąłem się na przykład z czymś takim, żeby odkładać na bok trwające dochodzenie wstępne tylko po to, żeby zamiast niego zająć się jakimś mało ważnym przypadkiem. Nie spotkałem się też jeszcze z sytuacją, żeby policjant prowadzący dochodzenie próbował sugerować prokuratorowi, z jakiego paragrafu ma stawiać oskarżenie.

Po raz kolejny przesunął dłonią po włosach.

– Powiedz mi, Grens, czy twoim wyborem kierują względy osobiste?

Grens uderzył mocno dłonią w jedną z wysuniętych szuflad biurka.

– A żebyś wiedział, do cholery, że tak! A gdybyś wiedział tyle co ja na temat uszkodzeń głowy spowodowanych aktami przemocy, dokonywałbyś takich samych wyborów jak ja, koleżko.

Kiedy wypowiadał te słowa, chwycił za jedną z wysuniętych szuflad, oparł się o nią, żeby nabrać rozpędu, a potem wykonał pół obrotu na krześle, aż usiadł tyłem do prokuratora, aby w ten właśnie sposób okazać mu swą pogardę.

Sundkvist uznał, że nie zniesie kolejnej kłótni między Ågestamem a Grensem; w pokoju zapadła cisza, Ågestam wpatrywał się w kark Grensa, a Sven uznał, że powinien włączyć się w rozmowę.

– Nie sądzę, żeby reakcja Schwarza miała cokolwiek wspólnego z pobiciem, którego się dopuścił.

– Mów dalej.

– Sądzę, że apatia, w której się pogrążył, to rodzaj rozkojarzenia zamieniającego się nagle w nieprzyjemny krzyk, myślę, że chodzi tu o szok. Schwarz się boi. Boi się czegoś, co zdarzyło się wcześniej, co jest z tym w jakiś sposób powiązane. Kiedyś już coś takiego przeżył i to nim wstrząsnęło.

Grens słuchał uważnie. To mądry facet, pomyślał o Svenie, kiedyś muszę mu to powiedzieć. Potem przez jakiś czas przyglądał się całej trójce, każdemu z osobna, aż w końcu powiedział:

– Chcę, żebyśmy go przesłuchali. Teraz, zanim się rozejdziemy.

Ågestam skinął głową, odwrócił się do Svena.

– Ty się tym zajmiesz. Wierzę w twoją teorię.

Grens przerwał mu.

– Ja też w nią wierzę. Ale przesłuchaniem zajmie się Hermansson.

Kierująca przesłuchaniem: Mariana Hermansson (MH): Dzień dobry.

John Schwarz (JS): (mówi coś niewyraźnie).

MH: Nazywam się Mariana.

JS: (mówi coś niewyraźnie).

MH: Nie słyszę, co pan mówi. Proszę mówić głośniej.

Ågestam spojrział zdumiony na Grensa.

– Hermansson? Z całym szacunkiem, ale czy Sundkvist nie nadaje się do tego lepiej?

– O czym ty, do cholery, mówisz? Jestem pewien, że młoda kobieta lepiej sobie z tym poradzi niż facet w średnim wieku.

MH: Wygodnie panu?

JS: Tak.

MH: Jest pan trochę zdenerwowany, że musi tu siedzieć. Rozumiem. To dziwna sytuacja.

– Zaufanie. Hermansson zdobędzie jego zaufanie. Najpierw mu pomoże poradzić sobie z drobnymi sprawami.

MH: Pali pan?

JS: Tak.

MH: Mam fajki. Chce pan jedną?

JS: Tak, poproszę.

– Będzie dla niego miła, zaoferuje mu pomoc, spróbuje się odróżnić od nas.

MH: Jak się pan nazywa?

JS: John.

MH: Pytam, jak się pan naprawdę nazywa.

JS: Mam na imię John.

MH: Okay. A więc tak ma pan na imię?

JS: Tak.

MH: Czy wie pan, że pana żona była tutaj przed dwoma godzinami?

– Zrozum, Ågestam, po pewnym czasie zaczyna to być cholernie trudne nawet dla kogoś, kto musi to robić, kiedy trzeba siedzieć i kłamać komuś, kto chce ci pomóc. A Hermansson – Schwarz będzie o tym przekonany – naprawdę chce dla niego wszystkiego, co najlepsze.

MH: Tak długo, jak nie będzie pan mówił, obowiązywać będą wszystkie obostrzenia. Dopóki będzie pan utrudniał dochodzenie, nie zobaczy pan się z żoną. Czy to jasne?

JS: Tak.

MH: Przyszło z nią także dziecko, chłopiec, cztero-, pięcioletni. To pana syn, prawda? Jego też nie będzie wolno panu widywać.

JS: Muszę...

MH: Ale może to jakoś załatwię.

– Po jakimś czasie prowadząca przesłuchanie Hermansson pojawi się także poza pokojem przesłuchań. Tam też mu pomoże. To równa dziewczyna. Okaże zrozumienie.

MH: Niedaleko od tego budynku jest mały park. Zna go pan?

JS: Nie.

MH: Będzie panu wolno spotkać się z synem właśnie tam. Ale w mojej obecności. Trudno mi uwierzyć, aby spotkanie z pięcioletnim chłopcem mogło utrudnić nam dochodzenie. Co pan na to?

– Zobaczysz, Ågestam, facet zacznie mówić. W końcu każdy zaczyna. Przychodzi taka chwila. Hermansson to uprzejma, równa dziewczyna i rozumie innych. A kiedy Schwarz to poczuje, ona zrobi kolejny krok i zacznie stawiać warunki, zażąda, żeby jakoś się jej zrewanżował.

Grens wstał z krzesła i podszedł do drzwi. Tam poczekał chwilę, aż cała trójka też wstanie z kanapy.

– A wtedy to on będzie musiał nam coś dać.

* * *

Spotkanie dobiegło końca.

Grens był już pewien, że Schwarz wkrótce zacznie gadać. Wtedy dowiedzą się, kim

jest i skąd przybył.

Kevin Hutton siedział przy spuszczonej żaluzji w pokoju nr 9000 przy Main Street 550 w Cincinnati. Zawsze tak robił, światło dzienne drażniło mu oczy, kiedy wpatrywał się w ekran monitora, a przecież coraz częściej się zdarzało, że zostawał w biurze i komunikował się przez Internet. Miał trzydzieści sześć lat i prawie dziesięć z nich przepracował w oddziale FBI w zachodnim Ohio. Charakter jego pracy uległ zmianie wraz z rewolucją informatyczną; teraz był tu zatrudniony jako nadzorujący agent specjalny i dobrze się czuł w tym lokalnym biurze, chociaż zadania, jakie powierzano mu od pierwszego dnia, kiedy przekroczył próg firmy i wszedł do pomieszczenia, które od tej pory miało stać się jego miejscem pracy, nie należały do wymarzonych. Przecież chciał pracować tam, w świecie rzeczywistym. Kiedy siedział w biurze i zajmował się bieżącą robotą, tęsknił czasami do innych miejsc.

Wypił już sporo wody, była dziesiąta rano, a on pił już trzecią butelkę drogiej wody mineralnej ze sklepu znajdującego się na rogu ulicy, przy garażu. Przytył, to przez to cholerne siedzenie, a po wodzie, którą pił zamiast porannej kawy, goniło go do toalety; mimo to nie narzekał.

Właśnie nalał sobie pełną szklankę wody, gdy zadzwonił ktoś z kwatery głównej w Waszyngtonie.

Nie mieli mu zbyt wiele do przekazania. Uznał jednak, że trzeba odstawić szklankę, że ten dzień będzie inny od pozostałych.

Podano mu numer telefonu do niejakiego Marca Brocka z Interpolu z poleceniem, aby do niego zadzwonił pod podany numer.

Przez ostatnią godzinę do świadomości Brocka powoli docierał fakt, że to, co się nie zgadzało w bazie danych, którą przeszukał trzy razy, jest w rzeczywistości prawdą.

Mężczyzna ze zdjęcia, o którego pytano w Szwecji, nie żyje. Taki wynik wyszukiwań uzyskiwał za każdym razem. A przecież to niemożliwe. Zwłaszcza jeśli uwzględnić fakt, gdzie stracił życie.

Brock zadzwonił do osoby, która przekazała mu wiadomość o aresztowanym; mężczyzna nazywał się Klövje i mieszkał w Szwecji. Znowu przypomniał sobie swój pobyt w Sztokholmie, kobietę, której imię nadal pamiętał, a czekając na odpowiedź, przypominał sobie piękne miasto położone na wyspach i otoczone ze wszystkich stron wodą, spacerowali tam tyle razy; trzymając słuchawkę przy uchu, zastanawiał się, kim byłby teraz, gdyby tam wtedy z nią został.

Głos Szweda brzmiał formalnie, mówił poprawną angielszczyzną ze skandynawskim akcentem. Brock przeprosił go, że dzwoni o tej porze, zapomniał, która w Szwecji jest godzina, popołudnie, przypomniał sobie o tym dopiero w chwili, gdy Klövje zaczął mówić, sześć godzin różnicy, właśnie.

Sztywny uśmiech, niespokojne oczy.

Brock nalegał. Chciał sprawdzić zdjęcie człowieka, który twierdził, że nazywa się John Schwarz. Chciał je porównać, ale nie ze zdjęciem, które znajdowało się w kanadyjskim paszporcie, tylko z tym rzeczywistym.

Dwadzieścia minut później Klövje przysłał potwierdzenie. Odwiedził celę aresztu, w której siedział podejrzany, i na własne oczy przekonał się, że twarz z paszportu i ta ze świata rzeczywistego to jedna i ta sama.

Brock podziękował mu, zapowiedział, że jeszcze się odezwie, ale ledwie odłożył słuchawkę, zaraz znowu ją podniósł w przekonaniu, że koledzy z głównego biura FBI uznają go za wariata.

* * *

Huttonowi kazano zadzwonić do Interpolu do niejakiego Brocka. Ma to zrobić natychmiast.

Obrócił się na krześle i spojrzał na Cincinnati, w którym mieszkał od czasu, gdy złożył podanie o pracę i otrzymał zatrudnienie w lokalnym biurze w Ohio. Wysokie domy, zatłoczone ulice.

Jeszcze kilka wdechów, kilka sekund ciszy, nadal drżał.

Jeśli to prawda, jeśli krótka informacja z głównej siedziby FBI się zgadza, otworzy okno i zacznie krzyczeć w stronę hałaśliwego miasta. Bo to nie może być prawda.

* * *

Brock potwierdził wszystko.

Hutton wyczuł niepokój w jego głosie i domyślił się, że Brock też tego nie rozumie, że chętnie przekaże tę śmierdzącą sprawę dalej, żeby się nią dłużej nie zajmować.

Przecież ty nie żyjesz, do cholery!

Hutton od razu rozpoznał mężczyznę ze zdjęcia.

Twarz była starsza o dwadzieścia lat, włosy krótsze, cera jaśniejsza.

Ale to był on. Bez wątplenia.

Otworzył okno, wychylił się przez nie, przymknął oczy, poczuł zimny powiew; stał tak przez chwilę z zamkniętymi oczyma i czuł, że nie chce tego wszystkiego zrozumieć.

Poruszyła ręką.

Powinien śpiewać, śmiać się, może płakać.

Ale nie potrafił.

Przez wszystkie te lata prawie stracił nadzieję. A teraz... sam nie wiedział, co czuje: żal, winę, tęsknotę? Prawdziwe przekleństwo. Im bardziej poruszała ręką, tym wyraźniejsze stawało się wszystko inne. To, czego nie robiła. Pieprzone poczucie winy, nad którym nauczył się panować, znowu go dopadło, nie uniknie go, wiedziało, gdzie jest, i przykleiło się do niego na swój przeklęty, beznadziejny sposób.

Należeli do siebie. A on przejechał jej po głowie. Ta jedna chwila, a potem było już po wszystkim, na samym środku drogi.

Kochał ją. Nie miał żadnej innej kobiety.

Dziś wieczorem nie zamierzał iść do domu. Chciał tu zostać i zajmować się sprawą Schwarza tak długo, aż oczy odmówią mu posłuszeństwa, potem położy się na kanapie, pośpi i wstanie, gdy będzie jeszcze ciemno; potrzebował tej chwili, gdy wstaje świt.

Grens zjadł kanapkę z serem, którą kupił w automacie stojącym na korytarzu; plastikowy pojemnik, na którym się znajdowała, był upakowany masłem i czymś jeszcze.

Hermansson dobrze poprowadziła to przesłuchanie. Schwarz powinien jej zaufać, pewnie stanie się to już wkrótce. Dziwny łobuz. Jakby chciał się przed nimi ukryć, chociaż siedzieli na krzesłach naprzeciwko i patrzyli na niego.

W pokoju panowała cisza. Jak nigdy przedtem. Spojrzał na regał stojący przy ścianie, na kasety magnetofonowe i zdjęcie Siw, ale tym razem nie zadziało, Anni machała, a na muzykę nie było w tym pokoju miejsca. Nie wypadało. Za cholerę.

Nigdy przedtem tak się nie czuł.

Przecież to jej głos go pocieszał, to on napelniał pokój wspomnieniami.

Ale nie dziś. I nie teraz.

Klövje zastukał do drzwi i lekko je uchylił. Był czerwony na twarzy, bo szedł szybko

korytarzami, a potem schodami w dół. Trzymał w ręce kilka kartek papieru zdjętych przed chwilą z faksu; powiedział, że Ewert musi je przeczytać, że zostawi mu to, co dostał, a sam wróci do swego biura i będzie tam czekał, aż przyjdzie więcej faksów.

Grens dojadł kanapkę, zgarnął kilka okruszków chleba z biurka i wrzucił je razem z zatłuszczonym plastikowym opakowaniem do kosza na śmieci.

Piątek, 25 września 1988 roku,

godz. 16.23

Wóz policyjny nr 903 z inspektorem Kowalskim, asystentem policji Larriganem i asystentem policji Smithem otrzymał polecenie, aby udać się na ulicę 31 Mern Riffe Drive w Marcusville, gdzie doszło do strzelaniny.

Spojrzał na cienką kupkę dokumentów, doliczył się pięciu, wziął jeden z nich.

Od razu zauważyliśmy, że drzwi wejściowe do willi nie są zamknięte na klucz. Tuż za nimi wisiała zasłona, która była zaciągnięta. Światło było zapalone, w willi panowała cisza.

Czytał już wcześniej kilka tysięcy raportów sporządzonych przez asystentów policjantów. Wprawdzie ten raport pochodził z Ameryki, zawierał inne nazwiska i inne adresy, ale był tak samo zbyt szczegółowy i napisany zbyt ostrożnym językiem, toteż popełniono w nim takie same błędy formalne jak we wszystkich innych.

Grens podniósł się z krzesła. Myślał o znacznie bardziej interesujących sprawach niż Schwarz i jego przeszłość. Kilka rund po pokoju, w końcu zaznał ciszy, do której nie był przyzwyczajony, a przecież przemawiała do niego bardziej niż Siwan i głośno zachowujący się oficerowie śledczy.

Zrobiła coś, co te palanty uważały za niemożliwe.

Zabrało jej to dwadzieścia pięć lat, ale zrobiła to, a on to widział.

Wiedział, że jest już późno, ale nie mógł się powstrzymać. Usiadł na krześle i wykręcił numer domu opieki.

– Tu Grens, wiem, że dzwonię trochę późno.

Chwila wahania.

– Przykro mi, ale o tej porze nie wolno panu z nią rozmawiać.

Od razu rozpoznał ten głos.

– Przecież pan wie, że potrzebny jest jej sen. Niedawno się położyła.

Susann, młoda kobieta, która studiuje medycynę, ta sama, która miała z nimi popłynąć statkiem. Starła się być uprzejma.

– Właściwie to chciałem porozmawiać z panią. O naszej wspólnej wycieczce w tym tygodniu. Chciałem się tylko upewnić, że pani o wszystkim wie.

Nie potrafił określić, czy to, co usłyszał, było westchnieniem.

– Tak, wiem o wszystkim. I pojedę z wami.

Znowu zaczął się usprawiedliwiać. Potem odłożył słuchawkę, może ponownie westchnęła, nie wiedział, nie chciał już tego dłużej słuchać.

Według tabliczki na drzwiach wejściowych właścicielami domu są Alice i Edward Finnigan. Dom został przeszukany tzw. metodą-S.

Grens ponownie sięgnął po faks z Ameryki. Tym razem bardziej się skupił, mógł to zrobić, bo zadzwonił i sprawdził, że ona już śpi, że ma się dobrze. Teraz mógł zająć się pracą, wszystkim, co wiązało się z Johnem Schwarzem.

Drzwi do sypialni, która znajduje się na prawo od wejścia, były uchylone. Kiedy Larrigan próbował je otworzyć, zauważył, że za drzwiami na podłodze leży kobieta.

Grens pochylił się niżej.

To uczucie. Gdy coś się zaczyna.

Czytał dalej, aż zrozumiał, co Klövje miał na myśli, dlaczego oddychał tak gwałtownie, dlaczego jego opuchnięta twarz, którą chwilę wcześniej wsunął przez uchylone drzwi, była czerwona.

Kiedy Larrigan wszedł do pokoju i upewnił się, że ofiara, kobieta, nie ma przy sobie broni, zawołał lekarza i obsługę karetki, prosząc ich, aby natychmiast weszli do środka. Larrigan zdążył ustalić, że kobieta spoczywała w takiej pozycji, jakby upadła głową do przodu, a teraz leżała na podłodze na prawym boku. Miała na wpół otwarte oczy i lekko poruszała głową.

Martwa kobieta. Leżała na podłodze domu w jakiejś dziurze o nazwie Marcusville i prawie nie żyła.

Obsługa karetki A 915 oraz lekarz Rudenski, którzy weszli do budynku kilka sekund później, natychmiast podnieśli kobietę i położyli w holu na plecach. Potem przystąpili do udzielania jej pierwszej pomocy, przy czym okazało się, że puls kobiety jest słabo wyczuwalny. Mniej więcej minutę później przewieziono ją do Pike County Hospital, dokąd karetka dotarła o godzinie 17.16. Kobieta została zarejestrowana pod numerem 1988-25-6880.

Klövje wspomniał, że przyjdzie więcej kartek – inne dokumenty z dochodzenia wstępnego prowadzonego osiemnaście lat wcześniej przeciwko mężczyźnie, który nazywał się John Schwarz, a teraz siedział zamknięty w celi aresztu dwieście metrów dalej.

Grens poczuł nagle, że mu się spieszy.

Nadal było zimno.

Vernon Eriksen spoglądał ze złością na zepsuty kaloryfer wiszący na jednej z betonowych ścian zakładu karnego. Było mu zimno, da im jeszcze tydzień i ani dnia dłużej, ogrzewanie musi znowu zacząć działać, przecież więźniowie to nie zwierzęta, chociaż ludzie tak ich nieraz nazywają.

Najgorzej było w bloku śmierci. Więźniowie skazani na śmierć marzli nocami jak psy i w ogóle ich życie w celi marnie wyglądało: nie sypiali, Kolumbijczyk krzyczał, a ten nowy z celi dwudziestej drugiej popłakiwał już drugą noc z rzędu. Już tego wszystkiego było za dużo, a teraz, gdy zrobiło się tak zimno, inni też zaczęli się skarżyć, nawet ci, co nigdy nie narzekali.

Eriksen spojrział w stronę długiego rzędu metalowych klatek.

Wszyscy, którzy w nich siedzieli, wiedzieli.

Odliczali dni. No bo cóż innego mogli robić? Czekali, składali wnioski o ułaskawienie, o przesunięcie daty egzekucji, ale bez skutku, więc nadal siedzieli i czekali, licząc dni, miesiące, lata.

Już dawno temu powinien iść do domu. Skończył służbę przed czterema godzinami. O tej porze szedł zazwyczaj do Sofios, zjadał naleśniki z jagodami, nadkładał drogi przez Mern Riffe Drive, a gdy zaglądał do kuchni, robiło mu się od razu przyjemniej. Czasem udało mu się zdążyć na czas do domu stojącego na obrzeżach miasta, czasem udawało mu się zasnąć, a przynajmniej położyć do łóżka z nieprzeczytaną poranną gazetą, którą kładł na pustej poduszce leżącej obok.

Świadomie tu został.

Wyjdzie za chwilę.

Nie był przygotowany na to, że naczelnik więzienia wezwie go nagle do swego gabinetu. Rzadko ze sobą rozmawiali, ale znali się dobrze i dopóki wszystko funkcjonowało jak należy, nie musieli się spotykać.

Jednak kiedy zadzwonił telefon, od razu coś wyczuł.

Że tym razem chodzi o coś innego.

Głos naczelnika był napięty i przesadnie wyraźny, jakby się czymś niepokoił i próbował to ukryć.

Naczelnik powitał go uśmiechem i wprowadził do dużego gabinetu ze skórzaną kanapą, stołem konferencyjnym i dużym oknem wychodzącym na główne wejście. Poczęstował Eriksena owocami i ciastem, wzrok miał rozbiegany, w końcu opanował się i spytał, od jak dawna Vernon jest szefem strażników więzienia w Marcusville.

Dwadzieścia dwa lata, odparł Eriksen.

Dwadzieścia dwa – powtórzył naczelnik – to dość długo.

Tak, to prawda.

Czy pamiętasz ich wszystkich, Vernon?

Jakich „wszystkich”?

Tych, co tu siedzieli. Na twoim oddziale.

Tak. Pamiętam ich.

Naczelnik bębnił palcami po dokumencie leżącym przed nim na biurku. Było na nim coś napisane. To z tego powodu zaprosił do siebie Eriksena. Ten próbował rozróżnić poszczególne słowa, ale litery były zbyt małe i nie dało się nic odczytać.

Za twoich czasów było ich ponad stu, stwierdził naczelnik. Niektórych wypuszczono, kilku stracono, reszta po prostu czeka. A ty pamiętasz ich wszystkich?

Tak.

Jak to możliwe?

Jak to?

Ciekawi mnie to.

Ten papier na biurku... Eriksen pochylił się, chciał go przeczytać, ale nie dało się, przeszkadzało mu ramię naczelnika.

Pamiętam ich wszystkich, bo pracuję tu jako wychowawca penitencjarny. Moje zadanie polega na tym, żeby opiekować się tymi ludźmi, poddać ich resocjalizacji. Zajmuję się nimi i nie mam zbyt wielu innych podopiecznych.

Naczelnik znowu poczęstował go owocami, ale Eriksen podziękował, za to chętnie sięgnął po kolejny kawałek ciasta, poczekał, aż rozplynie mu się w ustach. I właśnie w tym momencie, po zjedzeniu owoców i drugiego kawałka ciasta, zaczął się domyślać, czego dotyczy ta rozmowa.

Nie był na nią przygotowany.

Chociaż powinien.

To może pamiętasz osadzonego, który nazywał się John Meyer Frey? – spytał naczelnik.

Oczywiście. Bardzo dobrze go pamiętam.

To dobrze.

Dlaczego?

A pamiętasz, ilu ludzi wykończył w naszym zakładzie, zanim wykonano na nim wyrok?

Niewielu. Zdarza się to czasami. Ale nie było ich wielu.

John Meyer Frey. Czy pamiętasz coś szczególnego, co dotyczy jego śmierci?

Coś szczególnego?

Cokolwiek.

Eriksen starał się wykorzystać przerwę w rozmowie, udając, że się zastanawia, próbował zebrać myśli, przypomnieć sobie odpowiedzi, do których się przygotowywał.

Nie. Nie sędzę. Nic szczególnego nie pamiętam.

Naprawdę?

Był młody, to wiem. Ludzi, którzy odchodzą w młodym wieku, zawsze się zapamiętuje. Ale nic więcej.

Naprawdę nic?

Nie.

Jeśli tak, to chyba mamy mały problem. Rozmawiałem przed chwilą z facetem, który nazywa się Kevin Hutton. Pracuje w FBI w Cincinnati. Zadał mi kilka pytań.

Ach tak?

Pytał mnie na przykład, kto wystawił świadectwo zgonu Freya.

Po co?

Pytał też, gdzie znajduje się protokół z obdukcji zwłok Freya.

Po co?

Zaraz ci to wyjaśnię. Ale najpierw musimy razem sprawdzić, kto stwierdził zgon Freya i czy istnieje jakiś protokół z obdukcji. A to dlatego, że FBI nie może znaleźć żadnych danych na ten temat.

* * *

Być może Eriksen powinien sięgnąć po jeszcze jeden kawałek ciasta. Może powinien

był wyrzeć przez okno. Jednak kiedy skończyli, kiedy naczelnik wyjaśnił mu powody zainteresowania ze strony FBI, grzecznie się pożegnał i obiecał, że jeśli coś sobie przypomni, odezwie się, po czym powoli zszedł schodami do bloku śmierci.

Metalowe pręty nadal tam były.

A on przynajmniej się nie ośmieszył.

* * *

Od zepsutego kaloryfera ciągnęło chłodem.

Spojrzał ze złością na jeden z nich i kopnął go mocno swymi ciężkimi, czarnymi butami. Powinien już wrócić do domu, przecież służbę skończył kilka godzin wcześniej.

Najpierw jednak tam pójdzie. Pod celę numer osiem.

Czy pamiętasz ich wszystkich, Vernon?

Jakich „wszystkich”?

Tych, co tu siedzieli. Na twoim oddziale.

Tak. Pamiętam ich.

Stanął przed kratą, tak jak zwykł robić to kiedyś, i spojrzał na puste łóżko.

Jednak tym razem nie uśmiechnął się, nie dzisiaj.

To miała być długa noc.

Grens zrozumiał to w chwili, kiedy dotarł do połowy raportu sporządzonego przez amerykańskich policjantów. Znowu poczuł się tak, jak czuł się kilka razy do roku, kiedy te długie, cholerne dochodzenia zamieniały się w coś innego. Ostatnio doświadczył tego latem, kiedy pewna prostytutka z Litwy wzięła zakładnika i próbowała wysadzić w powietrze kostnicę; albo rok wcześniej, kiedy pewien ojciec wymierzył karę zabójcy swej córki i go zastrzelił.

Teraz znowu się tak poczuł.

To z powodu okrytej mrokiem przeszłości Schwarza, czego wcześniej nie dostrzegał.

I tak oto coś, co jeszcze do niedawna było zwykłym dochodzeniem w sprawie o ciężkie pobicie, zamieniło się nagle – był tego pewien – w ciężką harówkę, frustrację, przekleństwo.

W Pike County Hospital okazało się, że kobieta już nie żyje. Próbowali przywrócić ją do życia, ale bez rezultatu. Uznano ją za zmarłą o godzinie 17.35.

Tego wieczoru Klövje wracał jeszcze trzy razy, mniej więcej co pół godziny, i za każdym razem przynosił nowe dokumenty przesłane faksem.

W ciele Elizabeth Finnigan znaleziono trzy otwory po pociskach: dwa po lewej stronie klatki piersiowej w okolicy serca i jeden w odległości około centymetra od grdyki, pośrodku szyi.

Grens za długo już dzisiaj pracował, zrozumiał to i poczuł, że powinien przygotować się na więcej. Tej nocy nie zmruży oka.

W rozmowie z inspektorem policji kryminalnej Harrisonem ustalono, że ciało kobiety zostanie w kostnicy szpitala w oczekiwaniu na przewiezienie do zakładu medycyny sądowej w Columbus.

Dwa plastikowe kubki z czarną kawą. Maszyna, która stała wciśnięta między kupioną niedawno kopiarkę a przestarzały faks, zadrżała, jak zdarzało się to czasem nocą, podenerwowana faktem, że nie dają jej odpocząć, a przecież automat do parzenia kawy też potrzebuje chwili wytchnienia. Grens szybko wypił zawartość kubka, ciepło rozeszło mu się po ciele, serce trochę przyspieszyło, jak zawsze, gdy próbowało uciec od kofeiny.

Po kolei sięgał po nowe dokumenty przyniesione przez Klövjego, ułożone na całkiem już sporym stosie. Kilka dodatkowych raportów patrolu i innych policjantów, które zawierały mniej więcej te same fakty. Protokół obdukcji, prawie absurdalny w swym słownictwie i precyzji. Raporty techników kryminalistycznych zawierające szczegółowy opis zwłok leżących na podłodze.

Kiedy dotarł do ostatniego dokumentu przesłanego z więzienia w Marcusville, jeszcze uważniej wczytał się w jego treść. Pochodził z miejscowości, gdzie znaleziono martwą kobietę.

Grens przeczytał go do końca.

I znowu.

I jeszcze raz.

Zrozumiał, że ma do czynienia z czymś, nad czym pochyli się wiele osób także w innych krajach. A wkrótce potem jakiś idiota zacznie naciskać i głądzić, że sprawa musi trafić na stoły ważnych polityków.

Niech to diabli!

Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer do Gustavsbergu położonego na południe od Sztokholmu. Wiedział, że jest już późno, ale miał to w nosie.

Cisza.

Trzymał słuchawkę tak długo, aż wreszcie ktoś odebrał.

– Słucham.

– To ja, Ewert.

W słuchawce usłyszał dźwięk przypominający chrząkanie i przełykanie, jakby ktoś właśnie przed chwilą się obudził i próbował przygotować głos do mówienia.

– Ewert?

– Chciałbym, żebyś przyjechał tu rano o siódmej.

– Ale właśnie jutro miałem przyjść później, przecież wiesz. Szkoła Jonasa, ja...

– O siódmej.

Wydawało mu się, że Sven uniósł się z łóżka.

– Ewert, o co chodzi?

Grens nie słyszał, jak Sundkvist ziewnął, nie czuł, jak tamten marznie, siedząc bez ubrania na brzegu łóżka.

– Schwarz.

– Coś się stało?

– To będzie trudna sprawa. Będziesz musiał odłożyć na razie wszystkie inne dochodzenia. Sprawa Schwarza ma od tej chwili najwyższy priorytet.

Grens usłyszał szept Svena. Chyba rozmawiał z Anitą.

– Ewert, wyjaśnij, o co chodzi.

– Rano.

– Ale ja i tak już nie śpię.

– Godzina siódma.

Grens nie powiedział „dobranoc”. Odłożył słuchawkę, ale prawie od razu znowu ją podniósł.

Hermansson nie spała. Trudno było zgadnąć, czy jest sama, Grens miał nadzieję, że nie.

Ågestam miał się właśnie kłaść spać. Miał zdziwiony głos, bo wiedział, co Grens o nim myśli, więc nie spodziewał się, że zadzwoni do niego do domu.

Oboje spytali Grensa, o co chodzi, ale nie dostali odpowiedzi. Obiecali jednak, że o siódmej rano zameldują się w jego pokoju.

* * *

Czytał jeszcze przez chwilę.

Po półgodzinie podniósł się z krzesła i zaczął spacerować niezgrabnie po pokoju.

Pochodził pół godziny, a potem położył się na kanapie ze wzrokiem wbitym w sufit.

* * *

Nagle roześmiał się.

Nic dziwnego, że tak cholernie się boisz.

Grens roześmiał się swym gardłowym śmiechem, który zabawny wydawał się tylko tu, gdy był sam. Nie pamiętał, czy potrafi się śmiać wśród innych ludzi, w innych miejscach.

Schwarz, do pioruna, znalazłeś się w sytuacji bez wyjścia.

Zaczął rozmyślać o dokumencie z więzienia z Marcusville, który zdążył przeczytać już kilka razy, o wielkim kraju, gdzie pielęgnowano mit o karze śmierci, jakby to był sposób na życie; i o tym, jakie to przyjemne uczucie leżeć tu i śmiać się, wiedząc, że kilka metrów dalej na biurku czeka sam szatan, a on wkrótce go wypuści.

Było już po dziesiątej wieczorem czasu amerykańskiego, gdy ze Szwecji nadeszła prośba o pomoc. Kevin Hutton nadal siedział w swoim pokoju z widokiem na Cincinnati i czekał, aż przyjdzie oczekiwany faks. Dziwne popołudnie, dziwny wieczór. Palił jednego papierosa za drugim i wypił tyle wody mineralnej, że w końcu jego żołądek zaprotestował; przez ostatnią godzinę zabawiał się układaniem na biurku kupki z papierosów bez filtra, które przekładał skibkami chrupkiego chleba znalezionymi w pomieszczeniu socjalnym. Był już zmęczony, ale nie chciało mu się jeszcze iść do domu, bo informacje z Interpolu najpierw wywołały u niego zawrót głowy, a potem go rozzłościły, no i na dodatek ta pustka, która go ogarnęła i zawiadnęła nim na tak długo, że nie wiedział, jak ma się podnieść od biurka.

Przecież ty nie żyjesz!

Już tyle lat pracuje w FBI, ale nigdy wcześniej niczego takiego nie doświadczył. Czy to dla takich rzeczy się żyje? Za takimi sprawami się tęskni? Za dniem, którego już nigdy się nie zapomni, a który będzie się różnił od innych dni, tych, co po prostu przychodzą, aby przeminąć? Za sprawą, której nikt inny wcześniej nie prowadził, gdzie nie istniały odpowiedzi, bo nikt nie przewidywał, że pojawią się nagle takie pytania? To właśnie wtedy zostawia się ślad po sobie, to wtedy jest szansa na to, że zostanie się zauważonym w tak wielkiej instytucji. Tak, no właśnie, i jeszcze ta nieskończona pustka.

Godzinę później siedział w samochodzie jadącym na południe, mając obok siebie agenta specjalnego Benjamin Clarka, który był jego kolegą z pracy, a zarazem podwładnym. Hutton starał się mu wszystko wyjaśnić, choć w miarę zdawania relacji coraz bardziej uświadamiał sobie, że brzmi ona zupełnie nieprawdopodobnie; mimo to Clark zrozumiał i zaraz po przyjeździe na miejsce udał się do biura.

Na dworze było już ciemno, a szosę pokrywała cienka warstwa lodu.

Hutton powinien zwolnić, ale teraz, kiedy byli w drodze, nie mógł się powstrzymać i jechał dość szybko. W Marcusville nie był od dawna. Mieszkał tam kiedyś przez dwadzieścia lat, ale nie miało to żadnego znaczenia. Inne życie, inne czasy. Niekiedy oglądał jakieś

zdjęcie z tamtych lat i miał wrażenie, jakby to był ktoś inny, a nie on. Kontakty z rodzicami zerwał dość dawno temu, a gdy wyprowadzili się stamtąd także jego dwaj bracia, nie miał już w Marcusville czego szukać; pamiątką po miejscu, gdzie dorastał, stało się zdjęcie, które postawił na półce, gdzie gromadził się na nim tylko kurz.

Teraz zamierzał część tego kurzu usunąć.

Na miejsce dotarli w niecałe półtorej godziny. Próbował rozglądać się przez szybę samochodu, spojrzeć poza ciemność, przecież znał okolicę, choć nie wydawała mu się już taka znajoma. Wtedy nie rozumiał jeszcze, jak inne jest Marcusville. Miasteczko zajmujące powierzchnię czterech kilometrów kwadratowych i liczące zaledwie dwa tysiące mieszkańców. Takie małe. Tak ograniczone. I bez przyszłości. Często, żeby to dostrzec, trzeba wyjechać, zerwać więzi. I nie musiał tego porównywać z resztą Stanów Zjednoczonych, wystarczyło porównać z resztą Ohio. Przychód na rodzinę poniżej średniej, dochody na rodzinę poniżej średniej. Liczba czarnych mieszkańców znacznie poniżej średniej. Liczba Latynosów znacznie poniżej średniej. Liczba osób urodzonych za granicą znacznie poniżej średniej. Liczba studentów wyższych uczelni znacznie poniżej średniej. Liczba osób z wyższym wykształceniem poniżej średniej... Mógł tak wyliczać bez końca, ale nie tęsknił za wspomnieniami.

O tej porze w miasteczku było pusto, po prostu nie było dokąd iść, ludzi nigdzie nie ciągnęło. Znał tu każdy dom. W wielu oknach paliło się światło, za doniczkami z kwiatami i za kwiecistymi zasłonami widział poruszających się ludzi. Mógłby być jednym z nich, gdyby wcześniej nie wyprowadził się stąd w poszukiwaniu innego życia.

Minęli Mern Riffe Drive, a wtedy ujrzał z daleka dom, który należał kiedyś do Elizabeth Finnigan. Wiedział, że jej rodzice nadal żyją, że nadal pogrążeni są w żałobie. Miała zaledwie szesnaście lat. Ruben Frey mieszkał zaraz za rogiem, prowadziła tam krótka ulica Indian Drive. Dom nie zmienił się, podobnie jak wszystko inne. Hutton zaparkował samochód i spojrzął na swego kolegę. Siedzieli w wozie stojącym obok niewielkiego trawnika i spoglądali na drzwi wejściowe i na okna wychodzące na ulicę. Hutton chciał mu opowiedzieć o tym, co wie, bo czuł jakiś ucisk w żołądku. Często tu kiedyś sypiał. Ruben był niski i gruby i czasem zachowywał się trochę dziwnie, ale rozumiał wszystko, czego rodzice Kevina nawet nie próbowali zrozumieć. Ruben nie krzyczał na nich, kiedy przypadkowo stłukli przednią lampę, i nie przejmował się za bardzo tym, że czasami zapominali, gdzie są, i wchodzili z brudnymi butami na elegancki parkiet. Dla niego nie było to ważne. Poprosił ich, żeby zdjęli buty, żeby po sobie posprząтали, ale nigdy nie podnosił głosu, nigdy nie mówił tym tonem co inni, tonem, który się długo pamiętało.

Taki porządny człowiek. To niesprawiedliwe.

Hutton musiał wyjść z samochodu, zastukać do drzwi i wyjaśnić, że ma kilka pytań.

Kevin marzył, miał na sobie płaszcz, ale i tak było mu zimno.

Frey otworzył prawie od razu. On też się nie zmienił. Włosy może mu się trochę przeredziły, może trochę schudł, ale poza tym wyglądał tak, jakby te ostatnie dwadzieścia lat przespał. Przyglądali się sobie przez chwilę w otaczających ich ciemnościach, na zimnie, obaj szybko oddychali.

– Słucham?

– Przepraszam, że przeszkadzamy o tej porze. Ale czy nie poznaje mnie pan?

Znowu przyjrzeni się sobie, w milczeniu.

– Poznają cię, Kevin. Postarzałeś się. Ale to ty.

– To Benjamin Clark, mój kolega z FBI w Cincinnati.

Podali sobie ręce, niski starszy człowiek z wyższym od niego młodszym mężczyzną.

– Chodzi o to, że musimy zadać panu kilka pytań. Prawdę mówiąc, będzie ich sporo.

Frey słuchał go uważnie, ich spojrzenia się spotkały.

– Zaraz będzie północ, a ja jestem zmęczony. O co chodzi? Czy to nie może poczekać do jutra?

– Nie.

– No to o co chodzi?

– Możemy wejść?

Kiedy weszli do środka, mieszkanie od razu zrobiło na nim wrażenie. Kevin przyglądał się tapetom, wykładzinom, niewielkim schodom w przedpokoju prowadzącym na piętro i miedzianym baryłkom, które stały poustawiane w całym przedpokoju. Najbardziej jednak uderzył go zapach. Pachniało tu tak jak kiedyś, przed laty, gdy był nastolatkiem – lekką stęchlizną, tytoniem fajkowym, świeżo upieczonym chlebem.

Siedli przy kuchennym stole nakrytym czerwonym bożonarodzeniowym obrusem, pewnie będzie tam leżał aż do lata.

– Nic się pan nie zmienił.

– Wiesz, jak to jest. Cieszę się z tego, co mam. Poza tym człowiek już nie zwraca uwagi, jak tu wygląda.

– W porządku. Zawsze się tu dobrze czułem.

Frey siedział przy krótszym boku stołu, tak samo jak kiedyś. Clark i Kevin usiedli przy dłuższym. Przyglądali mu się obaj, a Ruben jakby trochę się skurczył.

– No to po co przyjechaliście, chłopaki?

Clark wsunął dłoń do kieszeni marynarki, wyjął zdjęcie i położył je na stole przed Freyem.

– Chodzi o tego mężczyznę. Chyba pan wie, kim jest.

Frey zerknął na fotografię. Twarz w wieku trzydziestu pięciu lat, blada cera, chudy, krótkie, ciemne włosy.

Z rurki sphywają krople, widzą je, widzą też, jak lekarz wbija igłą i wstrzykuje odtrutką gdzieś w udo, przecież musi się obudzić, morfina hamuje oddychanie, próbuję utrzymać nogą chłopca w bezruchu, gdy samochodem zarzuca, widzą jego oczy, strach u kogoś, który nie ma pojęcia o tym, co się dzieje.

– O co chodzi?

– Chcę, żeby mi pan odpowiedział na to pytanie.

Frey ciągle spoglądał na zdjęcie. Wyciągnął dłoń, uniósł ją i trzymał przed sobą.

– Nie wiem, co jest grane. A czy ktoś wie, o co chodzi?

Hutton spojrzał na człowieka, którego tak bardzo lubił. Próbował wejrzeć w jego okrągłą twarz, w oczy spoglądające na zdjęcie. Nie wiedział, czy to zdumienie, zmieszanie, a może tylko udawał.

– Na pewno go pan rozpoznaje.

Ruben Frey potrząsnął głową.

– Mój syn nie żyje.

Widzę go. To już ostatni raz. Przecież wiem o tym. Musi tak być. Wygląda na przestraszonego. Kiedy wejdzie na pokład tego samolotu, będzie po wszystkim. Nie podoba mi się, że aż tak się boi. Potem będzie już tylko lepiej. Musi być.

– Proszę popatrzeć na to zdjęcie jeszcze raz.

– Nie muszę. Włosy są krótsze. Cera jaśniejsza. Ta osoba jest do niego podobna, tyle że pewnie żyje.

Hutton pochylił się do przodu, z bliska może łatwiej mu będzie powiedzieć.

– Proszę mnie uważnie posłuchać. To zdjęcie zostało zrobione dwadzieścia osiem godzin temu, w Sztokholmie, stolicy Szwecji. Mężczyzna na zdjęciu twierdzi, że nazywa się John Schwarz.

– John Schwarz?

– To nie jest jego prawdziwe imię i nazwisko. Szwedzka policja przysłała nam jego odciski palców i DNA. Z porównania wynika, że są identyczne z tymi, które sami kiedyś pobraliśmy.

Hutton odczekał chwilę, chciał być pewien, że kiedy to w końcu powie, ich spojrzenia

się spotkają.

– Są identyczne z tymi, które pochodzą od pana syna.

Frey westchnął, a może raczej zachnął się, trudno to było ocenić.

– Przecież wiesz, że on nie żyje.

– Twarz widoczna na zdjęciu należy do Johna Meyera Freya.

– Przecież byłeś na jego pogrzebie.

Hutton położył dłoń na ramieniu Rubena, rękawy koszuli jak zwykle miał podciągnięte do łokci.

– Chcę pana prosić, żeby pan wrócił z nami teraz do Cincinnati. Tam pana przesłuchamy. Już dziś, w nocy. Potem przenocuje pan na miejscu. Znajdzie się jakieś porządne łóżko. A rano odbędzie się prawdopodobnie przesłuchanie uzupełniające.

* * *

Hutton i Clark czekali w przedpokoju, a Frey powoli pakował swoje kosmetyki i jedną zmianę ubrania, po czym włożył to wszystko do zbyt dużej jak na taką wyprawę walizki.

Czekali cierpliwie.

Przecież na zrobionym niedawno zdjęciu zobaczył swego syna, który już nie żyje.

CZEŚĆ II

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

STYCZEŃ

Miał wrażenie, że sylwester był dawno temu, choć minął dopiero jeden dzień. Vernon Eriksen odczuwał jednak ulgę, w końcu było już po wszystkim, ta ciągła gadanina, oczekiwania i wszyscy ci ludzie, którzy szykowali się na uroczystą kolację, aby potem – gdy już włożą eleganckie ubranie – odczuć rozczarowanie, tak jak zawsze, gdy wreszcie miało się okazać, czy marzenia się spełniły, i kiedy okazywało się, że jednak nie.

Zawsze pozostawał ten niesmak.

Godziny, których przybywało i które przyklejały się do skóry, ostatni dzień roku wiązał się zawsze ze wspomnieniami, a on tego nie cierpiał, prawie ich się bał, tak jak bał się samotności, którą odczuwał coraz mocniej.

Mama, która zmarła nagle na raka, kiedy prawie przestał być nastolatkiem, i obraz ojca, który ubierał ją w zakładzie pogrzebowym. Vernon stał wtedy kilka kroków dalej i widział, jak jego dłonie delikatnie myły jej skórę i jak płakał, gdy czesał jej włosy.

Sześć tygodni później jego ojciec powiesił się w piwnicy na jednej z belek pod sufitem.

Czasami Vernon uciekał myślami od stóp, które nie miały oparcia, od oczu, które błyszczały czerwienią. *To ja decyduję o życiu i śmierci.* Jego ojciec zawsze powtarzał te słowa z błyskiem w oku, za każdym razem, gdy zajmował się nieżywymi, gdy napełniał ich życiem przed pożegnaniem z najbliższymi. Posłuchaj, Vernonie, to nie Bóg i nikt inny, tylko to ja decyduję. Gdy wypowiadał te słowa, zdawało się, że przynosiły mu ulgę, a Vernon bardzo go kochał, spoglądali na siebie i wytrzymywali, chociaż zajmowali się czymś, o czym nikt nie mógłby nawet myśleć. Tamtego popołudnia, kiedy znalazł go wiszącego pod sufitem, właśnie o tym pomyślał, powtarzał sobie słowa ojca jak mantrę, na okrągło, aż w końcu zadziało, udało mu się go opuścić, objąć, może to nie było samobójstwo, może właśnie w taki sposób jego ojciec chciał pokazać, że to on zdecydował nawet o własnej śmierci.

Zostało niewiele godzin. Obrazy z przeszłości przyklejały się do niego, coraz bardziej czuł siłę samotności.

Nowy rok.

Przez całą noc padał śnieg, powietrze było rześkie, oddychał lekko i wsłuchiwał się w chrzęst śniegu pod nogami. Z domu wyszedł wcześniej rano, do samochodu wsiadł, kiedy nadal było ciemno, po czym pojechał okrężną drogą przez Mern Riffe Drive, ciągle ten sam rytuał od czasu, gdy był nastolatkiem, ukryte spojrzenia rzucane w stronę wielkiej willi Finnigana, oświetlona kuchnia i główny pokój i to, co go zawsze nachodziło, kiedy w środku widział Alice, było to często uczucie tęsknoty, czasem żalu, niekiedy radości, że chociaż przez jakiś czas może przebywać blisko tej kobiety.

Sądził, że obiecali sobie wieczność, miał dziewiętnaście lat i nie chciał zrozumieć tego, co mu powiedziała, kiedy odeszła któregoś dnia podczas tamtych dziwnych tygodni, gdy najpierw rak zabrał mu mamę, a później ojciec się powiesił.

I nagle otoczyła go wielka pustka, aż w niej utonął.

Jechał dalej w stronę Indian Drive i zabrał Rubena Freya, który był już gotowy i czekał na werandzie przed zamkniętymi na klucz drzwiami. Nie zdjęli płaszczy, tej zimy jakoś trudno było utrzymać ciepło w samochodzie, powinien był dać samochód do naprawy, ale drogo to kosztowało, więc przesuwał to z tygodnia na tydzień; tak minęły kolejne dwa miesiące, aż przyszła wiosna.

Siedzieli w milczeniu, jadąc w stronę drogi numer dwadzieścia trzy prowadzącej na północ, do Columbus. Zнали się od kilku lat, na początku tak, jak się znało wszystkich w Marcusville, jakieś rozmowy w sklepie o bzdurach, kilka słów wypowiedzianych podczas spotkania na ulicy. Tamtego dnia, kiedy wydarzyła się ta tragedia, gdy Elizabeth Finnigan została znaleziona na podłodze swego domu ze śladami spermy Johna Meyera Freya w pochwie, ich relacje uległy szybkiej odmianie. Vernon był szefem strażników w więzieniu na oddziale dla skazanych na śmierć, a Ruben był ojcem siedemnastoletniego chłopaka, który po aresztowaniu spędził tam kilka pierwszych nocy.

Minęło kilka lat, podczas których Ruben w ogóle przestał pokazywać się w mieście, a jeśli już wychodził z domu i spotykali się na ulicy, nie patrzył na Vernona, bo nie pozwalał mu na to wstyd.

Któregoś ranka siedzieli w Sofios, każdy przy swoim stole, i jedli placki z jagodami, czytali „Portsmouth Post”, potem spoglądali na siebie przez chwilę, lekko się uśmiechając, aż w końcu Ruben wskazał dłonią na puste krzesło stojące przy stole, zapraszając Vernona, aby się przysiadł, to może znowu ze sobą porozmawiają.

Vernon spoglądał wprost przed siebie, na szosę. W wilgotnym powietrzu, jakie otaczało ich w samochodzie, robiło się coraz cieplej i było mu coraz bardziej błogo, jego dłonie nie trzymały kierownicy tak mocno jak przed chwilą. Gdzieś na wysokości Piketon przyspieszył, do Columbus zostało jeszcze piętnaście kilometrów, będą tam za jakąś godzinę.

– Nigdy więcej nie wezmę już udziału w egzekucji. Mówiłem ci o tym?

Frey odwrócił się w stronę Vernona, potrząsnął głową.

– Chyba nie. Ale rozumiem cię.

– Za pierwszym razem miałem dwadzieścia dwa lata. Było nas dwunastu strażników, chłopak był Murzynem, nazywał się Wilson i miał dziewiętnaście lat. Skazano go za dwa zabójstwa i kilka gwałtów. Moje zadanie polegało na tym, aby razem z kilkoma innymi

strażnikami przywiązać go do krzesła. A potem mogłem się już tylko przyglądać i uczyć.

Eriksen przełknął ślinę, potem skręcił w poprzeczny korytarz i znowu tam był, w tamtym pomieszczeniu, gdzie po raz pierwszy oglądał, jak komuś wymierzano sprawiedliwość.

– Pierwsze uderzenie o napięciu dwóch tysięcy woltów spaliło na jednej z jego nóg elektrodę, która po prostu odpadła. Strażnik, który powinien był ogolić mu prawą nogę, zrobił to niedbale. I wtedy kazali mnie to zrobić. Więc zrobiłem to jak należy, potem trzymałem mocno nogę, podczas gdy ktoś inny założył nową elektrodę.

Vernon zerknął na swego pasażera. Ruben milczał, patrzył tylko wprost przed siebie, w ciemność.

– Następne uderzenie trwało trzy minuty. Nigdy nie zapomnę tego okropnego widoku. Żyły na karku prawie mu popękały. Ręce poczerwieniały, a potem zrobiły się białe. Palce u rąk i u nóg, twarz, wszystko uległo jakby skrzywieniu, no i ten cholerny dźwięk, jakby ktoś smażył mięso na patelni. Rozumiesz? A jego oczy... miał na głowie jakiś kaptur, ale to nie miało znaczenia, bo oczy wyszły mu na wierzch i stoczyły się po policzkach. Chłopak zesrał się w spodnie, po brodzie ciekła mu ślina i wymiotował krwią.

Zakręt, którym jechali, przeszedł w nowy zakręt, a potem zaczął się prosty odcinek drogi. Vernon zmienił bieg, przyspieszył.

– Kiedy nastąpiło trzecie uderzenie, chłopak zaczął się palić! Gasiliśmy ogień, który wydobywał się z jego ciała! Najgorszy był jednak smród, trudno go opisać. Słodkawy. Smród przypalonego mięsa. Jak podczas wieczornego barbeque w ogródku, wiesz, co mam na myśli. Taki sam, jaki rozchodzi się wieczorem z każdego ogródka w Marcusville.

Frey słuchał go w milczeniu. Na dworze robiło się coraz jaśniej, wstawał dzień. Widział przed sobą swego syna. Długi, ciemny korytarz z kolejnymi celami. John siedział tam i czekał każdego dnia, każdego tygodnia i miesiąca, czekał, aż przestanie żyć, czekał na śmierć, która zbliżała się szybkim krokiem.

– Tak naprawdę zdecydowałem się już wtedy. Już za pierwszym razem. Miałem dosyć tego, że nie można decydować o swoim życiu i śmierci, nie mogłem w tym dłużej uczestniczyć. Przed kolejną egzekucją wziąłem zwolnienie lekarskie i od tamtej pory robię to za każdym razem.

Ostatni kilometr pokonywali w chwili, gdy wstawał dzień, już wcześniej dostrzegli zarysy Columbus. Niecały milion mieszkańców, jedno z największych miast w Ohio, sam środek stanu, łatwiej można tam było znaleźć pracę; w Marcusville wielu było takich, którzy każdego dnia dojeżdżali pięć kilometrów w jedną i drugą stronę.

Parking przed Doctors Hospital Ohio Health był już całkowicie zastawiony samochodami. Vernon musiał objechać go dwa razy, zanim dostrzegł jakąś kobietę, która wolno szła w stronę jednego z samochodów, a po chwili odjechała, zwalniając miejsce. Vernon skręcił w tamtą stronę i znalazł się tam dokładnie w tej samej chwili co jakiś duży jeep; stali tak naprzeciw siebie i Vernon ze złością przeszywał drugiego kierowcę wzrokiem, aż tamten zrezygnował; podniósł środkowy palec i odjechał.

– Przez cały ten czas poznałem w więzieniu różnych morderców, każdy był inny.

Nadal siedzieli w samochodzie, a Vernon chciał kontynuować swą opowieść, bo wydawało mu się, że Ruben chce jej wysłuchać do końca.

– Wiem, jak wyglądają. Wiem, jak się zachowują, jak myślą. Jak patrzy na ciebie ktoś, kto jest winien.

– Ja wiem, że John był niewinny.

– Też jestem o tym przekonany. Inaczej nie przyjeżdżałbym tu dzisiaj.

Vernon był tu kilka razy wcześniej. Wszedł bez wahania do środka przez główne wejście, minął recepcję i skierował się w stronę wind, które łączyły dziewiąte piętro z resztą budynku. Stali obok siebie przed dwoma dużymi lustrami w windzie. Vernon, który był wysoki i miał rzadkie włosy czesane na pożyczkę, i Ruben, który był niski i miał ze trzydzieści, czterdzieści kilo nadwagi.

– Tak to już jest, Rubenie. Badania prowadzone na całym świecie pokazują, że około dwóch, trzech procent osadzonych zostało skazanych niesłusznie. To znaczy, że albo skazano ich za niewłaściwe przestępstwo, albo byli zupełnie niewinni. Niektórzy specjaliści twierdzą, że przypadków takich jest jeszcze więcej. Jeśli chodzi o Johna, to tak jak ty jestem przekonany, że on też należy do tej drugiej grupy.

Ruben uniósł rękę do twarzy i gdyby ktoś przyjrzał mu się bliżej, zauważyłby, że płacze.

– Niektórzy z tych dwóch procent siedzą też na moim oddziale. W bloku śmierci. Czekają na śmierć. I to my, państwo, pozbawimy ich życia.

Vernon spojrział w lustro na mężczyznę, który stał obok niego pochylony, i położył mu dłoń na ramieniu.

– To dlatego jest to dla mnie nie do przyjęcia. W każdym razie w moim świecie.

Kaplica znajdowała się w głębi korytarza na dziewiątym piętrze.

Dwie białe zapalone świece stojące na czymś, co Vernon zawsze uważał za ołtarz.

Trochę dalej kilka krzeseł i stojący przy nich stół.

Był tam już ksiądz, wielebny Jennings, a także młody lekarz, który nazywał się Lothar

Greenwood, i starsza od niego lekarka, Birgitte Biercoff. Vernon przywitał się z nimi, przedstawił im Rubena, który podał wszystkim rękę, a oni poinformowali go, że zrobią wszystko, aby jego syn nie umarł.

LUTY

W trzecim tygodniu lutego w zakładzie karnym w Marcusville odbyła się pierwsza od wielu lat egzekucja, jaką przeprowadzano w Ohio. Edward Finnigan stał na zielonej plastikowej wykładzinie, która miała pomieścić pięćdziesiąt osób. Nazywano ją „strefą dla świadków”. Przez kilka minut stał w zupełnej ciszy i razem z grupą ponad dwudziestu innych osób przyglądał się żelaznej klatce w kształcie koła pomalowanej na taką samą zieleń jak wykładzina. Na każdej ze ścian klatki znajdowały się duże okna, które przypominały facjatki. W środku leżał człowiek. Miał ponad czterdzieści lat i przez dziesięć lat czekał na swoją śmierć. Czarny, dość chudy mężczyzna miał na nazwisko Berry. Skazano go na śmierć za napad i morderstwo popełnione na pięćdziesięcioletnim mężczyźnie, któremu przy ladzie piekarni odebrał trzydzieści trzy dolary, a potem przystawił lufę do skroni.

Wyglądało to tak, jakby Berry spał. Głowa trochę przekręcona, oczy zamknięte, dwa mocne pasy biegnące wzdłuż ciała i sześć w poprzek, był nimi przywiązany w chwili śmierci, teraz leżał na białej pryczy z grubym, miękkim obiciem.

Jeden ze strażników mający na sobie mundur więzienny otworzył drzwi i podszedł do mężczyzny, który właśnie przed chwilą zmarł. Ostrożnie uniósł jego ramiona i wyciągnął pierwszy z trzech wentyli.

Finnigan nie mógł się poruszyć.

Patrzył na kogoś, kto już nie oddychał, patrzył na siostrę i szwagra zamordowanej ofiary, jak stoją przed tym, kogo nienawidzili, i płaczą z bólu, a zarazem odczuwają ulgę; wprawdzie ten, którego kiedyś kochali, już nie wróci, ale człowiek, który przyznał sobie

prawo odebrania mu życia, też już nie żył, otrzymał należną karę, a rodzina satysfakcję.

Teraz znowu się to stanie.

Kiedy wszystkie procedury dobiegną końca.

Finnigan wzdrygnął się i poczuł, jak jego ciało znowu się porusza, choć nie był w stanie nim kierować. Przecież czeka już od tak dawna. Od dziesięciu lat. Przez dziesięć ostatnich lat zabójca jego córki siedział niedaleko od tego miejsca, w innym skrzydle tego samego budynku i ciągle jeszcze żył. Działacze protestujący przeciwko karze śmierci i adwokaci skazanego dwa razy doprowadzili do przesunięcia daty egzekucji. Ale to już koniec. W Ohio od dzisiaj znowu będzie można wykonywać karę śmierci. Już niedługo oni doczekają się satysfakcji, on i Alice. Potem zazną wreszcie spokoju. Należy im się sprawiedliwość. Potem będą mogli żyć dalej.

Chłopak, który zabrał im córkę, też za to zapłaci.

On też niedługo będzie tam leżał, w tej klatce, trzy wentyle w ciele i serce, które już nigdy nie zabije.

Finnigan czekał jak zawsze. Inne osoby napatrzą się, wypłaczą albo będą rzucać przekleństwami, a potem pójdą do domu. Ale on zostanie, przejdzie się powoli koło trzech okien. Zechce napatrzeć się na tych, co umierają, życie za życie, a potem przez szybę na nich napluje, na tych, co już nigdy nikomu nic nie odbiorą.

Uzgodnił z naczelnikiem więzienia, że chce się potem przejść po bloku śmierci, a ten poinformował o tym strażników w bloku wschodnim. Od ostatniego razu upłynęło już sporo czasu. Chciał tylko zobaczyć, jak tamten wygląda, czy się jakoś zmienił, czy śmierć zaczęła go już zżerać.

Powietrze śmierdziało wilgocią. Zawsze tak było. Od ostatniej wizyty zdążył już zapomnieć, jak duszno jest w korytarzu, wzdłuż którego po obu stronach mieściły się cele.

Zatrzymał się kilka metrów przed jego celą. Ten bydlak niczego się nie spodziewa. Kilka kroków i już stał przed kratami celi numer osiem.

– Teraz twoja kolej. Kiedy lato się skończy.

John Meyer Frey leżał z twarzą zwróconą w stronę ściany. Nie spał, raczej drzemał.

– Odejdź.

Ale znowu usłyszał ten głos, choć starał się go nie słyszeć.

– To było tak dawno, Frey.

– Odejdź stąd.

– Niedawno widziałem jednego z twoich koleżków. Już go nie ma. Jesienią nie będzie także ciebie. Tym razem nie pomogą ci żadne wnioski o ułaskawienie.

– Ja nie mam przyjaciół.

Frey skończył niedawno dwadzieścia osiem lat. Jako siedemnastolatek trafił do tej celi. Nie bardzo wiedział, co się stało. Wszystko rozegrało się tak szybko, że nawet się nie zorientował, jak tu się znalazł.

– To przez twoją spermę, którą w niej znaleźli!

– Ja ją kochałem.

– Zabiłeś ją!

– Wiesz, że tego nie zrobiłem.

John spojrział na mężczyznę z wąsami i ciemnymi, zaczesanymi do tyłu włosami, na jego oczy, nigdy przedtem nie widział takich oczu, nawet tutaj, między tymi wszystkimi szaleńcami.

– Od ostatniego razu, kiedy ci czytałem, minęło już kilka lat.

Znowu ta książka w rękach Finnigana, czerwona okładka, pozłacane brzegi kartek.

– Dziś będzie Księga Liczb, rozdział trzydziesty piąty, werset szesnasty i dziewiętnasty. Chciałbym, żebyś to zapamiętał, Frey.

John się nie odezwał. Nie mógł.

– *Jeżeli kogoś jednak tak pobił przedmiotem żelaznym, iż tamten umarł, jest zabójcą, a jako taki musi zostać zabity*³.

Finnigan mówił napiętym głosem, wyrzucał z siebie to, co chciał przekazać.

– *Zabójcą winien zabić mściciel krwi, gdziekolwiek go spotka, może go zabić*⁴.

Zamknął Biblię, a towarzyszący temu trzask odbił się echem po całym korytarzu.

– Pamiętaj, Frey, kiedy skończy się lato. Idą nowe czasy w Ohio. Kiedy lato się skończy, ci pierdoleni obrońcy praw człowieka mogą sobie żądać przesunięcia daty egzekucji, ile tylko będą chcieli. A ja pracuję tam, gdzie pracuję. I wiem to, co wiem. Kiedy lato się skończy, poczytam ci po raz trzeci i będą to ostatnie słowa, jakie usłyszysz.

– Moja śmierć nie przywróci Elizabeth do życia.

Finnigan zrobił ostatni krok do przodu, dotknął metalowych prętów i splunął do środka.

– Ale ja będę mógł dalej żyć! I Alice też! A wszyscy inni przeczytają, usłyszą i dowiedzą się, że ten, co zabiera, musi też oddać.

John się nie ruszał.

³ Lb (35;16)

⁴ Lb (35;19)

– Rozejrzyj się, Finnigan. Uważasz, że jest tu tylu ludzi, żeby inni się czegoś nauczyli?

– Umrzesz! Ona była naszym jedynym dzieckiem!

– A ja nim nie byłem.

Na zewnątrz zaczął wiać wiatr. W bloku śmierci nikt tego nie widział, ale za to można go było usłyszeć. Ci, którzy czekali na śmierć, po pewnym czasie nauczyli się słyszeć wiatr i deszcz. Johnowi wydawało się czasem, że nawet słyszy, jak śnieg pada na dach. Teraz też to tak brzmiało. Kiedy Finnigan zaczął szydzić. Jakby padał śnieg.

– Wiem o każdym wyroku, który wydano na takich jak ty, Frey!

Finnigan biegł środkiem korytarza i kopał na niby cele, a także tych, którzy siedzieli w nich zamknięci. Skazańcy odwracali się w stronę człowieka, który nie mógł się powstrzymać od takiego zachowania.

– Popatrz tutaj, Frey! To Savage, z tej celi, skazany za zamordowanie mężczyzny w średnim wieku! A przez cały pieprzony proces twierdził, że jest niewinny!

Finnigan poruszał się we wszystkie strony, pokazywał palcem więźniów siedzących w celach i nie słyszał, że na samym końcu korytarza jeden ze strażników otworzył drzwi, a trzech innych pospieszyło w jego stronę betonowym korytarzem.

– Popatrz tutaj, Frey! Ten wysoki, czarny bydlak, co tam stoi, nazywa się Jackson. Skazany za brutalny gwałt i morderstwo. Według opinii lekarza sądowego uprawiał potem seks z ofiarą. I nie uwierzysz! Nie uwierzysz, Frey! On też twierdził podczas całego procesu, że jest niewinny!

Trzej strażnicy biegli coraz szybciej i już za chwilę chwycili Finnigana dłońmi w białych rękawiczkach, a kiedy prowadzili go do wyjścia, słychać było brzęk kluczy wiszących im u pasa. Żaden z nich nie powiedział ani słowa na widok dłoni z uniesionym środkowym palcem, które wyciągały się w ich kierunku z cel.

John był zmęczony.

Nienawiść, jaką okazywał mu ojciec Elizabeth, za każdym razem przybierała na sile. Ostatnimi razami groźby Finnigana, jakoby nadszedł jego czas, a szans na odroczenie egzekucji jest coraz mniej, były czymś więcej niż tylko luźnymi frazesami, którymi chciał go pognać. John wiedział, że to prawda. Że czasu jest coraz mniej. Że zaczyna przegrywać.

Znowu położył się na pryczy.

Słuchał. I słyszał.

Choć w lutym śniegu spadło już sporo, padał nadal, a najwięcej właśnie teraz, gdy zbliżał się wieczór; to właśnie wtedy John słyszał szum spadającego śniegu.

MARZEC

Kończył się marzec, a Vernon Eriksen po raz ósmy w ciągu ostatnich trzech miesięcy pokonywał odcinek między domem w Marcusville a szpitalem w Columbus. Za każdym razem jego pasażerem był Ruben Frey. Za każdym razem Frey kurczył się coraz bardziej, wprawdzie nadal był potężnie zbudowanym mężczyzną, ale mimo to jakby się skurczył. Tak dzieje się wówczas, gdy nadzieja jest coraz słabsza i coraz trudniej się jej trzymać.

Tym razem ją czuł, czuł, że jest blisko.

Tego dnia na parkingu było wiele pustych miejsc i nawet winda jadąca na dziewiąte piętro była pusta. Drzwi do kaplicy zastali otwarte, wielebny Jennings też już na nich czekał, podobnie jak Lothar Greenwood i Birgitte Biercoff. Dwie nowe twarze w głębi pomieszczenia, prawnicy Anna Mosley i Marie Mohrhaus, młode kobiety, z którymi Vernon i Ruben przywitali się, dziękując, że zechciały się z nimi spotkać.

Kiedy miesiąc wcześniej odbyła się egzekucja Wilforda Berry'ego skazanego na śmierć za zabójstwo pięćdziesięcioletniego piekarza, poczuli się tak, jakby ich wspólna praca, jaką wykonywali od lat, poszła na marne. Od poprzedniej egzekucji w Ohio upłynęło już wiele czasu, lecz teraz dominowały inne nastroje, jak gdyby argumenty za karą śmierci wzięły górę.

Czterostronicowe oświadczenie napisane przez gubernatora stanu zmieniło wszystko.

Adwokaci mogli teraz wrzucić swoje prawne zastrzeżenia do kosza. Leżały tam już listy z protestami organizacji społecznych, jak również sprzeciw lekarzy – jako że Berry był poważnie upośledzony – a także opinia Kościoła oparta na argumentach natury moralnej, w której powoływano się na fakt, że Jezus pobłogosławił łotra, który został ukrzyżowany obok niego.

Gubernator Ohio pominął wszystkie te argumenty. W czasie swej kampanii wyborczej obiecywał przywrócenie kary śmierci, a teraz po prostu spełniał obietnicę; zastrzyk z trucizną wstrzykniętą Berry'emu potwierdzał fakt sprawowania władzy. Nie było wielką tajemnicą, że

teraz, kiedy w Ohio wykonano karę śmierci, egzekucji przybędzie. Vernon był tego świadom. I Frey też. Od teraz z bloku śmierci do Domu Śmierci będą prowadzić kolejnych skazańców, aby wstrzyknąć im zastrzyk, który osobom sprawującym władzę zapewni spokój.

A teraz siedzieli razem przy stole stojącym przed ołtarzem i spoglądali na siebie, Jennings, lekarze, prawnicy, Vernon i Ruben; wszyscy oni byli członkami grupy Ohio Coalition to Abolish Death Penalty⁵.

Wiedzieli, że muszą się spieszyć.

Wilford Berry został skazany na śmierć wiosną 1989 roku, co oznacza, że na egzekucję czekał dziesięć lat.

John Meyer Frey, który nadal czekał w celi na wykonanie kary, usłyszał wyrok w tym samym roku co Berry, tyle że kilka miesięcy później.

KWIECIEŃ

Mniej więcej w połowie kwietnia konsekwencje egzekucji na Wilfordzie Berrym dały o sobie znać na terenie całego Ohio. Kiedy dwa miesiące wcześniej stugramowa dawka chlorku potasu na zawsze przerwała pracę serca chorego psychicznie mordercy, uznano to za wydarzenie symboliczne, które jeszcze zwiększyło rozdźwięk między zwolennikami kary śmierci a jej przeciwnikami. Argumenty przeciwko prawu władz stanowych do odebrania człowiekowi życia przegrały z argumentami na rzecz prawa rodzin ofiar do sprawiedliwości; natomiast uznano, że lepiej będzie przeprowadzać odstrasżające egzekucje, niż wdrażać działania mające zapobiegać przestępczości.

Po wielu latach oglądania pustych cel w Domu Śmierci większość mieszkańców Ohio zdecydowała, że znowu należy je zapelnąć więźniami skazanymi na śmierć.

⁵ Koalicja stanu Ohio na rzecz zniesienia kary śmierci.

Kolejka tych, którzy oczekiwali na egzekucję, była długa.

Skazańcy z zakładu karnego w Marcusville krzyczeli teraz po nocach jeszcze głośniejsze i odliczali kolejne dni.

John Meyer Frey siedział w celi numer osiem.

Wiedział, że teraz, kiedy gubernator przywrócił stanowe prawo do wykonywania wyroków śmierci, jego czas zbliża się wielkimi krokami.

Gdy wiał silny wiatr, a jego poddmuchy uderzały w odpowiednim kierunku, John słyszał tamte dźwięki. Dobiegały zza wąskich okien pod sufitem i były wołaniem, które rozbrzmiewało przy bramie wejściowej po drugiej stronie muru; skandowali demonstranci stojący na zewnątrz, było ich coraz więcej, a w ciągu tych kilku dni zachowywali się coraz głośniejsze.

Rozpoznał jeden z tych głosów.

Wiedział, że na czele idzie Edward Finnigan i że to on woła najgłośniejsze: *Burn, John, burn.*

MAJ

To był naprawdę piękny dzień, czuć było wiosnę, zielen i nadzieję, pierwszy tydzień maja. A mimo to zanosilo się na kłopoty.

Eriksen obudził się wcześniej, nocą postanowił, że znowu pojedzie do Columbus, do szpitala, do Greenwooda i Biecoff, obojga lekarzy, którzy mieli tam dzienny dyżur. Nie mogli już dłużej czekać. Czas mijał, a oni tylko się przyglądali, a przecież powinni oszczędzać każdą minutę, bo sprawa Johna Meyera Freya stała się w biurze gubernatora Ohio kwestią polityczną i prestiżową. Miał umrzeć. Tego chciały władze. Jego śmierć stanie się kolejnym symbolem dla zwolenników kary śmierci i zaspokoi poczucie sprawiedliwości Edwarda Finnigana. Za zgodą państwa życie miał stracić człowiek niesprawiedliwie skazany, Eriksen

był o tym przekonany.

Ruben Frey już przed północą stał na jego werandzie i stukał do drzwi; Vernon od razu mu otworzył, wciągnął go do środka i dość niegrzecznie zatkał usta dłońmi; po raz drugi musiał mu wyjaśnić, że pod żadnym pozorem nie wolno mu utrzymywać znajomości z rodzinami skazańców, bo podobnie jak inni jego koledzy z więzienia jest regularnie kontrolowany i podsłuchiwany i dlatego, jeśli nadal chce pracować tam jako szef strażników, musi udawać, że do kary śmierci ma nastawienie pozytywne.

Jednak Vernonowi trudno było przemówić Rubenowi do rozsądku i dlatego uderzył go mocno w twarz, bo nie miał innego wyjścia. Potem zamknął żaluzje i usiedli razem przy kuchennym stole, nalali sobie do szklanek kanadyjskiej whisky, przesiedzieli tak pół godziny w ciszy, aż w końcu Frey ponownie mógł mówić.

Głos miał zachrypnięty, łamiący się.

Jestem zwolennikiem kary śmierci, wyszeptał ledwie słyszalnie. Zawsze nim byłem. Czy potrafisz to zrozumieć, Vernon?

Nie.

Wierzę, że jeśli się komuś odbiera życie, trzeba oddać własne. To nie takie proste, Rubenie.

No to posłuchaj mnie! Gdyby John był winny, gdyby zamordował Elizabeth Finnigan, to nie miałbym nic przeciwko temu, żeby smażył się w piekle.

Ruben Frey opróżnił szklaneczkę z whisky, podczas gdy Vernon nie zdążył nawet napelnić swojej. Wskazał więc na pustą szklankę, a Vernon skinął głową i ponownie sobie nalał.

Ale przecież ja wiem, że on tego nie zrobił.

Pochylił się, żeby złapać Vernona za dłoń, ale nie sięgnął jej, a może to po prostu Vernon ją cofnął...

Przecież nie mogą mu tego zrobić, jeśli jest niewinny! Vernon! Jeśli jest niewinny, jeśli nie...

Potężnie zbudowany Frey o łagodnych oczach nie dokończył zdania, bo nagle skurczył się, opadł na jedno z kuchennych krzeseł i oparł głowę o blat stołu kuchennego.

Przez chwilę Vernon sądził, że to wylew krwi do mózgu.

Że Frey umiera na jego oczach.

Frey na chwilę stracił przytomność, silnie się pocił. Vernon pomógł mu wstać i podtrzymywał go, szli powoli do sypialni na piętrze, gdzie położył go ostrożnie w ubraniu na jedynym łóżku w tym domu i przykrył kocem, bo cały drżał. Potem siedział przy nim, aż

zasnął, a później znowu zszedł do kuchni, by napić się whisky, która tam na niego czekała, podobnie jak długa noc.

I wtedy podjął decyzję. W ciemnym domu, gdzie słychać było głucho chrapanie Rubena. John Meyer Frey nie umrze przypięty do łóżka, z rurkami przyczepionymi do ramion.

* * *

Z Marcusville wyjechał, kiedy było jeszcze ciemno, tak jak to robił zwykle, i chociaż zalegała lekka mgła, jechał z dużą prędkością. Po ujechaniu ponad kilometra zatrzymał się na stacji benzynowej, poprosił o telefon, który z pewnością nie był na podsłuchu, i uprzedził oboje lekarzy, że jest w drodze. Oboje pracowali na izbie przyjęć, a tego ranka mieli mnóstwo pracy z powodu dwóch wypadków autobusowych, które wydarzyły się w pobliżu Columbus jakąś godzinę wcześniej, gdy panowały największe ciemności. Uzgodnili jednak, że przyjedzie do szpitala, na pewno znajdą dla niego chwilę między jakąś diagnozą a zabiegiem.

Potem wykonał jeszcze jedną rozmowę telefoniczną.

W słuchawce rozległ się roztargniony głos Rubena Freya, który nadal zmęczony leżał w jego łóżku. Vernon poprosił go, aby skontaktował się z jednym z oddziałów Ohio Savings Bank w Columbus, który znajduje się na West Henderson Road, i poprosił o przygotowanie dokumentów związanych z hipoteką domu. Urzędnicy banku nie stawiali dociekliwych pytań, a pieniądze były podstawowym warunkiem realizacji kolejnego etapu.

Vernon przeszedł jak zwykle szybkim krokiem przez główne wejście do budynku szpitala, ale tym razem skręcił od razu w prawo, w długi korytarz. Dwieście metrów, po obu stronach zwykle, zbyt jasne drzwi, a potem grube, czerwone, metalowe.

Otworzył ostanie z nich i zrozumiał. Izba przyjęć na ostrym dyżurze przypominała strefę wojny. Ludzie, przytomni i nieprzytomni, siedzieli w wózkach bądź leżeli na noszach na całym korytarzu. Rodziny płakały, czekały lub wyklócały się podniesionym głosem w recepcji. Lekarze, pielęgniarki i sanitariusze w białych, zielonych i pomarańczowych kurtkach. Najpierw ujrzał Greenwooda, a kilka minut później Biercoff, oboje nie widzieli go, biegali między pacjentami a gabinetem, więc usiadł na twardej ławie z jasnego drewna, poczeka chwilę, aż w korytarzu zrobi się luźniej, aż wszyscy poszkodowani otrzymają pomoc.

* * *

W końcu półtorej godziny później usiedli w jakimś pustym pokoju; Greenwood był

cały spocony na twarzy, a Biercoff miała mokre plamy pod pachami. Vernon poprosił, żeby jeszcze trochę poczekali, a potem wyszedł na chwilowo pusty korytarz, podszedł do automatu z napojami stojącego w rogu między regałem z książkami dla dzieci i pogniecionymi tabloidami, wrzucił do środka trzy półdolarówki i za chwilę niósł trzy kubki czarnej kawy; były gorące i parzyły go w palce.

Usiedli na krzesłach, a kubki z kawą ustawili na pustych noszach, które posłużyły im za stół. Pili, a ciepło powoli rozpląywało się po ich zmęczonych członkach. Decyzja, którą zamierzali podjąć, miała odmienić ich życie już na zawsze.

Nie chodziło o to, co zamierzali zrobić. O tym już wiedzieli. Na kilku poprzednich spotkaniach omawiali kolejne etapy w przekonaniu, że nie mają innego wyjścia. Chodziło im raczej o to, czy zdołają to zrobić.

Vernon wypił resztę kawy i spojrzał na pozostałych. To on miał podsumować apele, które nie odniosły skutku: od prawników, lekarzy i Kościoła, apele o humanitarne podejście, o to, aby państwo nie odbierało człowiekowi życia; jednak i tym razem wszystko wylądowało w koszu na śmieci. Gubernator stanu Ohio podjął decyzję. Nie będzie aktu łaski ani odroczenia terminu egzekucji. Był już maj, termin został wyznaczony, Frey zostanie zabity za pomocą zastrzyku z trucizną trzeciego września o godzinie 21.00.

Mieli na wszystko niecałe cztery miesiące.

– Panie Eriksen?

– Słucham?

– To chyba dla pana ważna sprawa?

– Tak.

– A jak ważna?

Vernon nie był pewien, czy lekarze zdołają go zrozumieć. Obydwoje mieli dzieci, on był żonaty, ona była mężatką.

– No więc... no więc sądzę, że to jest tak: nie chcę się przyglądać, kiedy odchodzi przyjaciel. Ani razu więcej. Tak to odbieram. Jak obserwowałem odejście członków swojej rodziny... która nie jest zbyt liczna. Może trudno wam to będzie zrozumieć, ale tak to właśnie jest.

Greenwood poruszył lekko głową w geście zrozumienia.

– Brzmi to tragicznie.

Eriksen oddychał ciężko.

– To ja tam chodzę i ich pilnuję – ludzi, którym społeczeństwo chce wymierzyć sprawiedliwość. Na których społeczeństwo chce się zemścić. Których chce zamordować.

Pilnuję ich tam codziennie. I czuję się, jakbym uczestniczył w tym... fizycznie. Przecież ja tam jestem i dopuszczam się tej zbrodni. Rozumiecie?

Zamachał rękami.

– Ale przecież to nie moja zemsta. Ja już nie wierzę w taką sprawiedliwość, w zemstę, w społeczeństwo, które odbiera życie. A John... jestem pewien, że jest niewinny.

Vernon spoglądał na oboje lekarzy, którzy milczeli, poprosił ich, aby przez kilka minut w spokoju zastanowili się nad jego słowami, podczas gdy on sam wyjdzie do poczekalni po trzy nowe kubki kawy.

Kiedy wrócił, już zdecydowali.

Spojrzał na nich. Właściwie to nic na ten temat nie mówili, tylko pochylili się ku sobie i powtórzyli to, co mówili wcześniej.

Greenwood i Biercoff postanowili jeszcze tego samego dnia starać się o wakujące stanowiska lekarzy w zakładzie karnym w Marcusville; oba zwolniły się wiosną i jeszcze nikt ich nie objął. Mieli ubiegać się o zatrudnienie na pół etatu, uzasadniając to tym, że chcą zachować swoje pół etatu w szpitalu w Columbus; zadeklarowali też, że mogą zacząć pracę już od pierwszego czerwca.

Z kolei Vernon nadal miał dosypywać w swoim pokoju w więzieniu haldol i ipekakuanę do jedzenia Johnowi, tak jak czynił to regularnie od początku roku.

Greenwood i Biercoff, zaraz po rozpoczęciu pracy, mieli zbadać więźnia z celi numer osiem, który faszerowany przez kilka miesięcy haldolem i ipekakuaną, narzekał, że czuje się źle i jest mu niedobrze. Wtedy oboje, na podstawie zdjęć rentgenowskich, które przechowywali już w skrytce bankowej, będą mogli postawić diagnozę, że to kardiomiopatia, po czym stwierdzą, że mięsień sercowy Johna nie funkcjonuje jak należy, a serce staje się stopniowo coraz większe.

Potem odczekają przez lato, mniej więcej do połowy sierpnia. I właśnie wówczas zrobią to, co zaplanowali. To, co już wcześniej szczegółowo omówili, krok po kroku, każdy drobiazg, każdą sekundę i minutę.

John Meyer Frey miał zrobić to, czego nikt przed nim wcześniej nie zrobił.

Miał uciec z bloku śmierci.

Miał umrzeć, aby uciec przed śmiercią.

CZEŚĆ III

ŚRODA

Ewert Grens przespał może godzinę, między piątą a szóstą, z plecami wkulonymi w ciasną kanapę stojącą w biurze. Stos faksów, które przez cały wieczór aż do późnej nocy przynosił mu Klövje, leżał rozrzucony po podłodze, podobnie jak protokoły z sekcji wymieszane z raportami policjantów patrolujących dzielnicę. Grens cieszył się tylko, że przynajmniej strony są ponumerowane.

Wydruk z informacjami na temat dochodzenia prowadzonego w sprawie więźnia osadzonego w zakładzie karnym w południowym Ohio leżał na brzuchu Grensa; był pomarszczony, zaplamiony jedzeniem, jak i inne dokumenty.

Przypomniawszy sobie tego cholernego kota.

Kiedy próbował zasnąć, usłyszał jego miauczenie dobiegające z podwórka; kot siedział na policyjnym parkingu, a Grens nie potrafił określić, czy zwierzę było podniecone, rozłoszczone czy po prostu samotne, nie miał nawet ochoty tego sprawdzić, a kot miauczał tak, jak tylko koty potrafią; Grens jak przez mgłę przypomniał sobie, że nawet sięgnął po służbowy pistolet i zgodnie z regulaminem wystrzelił w stronę kota najpierw dwa strzały ostrzegawcze; celował specjalnie trochę wyżej, ale na tyle blisko, że miauczenie w ciągu kilku minut ustało. Potem znowu je słyszał i zastanawiał się, czy nie powinien strzelić kolejny raz, ale tym razem wycelować dokładniej, skutecznie; zrezygnował jednak i po pewnym czasie, kiedy wydawało mu się, że miauczenie ucichło – a może po prostu już go nie słyszał – powoli zasnął.

Grens wstał z kanapy.

Czuł się tak, jakby miał dziurę w plecach.

Spojrzał na budzik stojący na biurku. Kiedy dzwonił do Svena, Ågestama i Hermansson, było już późno, ale zrozumieli, że musiał, i godzinę później, o siódmej, siedzieli już w jego pokoju, słuchając relacji o tym, jak przez całą noc czytał dokumenty dotyczące sprawy, z którą zetknął się dopiero teraz.

* * *

Cała trójka zjawiała się na miejscu przed czasem.

Kiedy siedzieli już na krzesłach, Grens spojrzał na nich z zadowoleniem. Mieli zaczerwienione oczy, cerę bledszą niż zwykle, a Ågestam, który zjawiał się pierwszy, był nawet trochę rozczochrany, choć zazwyczaj starannie układał włosy.

– John Schwarz – zaczął cicho Grens.

Były to jedyne słowa, jakie wypowiedział. Sprawa była niezwykle interesująca, a on zachowywał się tak, jakby chciał, żeby jego opowieść trwała jak najdłużej.

– On nie żyje.

Ich twarze... Grens rozkoszował się ich zmieszaniem, bo nie wiedzieli, czy sobie z nich kpi, czy też są tak zmęczeni, że nie zrozumieli.

– Ewert, przecież ja wczoraj...

Inspektor machnął ręką w stronę Svena i poprosił go, aby usiadł i po prostu wysłuchał go w milczeniu.

– Schwarz nadal siedzi w swojej celi w areszcie w Kronobergu.

Wskazał na ścianę za swoimi plecami, w stronę aresztu.

– I można powiedzieć, że ma się całkiem dobrze. Oczywiście uwzględniając fakt, że zmarł sześć i pół roku temu.

– Grens, o co w tym wszystkim chodzi?

Prokurator Lars Ågestam podniósł się z krzesła i stanął na drżących nogach.

– Ty też siadaj.

– Nie siadę, dopóki nie powiesz, o co chodzi.

– Dopiero jak usiądziesz.

Grens uśmiechał się. I czekał.

– Jeśli usiądziesz, wyjaśnię ci, dlaczego warto jest czasem wziąć pod uwagę powody osobiste.

Ågestam rozejrzał się po pokoju, a następnie rozsiadł się wygodnie.

– John Schwarz umarł, kiedy czekał na swą egzekucję w więzieniu w Marcusville, małej miejscinie w południowym Ohio.

I znowu te ich twarze o nieco nieobecnym wyrazie.

– W tamtym czasie nazywał się John Meyer Frey. Przez ponad dziesięć lat siedział w bloku śmierci skazany za zamordowanie szesnastoletniej dziewczyny. Zmarł w celi na coś, co nazywa się chyba kardiomiopatia.

Grens wzruszył ramionami.

– To taka choroba, że serce rośnie tak długo, aż w końcu szlag je trafia.

Wziął szklanę z wodą, która stała obok budzika na biurku. Wypił do dna, napełnił ją ponownie, tym samym opróżniając dość brudny dzbanek.

– Ktoś chce?

Potrząsnęli przecząco głowami.

Napił się znowu, trzy łyki i odstawił pustą szklanę.

– John Schwarz to nasz John Doe, a właściwie John Meyer Frey. Zmarły obywatel Stanów Zjednoczonych.

Grens uśmiechnął się.

– Moi drodzy, dokonaliśmy wszyscy czegoś niezwykłego. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Aresztowaliśmy trupa.

Zegar w kościele Świętej Eleonory wybijał właśnie siódmą, gdy Thorulf Winge otworzył zewnętrzne drzwi prowadzące do budynku przy ulicy Nybrogatan i wyszedł na zewnątrz, gdzie poczuł lekki podmuch zimnego wiatru. Jak zwykle kilka kroków przez ulicę, świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy w kubku w otwartej od wczesnych godzin rannych kawiarni, z której dochodził zapach cynamonowych bułeczek i grubszych bułek, z nadzieją w środku.

To był fatalny ranek.

O wpół do piątej skończył ostrą rozmowę z Waszyngtonem, którą za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych łączono do jego mieszkania. Podsekretarz stanu Winge przyzwyczał się do takich sytuacji, nic więc dziwnego, że jego noce od czasu do czasu tak właśnie wyglądały. Musiał odpowiadać na wszystkie te pytania wymagające natychmiastowych odpowiedzi, przekazać informacje, które należało przygotować, zanim wstanie dzień.

Tym razem jednak zdarzyło się coś, czego jeszcze nigdy nie przeżył.

Chodziło o pewnego amerykańskiego więźnia skazanego na śmierć, który zmarł w swej celi, oczekując na egzekucję. O tego samego, który nie żył i leżał w grobie od sześciu lat. A teraz okazało się, że został aresztowany w Sztokholmie.

Winge szedł powoli ulicą Nybrogatan w dzielnicy Östermalm w stronę placu Gustawa Adolfa, gdzie miało swoją siedzibę MSZ. Był w niezłej kondycji, chociaż dwa lata wcześniej skończył sześćdziesiąt lat; był szczupły, trzymał się prosto, a włosy nadal miał gęste i ciemne. Pracował mniej więcej w tym samym tempie co inni, ale różnił się od tych, którzy zdążyli się już wypalić, bo nie potrafili regenerować sił; on nadal wyglądał na młodego, pełnego życia mężczyznę, co zawdzięczał długim godzinom spędzonym na świeżym powietrzu. I tylko temu.

Wypił sok, w którym pełno było owocowego miąższu, i wciągnął do płuc powiew zimowego powietrza; jeszcze raz przeanalizował długą rozmowę i dziwną wiadomość i przez

cały czas intensywnie zastanawiał się nad rozwiązaniem zagadki, która stopniowo zaczęła zajmować całą jego uwagę, bo taki miał właśnie zwyczaj: zaczynał szukać wyjaśnienia, rozwiązania, dokładnie w tym samym momencie, kiedy zaczynał się kryzys, był w tym dobry i wszyscy wokół – włącznie z nim samym – świetnie o tym wiedzieli.

Ta sprawa mogła stanowić nierozbrojoną minę.

Oto nagle znika więzień, kryminalista, który unika kary, potem okazuje się, że żyje sobie szczęśliwie na wolności, aż w końcu znowu trafia za kratki.

Chodziło jednak o coś innego. O prestiż, pewien rodzaj symbolu.

Przestępstwo, kara i sprawiedliwość dla ofiary – pojęcia te miały dla społeczeństwa amerykańskiego szczególne znaczenie. Przez ostatnie lata wiele się wydarzyło – powstały nowe więzienia, zaostrzono sankcje, a gubernatorzy, senatorowie i prezydenci wygrywali wybory dzięki obietnicom, że wprowadzą bardziej surowe prawo i przerwą spiralę przemocy. Ten mężczyzna, który siedział zamknięty w szwedzkim areszcie, mógł stanowić duże zagrożenie dla polityków ubiegających się o reelekcję. Za wszelką cenę trzeba go przewieźć z powrotem do kraju, osadzić w tej samej celi i przy aplauzie narodu i władzy przeprowadzić egzekucję, na zasadzie oko za oko, bo tak mówi księga praw.

Stany Zjednoczone wystąpią o ekstradycję aresztowanego.

A Szwecja, niewielki kraj w Europie, powinna się zgodzić.

Tymczasem w ciągu kilku ostatnich lat od podpisania nowej umowy ekstradycyjnej między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi szwedzkie Ministerstwo Sprawiedliwości informowało, że żaden kraj należący do Unii nigdy nie wyda innemu państwu kogoś, kto został skazany na karę śmierci.

Winge rozejrzał się i przeszedł przez rondo znajdujące się przed ministerstwem, przed budynkiem nazywanym Pałacem Księcia. Na ulicy panował nadal względny spokój, ruch był niezbyt intensywny i niewiele osób kręciło się jeszcze po ulicy biegnącej od budynku parlamentu do urzędu rady ministrów w Rosenbad.

Otworzył drzwi i wszedł do ogromnego budynku.

Potrzebował czasu i spokoju.

Potrzebował pełnej swobody działania; im później dowiedzą się inni, tym lepiej.

* * *

Grens przyglądał im się, a na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Ågestam był najzupełniej pewien, że Grens wprost upaja się tą sytuacją. Kiedy opowiadał im, co się

wydarzyło, kiedy ironicznie rzucił: „aresztowaliśmy trupa”, wyglądało to tak, jakby odżył, a jego zmęczone ciało i twarz okraszona ponurym uśmiechem promieniowały siłą; zdarzyło się coś, co było kłopotliwe i niesamowite, a sam Grens cieszył się, jak wtedy, gdy – przynajmniej tak twierdzili ci, co go dobrze znali – okazywało się, że znowu jest najlepszy i ma rację.

Ågestam siedział w milczeniu. Nigdy przedtem z czymś takim się nie spotkał i właśnie zamierzał postawić jedno z wielu pytań, jakie krążyły mu po głowie, gdy nagle zadzwonił jego telefon komórkowy. Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki, przeprosił i nie zwracając uwagi na poirytowany wzrok Grensa, wyszedł z pokoju na korytarz, który pachniał kurzem i jedzeniem.

Wiedział, kto dzwoni, choć nigdy go przedtem nie spotkał.

– Dzień dobry. Nazywam się Thorulf Winge, jestem podsekretarzem stanu w MSZ.

Ågestam nie musiał właściwie o nic więcej pytać. Domyślił się, o czym będzie ta rozmowa, zanim jeszcze Winge cokolwiek powiedział.

– Chciałbym się upewnić, że moje informacje są prawdziwe, że to pan prowadzi dochodzenie w sprawie niedawno aresztowanego mężczyzny, niejakiego Johna Schwarza.

– Dlaczego?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Wie pan, że obowiązuje mnie tajemnica służbowa w odniesieniu do kwestii, czy ktoś jest czy nie jest aresztowany.

– Proszę nie cytować mi kodeksu postępowania karnego.

Ågestam ujrzał kilku policjantów idących korytarzem, ale nie wiedział, czy dopiero zaczynali pracę, czy też skończyli właśnie nocny dyżur i szli do domu. Odsunął się trochę na bok, żeby nikt nie słyszał, o czym rozmawia.

– To, co pan sugeruje i czego chce pan się dowiedzieć, mógłbym uznać za naciski ze strony ministerstwa.

Usłyszał, jak Winge nabiera powietrza i szykuje się, żeby odpowiedzieć mu podniesionym głosem.

– Sprawy Johna Schwarza oficjalnie nie ma. I właśnie dlatego, bez względu na okoliczności, nie będzie pan w przyszłości odpowiadał na żadne pytania, które dotyczą aresztowanego. Sprawa zostaje utajniona, Ågestam. Utajniona!

Ågestam trawił te słowa, zdumiony i rozdrażniony.

– Panie sekretarzu, czy mam przez to rozumieć... polecenie w sprawie... nazwijmy to utajnienia, jako wskazówkę pochodzącą bezpośrednio z... Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

– Co za mądrala! No to poczekaj pan trochę, zaraz ktoś do pana zadzwoni.

Ågestam stał koło automatu do kawy. Wodnista, podła lura, którą zwykle pijał Grens. Spojrzał na napisy znajdujące się na czworokątnych przyciskach i wcisnął jeden. Nie wyglądało to najlepiej. Wziął jednak kubek, który napelnił się kawą, i napił się, bo w tej chwili tego potrzebował.

Dokładnie pięć minut później telefon zadzwonił ponownie.

Ten głos był mu już bardziej znany. Szef prokuratury. Jego bezpośredni przełożony.

Rozmowa była krótka.

Sprawa dotycząca aresztowanej osoby znanej jako John Schwarz od tej pory ma być opatrzona klauzulą tajności.

* * *

Ågestam postął jeszcze przez chwilę w korytarzu i dopił pozbawioną smaku kawę. Próbował zebrać myśli. Otrzymał bezpośrednie polecenie. Całkowicie niezgodne z prawem, ale jednak polecenie. Nie podobał mu się ton, jakim przemawiał do niego podsekretarz ministerstwa, czuł, że ma do czynienia ze starszym facetem, bo tak właśnie zachowują się ci, którzy żyją w kręgu władzy od tak dawna, że przestają ją dostrzegać, bo uważają za coś oczywistego.

Stanął przed zamkniętymi drzwiami, spojrzął na klamkę, położył na niej dłoń i otworzył drzwi.

Grens nadal stał wyprostowany, w ręce trzymał kilka raportów i czytał coś z jednego z nich. Sven i Hermansson siedzieli na swoich miejscach, słuchając uważnie, sprawiali wrażenie, jakby to, co słyszą, było dla nich z pewnych względów niewygodne. Kiedy Ågestam wszedł do pokoju, żeby usiąść na krześle, z którego podniósł się dwadzieścia minut wcześniej, cała trójka spojrzała na niego.

– No i? Czy to było tak cholernie ważne, że musiałeś wyjść z pokoju?

Mówiąc to, Grens wymachiwał w stronę młodego prokuratora zwojem papierów.

– Tak, to dość ważna sprawa.

Grens wykazywał oznaki zniecierpliwienia i jeszcze kilka razy pomachał zwiłkiem dokumentów.

– Naprawdę?

– Sprawa Johna Schwarza objęta jest od tej chwili klauzulą tajności. Nie wolno nam o tym z nikim rozmawiać.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

Grens cisnął dokumentami, które trzymał w ręce, aż pofrunęły po całym pokoju i spadły na podłogę jak duże białe liście.

– To rozkaz.

– Do diabła, Ågestam, może byś najpierw rozpoczął dochodzenie, zanim obłożysz je klauzulą tajności? Jak na razie wiem tylko o jednym dochodzeniu w sprawie Johna Schwarza podejrzanego o ciężkie pobicie na promie płynącym do Finlandii. Dlaczego miałbym o tym nie mówić?

Hermansson poruszyła się niespokojnie na krześle i zerknęła na Svena. Słyszała o słynnych napadach złości Grensa. Ale chociaż pracowała tu już prawie pół roku, nigdy wcześniej nie spotkała się z takim zachowaniem. Sven potrząsnął tylko dyskretnie głową, więc zrozumiała, że tego, co widzi – potęgi agresji bijącej o ściany – nie da się powstrzymać.

– Chciałbym wiedzieć, skąd niby takie polecenie przyszło!

Ågestam czuł się jak posłaniec przynoszący wieści, w które nawet on sam nie wierzy.

– Od mojego szefa.

– Twojego szefa? Szefa prokuratury?

– Tak.

– A kiedy ostatni raz obciągałeś mu druta?

– Udam, że tego nie słyszałem.

– Szef prokuratury. Ten lizus! To znaczy, że polecenie przyszło z jeszcze wyższego szczebla. To taki sam łajdak jak ty, Ågestam, gładko uczesany i usłużny, który wie, jak przekazywać polecenia dalej.

Hermansson nie mogła już tego wytrzymać. Ewert zachowywał się w sposób niegodny, a Ågestam wyglądał tak, jakby chciał go zaraz pobić, podczas gdy Sven po prostu siedział i przyglądał się wszystkiemu. Hermansson wstała, spojrzała każdemu z nich w oczy i powiedziała cicho, prawie szeptem.

– Przestańcie już.

Gdyby chciała ich przekrzyczeć, jej głos utonąłby w takim samym krzyku; teraz jednak przestali, jakby ktoś zmusił ich nagle do milczenia.

– Macie natychmiast przestać. Nie mam ochoty się przyglądać, jak dwóch facetów się nadyma. Rozumiem, że ta sprawa was pochłonęła. Jeśli rzeczywiście Schwarz siedział w bloku śmierci i udało mu się stamtąd uciec, a my mamy przyczynić się do tego, że zostanie odesłany i wykonają na nim karę śmierci, której nie uznajemy, to staje się jasne, że sprawa wymaga od nas dużego opanowania, bo inaczej będziemy tak dalej stać i wyładowywać się

wzajemnie na sobie. Tylko że nie mamy na to czasu. Nie dano nam go z góry. Rozkazy przychodzą z góry. Rozumiecie? Będzie nas to kosztować jeszcze więcej wysiłku. Musimy więc oszczędzać siły. Zacząć współpracować.

Hermansson jeszcze bardziej ściszyła głos, teraz już szeptała.

– Bo jak nie... to myślę, że wszystko diabli wezmą.

Vernon Eriksen sam się dziwił, że zachowuje taki spokój.

Powiniennem uciekać.

Powiniennem się ukryć.

Jego serce powinno walić jak oszalałe; już od tak dawna ukrywam to kłamstwo i tyle razy o nim myślałem, że dzisiaj, dzisiaj w końcu to pękło, już koniec, tyle że teraz to koniec ze mną.

A mimo to stoję tutaj. W przejściu między celami w bloku śmierci.

Słyszę, jak śpią, podchodzę do celi numer osiem, która jest pusta, robię wszystko jak zawsze, a mimo to czuję się... spokojny.

* * *

W zakładzie karnym w Marcusville było wpół do drugiej w nocy czasu amerykańskiego, z wtorku na środę. Od chwili gdy wezwano go do naczelnika, upłynęła prawie doba, przypomniał sobie owoce i ciasto, duży pokój, gdzie na podłodze leżały grube czerwone dywany, a pod sufitem wisiał kryształowy żyrandol; to już dobę John siedział w areszcie gdzieś w północnej Europie, to już sześć lat upływa od śmierci skazańca w celi więzienia w Ohio. To wydarzenie w Europie ponownie zwróciło na niego uwagę.

Ty tam umarłeś.

A ja pomogłem ci umrzeć.

Potem żyłeś dalej.

Pomogłem ci żyć.

Vernon jak zwykle zbyt długo stał przed opuszczoną celą. Ich plan się powiódł. Mógł zawieść z wielu powodów, ale przecież niczego nie ryzykowali, zwłaszcza John, gdy do egzekucji pozostały już tylko tygodnie.

John nie miał o niczym pojęcia.

Taki był warunek. John miał o niczym nie wiedzieć. Przez kilka miesięcy miał się czuć

źle, być pod wpływem halodenu i ipekakuany, miał się bać, tak jak wtedy, gdy otrzymał wiadomość, że jest chory na kardiomiopatię i że trzeba go poddać leczeniu, a lekarze – ci nowi, którzy dzielili się dyżurami, mieli go regularnie odwiedzać i leczyć z choroby, która nie istniała, ale musiała zaistnieć, żeby reszta planu związanego z ucieczką skończyła się pomyślnie.

Vernon się uśmiechnął.

John naprawdę umarł.

Tamtego ranka John czuł się gorzej niż zwykle, bo to był właśnie ten ranek. Na polecenie Greenwooda Vernon dosypał jak zwykle Johnowi do jedzenia haldolu i pokruszonej ipekakuany; jednak tym razem dodał do tego jeszcze dużą dawkę środka z grupy leków beta-adrenolitycznych, tak samo pokruszonego i rozdrobnionego; John dostał zawrotów głowy, ciśnienie tak bardzo mu spadło, że przewrócił się w celi, a stało się to dokładnie w czasie, kiedy Greenwood i Biercoff mieli wspólny dyżur w bloku śmierci.

Vernon zrobił krok do przodu i zacisnął dłonie na dwóch metalowych prętach celi, jakby szukał tam jakichś śladów, których przecież nie zostawili.

Każde z lekarstw zadziało doskonale.

Najpierw w celi zjawiała się Biercoff, klęknięła obok Johna, który się pocił, rękami objęła go za brzuch. Potem, powiedziała głośno, że to serce, kardiomiopatia, i że trzeba zaordynować mu lekarstwo.

Dała mu pierwszy lek, benzodiazepinę, żeby o niczym nie pamiętał. Gdyby się nagle obudził, miał potem o niczym nie pamiętać. Zsunęła mu pomarańczowe spodnie i wcisnęła stesolid do odbytu. Wcześniej mu wyjaśniała, że musi być śpiący, dlatego to robi.

Potem z innego skrzydła budynku przybiegł Greenwood. Kiedy przebiegał obok, spojrzał na Vernona, który razem z trzema innymi strażnikami stał przed celą, ich spojrzenia przez chwilę się spotkały, obaj wiedzieli, co się dzieje, ale nic po sobie nie okazali. Biercoff pokrótce poinformowała Greenwooda, że musiała zrobić to, co od miesięcy razem planowali, o czym ten i tak już wiedział; w międzyczasie sięgnął po szybko działający specyfik, który wywoływał częściową amnezję i spowolnił oddech pacjenta, a mianowicie czystą morfinę.

John leżał na podłodze odurzony, ze spuszczonej spodniami. Greenwood ujął go za penis, w drugiej dłoni trzymał strzykawkę, którą zrobił mu zastrzyk w jedną z żył. Był to pavulon, środek przypominający w działaniu kurarę, wywołujący zwiotczenie mięśni. Wyjaśnił Vernonowi na ich ostatnim spotkaniu dwa dni wcześniej, że ma do wyboru pachy, pachwinę albo szyję, ale wybrał penis, bo są w nim ciała jamiste, a on chce zostawić jak najmniej śladów.

Tymczasem z Johnem działo się coś strasznego.

Wcześniej nikt go o niczym nie poinformował, więc opanował go śmiertelny strach, bo czuł, że jest żywym trupem.

Zachował świadomość, ale był jak sparalizowany.

Nastąpiło całkowite zwiótczenie mięśni, nie mógł się poruszyć, a nawet oddychać.

Vernon stał przez kilka minut przed celą i przyglądał się wszystkiemu, ale nie wytrzymał.

Nie był w stanie tego znieść.

Chłopak, który leżał na podłodze, prawie umierał, naprawdę umierał, a on tylko tam stał i patrzył.

Zdawali sobie sprawę, że tak to się może skończyć, wiele o tym rozmawiali, wiedzieli, że to ryzykowne, że mają na to tylko kilka minut, nie więcej.

W tym samym czasie Biercoff sięgnęła po niewielką buteleczkę z kroplami do oczu.

Atropina, która miała rozszerzyć źrenice.

Jak u kogoś, kto już nie żyje.

Vernon przypomniał sobie, jak stał wtedy przed celą i jak się czuł, patrząc na to wszystko, podczas gdy chłopak, którego zaczął już trochę lubić i który, jego zdaniem, został niewinnie skazany, leży na podłodze i umiera. W każdym razie tak to wyglądało. John nie ruszał się, a jemu trudno było zapomnieć widok tego wszystkiego, czym się zajmowali, trudno mu było powstrzymać się, aby nie rzucić się w stronę drzwi, nie wpaść do środka.

Nie udało im się do końca rozwiązać kwestii pulsu.

Nie mogli go całkowicie wyciszyć zgodnie z zasadami medycyny, aby wyglądało to wiarygodnie. Greenwood zastosował pochodną morfiny, co znacznie obniżyło tętno, ale mimo to czuli się, jakby szli po luźnej linii. Oboje lekarze musieli się po prostu co jakiś czas zmieniać, żeby mierzyć obniżone tętno, które przecież nadal było wyczuwalne. Chodziło po prostu o to, aby przez cały czas zachowywać się w sposób przekonujący.

Zostało im najwyżej osiem minut.

Mieli wtłaczać mu powietrze do płuc co minutę.

To musiało się udać. Pod warunkiem że wszystko rozegra się w ciągu ośmiu minut. Bo jeśli potrwa dłużej, dojdzie do uszkodzenia mózgu i to nieodwracalnego.

Greenwood podniósł się z podłogi, odwrócił w stronę Vernona i pozostałych trzech strażników i zaczął z nimi głośno rozmawiać, żeby słyszeli go inni więźniowie, którzy ze swoich cel obserwowali rozgrywający się dramat. Vernon ciągle jeszcze słyszał, jak Greenwood prawie krzyczy: „On nie żyje”.

* * *

Za piętnaście druga, za oknem nadal była noc i jak zwykle słycać było głośne podmuchy wiatru. Vernon zerknął na okno pod sufitem, trzeba je uszczelnić, ten dźwięk jest denerwujący.

Odszedł od celi numer osiem i skierował się w stronę drzwi, które prowadziły do administracyjnej części budynku.

Głupio by zrobił, gdyby świadomie narażał się na ryzyko. Nagle uświadomił sobie, że czasu ma niewiele, że musi ostrzec kogo trzeba, bo to jego obowiązek. Wszedł do jednego z pokojów, żeby zadzwonić, bo było mało prawdopodobne, aby w środku nocy ktoś podsłuchiwał rozmowy telefoniczne.

Ich numerów nauczył się na pamięć.

Najpierw zadzwonił do Austrii. Nie miał pojęcia, która jest tam teraz godzina i tak naprawdę nie miało to wielkiego znaczenia, bo ważniejsze było to, żeby Biercoff podniosła słuchawkę; umówili się wcześniej, że powinna to zrobić, jeśli on zadzwoni z tego aparatu.

Rozmowa z Birgitte Biercoff trwała zaledwie minutę.

Odłożył słuchawkę, a potem zadzwonił do Denver w Kolorado. Greenwood nie mówił zbyt wiele, tylko słuchał, a później podziękował.

Od sześciu lat oboje mieli nową tożsamość, nowe życiorysy, nowe dyplomy lekarskie, nowe życie.

Istnieli, a jakby ich nie było.

Mariana Hermansson nadal nie była pewna, jak potraktować wybuch złości Ewerta Grensa, którego świadkiem była przed godziną. Cała ta sytuacja wydała jej się taka... niepotrzebna. Oczywiście, uświadamiała sobie cały absurd związany z politycznymi naciskami na zachowanie sprawy Johna Schwarza w tajemnicy i nieliczenia się z zasadami etyki. Jednak złość, jaką emanował Grens, i agresja, jaką najwidoczniej już od kilku lat okazywał innym osobom ze swego otoczenia, które akurat stanęły mu na drodze – wszystko to zrobiło na niej silne wrażenie; czuła się dezorientowana, prawie przygnębiona.

Wiedziała, czym jest agresja. Wychowała się w jej atmosferze.

Jednak tego, co zobaczyła, nie potrafiła zrozumieć.

Jej matka była Szwedką, ojciec imigrantem z Rumunii o śniadej karnacji; przez pierwsze lata swego życia mieszkała wśród mozaiki różnych narodowości, które zaludniały Rosengård, dzielnicę Malmö; politycy nie mogli zapanować nad tą dzielnicą imigrantów, której wielu nie lubiło, a wielu innych się wstydziło; jednak miała ona swój potencjał, własny styl życia i kipiała agresją, która co jakiś czas dawała o sobie znać w postaci protestów ulicznych.

Były to jednak zdarzenia incydentalne i choć wybuchały z dużą siłą, równie szybko sytuacja wracała do równowagi.

O wiele trudniej było jej poradzić sobie z agresją Ewerta, z jego złością, która jakby brała go we władanie, przyklejała się do niego i wyrządzała mu krzywdę. Hermansson nie umiała się z tym pogodzić, nie podobało jej się to wszystko, przeszkadzało jej. Kiedyś znajdzie trochę czasu, żeby z nim o tym porozmawiać, bo chciałyby się dowiedzieć, skąd bierze się u niego taka agresja i czy on sam jest jej świadom, no i czy można temu jakoś zaradzić.

W Sztokholmie przepracowała najpierw sześć miesięcy na zastępstwie i dopiero wtedy została zatrudniona na stałe. To niezbyt długo, ale w areszcie w Kronobergu była już kilka razy. Teraz szła korytarzem razem ze Svenem, on też milczał od chwili, kiedy wyszli z

pokoju Ewerta. Domyśliła się, że zdążył się już przyzwycząić do takich wybuchów, ale zastanawiała się, czy zdołał się pogodzić z tą sytuacją. A może po dziesięciu latach wspólnej pracy z Grensem jego zachowanie nadal go zdumiewało? Czy idąc obok niej, właśnie o tym myślał, nie odzywając się ani słowem, będąc myślami gdzie indziej?

Schwarz siedział w celi znajdującej się na samym końcu korytarza. A właściwie nie Schwarz, tylko Frey. Jednak tutaj nadal był Schwarzem. Spojrzała na blankiet informacyjny wiszący na drzwiach, a potem na umieszczone w nim zalecenie: „Wszystkie zalecane obostrzenia”.

Przeczytała to jeszcze raz i wskazała palcem na treść, próbując wytrącić Svena z zamyślenia.

– Co o tym myślisz?

– O Schwarzu?

– O obostrzeniach.

Sven wzruszył ramionami.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Ale nie dziwi mnie to.

Ogarnęło ją zniecierpliwienie; chwyciła kartkę i zerwała ją.

– A mnie tak. Dlaczego Ågestam kazał zastosować wobec Schwarza wszystkie możliwe obostrzenia? Przecież w sytuacji, w jakiej się znalazł, Schwarz nie może wpływać na przebieg dochodzenia. Czy gdyby pozwolono mu spotkać żonę i syna, miałyby to jakieś znaczenie?

Hermansson podniosła kartkę i umieściła ją na poprzednim miejscu; kartka była pomarszczona, a taśma klejąca ledwo trzymała.

– Właściwie mu to obiecałam. Podczas przesłuchania.

– Możesz spróbować. Jeśli wpłynie to pozytywnie na przebieg dochodzenia, sądzę, że Ågestam może trochę poluzować rygor. Bo właśnie to jest w tej sprawie najważniejsze. Strategia prowadzenia dochodzenia. I nic innego. Ågestam ani przez chwilę nie sądzi, że stosowanie tak licznych rygorów w czymkolwiek pomoże. Wie, tak jak i my, że Schwarz niewiele mu powie, nawet jeśli będzie chciał. Jednak stosując wobec niego takie rygory, Ågestam próbuje skłonić go do mówienia. Prokuratorzy często to robią. Utrudniają aresztantowi życie, żeby przesłuchanie mogło się zacząć, żeby jak najszybciej uzyskać przyznanie się do winy. Nikt ci się do tego nie przyzna, ale tak to już jest, wiem coś o tym.

Hermansson stanęła przed zamkniętymi drzwiami. Nie bardzo wiedziała, kim jest człowiek po drugiej stronie. Aresztowano go za ciężkie pobicie, a on przyznał się do swego czynu; a jednak zabroniono mu czytania gazet, słuchania radia, oglądania telewizji, pisania

listów, otrzymywania listów... nie wolno mu spotykać nikogo oprócz adwokata, kapelana więziennego, strażników i kilku innych osób, takich jak ona – śledczych. Hermansson była przekonana, że to niesprawiedliwe.

W tym momencie podszedł do nich jeden ze strażników. Zerknął do celi przez judasza, a stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, otworzył drzwi.

John Schwarz, a właściwie John Meyer Frey, miał bladą twarz. Siedział na podłodze i patrzył na nich pustym wzrokiem.

– John.

Nie odpowiedział.

– Chcemy z tobą trochę pogadać.

Hermansson weszła do celi, podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Poczekamy, a ty w tym czasie włóż pantofle i przygotuj się.

Schwarz nawet się nie poruszył, tylko wzruszył ramionami.

– Po co?

– Chcemy ci zadać trochę nowych pytań.

– Teraz?

– Teraz.

Wyszli z celi, zostawiając otwarte drzwi. Musieli trochę odczekać, bo Schwarzowi nie spieszyło się, ale w końcu wyszedł. W drodze do pokoju przesłuchań włókł się noga za nogą. Na miejscu czekali już na niego Ågestam z Grensem.

John stanął w progu, rozejrzał się, jakby chciał ich policzyć, i uznał, że cztery osoby to o dwie za dużo.

– Prosimy, John, siadaj.

Schwarz się zawahał.

– No śmiało. Wejdz i usiądź.

Grens był zniecierpliwiony i nawet nie próbował tego ukrywać.

– To przesłuchanie nie ma charakteru formalnego. Nie mamy bowiem zamiaru rozmawiać z tobą o ciężkim pobiciu, którego dopuściłeś się na promie.

John usiadł na jedynym wolnym krześle stojącym w chłodnym pokoju. Naprzeciwko usiedli jego rozmówcy, trzech policjanci i prokurator, który przyglądał się jego twarzy, obserwował reakcje.

– Od pewnego czasu posługujesz się fałszywą tożsamością, a my próbujemy to rozwikłać. Chcemy dowiedzieć się jak najwięcej, żeby móc posunąć się dalej. Chcielibyśmy więc zapytać cię o kilka rzeczy. Czy chciałbyś, żeby przy rozmowie obecny był adwokat?

Samotne, zakratowane okno na drugiej ścianie. Nic więcej.

– Nie.

– Nie chcesz adwokata?

John potrząsnął głową zrezygnowany.

– Ile razy mam jeszcze powiedzieć, że nie?

– No to w porządku.

Grens spojrzał na więźnia, który miał na sobie zbyt luźne ubranie. Chwila przerwy, a potem zadał pierwsze pytanie.

– Na początek, jak sądzę, proste pytanie. Chyba wiesz, że nie żyjesz?

* * *

W pokoju zapanowała taka cisza, jak przed ich wejściem. John siedział w milczeniu na krześle. Grens, zadowolony z siebie, uśmiechał się szyderczo. Ågestam przeszywał spojrzeniem zadowolonego z siebie inspektora policji, Hermansson odczuwała coraz większy niesmak, który zaczął zatruwać każdy zakątek pokoju, a Sundkvist spuścił wzrok w podłogę i nie chciał wiedzieć, jak siedzący przed nim mężczyzna wraca myślami w przeszłość.

Młody lekarz stoi obok mnie.

Stoi tam i mówi, że jestem martwy.

Stwierdza zgon, mówi, że John Meyer Frey nie żyje...

...że zmarł o godzinie dziewiętej trzydzięci rano w zakładzie karnym Southern Ohio Correctional Facility w Marcusville.

Przecież teraz leżę tutaj.

Grens miał nadzieję, że jego pytanie wywoła jakąś reakcję, jakąkolwiek, coś, co sprawi, że ten mały łobuz zrozumie powagę sytuacji.

I nic.

Siedział tam tylko i nawet nie mrugnął.

– Przecież nie umarłem. Widzicie, że żyję.

Grens tak gwałtownie poderwał się z krzesła, że aż przewróciło się na podłogę.

– Wczoraj wieczorem skontaktowaliśmy się z Interpolem w Waszyngtonie i z FBI w Waszyngtonie i Cincinnati. Z ich akt wynika – i radzę ci, żebyś teraz to ty mnie posłuchał – że ty i niejaki John Meyer Frey to jedna i ta sama osoba.

Blady, chudy mężczyzna siedzący przed nimi na krześle drgnął; nie za mocno, ale na tyle, że to zauważyli.

To nazwisko... od ponad sześciu lat go nie słyszał, nikt go nie wymawiał.

– Tak więc, Frey, według tych samych dokumentów zmarłeś w celi więzienia w Marcusville, skazany za morderstwo pierwszego stopnia popełnione na szesnastoletniej dziewczynie. Najpierw ją przeleciałeś, a potem strzeliłeś do niej kilka razy. Znalaziono ją w agonii na podłodze w domu jej rodziców.

John przestał drżeć, teraz zaczął się po prostu trząść na całym ciele, jakby dostał drgawek. Potem wyszeptał:

– Kochałem ją.

– Byłeś nawet na tyle głupi, że zostawiłeś w jej ciele swoją spermę.

– Odbyliśmy wcześniej stosunek. Bo się kochaliśmy. Ja nigdy bym...

– Według FBI zmarłeś w celi kilka miesięcy przed egzekucją. Muszę przyznać, że mi zaimponowałeś, Frey.

John podniósł się z krzesła, usiadł na brudnej podłodze i oparł się plecami o ścianę, po czym ukrył twarz w dłoniach.

– Twój ojciec nazywa się Ruben Frey, prawda?

John skulił się jeszcze bardziej, podłoga była zimna, czuć było przeciąg, ale to nie dlatego Johnowi było zimno.

– Zaledwie kilka godzin temu FBI przesłuchiwało go w Cincinnati. Twierdzi, że nie ma pojęcia, co tu robisz. Twierdzi, że nie żyjesz. Że pochowano cię na cmentarzu w Otway, miasteczku oddalonym o trzy kilometry od Marcusville, na tym samym cmentarzu, gdzie leży twoja matka. Mówi, że jest tego pewien, bo to on sam zamówił pochówek i za niego zapłacił. Mówi też, że to prawda, bo sam tam był, kiedy twoją trumnę spuszczano do grobu, a wcześniej pożegnał się z tobą w obecności dwudziestu innych osób.

Jego głos.

Nie słyszałem jego głosu od sześciu lat.

– Zresztą twój ojciec może sobie opowiadać, co mu się żywnie podoba. Twoja tożsamość została potwierdzona na sto procent.

Wiem, że brał w tym udział.

Nie wiem jak, bo mi nie mówił, ale nadal widzę jego twarz na tylnym siedzeniu samochodu, za każdym razem, kiedy tylko chcę.

– Czy chciałbyś nam coś powiedzieć na ten temat?

I to on, który zawsze stał po stronie sprawiedliwości, szanował władzę.

A teraz przesłuchuje go FBI

Przeze mnie!

Z mojego powodu.

Hermansson, która siedziała obok Grensa i przysłuchiwała się rozmowie, powoli pozbyła się odczuwanego wcześniej niesmaku; teraz znowu była sobą, policjantką. Przecież to ona pierwsza przesłuchiwała mężczyznę, którego przywiozła z jego mieszkania, bo był oskarżony o ciężkie pobicie; to ona poczęstowała go papierosem, dała coś do picia i jedzenia, obiecując, że postara się, aby mógł spotkać się z rodziną. To także ona niemalże zdobyła jego zaufanie.

Położyła dłoń na ramieniu Grensa, prosząc go, aby nie zadawał następnego pytania, i dając do zrozumienia, że sama chce o coś spytać.

Grens skinął przyzwalająco głową.

– John.

Podeszła do niego, usiadła, oparła się plecami o zimną ścianę.

– Co się stało, to się nie odstanie. Wiemy o wszystkim, o czym była tu mowa. W tej chwili niewiele można poradzić. Ale musisz z nami współpracować. Dla własnego dobra.

Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i potrząsnęła nią, aż jeden wysunął się na zewnątrz.

– Zapalisz?

Podawała mu papieros, zapaliła i czekała, podczas gdy on palił; w ten sposób upłynęło kilka minut.

– Muszę najpierw porozmawiać z żoną. Ona o niczym nie wie. Ma prawo usłyszeć o tym ode mnie.

Hermansson poczęstowała go kolejnym papierosem, odwróciła się i spojrzała na Ågestama.

– No?

– To wykluczone.

– O czym ty mówisz?

– Pełna izolacja. To właśnie mam na myśli. Zakaz obejmuje też żonę.

Hermansson nie spuszczała z niego wzroku.

– Proszę cię, żebyś to rozważył. To nie zaszkodzi dochodzeniu. A my musimy wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie.

– Czy możemy porozmawiać na osobności?

Hermansson wskazała na drzwi. Ågestam wzruszył ramionami.

– Jasne.

Wyszli z pokoju, najpierw Ågestam, a Hermansson za nim; kiedy zamykała za sobą drzwi, unikała wzroku pozostałych osób.

Wiedziała, że ma rację. Ale wiedziała też, że jej szansa na przekonanie prokuratora do jej racji wzrośnie, jeśli nie postawi go w trudnej sytuacji w obecności pozostałych osób.

Spojrzała na niego i powiedziała opanowanym głosem:

– Zorganizujemy to tak, że odbędzie się to w tym samym czasie. On będzie nam o wszystkim opowiadał, a ona będzie wtedy tutaj, przy nim. Będzie mogła wysłuchać, co ma do powiedzenia. Dowie się o tym od niego, bo tylko o to poprosił. Prawda?

Ågestam milczał.

– Myślę, że i ty rozumiesz, że to pomoże dochodzeniu. Dochodzeniu, którego jedynym celem jest wyjaśnienie faktów.

Ågestam położył dłoń na włosach i zaczął zaczesywać grzywkę na bok, na tę samą stronę, na którą już była zaczesana.

Doszedł do wniosku, że to, co proponuje Hermansson, brzmi logicznie. Nie za bardzo było to zgodne z przepisami i sprzeczne z decyzją o wprowadzeniu obostrzeń, ale może dzięki temu dochodzenie posunie się wreszcie do przodu.

Westchnął, odwrócił się i otworzył drzwi.

– Na chwilę przerwiemy to nieformalne przesłuchanie, żeby przywieźć tu jego żonę. Może to sprawi, że ktoś, kto nie żyje, zacznie mówić.

Być może Kevin Hutton powinien iść spać. Była już trzecia w nocy czasu miejscowego, a on czuł, jak szczypią go oczy. Jechał szeroką, ciemną i prawie pustą drogą z Cincinnati do Columbus.

Nie mógł jednak przestać pracować.

Musiał się dowiedzieć, co się stało z jego kolegą z lat szkolnych, którego opłakiwał, na którego pogrzebie nawet był, czy żyje, czy udało mu się jakimś sposobem wydostać z jednego z najlepiej strzeżonych zakładów karnych w Ameryce, czy jakimś cholernym sposobem, dwa miesiące przed egzekucją, udało mu się zniknąć z bloku śmierci.

Przejechał już trzydzieści kilometrów, niemal połowę całego odcinka, została mu jeszcze niecała godzina jazdy. Zatrzymał się w całodobowym zajeździe i kupił kiełbaskę z dziwnym, żółtawym chlebem, a do tego jeden z tych energetycznych napojów robionych na bazie cukru z winogron. Właściwie nie był zbyt zmęczony, ale padający śnieg i ciemności, a także światło ze źle ustawionych reflektorów samochodowych męczyły mu oczy i wprowadzały zamęt w głowie. Przez chwilę nawet mu się w niej zakręciło. Trochę świeżego powietrza, kiełbaska, napój i od razu poczuł się bardziej rześko.

Ruben Frey wciąż przebywał w Cincinnati. Wcześniej przez ponad godzinę przesłuchiwali go w lokalnym biurze FBI; potem, już po północy, wypytywali go dalej, a on uparcie twierdził, że jego syn nie żyje, że nic więcej nie wie i że jeszcze sześć lat temu go opłakiwał.

Nie potrafił też udzielić im żadnego wiarygodnie brzmiącego wyjaśnienia, dlaczego na cztery miesiące przed śmiercią Johna obciążył hipotekę swojego domu w Ohio Savings Bank w Columbus na kwotę stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. A gdy nadal go o to wypytywali, zaczął płakać i prosić, aby przestali rozdrapywać stare rany, które całkiem niedawno powoli zaczęły się goić.

Teraz Frey spał na koszt państwa w hotelu Ramada Inn na obrzeżach miasta, choć był to taki hotel, że w zasadzie nocleg w nim powinien być za darmo. W sąsiednim pokoju spał

Benjamin Clark – nie dlatego, żeby istniało jakieś ryzyko, że Ruben otworzy drzwi i ucieknie; Kevin chciał po prostu zrobić to zgodnie z przepisami, bo chociaż w FBI pracował już od dziesięciu lat, nigdy nie spotkał się z podobną sytuacją.

I nawet nigdy nie słyszał, żeby w jakimkolwiek innym więzieniu osadzonemu udało się uciec z bloku śmierci.

Nigdy nie miał do czynienia z żywą śmiercią.

Nigdy też nie prowadził dochodzenia w sprawie osoby, która była mu tak bliska.

Trzymali się razem od czasu, jak tylko sięgał pamięcią. W Marcusville mieszkali obok siebie, bawili się czerwonymi wozami strażackimi w piaskownicy na wspólnym placu zabaw, chodzili do tej samej klasy, ramię w ramię pokonywali codziennie drogę do szkoły, razem grali w piłkę nożną w młodzieżowych drużynach reprezentujących Marcusville, bo okazało się, że są za słabi na futbol amerykański, razem wzdychali za dziewczynami, oglądali w piwnicy pisma pornograficzne znalezione na śmietniku, bo podejrzeli, jak stary Stevens wyrzuca je do pojemnika, kiedy miał już nowy numer.

W końcu stracili ze sobą kontakt, bo John poznał Elizabeth i zaczął uprawiać normalny seks, a potem miał dwie odsiadki w poprawczaku, za każdym razem za ciężkie pobicie.

Już wtedy, gdy obaj skończyli siedemnaście lat, czuli, że ich drogi się rozejdą.

Kevin został agentem specjalnym FBI.

John został skazany na śmierć za morderstwo.

Kevin nie do końca rozumiał, co tak naprawdę się stało. Rzeczywiście John był porywczy, prostacki, sam prowokował konflikty i lubił takie sytuacje, ale nie należał do tych, co najpierw sypiają ze swoją dziewczyną, a potem strzelają do niej, aby następnie spokojnie oddalić się z miejsca zbrodni.

Przez pierwsze kilka lat często go odwiedzał w więzieniu, zdecydował się na to jako jego przyjaciel, osoba prywatna, choć było to niezgodne z obowiązującymi zasadami. Stracił jednak ochotę z powodu tych pieprzonych przygotowań, przesadnych środków bezpieczeństwa i poczucia, że nigdy nie będzie mu wolno nic powiedzieć, by nie usłyszał tego ktoś siedzący obok, kto to wszystko będzie zapisywał. Chodził tam więc coraz rzadziej, a w ostatnim roku w ogóle przestał go odwiedzać.

I nagle John odszedł z tego świata.

Kevin zamierzał go odwiedzić przed egzekucją. Śledził w gazetach wszystkie apelacje składane przez Rubena i prawników i domyślił się, że tym razem gubernator nie zgodzi się na odroczenie. John nie otrzyma prawa łaski, zostanie zabity zastrzykiem zawierającym truciznę, co będzie potwierdzeniem, że stan Ohio chce znaleźć się w statystyce obejmującej wykonane

egzekucje.

No i zmarł w celi.

Kevin mocniej zacisnął dłonie na kierownicy i wypił resztkę napoju energetycznego.

Czuł się dość paskudnie.

Chyba nie doceniał ich przyjaźni, wmówił sobie, że idą nowe czasy, że już nie znaczą dla siebie tyle, co przedtem, a fakt, że już się nie odwiedzają, stanowi najlepszy dowód na to, że ich przyjaźń ustała.

Nadal tak to odczuwał.

A potem stał na cmentarzu i słuchał, co mówi ksiądz i kilka innych osób, które wygłosiły krótkie mowy pożegnalne. I wtedy uświadomił sobie, że to tak, jakby ubyla jakaś częśćka jego samego, jakby ktoś ją zagrzebywał w ziemi, podczas gdy on na to patrzy.

Pozostało jeszcze czterdzieści kilometrów. Przyspieszył trochę.

Siedział w dość drogim samochodzie i nie chciał się spóźnić.

I nagle usłyszał własny śmiech. Jechał z prędkością stu kilometrów na godzinę, była noc, a on się śmiał, choć nie odczuwał żadnego zadowolenia.

Przecież powinienem szaleć z radości.

Jeżeli rzeczywiście żyjesz.

Ale to nie takie proste, rozumiesz?

W świetle reflektorów zobaczył jakieś zwierzę biegnące skrajem drogi. Wzdrygnął się, poczekał, aż zajac – bo był to zajac – zniknie, a potem znowu przyspieszył.

Boże, John, przecież ty siedziałeś za morderstwo!

Odebrałeś komuś życie.

Musisz więc je zwrócić.

Do Lyndona Robbinsa zadzwonił wcześniej, kiedy wieczorem jechali do Marcusville, żeby przywieźć Rubena Freya. W czasie gdy zmarł John, Robbins był naczelnym lekarzem w zakładzie karnym w Marcusville. Teraz pracował w Columbus jako naczelnny lekarz w Ohio State University Hospital. Był to szpital powiązany z uniwersytetem przy Dziesiątej Alei.

Mieli się tam spotkać o czwartej. Robbins pytał, czy nie mogą się zobaczyć rano albo nawet przed południem, ale Hutton unikał dyskusji na ten temat, oświadczył tylko, że oczekuje, iż Robbins będzie na niego czekał przy głównym wejściu do szpitala dokładnie o godzinie czwartej.

* * *

Robbins był barczystym mężczyzną, sporo wyższym od Kevina, który był średniego wzrostu, a ponieważ Robbins był też dobrze zbudowany, Kevin domyślił się, że lekarz stojący przed głównym wejściem do budynku musi ważyć przynajmniej sto trzydzieści kilogramów.

Przywitali się; Robbins miał zmęczone oczy, nieuczesane włosy, ale za to miły wygląd i emanowała z niego jakaś cierpliwość. Weszli do środka i lekarz wskazał na korytarz, w którym nie widać było końca; przez chwilę szli spokojnym krokiem, schodami na drugie piętro, a potem przeszli przez kolejne drzwi.

Pokój Robbinsa był ciasny, stało tam zbyt duże biurko i stos kartonów, a Kevin bez powodzenia rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby usiąść. Pokój sprawiał wrażenie, jakby nie chciał gościć nikogo więcej oprócz Robbinsa; jego wielkie ciało wypełniało resztki wolnego miejsca, a ściany jakby napierały na niego ze wszystkich stron. Lekarz wskazał na stołek stojący w rogu, pod oknem, wśród stosu rupieci. Kevin schylił się po niego, ustawił i usiadł na nim.

Robbins oddychał ciężko, spacer i schody sprawiły, że chociaż był styczeń, porządnie się spocił.

– Kevin Hutton, agent specjalny, tak pan mówił?

– Zgadza się.

– W czym mogę panu pomóc?

W jego głosie nie czuć było zdenerwowania. Nie wyglądał też na takiego, co udaje spokój, żeby ukryć zdenerwowanie.

Kevin od razu wyczuwał takie rzeczy, jakiś niepokój, coś, czego nie dało się usłyszeć. Tym razem było inaczej. Robbins wytarł czoło serwetką, uśmiechnął się, widać było, że jest tak, jak powiedział, że szczerze chce pomóc.

– Tak. Być może mógłby mi pan pomóc. W tej oto sprawie.

Hutton przywiózł na spotkanie teczkę. Podniósł ją z podłogi, otworzył i wyciągnął z niej kopertę ze zwykłą kartką papieru.

– Akt zgonu. Sprzed ponad sześciu lat. Wystawiony na więźnia, który nazywał się John Meyer Frey i zmarł w zakładzie karnym w Marcusville.

Robbins zaczął szukać swoich okularów i po chwili znalazł je w kieszeni marynarki. Sięgnął po dokument i przeczytał go.

– Tak, to akt zgonu. Czy to dlatego siedzimy tutaj w środku nocy?

– Czy to pański podpis?

– Aha, czyli jednak dlatego siedzimy tu w środku nocy.

Robbins jeszcze raz przeczytał dokument, a potem rozłożył ręce.

– Nie bardzo rozumiem. Byłem naczelnym lekarzem w Marcusville i jeśli ktoś tam umarł, pod aktem zgonu podpisywałem się ja. Na czym polega problem?

– Problem? Problem polega na tym, że osoba wymieniona w akcie zgonu, a więc osoba, która nie żyje, siedzi teraz w celi aresztu w Sztokholmie, to znaczy gdzieś w północnej Europie.

Robbins spojrział na Kevina, potem na kartkę, którą nadal trzymał w ręce, a potem znowu na Kevina.

– Nie bardzo pana rozumiem.

– Chcę powiedzieć, że ta osoba żyje. John Meyer Frey żyje. Chociaż przed sześciu laty podpisał się pan na jego akcie zgonu.

– Jak to żyje?

– No po prostu: żyje.

Hutton sięgnął po dokument, który w potężnej dłoni Robbinsa stawał się coraz bardziej pomarszczony. Potem schował go z powrotem do teczki.

– Muszę postawić panu kilka pytań. I poprosić, aby pan na nie odpowiedział. Na każde.

Robbins skinął głową.

– Dobrze, odpowiem.

Kevin usiadł wygodniej na twardym stołku i przez chwilę przyglądał się twarzy Robbinsa, na której widać było zmieszanie.

– To świetnie.

– Przy okazji, panie Hutton, czy to jakieś przesłuchanie?

– Jeszcze nie. Na razie możemy to nazwać udzielaniem wyjaśnień.

Robbins znowu otarł czoło z potu.

– Ale ja wiem, że on nie żyje.

Jego spojrzenie było puste, na coś patrzył, może na ścianę; patrzył, ale nie widział.

– Widzi pan, w zakładzie karnym w Marcusville pracowałem przez sześć lat. Przez cały ten okres zmarły tam tylko dwie osoby, chociaż inni byli starsi, a jeszcze inni odsiadali długie wyroki. I mogę pana zapewnić, że nikt inny w bloku śmierci nie umarł. Właśnie dlatego tak dobrze to pamiętam. Jego też pamiętam. Nazywał się John Meyer Frey. Pamiętam też tamten dzień, kiedy zmarł.

Helena Schwarz przypominała delikatnego ptaka w zbyt dużej bluzce i w tak szerokich spodniach, że nie można było dostrzec konturów jej ciała. Być może to jej twarz sprawiła, że Grens porównał ją z ptakiem. Niespokojnie rozglądała się po pokoju, nieustannie poruszała szczękami, a jej usta trwały w gotowości do wydania ostrzegawczego sygnału, jakiegoś głośnego okrzyku rozpacz.

Kiedy nagle stanęła w otwartych drzwiach i ostrożnie zerknęła do środka, John gwałtownie zerwał się z krzesła, zawołał coś, a potem przebiegł przez pokój. Ågestam chciał go zatrzymać, ale Grens stanął mu na drodze i razem z Hermansson zmusili go, aby z powrotem usiadł na swoim miejscu; jeśli mąż i żona chcą się objąć, zanim rozpęta się piekło, to niech to zrobią.

Stali przy progu, wewnątrz pokoju, przytuleni do siebie głowami, i cicho płakali, całowali się w policzki, szukali swoich dłoni. Ågestam, Hermansson, Sven i Grens próbowali zająć się czymś, przesuwali wzrokiem po podłodze albo grzebali w papierach, żeby tylko nie okazywać niezdrowej ciekawości, żeby nawet tutaj dać im choć chwilę prywatności.

Potem Grens podszedł do nich, poprosił Johna, aby wrócił na swoje miejsce, a Helena Schwarz, żeby siadła na krzesło, które specjalnie dla niej przyniesiono i ustawiono przy ścianie.

W pokoju było duszno; jego powierzchnia wystarczyła dla dwóch, może trzech osób, więc powoli zaczęło brakować tlenu.

– John.

Grens oparł się łokciami o chłodny blat biurka, a potem zwrócił się w stronę Johna; widział jego czerwone oczy i wzrok, którym szukał Heleny.

– Zawarliśmy pewną umowę, prawda? Mimo nałożonych na ciebie obostrzeń sprowadziliśmy ci tutaj żonę. A ty obiecałeś, że o wszystkim nam opowiesz.

John słyszał słowa Grensa i może nawet próbował coś mówić, ale w końcu się nie odezwał.

– Zgadza się, John?

Helena Schwarz wstała z krzesła i ruszyła w stronę Johna, ale przeszkodził jej w tym Sven.

– Nic nie rozumiem! O co tu chodzi? Podobno kogoś kopnął, jeszcze nie bardzo rozumiem, mój John nie kopie ludzi... ale to wszystko tutaj... zamknięty w celi, pozbawiony kontaktu ze mną, ten pokój... a wy chcecie, żeby o wszystkim opowiedział... na miłość boską, co tu jest grane?!

Uderzyła Svena jedną pięścią w pierś, a drugą w ramię, zaczęła krzyczeć, a Sven przytrzymał ją mocno, aż ucichła, a potem zdecydowanym krokiem odprowadził ją do krzesła.

Grens spojrzał na Johna, potem na Helenę i powiedział może trochę zbyt ostro:

– Jeszcze jeden taki wyskok i odjedzie pani stąd policyjnym wozem równie szybko, jak się tu znalazła. Jest tu pani dlatego, że John nas o to prosił. A teraz proszę usiąść i zachowywać się spokojnie. Zrozumiano?

Kobieta siedziała ze spuszczoną głową, skinęła lekko na znak, że się zgadza.

– No to w porządku.

Grens ponownie odwrócił się w stronę Johna, wykonując przy tym kilka gestów zniecierpliwienia, które były jednak na tyle widoczne, że ten, od którego oczekiwano nowych informacji, powinien je zrozumieć.

– No to spróbujemy jeszcze raz.

Siedzący przed Grensem chudy mężczyzna o bladej twarzy, z wielkimi, czarnymi workami pod oczami, przełknął nerwowo ślinę, zwilżył wargi, wypuścił przez nos powietrze.

– Heleno...

Nadal szukał jej wzrokiem.

– Heleno, chcę, żebyś na mnie spojrzała.

Uniosła głowę i spojrzała w jego kierunku.

– Kochany przyjacielu.

Oddychał ciężko, nabierał rozpędu.

– Kochana przyjaciółko, jest tyle rzeczy, o których nie wiesz. O których nikt nie wie. Powinienem być ci o wszystkim opowiedzieć. Przynajmniej tobie.

Kolejny głęboki wdech, kolejny długi wydech.

– O wszystkim ci teraz opowiem, posłuchaj mnie, dobrze? John westchnął głośno.

– Heleno... ja nie nazywam się John Schwarz. I... nie urodziłem się w Halifaksie, w Kanadzie. I nie przyjechałem do Szwecji dlatego, że poznałem kobietę i zakochałem się w

niej.

John spojrział na Helenę, a ona na niego.

– Nazywam się... tak naprawdę... tak naprawdę nazywam się John Meyer Frey. Urodziłem się w niewielkiej miejscowości Marcusville w Ohio. Nigdy wcześniej nawet nie znałem nikogo, kto ma na nazwisko Schwarz. Nie miałem pojęcia, gdzie leży Szwecja. Przyjechałem tutaj, bo człowiek, który chciał mi sprzedać swoją tożsamość, miał zezwolenie na pobyt stały, a ja musiałem uciekać, bo siedziałem w więzieniu i przez ponad dziesięć lat trzymali mnie w bloku śmierci.

W jej oczach pojawiły się łzy, a zarazem coś w nich nagle zajaśniało, coś twardego.

– Byłem skazany na śmierć. Rozumiesz? Czekałem na egzekucję. I uciekłem. Do dzisiaj nie wiem dokładnie, jak to się stało, ale uciekłem; pamiętam jakiś statek odpływający z Cleveland, jakiś samolot startujący z Detroit do Moskwy i kolejny samolot do Sztokholmu.

Kilka razy musiał odchrząknąć.

– Skazali mnie za zbrodnię, której nie popełniłem. Wysłuchaj mnie, Heleno! Miałem siedemnaście lat i uznano mnie za winnego zbrodni, której nie popełniłem! A mimo to miałem umrzeć! Sąd wyznaczył już nawet datę mojej śmierci.

John podniósł się z krzesła i otarł więzienną koszulą pot ściekający mu po twarzy.

– Nie umarłem. Nie umarłem! Siedzę tutaj, mam ciebie, Oscara i nie umarłem!

* * *

Grens widział już takie sceny wiele razy. I nawet sam czegoś takiego doświadczył.

Tego, jak nagle człowiek staje się kimś innym. Jak całe ludzkie życie można zlikwidować przez wypowiedzenie kilku zdań. Przeszłość, wszystko to, co było wspólnym życiem, przestawało istnieć. Jest tylko kłamstwo, nic więcej, wielkie, pieprzone kłamstwo.

Nie istniały oczywiście żadne wzory zachowania w takich sytuacjach. Jednak Helena Schwarz reagowała mniej więcej tak jak inni.

Opuszczona, oszukana, przestraszona, wyglądała na zupełnie zdołowaną.

Tak jak inni płakała, krzyczała, a oni pozwalali jej na to. Nie zdążyli jednak zareagować, kiedy nagle podniosła się z krzesła, przebiegła przez cały pokój i z całej siły uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

Nawet nie próbował się uchylić.

Nie podniósł ręki, żeby się zasłonić, nie schylił się, po prostu czekał, aż go uderzy.

Helena odwróciła się do Grensa i krzyknęła: „No, niechże pan coś powie!”, ale ten nie

odpowiedział, nie poruszył się, więc znowu krzyknęła: „Czy pan w to wierzy?!”, na co Grens wzruszył ramionami: „Ja w nic nie wierzę”; Helena gapiała się na niego przez chwilę, a potem odwróciła się w drugą stronę i zaczęła okładać pięściami człowieka, którego jeszcze niedawno знаła, krzyząc: „Nie wierzę ci, kłamiesz, łajdaku, nie wierzę ci!”.

Lyndon Robbins siedział cicho w swoim zbyt ciasnym pokoju wciśnięty w krzesło. Próbował odpowiedzieć na wstępne pytanie agenta FBI dotyczące człowieka, który od dawna powinien już nie żyć. Powiedział, że kiedy przyjechał do Marcusville, miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, ale już trzy lata później awansował na stanowisko naczelnego lekarza. Dodał, że nie ma w tym nic dziwnego, chociaż tak to może brzmieć, bo na stanowiskach często zdarzały się wakaty, a lekarz, który decydował się podjąć pracę w zakładzie karnym, nie robił tego ze względu na status, bo o niczym takim nie mogło być mowy; zazwyczaj chodziło o to, aby pomóc tym, którzy być może byli najslabsi i w istniejącej hierarchii społecznej plasowali się na najniższym poziomie, lub też po prostu była to dobra okazja na podjęcie pierwszej pracy, z możliwością zdobycia doświadczeń, jakich wymagano od lekarzy w bardziej atrakcyjnych miejscach i na bardziej atrakcyjnych stanowiskach. W jego przypadku chodziło o wszystko po trochu. Był młody, nowy i wdzięczny za możliwość podjęcia pierwszej pracy, ale nosił w sobie także coś szczerego, co z czasem zaczęło zanikać, a mianowicie chęć dawania, która umarła, bo coraz rzadziej dostawał coś w zamian.

Hutton słuchał go w milczeniu, ale stopniowo zaczął odczuwać senność i dwa razy musiał powstrzymać się od ziewania. Przeprosił i wyszedł z pokoju, znalazł na korytarzu dwa automaty i wrócił z dwoma puszkami wody mineralnej i dwoma lukrowanymi ciasteczkami z grubą polewą.

Pół puszki wody i pół ciastka później znowu zaczął pytać, a Robbins odpowiadał.

– Kardiomiopatia?

– Tak to się nazywa.

– Proszę mi wyjaśnić.

– Zanik mięśnia sercowego. Jego serce za bardzo urosło. Rzadko się to zdarza, ale jednak.

Hutton przełamał ostatni kawałek ciasteczka i zamoczył jego suche krawędzie w reszcie wody mineralnej.

– Freya znalazłem od dosyć dawna, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek skarżył się na jakąś wadę serca.

– Nie musi to znaczyć, że jej nie miał.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Kardiomiopatia atakuje nierzadko w późnej fazie. I bardzo często odkrywa się ją dość późno. U Freya, jeśli dobrze pamiętam, stało się to na trzy-cztery miesiące przed jego śmiercią.

Hutton wyciągnął notatnik i zaczął w nim zapisywać, czego się dowiedział.

– Jak można wykryć tę chorobę? Jak ją wykryto u Freya?

– Musi wystąpić kilka czynników jednocześnie. Frey był taki jak wszyscy inni. Czuł się kiepsko, był zmęczony i słaby. Ale przecież był młody, a wtedy nie myśli się o chorobach serca.

– Naprawdę?

– Dopiero kiedy Greenwood i Biercoff zrobili rentgen, zrozumieliśmy, z czym mamy do czynienia. Zdjęcie rentgenowskie wystarczyło.

Hutton zapisał oba nazwiska wymienione przez Robbinsa.

– Greenwood i Biercoff?

– Lothar Greenwood i Birgitte Biercoff. Dwoje zdolnych lekarzy zatrudnionych jakiś czas przedtem; mieli po pół etatu, a poza tym pracowali w Doctors Hospital Ohio Health, w Columbus.

– Powiedział pan „zdolnych”?

– Tak, lepszych i bardziej doświadczonych niż większość tych, którzy pracują w tym kraju w więziennictwie.

– A więc nie mogliby popełnić pomyłki? Mam na myśli powiększenie serca?

– Sam oglądałem zdjęcia rentgenowskie. Są niepodważalne.

Hutton odłożył notatnik i sięgnął po telefon, który stał na biurku.

– Mogę zadzwonić? Muszę porozmawiać, zanim będziemy kontynuować.

Robbins skinął głową i na chwilę odchylił się do tyłu, przymykając oczy. Słyszał, jak Hutton wybiera numer, jak po dłuższej chwili dźwięk telefonu obudził jego kolegę Clarka, którego Hutton prosi, aby przez swój komputer odszukał dane dwojga lekarzy o nazwisku Greenwood i Biercoff.

Kiedy Hutton odłożył słuchawkę, ich spojrzenia się spotkały.

– Protokół z sekcji.

– Słucham?

– Czy orientuje się pan, gdzie go mogę znaleźć?

Robbins potrząsnął głową.

– Powinien być tam, w jego teczce, wśród innych dokumentów.

– Powinien... ale go tam nie ma.

Robbins westchnął głęboko.

– Na miłość boską, o co tu chodzi?

Hutton ponownie sięgnął po notatnik, przejrzał kilka kartek i zaczął coś pisać.

– Co pan wie na temat tej sekcji?

– Co wiem? Nie za dużo. Miałem do dyspozycji dwoje kompetentnych lekarzy, którym ufalem, prawdopodobnie bardziej doświadczonych ode mnie, i to oni zajęli się zmarłym, kiedy razem z jednym ze strażników przewieźli zwłoki do lekarza medycyny sądowej w celu przeprowadzenia sekcji.

Robbins dość długo powstrzymywał się od zjedzenia ciastka, przyjął je od Huttona, ale z zastrzeżeniem, że musi dbać o wagę i dlatego unika słodczy z różową polewą.

Teraz jednak ponownie westchnął, po raz trzeci wytarł czoło serwetką, po czym sięgnął po ciastko i pochłonął je za jednym razem.

– Robię tak zawsze, kiedy jestem zestresowany.

Hutton wzruszył ramionami.

– A ja obgryzam paznokcie. Kiedy jestem zavalony robotą, nawet nie zauważam, że to robię, po prostu obgryzam. Wróćmy jednak do mojego pytania: co tak naprawdę wie pan o wynikach sekcji?

Robbins miał kilka okruszków na ustach. Wytarł je i dopiero wtedy odpowiedział.

– Szczerze mówiąc, nie za wiele. Przecież on już nie żył, prawda? Miałem na głowie tyle innych spraw, w Marcusville ciągle brakowało czasu, trzeba się było spieszyć. Frey zmarł, my wiedzieliśmy dlaczego, a dwoje podległych mi lekarzy zajęło się ciałem. Czego więcej trzeba? Nie, więcej nic nie wiem. Nie miałem po prostu czasu ani okazji, żeby zajmować się zmarłym.

– A czy nie na tym polega pana praca? Żeby wiedzieć?

– Dziś też bym to tak ocenił, gdyby doszło do podobnej sytuacji. I pan też by tak postąpił.

Była środa, za dwadzieścia piąta rano. Na dworze nadal panował mrok, zimą dzień zaczynał się później. Hutton uznał, że dowiedział się, czego chciał, i że jego pierwsze odczucie było właściwe, a mianowicie, że Robbins nie zamierza kłamać i nie ma pojęcia, iż w śmierci Freya może chodzić o coś innego. Hutton chciał mu podziękować za czas, który

Robbins mu poświęcił, odpowiadając na pytania, kiedy nagle zadzwonił jego telefon komórkowy; zanim go wyciągnął, rozległo się pięć długich dzwonek.

Dzwonił Clark.

Powiedział, że takich lekarzy nie ma.

Lothar Greenwood i Birgitte Biercoff nie istnieją.

Grens i Ågestam uznali, że na razie należy przerwać to nieformalne przesłuchanie. Helena Schwarz zdążyła wyładować swą złość na mężu stojącym bez ruchu i przyjmującym wybuch frustracji, której sam też doświadczał. Kobieta krzyczała, a oboje płakali; Sven zaproponował, aby Ewert, Ågestam i Hermansson wyszli z nim na chwilę na korytarz, żeby tamci mogli zostać ze sobą tak długo, jak będą chcieli.

Czekali przez godzinę. W kościele na Kungsholmen wybiła dwunasta, a oni wszyscy byli już głodni; poszli więc na ulicę Hantverkargatan, do dość drogiego lokalu z palmami w oknach. Jedli w milczeniu, ale nie było ono kłopotliwe, jakby zawarli nieoficjalną umowę, że przez chwilę każde z nich zagłębi się we własnych myślach. Potem chcieli wrócić do biura, ale Sven poszedł do kasy i zapłacił za dwie dodatkowe „sałatki dnia”. Poprosił, aby mu je zapakowali do dwóch plastikowych pojemników razem ze sztućcami, na wynos. Przypomniawszy sobie, że John i Helena mogą być głodni, bo siły już dawno ich opuściły.

Oboje siedzieli na podłodze.

John obejmował ją ramionami, siedzieli przytuleni policzkami, ze splecionymi dłońmi.

Kiedy Sven wszedł do pokoju, spojrzał na kobietę i zadał sobie pytanie, czy coś z tego wszystkiego zrozumiała. A może jest jedną z tych kobiet, które wiedzą, co zrobić, kiedy się już wybaczyło?

Za Svenem do pokoju wszedł Ågestam, który pochylił się w stronę Schwarzów, mówiąc, że powinni coś zjeść, a kiedy John skończy, niech skorzysta z okazji i idzie na zabezpieczony siatką spacerniak na dachu aresztu. Obiecał, że załatwi mu kilka dodatkowych minut, by mógł pooddychać świeżym styczniowym powietrzem.

* * *

Helena Schwarz siedziała na krześle wystawionym na korytarz i czekała, aż odprowadzą Johna na dach. Spytała, czy może zapalić, a Grens, który stał najbliżej, wzruszył ramionami; kobieta uznała to za przyzwolenie i wyciągnęła paczkę mentolowych papierosów.

– Nie paliłam od pięciu lat.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się, jakby się dokądś spieszyła.

– Co pan sądzi?

Mówiąc to, lekko drżała. Ewert nie miał ochoty odpowiadać na jej pytanie, ale w końcu to zrobił.

– Nic nie sądzę. Już mówiłem.

– Czy on mówi prawdę?

– Nie wiem. Przecież pani zna go lepiej niż my.

– Najwyraźniej jednak nie.

Na drugim końcu korytarza pojawiło się dwóch strażników i sprzątaczką, która szorowała podłogę.

– Czy on naprawdę siedział w więzieniu?

– Władze amerykańskie twierdzą, że tak.

– Przez dziesięć lat?

– Tak.

– Skazany na śmierć?

– Tak.

Rozplakała się, tym razem cicho.

– A więc odebrał komuś życie?

– Tego nie wiemy.

– Skazali go za morderstwo.

– Tak. I najprawdopodobniej jest winien. Natomiast cała reszta – nazwisko, rodzaj kary, ucieczka... wszystko się zgadza. Może więc mówił prawdę i wtedy, gdy twierdził, że jest niewinny.

Grens sięgnął po chusteczkę do nosa, którą zawsze miał przy sobie w kieszeni spodni. Kobieta wytarła oczy, nos i spojrzała na niego.

– Czy to się zdarza?

– Że skazuje się osoby niewinne?

– Tak.

– Nie tak często, żeby to komuś przeszkadzało.

* * *

Kiedy John wrócił, miał mokre włosy, a jego blade policzki zaróżowiły się; na dworze

było zimno, padał śnieg, brzydka, zimowa pogoda nie chciała ustąpić.

Wszyscy czekali, aż wróci.

Troje policjantów, prokurator, Helena.

Spojrzeni na niego i przyglądali mu się do chwili, aż usiadł na krześle i dał znak, że może zeznawać dalej.

* * *

– Jest ładnie, kiedy jest zimno. Lubię, kiedy wieje, gdy się marznie, kiedy wchodzi się do jakiegoś pomieszczenia i znowu robi się ciepło.

Poszukał wzrokiem ich oczu.

– Tak to było, tak to odczuwałem, tam gdzie dorastałem, w Ohio.

Hermansson od dłuższego czasu milczała. Wiedziała jednak, że trzeba będzie coś powiedzieć. Wiedziała, że nadszedł ten moment.

– Słuchamy dalej. Helena też słucha.

To Hermansson przed kilku dniami rozmawiała z nim pierwsza i to ona chciała dokończyć tę rozmowę.

– Wszyscy, jak tu jesteśmy, zastanawiamy się jednak, w co mamy wierzyć. Czy mówisz prawdę? A jeśli tak, dlaczego robisz to właśnie teraz?

John skinął głową.

– Możecie sobie wierzyć, w co chcecie. Teraz mówię to, co wiem.

Hermansson odczekała chwilę, a potem rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć „proszę bardzo”.

Zegar wiszący za nim na ścianie denerwował go, te zegary, nadal ich nienawidził.

– Wiem, że był ze mnie kawał drania. Niepozbierany, popędliwy, rzucałem się na wszystkich i na wszystko. Dwa razy siedziałem w poprawczaku, ale zasłużyłem sobie na to, na każdy miesiąc, który tam spędziłem.

Odwrócił się w stronę taniego plastikowego zegara wiszącego na ścianie i spojrzał na niego.

– Czy możemy go zdjąć?

Hermansson bacznie obserwowała jego pełne napięcia spojrzenie.

– Oczywiście. Jak chcesz, możesz go sam zdjąć.

John wstał z krzesła, zdjął zegar i hak, na którym wisiał, podszedł do drzwi, otworzył je i położył zegar za progiem, a następnie zamknął drzwi.

– Wiem, że kiedy miałem szesnaście lat, poznałem jedyną kobietę, jaką oprócz ciebie, Heleno, kochałem w całym moim życiu.

Spojrzał na nią, długo jej się przyglądał, a potem znowu spuścił wzrok na podłogę, zrobioną chyba z zielonego plastiku.

– Wiem, że któregoś popołudnia znaleziono ją martwą na podłodze w sypialni jej rodziców. Finnigan. Tak się nazywali. Wiem, że znaleźli w niej moją spermę, a moje odciski palców na jej ciele i w całym domu. Przecież spotykaliśmy się od roku! Wiem, że proces przebiegał w sposób całkowicie chaotyczny, a przed salą sądową roilo się od dziennikarzy i polityków; ona była niepełnoletnia, piękna, a na dodatek była córką człowieka, który pracował w sztabie gubernatora. Wiem, że chcieli znaleźć kogoś, na kim będą mogli się wyżywać, kogo będą mogli skazać na śmierć za to, że ona nie żyła. Wiem, że skazano mnie za morderstwo. Wiem, że miałem wtedy siedemnaście lat i strasznie się bałem, kiedy wprowadzano mnie do celi w bloku śmierci w Marcusville. Wiem, że przesiedziałem tam dziesięć lat. Wiem też, że któregoś dnia obudziłem się w jakimś dużym samochodzie wiozącym mnie drogą łączącą Columbus z Cleveland.

Podniósł dłoń i uderzył się w pierś.

– To wszystko. To wszystko, co wiem.

Hermansson uniosła się z krzesła, popatrzyła na osoby znajdujące się w pokoju, a potem wskazała w stronę drzwi.

– Trochę tu duszno. Ktoś chce coś do picia? Ja muszę się czegoś napić. Ty, John, chyba też tego potrzebujesz, takie odnoszę wrażenie.

Po chwili wróciła, przynosząc sześć filiżanek kawy, każda innego rodzaju, z mlekiem i bez mleka, z cukrem, a także z cukrem i mlekiem... ustawiła filiżanki na pustym kartonie po papierze do kserokopiarki, przez chwilę wszyscy pili w milczeniu i czekali, aż John znowu zacznie opowiadać.

– Chcesz jeszcze?

Hermansson wskazała dłonią na jego pusty kubek.

– Dziękuję, może za chwilę.

– No to powiedz, jak będziesz chciał.

John wpatrywał się prawie przez cały czas w podłogę, od czasu do czasu unosił wzrok, szukał wzrokiem oczu Heleny i pewnie zastanawiał się, czy dotarło do niej to, co mówił.

– Do środka weszła jakaś lekarka. Poprosiła mnie, żebym spuścił spodnie. Potem zobaczyłem pipetę, tak się to chyba nazywa. Trzymała ją w dłoni, potem nacisnęła ją, o tak, i coś wstrzyknęła.

John wskazał na swoje pośladki.

– Tamto zmęczenie... tyle że jeszcze gorsze... nie pamiętam, czy kiedykolwiek wcześniej czułem się gorzej... taki ospały. Wydaje mi się, że wtedy do celi wszedł jakiś lekarz. Nie jestem pewien, może mi się to śniło, ale sądzę, że był to mężczyzna, młodszy od kobiety, przyniósł jakieś tabletki, pamiętam, że coś połknąłem.

Grens poruszył się niespokojnie, krzesło było niewygodne, a te cholerne plecy jak zwykle go bolały, zerknął na Svena, Ågestama i Hermansson, którzy siedzieli obok niego, próbował zmienić pozycję w taki sposób, żeby nie przeszkadzać nikomu w słuchaniu tej niezwyklej opowieści.

– Leżałem na podłodze, właściwie to nie wiem dlaczego, po prostu tam leżałem... nie byłem w stanie się podnieść. Potem... poczułem ukłucie, dokładnie w tym miejscu. Rozumiecie? Dostałem zastrzyk, jestem tego prawie pewien, któreś z nich wbiło mi igłę w penisa.

Przyłożył dłoń do czoła i przez chwilę tak ją trzymał. A potem zaczął płakać. Niezbyt gwałtownie, nie rozpaczliwie... był to powolny płacz, który musiał znaleźć jakieś ujście.

– Liczyłem czas. Tykała we mnie każda sekunda. Bo to właśnie robiliśmy: odliczaliśmy upływający czas. Ale wtedy... po zastrzyku... nie mam zielonego pojęcia, czy zadziałał natychmiast, a może z opóźnieniem. Potem... nie mogłem oddychać. Nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem mrugnąć, nie czułem bicia serca, byłem jak sparaliżowany, świadomy, ale całkowicie sparaliżowany!

Hermansson zebrała puste kubki i wyszła na korytarz. Kiedy wróciła, John już nie płakał; wziął kubek z kawą, upił połowę, pochylił się i kontynuował swą opowieść:

– Umierałem. Byłem tego najzupełniej pewien. Tak, umierałem! Ktoś rozsunął mi powieki i wkroplił mi coś do oczu. Chciałem spytać po co, ale nie mogłem się poruszyć... jakby mnie nie było. Rozumiecie? Rozumiecie to? Kiedy się umiera, zaczyna się odczuwać jakąś siłę, która uderza od środka. Ktoś coś krzyczał. On umiera! I wydaje mi się, że... że dostałem jeszcze jeden zastrzyk. W serce. I coś do gardła, ktoś mi to wdmuchnął. Znowu zasnąłem. A może straciłem przytomność. Czasami myślę, że na chwilę umarłem, i nawet ktoś tak zawołał: „On nie żyje!”. Obudziłem się, leżałem na podłodze w celi i słyszałem, jak ktoś stwierdza mój zgon. Podaje godzinę, moje nazwisko, słyszałem to. Rozumiecie? Słyszałem!

Ostatnie słowa rozbiegły się po ciasnym pomieszczeniu, odbiły echem od ścian i wróciły do niego.

– Nie żyłem. Jestem tego pewien. Kiedy się obudziłem... kiedy zobaczyłem...

wiedziałem, że jestem martwy. Było tak zimno. Leżałem w jakimś pokoju, było tam chłodno jak w lodówce, obok mnie leżał jakiś człowiek, całkiem biały, leżał jak ja, na noszach, z twarzą zwróconą do sufitu. Nie rozumiałem tego. Jak mogę widzieć, jak mogę marznąć, jeśli jestem martwy?

Napił się kawy i odstawił pusty kubek.

– Odszedłem. Po prostu odszedłem. A potem... jestem pewien, że leżałem w jakimś worku. Plastikowym, tak, plastik tak szeleści. Wiecie... czy wiecie, że jak ktoś, kto ma na przegubach kajdanki, próbuje się uwolnić, to się nie da? Dłonie można rozstawić na odległość zaledwie dwudziestu centymetrów. A kiedy się nimi uderza... nic to nie daje.

Ågestam i Hermansson wymienili spojrzenia, zrozumieli się. Trzeba przerwać, widać, że już nie daje rady. Będą kontynuować przesłuchanie później, po południu, a on niech trochę odpocznie w celi.

– Zanim skończymy, chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie.

Ågestam odwrócił się w stronę Johna.

– Mówiłeś poprzednio, że obudziłeś się w jakimś samochodzie na drodze między Columbus a Cleveland?

– Tak. Wiem o tym.

– No to w takim razie powiedz, kto kierował tym samochodem. I czy na siedzeniu obok ciebie jeszcze ktoś siedział.

John potrząsnął głową.

– Nie. Jeszcze nie.

– Jeszcze nie?

– Jeszcze nie chcę o tym mówić.

Obaj strażnicy, którzy czekali na zewnątrz, odprowadzili Johna do jego celi. Kilka razy się odwracał, Helena nadal stała przy drzwiach, ich spojrzenia się spotkały. Obok niej stał Ågestam z Hermansson, rozmawiali o czymś, trochę gestykulowali.

Grens przyglądał się Johnowi i Helenie, która nie miała o niczym pojęcia. Przyglądał się Hermansson, która prowadziła przesłuchanie z takim spokojem, i Ågestamowi, który przez chwilę wydał mu się nawet mądry.

Wcześniej uznał tę sprawę za dyplomatyczną bombę, ale teraz wcale nie stała się łatwiejsza. Przynajmniej dla biurokratów, którzy spróbują powoływać się na umowę ekstradycyjną z Unią Europejską, gdy ojczyzna Johna Meyera Freya upomni się, aby im go oddać.

Będą się upominać o swoje prawo do przeprowadzenia egzekucji.

Zależy im na utrzymaniu zaufania wyborców, którzy głosowali za bezpieczeństwem i surowymi metodami zwalczania przestępczości.

Odwrócił się do Svena, który nie wyszedł jeszcze z pokoju.

– No i co o tym sądzisz?

Sundkvist się skrzywił.

– Ta robota nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

Grens odczekał chwilę, aż Sven zrównał się z nim, a potem powiedział ściszym głosem:

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Jasne.

– Przyprowadź tu lekarza, który zajmuje się aresztowanymi, obojętne, który z nich to będzie, weź go na stronę i powiedz mu, tak ogólnie, co wiemy. Chcę, żeby natychmiast zbadał Freya. Chcę się dowiedzieć, w jakim stanie jest jego serce. Czy odegrało jakąś rolę w ucieczce czy też potrzebuje stałej opieki. I od razu mi melduj, jak się dowiesz.

– Okay, zajmę się tym.

Sven zdążył się już trochę oddalić, kiedy Grens zawołał za nim trochę głośniej:

– Chyba nie chcesz, żeby nam się tu rozłożył w celi i umarł! Lepiej, żeby nie stało się to tradycją.

W Ohio nadal był jeszcze ranek, podczas gdy w Sztokholmie zaczęło się popołudnie. Vernon Eriksen zamknął właśnie swój więzienny mundur w służbowej szafce stojącej w zakładzie karnym w Marcusville. Skończył nocny dyżur i cieszył się z nadchodzącego wolnego weekendu.

Kiedy pracował nocą, o wiele silniej odczuwał upływający czas.

Nie miał go zbyt dużo dla przyjaciół, dość rzadko spędzał czas poza domem. A jednak nocna praca i spanie w ciągu dnia też mu nie odpowiadały z powodu ciągłego zmęczenia i faktu, że w tej innej rzeczywistości, poza murami, z nikim się nie spotykał.

Otworzył drzwi na wewnętrzny dziedziniec i podszedł do zamkniętej bramy głównej. Dzwonił do Greenwooda i Biercoff, ale nie okazali wzburzenia ani strachu. Rozmawiali z nim tak, jakby od dawna na to czekali, jakby spodziewali się, że sprawa wyjdzie na jaw, jakby się do tego przygotowali. Może nawet lepiej będzie, jak sprawa się wyda, czas już skończyć z podtrzymywaniem nadziei, że uda się przeczekać kolejny dzień.

Eriksen wyszedł przez bramę, którą otworzył mu jeden ze strażników, i poczuł ulgę.

Oboje z jego rozmówców wiedzieli, co jest grane.

Na wspólnych spotkaniach przerzucali się nazwami lekarstw, rozpoznaniem i planowanymi metodami postępowania, używali takich słów jak kardiomiopatia i benzodiazepina, haldol, pavulon i pochodne morfiny... zastanawiali się, jak na krótką chwilę uśmiercić człowieka, przewieźć go z celi w bloku śmierci do kostnicy, do worka, na sekcję, do samochodu jadącego na północ... udało się, plan udało się wykonać w każdym najdrobniejszym szczególe. Potem przepracowali na swoich stanowiskach jeszcze przez kilka miesięcy, bo gdyby nagle się zwolnili, mogłoby to wzbudzić czyjeś podejrzenia; później, przy tak dużej fluktuacji, ich odejściem nikt się nie zainteresował. John już od dawna „leżał w grobie”, gdy któregoś dnia Greenwood i Biercoff oddali swoje białe fartuchy, wsiedli do autobusu jadącego do Columbus, a potem każde z nich pojechało w swoją stronę z nowym dokumentem tożsamości w kieszeni i nową licencją na wykonywanie zawodu lekarza w

torbie.

Sypał drobny śnieg. Vernon spojrział w niebo, na wielkie płatki, które tańczyły w powietrzu i spadały na ziemię. Wjeżdżał już do miasta, gdzie znał każdy kamień, każde drzewo, każdą ulicę, przecież mieszkał tam od czasu, jak sięgał pamięcią.

Próbowali go przywrócić do życia, a przynajmniej zachowywali się w taki sposób, żeby na to wyglądało.

Żadna z osób, która obserwowała ich wtedy w akcji, nie będzie mogła potem zaświadczyć, że nie uczynili wszystkiego co w ich mocy, by go uratować.

Greenwood intubował Johna, który w ten sposób otrzymał odpowiednią ilość tlenu, a w tym samym czasie Biercoff robiła mu masaż serca.

Któreś z nich zamówiło później przez telefon defibrylator, a jeden ze strażników przybiegł z urządzeniem w ręce, bo serce Johna trzeba było pobudzić wysokim napięciem.

Sporo rozmawiali o tym, że trzeba osłabić elektryczny wstrząs, wykonać tylko jedno uderzenie prądem, a potem stwierdzić brak akcji serca, pokazując na ekranie EKG stałą, płaską linię.

Ostatni zastrzyk zrobili mu bezpośrednio w serce, dokładnie w to miejsce, gdzie trzeba. Jednak w strzykawce zamiast adrenaliny była sól fizjologiczna.

W trakcie tych wydarzeń Vernon poczuł coś w rodzaju dumy, co w pewien sposób go zawstydziło.

Jego udział w całej tej akcji polegał na sfalszowaniu obrazu EKG. Problem ten rozwiązał za pomocą dwóch kawałków zwykłej plastikowej taśmy.

Poprzedniego wieczoru pociął cienką, przezroczystą taśmę na kawałki tej samej wielkości, co elektrody EKG. Potem już bez problemu przykleił je do spodniej strony elektrod, tworząc w ten sposób niewidoczną powłokę, przez co oszukał instrument. A kiedy potem elektrody przytknęli do nagiej skóry Johna, nie mogły odbierać sygnałów wysyłanych przez serce „zmarłego”.

Miasteczko budziło się właśnie ze snu. Vernon szedł ulicą wśród gęsto padającego śniegu i przyglądał się rodzinom siedzącym przy kuchennych stołach; w oknach nadal stały świeczniki, chociaż Boże Narodzenie już dawno się skończyło. Wszyscy jedli śniadanie, dzieci kończyły ostatnią porcję płatków, a ich rodzice biegali dokoła, próbując ubrać siebie albo dzieci. Zaglądał do wnętrza mijanych domów, patrzył na niewielkie trawniki i przez chwilę – ale tylko przez chwilę – poczuł coś w rodzaju wyobcowania: do nikogo nie należy, nie ma rodziny, nikogo, kto by się o niego troszczył, nikogo, dla kogo mógłby żyć.

John „zmarł” na podłodze w swej celi. Ktoś, kto nie był wtajemniczony w całą sprawę,

tak to właśnie odbierał. A oni stwierdzili jego zgon. Greenwood powiedział na cały głos: „John Meyer Frey zmarł o godzinie dziewiątej trzynastie w zakładzie karnym Southern Ohio Correctional Facility w Marcusville”. Obok niego stała Biercoff, która potwierdziła tę diagnozę skinieniem głowy, wyglądała na zrezygnowaną, tak jak to wcześniej ustalili.

Mieli teraz osiem minut.

Gdyby nie zdążyli, zmiany w mózgu Johna stałyby się nieodwracalne.

Potem, w raporcie dla władz więzienia, twierdzili, że to przykre wydarzenie wzbudziło duży niepokój wśród innych więźniów, a oni nie chcą, żeby sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu, bo obawiają się, że wydarzenie to może zachęcić innych skazanych na śmierć do niekontrolowanych zachowań; przecież reakcje osób, które były świadkami nagłego zgonu innej osoby, są trudne do przewidzenia, zwłaszcza jeśli są to ci, którzy sami czekają na śmierć.

Dlatego też szybko go stamtąd przenieśli w inne miejsce, aby nie wystawiać się na widok pozostałych więźniów osadzonych w bloku śmierci.

Idąc więziennym korytarzem, Biercoff co dwie minuty pochylała się nad wózkami z noszami i przykładała swe usta do ust Johna, wtlaczając mu do płuc powietrze; robiła to wtedy, gdy była pewna, że nikt ich nie widzi, robiła to po kryjomu, aby podtrzymać akcję płuc.

Potem, gdy zostawili go w kostnicy, doznała dziwnego uczucia.

Nie mieli jednak innego wyboru. John musiał znaleźć się w chłodnym powietrzu; Greenwood i Biercoff wyjaśniali, że muszą przywrócić metabolizm, że jego ciało znowu trzeba napęlić tlenem.

Vernon stał w drzwiach tak długo, jak tylko mógł wytrzymać.

Od chwili, kiedy był w tym pomieszczeniu poprzedni raz, upłynęło wiele lat. Wyliczył, że już ponad dwadzieścia. Każdy martwy skazaniec, którego pilnował i którym zajmował się na oddziale, trafiał tam w końcu jak pusta skorupa; uważał, że powinien tam być jeszcze jeden pokój, dla dusz.

Stał tam wtedy i patrzył na ciało Johna, który niby to był świadomy, a mimo to nie mógł wykonać żadnego ruchu i nadal nie do końca rozumiał, co się wydarzyło. I strach, ten przeklęty strach... cała trójka wiedziała, że kiedy wyjdą i zamkną za sobą drzwi, Johna opanuje ogromny strach; obudzi się sam w zimnym pomieszczeniu i nie będzie wiedział, czy żyje, czy jest martwy, powoli zacznie sobie przypominać strzępy ostatnich zdarzeń, po trochu, ale nadal nie będzie z tego nic rozumiał.

Vernon zatrzymał się, otrzepał o krawędź chodnika śnieg z pantofli, odczekał chwilę i

ruszył dalej.

Mern Riffe Drive wyglądała jak wszystkie inne ulice w Marcusville.

Mimo że domy stały blisko ulicy, nie zatrzymywał się tu zbyt często, zgodnie ze swym zwyczajem szedł szybko, zaglądając czasem do okien; mieszkał na drugim końcu miasta, a tutaj domy były trochę droższe, trochę większe... także i tutaj, w małej miejscowości istniał zakątek dla tych, którzy byli trochę „lepsi”.

Dom Finniganów położony był najdalej, jako ostatni po lewej stronie. Edwarda Finnigana znał przez całe życie, między nimi nie było zbyt dużej różnicy wieku, do szkoły chodzili w tych samych latach, ale nie znali się osobiście, choć łączyło ich to, że żyli w tym samym czasie i kochali tę samą kobietę z niewielkiej wioski na południe od Ohio.

Unikał tego miejsca, jakoś tak po prostu wyszło, nie miał wystarczająco dużo siły, żeby oglądać ją w domu, który nie należał do niego.

Kiedy otwierał bramkę zamocowaną w wysokim ogrodzeniu, próbował sobie przypomnieć. Dwa razy. Mieszkał tu już od pięćdziesięciu lat, ale w tym domu był tylko dwa razy. Po raz pierwszy, gdy Edward dostał pracę u gubernatora i w pewne piątkowe popołudnie postanowił zaprosić wszystkich, którzy cokolwiek znaczyli, na koktajl. Vernon, który pracował w zakładzie karnym – będącym największym pracodawcą w Marcusville – był najwidoczniej jedną z takich osób, które w oczach Finnigana coś znaczyły. Wahał się jednak, czy tam iść, bo zawsze czuł się niepewnie na imprezach, skąd biło pustką. W końcu jednak poszedł, pogratulował gospodarzowi nowej pracy, wypił kilka słodkich drinków, a potem jak najprędzej wymknął się stamtąd. Drugi raz zjawił się tam po śmierci Elizabeth, żeby wyrazić swoje szczere współczucie. Obserwował przecież, jak dorastała; to była ładna, radosna, szczerą dziewczyna, poczuł wtedy, że mu jej będzie brakować.

Padał coraz gęstszy śnieg. Zastukał do drzwi.

Otworzyła mu Alice.

– Vernon, wejdz.

Alice była niezwykłą kobietą. Cicha, zahukana przez dominującego nad nią męża, ale kiedy kilka razy spotkał ją na mieście, w sklepie albo na poczcie, rozmawiało mu się z nią równie łatwo jak kiedyś. Nadal była ładna, ładnie się uśmiechała, a nawet zdarzało jej się wybuchać śmiechem, czego nigdy nie robiła w towarzystwie męża.

Edward Finnigan był nie tylko złym człowiekiem, ale także złym mężem.

A teraz przyglądali się sobie. Alice była zmęczona, ale patrzyła na niego przyjaznym wzrokiem. Vernon zastanawiał się, czy kiedykolwiek wracała myślami do przeszłości, do chwili, gdy dokonała niewłaściwego wyboru, czy myślała o tym, że wszystko mogło potoczyć

się inaczej.

– Rozbierz się. Robię właśnie herbatę.

– Nie zostanę długo. Przepraszam, że dzwoniłem tak wcześnie, ale wiem, że oboje chcielibyście to usłyszeć.

– Ale chyba zdążymy wypić filiżankę herbaty? Wejdz i rozgość się.

Vernon rozejrzył się po przedpokoju i po innych pomieszczeniach. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętał. Tapety, meble, grube dywany na podłodze, nic tu nie zmienili. Od tamtego razu minęło osiemnaście lat. Znaleźli ją na podłodze, a teraz odruchowo zajrzał do tego pokoju, jakby nadal tam leżała. Ich żaloba trwała, a teraz może była nawet większa, w każdym razie tak to odczuwał, jak uderzenie w twarz.

Zatrzymał się przy kuchennych drzwiach.

– Edward jest w domu?

– W piwnicy. Może pamiętasz, że od czasu do czasu strzela?

– Pokazywał mi nawet strzelnicę, kiedy byłem tu pierwszy raz.

– Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

Wyczuwał zapach cynamonu i jakiegoś placka, może szarlotki. Przez szybkę piekarnika zobaczył wielką, porcelanową formę.

– Zaraz do niego pójde. I popatrzę sobie na strzelnicę, po raz drugi.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech; nietrudno było się domyślić, że nie cierpiała i piwnicy, i strzelnicy.

Otworzył drzwi prowadzące do piwnicy i poczuł lekki zapach wilgoci i powietrza wypełniającego zamknięte pomieszczenie, które należałoby wywietrzyć. Korytarz miał prawie dwadzieścia metrów długości i był na tyle szeroki, że można nim było iść w tym samym czasie, gdy inna osoba stała i strzelała. Na samym końcu stała tarcza strzelnicza, w której widać było pięć otworów o postrzępionych brzegach w bliskiej odległości od środka celu. Finnigan miał jeszcze oddać pięć strzałów, stał spokojnie, przed każdym strzałem nabierał głęboko powietrza. Vernon odczekał, aż skończy, to tylko jedna seria strzałów, dziesięć celnych, tuż obok siebie.

Finnigan dopiero teraz zauważył swego gościa i dał mu znak, że potrwa to jeszcze chwilę; potem nacisnął na czerwony guzik znajdujący się w betonowej ścianie na wysokości jego ramienia. Tarcza przyjechała do niego na drucie, cicho skrzypiąc. Zdjął ją z linki, obliczył wynik.

Vernon przyglądał się jego zadowolonej twarzy.

– Dobrze strzelasz.

– Zwłaszcza rano, jeśli odpowiednio się skoncentruję. Gdy przyjdę tu po tych wszystkich długich nocach i pomyślę o twarzy Freya, od razu lepiej mi wychodzi.

Jego oczy. Vernon pracował wśród czubków i skazanych na śmierć, ale nieczęsto widywał oczy, które pały taką nienawiścią.

– Chciałbym porozmawiać z tobą i Alice.

– O co chodzi? Dotychczas nie za wiele ze sobą rozmawialiśmy.

– Wołałbym o tym porozmawiać na górze, żebyście oboje mogli posłuchać.

Finnigan skinął głową, wyjął z pistoletu magazynek i usunął nabój z komory. Potem podszedł do szafki na broń, wiszącej trochę dalej na ścianie.

Vernon przyglądał mu się, a jednocześnie myślał o całej tej broni – półautomatycznych i automatycznych karabinach i pistoletach różnych rozmiarów, które wypełniały podobne szafy w całym kraju. I o pistolecie, który Edward wieszał właśnie za szybą, z odciskami swoich palców.

Finnigan odwrócił się do Vernona i dał mu znak, że teraz mogą już iść. Zwinął tarczę, schował ją do kieszeni i wskazał na górę, po czym obaj ruszyli po schodach.

* * *

Na początku panowała trochę nieprzyjemna cisza, jak to czasem bywa. Wypili trochę herbaty, zjedli po kawałku szarlotki, zbyt słodkiej jak na tę porę dnia... mimo to Vernon jadł dalej, smakowała mu.

Kosztowało to sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów – ucieczka przed własną śmiercią.

Zerknął na nich, na ich twarze.

Finniganowie nie mieli o niczym pojęcia.

Nie wiedzieli też, że gdzieś w Kanadzie nadal żyje człowiek, który regularnie otrzymuje pieniądze za paszport i za przeszłość.

Rozmawiali trochę o padającym bez przerwy śniegu, trochę o nowej kawiarni przy poczcie z dziwnym, meksykańskim wnętrzem, trochę o dwojgu sąsiadów z domu obok, którzy mają wielkiego, czarnego psa; szczekał na wszystko i na wszystkich, którzy przechodzą obok ich domu.

Finniganowie czekali cierpliwie, aż im wyjaśni, czego dotyczy jego wizyta.

Odnalezienie Schwarza zabrało cztery miesiące.

Znowu spojrzął na ich twarze.

Schwarz to mężczyzna będący w tym samym wieku co John, mający prawo stałego

pobytu w dwóch różnych krajach. Zgodził się oddać im za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów swój paszport, swoją historię i swoje życie.

Eriksen nie chciał już tego dalej przeciągać, zastanawiać się, jak o tym wszystkim powiedzieć i niepokoić się z powodu ich nieprzewidywalnej reakcji.

Odstawił filiżankę i odczekał, aż oboje zrobili to samo.

– John Meyer Frey.

Spojrzał na nich, na każde oddzielnie, a potem wydusił z siebie wreszcie prawdę, która istniała od sześciu lat.

– John Meyer Frey żyje. Siedzi w areszcie w Sztokholmie, stolicy Szwecji, w północnej Europie. Siedzi tam od dwóch dni i ma fałszywą tożsamość.

Czekali, aż powie resztę.

– Otrzymaliśmy potwierdzenie. To on.

Potem opowiedział im w zarysach o wszystkim, co wiedział. Frey już umarł, został pogrzebany, a mimo to kilka dni temu został zatrzymany i aresztowany za ciężkie pobicie na promie płynącym z Finlandii do Szwecji. Potrzebowali kilku dni, ale za pośrednictwem Interpolu i FBI udało się ustalić jego tożsamość. Człowieka, który nie żyje. A zarazem żyje. Vernon spojrzał na ich napięte twarze, a potem posypały się pytania, na które nie miał odpowiedzi, te wszystkie jak, kiedy i dlaczego; na razie wie tylko tyle i nic więcej. John Meyer Frey żyje.

* * *

To niezwykle, jak bardzo ludzie mogą zbrzydnąć. Vernon widywał już takie sytuacje wcześniej, przy okazji egzekucji, kiedy często zdarzało się, że rodziny jakby rozkoszowały się tym, że zginie jeszcze jeden człowiek, że w końcu zaznały zemsty i że dzięki śmierci wyrównały rachunki. Obserwował, jak ich ciała, sposób poruszania się, twarze i wszystko to, co stanowiło ich część, nagle się zmieniało i stawało się brzydkie.

Finnigan siedział po jego prawej ręce z kawałkiem ciasta na brodzie i dopiero po chwili zrozumiał, o czym mówi Vernon. To, czego z początku nie pojmował, powoli do niego docierało; podniósł się, pobiegł do salonu, sięgnął do oszklonej szafy i po chwili wrócił, niosąc butelkę koniaku i trzy kieliszki. Szedł lekkim krokiem, a z całej jego postaci emanowała radość, jaką odczuwa ktoś, kto za chwilę zabije.

– Więc ten bydlak żyje!

Postawił kieliszki na stole, po jednym przy każdej filiżance do herbaty, i napełnił je

koniakiem.

– To znaczy, że zobaczę, jak będzie umierał!

Vernon pokazał, że nie chce koniaku, Alice zerknęła na niego i też odmówiła. Finnigan potrząsał głową i mruknął coś, Vernonowi wydawało się, że słyszy słowo „cipy”, ale nie był tego pewien; Finnigan szybko opróżnił swój kieliszek, po prostu wypił koniak jednym haustem, a potem mocno uderzył dłonią w stół.

– Osiemnaście lat! Przez osiemnaście lat czekałem, aż to bydlę zdechnie, a ja będę się temu przyglądał! To jest właśnie moja sprawiedliwość! Rozumiecie? Nadszedł wreszcie czas!

Wyrzucił w górę ramiona, wydał z siebie jakiś bulgoczący dźwięk, chwycił butelkę i nalał sobie po raz drugi, wypił i dalej wymachiwał rękami.

Vernon przyglądał się Alice, która siedziała z pochyloną głową, wpatrzona w stół, gdzie leżały okruchy ciasta. Zastanawiał się, czy sam myślał kiedykolwiek o sprawiedliwości. Było to słowo, którym tacy jak Finnigan posługiwali się zamiast słowa „zemsta”. W jej oczach ujrzał łzy i poczuł, że wiele razy wcześniej wyrażały to samo.

– Pójdę na górę i położę się jeszcze. Nie chcę tu już dłużej siedzieć.

Alice spojrzała na męża.

– Czy teraz jesteś zadowolony, Edwardzie? Wystarczy ci to? No powiedz, wystarczy?

Ruszyła szybko w stronę schodów i poszła do pokoju na piętrze. Osiemnaście lat żałoby, która wdzieriała się w każde słowo, w każdą myśl.

Vernon tkwił w miejscu. Chrząknął tylko.

Poczuł niesmak.

Próbował się go pozbyć, ale ten tkwił w nim zbyt głęboko i nie chciał ustąpić.

Ewert Grens zamknął drzwi do pokoju i siadł przy biurku. Przymknął oczy i zaczął wsłuchiwać się w jej głos; przez chwilę byli sami, on i Siw, a razem z nimi pamięć, która krążyła gdzieś między segregatorami z dokumentacją dochodzeniową, każda linijka jej piosenki przenosiła go coraz dalej w przeszłość, aż do chwili gdy on i Anni byli dwójką młodych policjantów, którzy zaczęli się poznawać, te pierwsze, nerwowe zdania, jakie wymamrotał w jej stronę, ten pierwszy raz, kiedy ją obejmował, tak całkiem niedawno, a zarazem dawno.

Odwrócił się w stronę dużego magnetofonu kasetowego i ustawił potencjometr na tak wysokim poziomie, że głośniejsz już się nie dało.

Tweedle tweedle tweedle dee, także ja się zakochałem

Droga prowadząca do nieba, znalazłem ją i wiem, czym miłość jest

Ten jej głos, *Tweedle dee*, nagranie z 1955 roku, z orkiestrą Harry'ego Arnolda, jej głos był taki delikatny, tak młody, może była to pierwsza piosenka, jaką nagrała, nie za bardzo wiedział, ale kołysał się w takt muzyki, trzymał Anni za rękę, to wszystko, co miało się zacząć, to wszystko, co nigdy nie zdążyło się zacząć.

Słuchał dwie minuty i czterdzieści pięć sekund, dokładnie wiedział, ile trwa ta piosenka, potem odwrócił się i trochę ściszył muzykę. Wrócił myślami do niedawnej sprawy, sprzed trzydziestu minut. Myślał o Schwarzu, facet o mało się nie rozkleił, kiedy zobaczył swą żonę, która o niczym nie wiedziała, oboje sprawiali wrażenie, jakby byli bliscy załamania. Na początku Grens wątpił, czy żona Schwarza rzeczywiście o niczym nie wie, bo wydawało mu się to niewiarygodne; no bo jak ktoś może żyć z innym człowiekiem i nie znać jego ciemnej strony? Teraz jednak przestał wątpić. Ona naprawdę nic nie wiedziała. Temu łajdakowi udawało się ukrywać przed nią prawdę o całym swoim życiu, musiał przy tym prowadzić prawdziwą grę, pozbyć się dawnych wspomnień. Nikt nie wiedział lepiej od Grensa, że jest to możliwe.

Wydawało mu się, że po trzydziestu latach służby w policji widział już wszystko. Ale tak fantastycznej historii nie potrafiłby wymyślić, a przecież z każdym dniem stawała się coraz bardziej interesująca. Wiedział już, że to wszystko zdarzyło się naprawdę, że każde słowo Schwarza jest prawdą. Facet rzeczywiście zrobił coś, czego nikt inny wcześniej nie zrobił, nikt inny nawet nie otarł się o coś takiego. Uciekł z miejsca własnej egzekucji, z zamkniętej celi w bloku śmierci, z jednego z najlepiej strzeżonych zakładów karnych w Stanach Zjednoczonych. Cholera, to prawdziwy wyczyn! Ten dureń wszystkich ich wykiwał! Grens poczuł się tym rozbawiony: chłopak wykiwał kraj, który zbudował mnóstwo różnych zakładów karnych i święcie wierzył w skuteczność wieloletnich wyroków uważanych za jedyne rozwiązanie samonakręcającej się spirali przemocy. To naprawdę coś, to naprawdę było coś!

Usłyszał pukanie do drzwi.

– Nie przeszkadzam?

– Nie, pod warunkiem że pozwolisz mi posłuchać do końca.

Wszystkie te piosenki Grensa brzmiały podobnie. Ale kiedy tak siedział z przymkniętymi oczami, a jego wielkie ciało poruszało się w takt muzyki, był prawie słodki.

Hermansson czekała, już się tego nauczyła.

– Czegoś ode mnie chciałaś?

Nagranie skończyło się, a Grens wrócił do rzeczywistości.

– Tak, pomyślałam, że moglibyśmy pójść gdzieś potańczyć. Grens się wzdrygnął.

– Tak sobie pomyślałaś...

Przypomniał sobie pytanie, które mu zadała poprzedniego dnia, a mianowicie: kiedy to było i dlaczego. Pamiętał też swoją odpowiedź: „Przecież widzisz, jak wyglądam. Kuleję i mam sztywny kark”.

– Czego chcesz?

Spojrzała w stronę drzwi.

– Chodzi o Helenę Schwarz. Niedługo tu będzie. Poprosiłam ją, żeby tu przyszła.

– Naprawdę?

– Musimy z nią porozmawiać. Ty też widziałeś, że jest bliska całkowitego załamania.

Nie możemy do tego dopuścić. Odpowiadamy za to.

– Nie jestem tego taki pewien.

– Ale dzięki temu więcej się od niego dowiemy. Jeśli ona tu będzie. Jestem przekonana, że tylko pod tym warunkiem będzie mówił dalej.

Grens przesunął dłonią po swych rzadkich włosach, pogłaskał się po brwi. Ma rację, to

jasne, że ma rację.

– Zrobiłaś tak już przedtem. W pokoju przesłuchań. Doprowadziłaś do tego, że się uspokoił, że ci zaufał. A jeśli ci ufa, pozwoli ci też wyciągnąć z siebie to, czego chcesz się dowiedzieć.

– Dzięki.

– Nie ma za co. To tylko prawidłowy opis tego, co się wydarzyło.

– Pójdziemy potańczyć?

Sprawiła, że poczuł się niepewnie. Był prawie zażenowany. Podniósł głos jak zawsze, kiedy chciał coś ukryć.

– O czym ty, do cholery, bredzisz?

– To już dwadzieścia pięć lat. Twierdzisz, że nie tańczyłeś od dwudziestu pięciu lat. To całe moje życie! A ty sobie po prostu siedzisz, słuchasz muzyki i kiwasz się w jej takt. Nietrudno zgadnąć, że chętnie byś potańczył.

– Hermansson...

– Zapraszam cię. Dziś wieczorem. W jakimś miejscu, gdzie grają twoją muzykę. Ja je wybiorę, a ty będziesz mi towarzyszył.

Grens nadal czuł się zażenowany.

– Hermansson, to niemożliwe. Ja już nie umiem tańczyć. A poza tym... nawet gdybym umiał i nawet gdybym chciał, to ciągle jeszcze jestem twoim szefem.

– No to co?

– Nie za bardzo pasuje.

– Tak, gdybyś to ty mnie zaprosił. Ale to ja cię pytam. Jako koleżanka, nie jako podwładna. Myślę, że moglibyśmy rozdzielić obie te sprawy.

Grens ponownie położył dłoń na głowie.

– Tu nie chodzi tylko o to. Do diabła, pogrywasz sobie ze mną? Jesteś młodą, ładną kobietą, a ja starym, brzydkim facetem. Nawet gdybyśmy się umówili jako przyjaciele, czułbym się... zawsze gardziłem starymi facetami, którzy ganiają za młodymi kobietami i podrywają je.

Hermansson wstała z krzesła, rozłożyła ręce.

– Zapewniam cię, że jestem zupełnie spokojna. Nie należysz do takich, co to biegają za panienkami i podrywają je. Chodziło mi o to, żeby jakoś fajnie spędzić czas. Chciałabym na przykład zobaczyć, jak wyglądasz, kiedy się śmiejesz.

Grens zamierzał jej odpowiedzieć, kiedy w drzwiach zjawił się Sven, a obok niego Helena Schwarz.

– Obiecałem, że z nią tutaj przyjdę.

Ewert skinął mu głową.

– Możesz zostać? Wolałbym, żebyś był przy rozmowie.

Helena Schwarz weszła ostrożnie do pokoju i niespokojnie przesunęła wzrokiem po ścianach. Nadal wyglądała jak mały ptak. Miała na sobie duży sweter zrobiony na drutach ze zbyt długimi rękawami i grubym kołnierzem, który zasłaniał jej szyję, a do tego luźne džinsy, jakby kupione dla kogoś o wiele większego od niej; część jej krótko ostrzyżonych włosów sterczała na głowie... kobieta była czujna, gotowa do ucieczki i gdyby mogła podejść do okna i wyfrunąć przez nie, pewnie by tak zrobiła.

– Może pani usiąść tutaj.

Grens wskazał jej krzesło obok Hermansson. Helena siadła na nim bez słowa i tylko spoglądała wprost przed siebie.

– Dlaczego on nie ma adwokata?

Próbowała spojrzeć na Grensa swym niespokojnym, rozbieganym wzrokiem.

– Mamy tutaj adwokata z urzędu, Kristinę Björnsson, ale on nie chciał, żeby była obecna przy przesłuchaniu.

– Dlaczego?

– Za cholerę nie wiem. Niech go pani sama o to spyta.

Grens zrobił zamaszysty ruch ręką, wskazując w stronę korytarza prowadzącego do aresztu.

– Rozumiem, że jest pani wzburzona. Ja też nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem. Ale wierzę mu. Niestety. Sądzę, że mówi prawdę, że skazali go na śmierć za zamordowanie dziewczyny, która była w jego wieku.

Helena drgnęła, jakby ją uderzył.

– Jednak musi pani wiedzieć, że to jeszcze nie wszystko. Są też rzeczy, które można uznać za pozytywne.

– Pozytywne? Na Boga!

Grens udał, że nie zauważył jej sarkazmu.

– Po pierwsze: pan Ylikoski przed chwilą odzyskał przytomność, jest teraz w pełni świadomy i według tego, co mówił lekarz dyżurny w szpitalu Karolińska, nie doznał żadnego trwałego obrażenia na skutek kopnięcia, jakie zadał mu John.

Kobieta nie zareagowała, a przynajmniej nie pokazała tego po sobie. Grens nie był pewien, czy dotarło do niej, jak ważne jest to, co przed chwilą powiedział. Chyba jednak nie, jeszcze nie teraz. Mówił jednak dalej:

– Po drugie: jest pewna osoba, której nazwiska John nie wymienił. Ktoś, kogo – jestem o tym przekonany – próbuje osłaniać.

– Aha!

– Nie wiem, czy pani pamięta, ale pytałem go wcześniej o to, kto był z nim w samochodzie, którym uciekł. A on nie chciał na to odpowiedzieć.

Helena ciągnęła za sweter, a zielone rękawy robiły się coraz dłuższe.

– Niech mnie pan nie pyta. Ja i tak o wielu rzeczach nie wiem, być może pan to zauważył.

– Nie pytam. Bo myślę, że wiem, kto to jest.

Tu Grens spojrzał na nią.

– Nazywa się Ruben Frey. Właśnie teraz przesłuchują go w lokalnym biurze FBI w Cincinnati. Myślę, że to właśnie o nim John nie chciał mówić.

– Frey?

– Jego ojciec.

Helena Schwarz westchnęła, było to dość krótkie i niezbyt głośne westchnięcie, ale wystarczyło, aby odbiło się niespokojnym echem po pokoju.

– Nie rozumiem.

– Ruben Frey to ojciec Johna. Pani teść.

– Przecież on nie żyje.

– Nie sędzę.

– John mi mówił, że jego rodzice nie żyją.

– Z tego co wiem, jego matka zmarła dość wcześnie, ale ojciec nadal cieszy się życiem tak jak ja i pani.

Hermansson objęła Helenę za jej wąskie ramiona. Sven wyszedł na chwilę z pokoju, wrócił ze szklanką wody i podał ją Helenie. Wypiła do dna, pięć dużych łyków.

– Ruben Frey?

– Ruben Meyer Frey.

Helena przełknęła ślinę, zawahała się przez chwilę, potem znowu przełknęła ślinę, jakby w końcu postanowiła, że nie będzie już płakać.

– To znaczy, że mam teścia?

Od chwili gdy weszła do pokoju, jej twarz po raz pierwszy nabrała kolorów. Nie była już tak blada, a nawet tak biała jak przedtem.

– Muszę się z nim spotkać.

Jej policzki zaróżowiły się, w oczach pojawiła się czujność.

– Mój syn, Oscar, też musi go poznać. Przecież to jego dziadek...

Kiedy Vernon Eriksen powiedział, że musi wracać do domu, żeby się przespać po nocnym dyżurze w zakładzie, Finnigan poszedł do kuchni i siadł przy stole. Wypił dwa kieliszki koniaku i trochę się przeciągnął, bo trudno mu było tak siedzieć w bezruchu; nie wiedział, co ma począć z rozpieszczającą go energią, było to dla niego całkiem nowe przeżycie. Chciał biegać, skakać, a nawet uprawiać seks, przecież już tyle lat upłynęło od dnia, kiedy ostatni raz obejmował Alice; od tamtej pory nie był po prostu w stanie zbliżyć się do niej, nie chciał jej, a teraz nagle odczuwał pożądanie, doznał erekcji i tęsknił za jej piersiami, pośladkami, krocem; chciał się w nią wbić i poczuć, jak ona go oplata nogami. Ten poranek nie przypominał żadnego innego.

Stojąc przy stole w kuchni, rozebrał się do naga, przeszedł przez korytarz, wszedł na górę i skierował się do gościnnego pokoju, gdzie Alice położyła się pół godziny wcześniej.

Zupełnie zapomniał, że ma takie miękkie ciało. Często pieścił dłonią jej skórę, teraz próbował sobie przypomnieć, jakie to uczucie.

Otworzył drzwi do pokoju.

– Alice?

– Edwardzie, zostaw mnie samą.

– Alice... ja cię potrzebuję.

Cisza na początku oznaczająca tylko oczekiwanie oraz jego gwałtowny oddech zamieniły się nagle w coś bolesnego; przez chwilę znowu poczuł się małym, niepewnym chłopcem, który chce, żeby go ktoś zauważył.

– Alice... co z tobą, do diabła?

Alice leżała z kołdrą podciągniętą aż do uszu, z odwróconą głową, światło wpadające przez okno oświetlało niewielką część jej twarzy. Wszedł do środka, jego krótkie, zbyt ciężkie ciało było takie blade.

– Nie rozumiesz, co się stało? Nie czujesz ulgi? Przecież go znaleźli, żyje, a my będziemy patrzeć, jak będzie umierał. Za Elizabeth! To już koniec! Teraz w końcu się tego

pozbędziemy. Nie rozumiesz? W naszym domu zapanuje wreszcie spokój. To znowu będzie nasz dom, to już nie będzie dom tego bydlaka, bo on umrze, a my będziemy na to patrzeć!

Usiadł na skraju łóżka i położył dłoń na jej stopach.

Alice przyciągnęła je do siebie, jakby jego gest sprawił jej ból.

– Alice, nie rozumiem, o co ci chodzi?!

Klęknął na podłodze i zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

– Alice, już niedługo będzie po wszystkim.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nigdy.

– Nigdy? Co masz na myśli?

– To nie będzie miało żadnego znaczenia. Ty nienawidzisz. Nie słuchasz. Edwardzie, kiedy ten chłopak już umrze, kiedy zaspokoisz swoją żądzę zemsty, dalej będzie tak jak teraz.

Zrobiło mu się zimno, przestał odczuwać pożądanie. W pokoju było chłodno, niezbyt mocno ogrzewali górę, a zima dawała się we znaki.

– To naprawdę będzie po wszystkim. Przecież tylko na to czekaliśmy, do cholery!

Zerknęła na niego i demonstracyjnym ruchem naciągnęła kołdrę na głowę. A potem zaczęła mówić, ale robiła to tak, żeby nie mógł widzieć jej twarzy.

– Ty i tak nadal będziesz nienawidził. Nie rozumiesz tego? Edwardzie, ty nadal będziesz nienawidził, ale nie będziesz miał już kogo zabić. Twoja nienawiść, ta twoja przeklęta nienawiść, która całkowicie tobą zawładnęła! Ta nienawiść siadywała na naszych krzesłach w kuchni i śmiała się do nas, kierowała nami, kierowała wszystkim. Tak będzie już zawsze. A przecież on może umrzeć tylko raz.

* * *

Kiedy Finnigan wrócił do kuchni i siadł przy stole, nadal był nagi. Energia, która w nim buzowała i nie dawała o sobie zapomnieć, nie opuszczała go. Przyniósł telefon wiszący na ścianie koło kuchennej płyty i zadzwonił do pracy, do swego bezpośredniego przełożonego, gubernatora Ohio. Nie potrzebował zbyt wiele czasu, żeby wyjaśnić, co się stało, a zdumienie gubernatora przełożyło się natychmiast na jego energiczne działanie; zrozumiał, co to znaczy, kiedy skazany na karę śmierci mężczyzna krąży gdzieś po Europie i pokazuje figę nie tylko jemu, ale także całemu amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Poprosił Finnigana, żeby się rozłączył, bo musi zadzwonić do Waszyngtonu, do Departamentu Stanu; już wiedział, z kim ma porozmawiać, i postanowił, że nie ustąpi, dopóki

nie wystawią wniosku o ekstradycję. Ten gnojek musi tu wrócić. Przywiozą go z powrotem do Ohio, do zakładu karnego w Marcusville, gdzie nadal czekają, aby przeprowadzić jego egzekucję.

Przeszli razem przez komendę, aż dotarli do pokoju przesłuchań w budynku aresztu. Hermansson kilka razy pytała Helenę Schwarz, czy dalej chce się przysłuchiwać przesłuchaniu, a Helena za każdym razem odpowiadała jej zdecydowanym spojrzeniem, że tak. Żona Schwarza za nic nie chciała opuścić tego miejsca. Przecież tu chodziło zarówno o jego, jak i o jej życie. Chce czy nie, kłamstwa, które jej opowiadał o swoim życiu, dotyczyły jej i ich syna, więc będzie przysłuchiwać się tak długo, aż John zacznie opowiadać o wszystkim, co być może jest prawdą.

Grens otworzył im drzwi, a one weszły razem ze Svenem do środka. John już tam czekał, podobnie jak Ågestam; rozmawiali ścisłym głosem, a kiedy wszyscy usiedli na tych samych miejscach co kilka minut wcześniej, przerwali rozmowę.

Grens spojrzał pytająco na Ågestama, jakby chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiał, ale młody prokurator rozłożył ramiona, jakby zamierzał powiedzieć, że to nic ważnego, coś o pogodzie i długiej zimie, że chciał się tylko przez chwilę odprężyć.

John wyglądał na zmęczonego.

Widać było, że przejął się całą sprawą. Prawdopodobnie po raz pierwszy opowiadał komuś o tym, co się wydarzyło, o swej pozornej śmierci, którą przeżył w rzeczywistości. Opowiadał o tym, jak umarł w celi, jak później ocknął się na chwilę w jakimś pomieszczeniu i myślał, że to kostnica, a potem znowu odzyskał przytomność w samochodzie, który wiozł go w nieznane.

Pomyślał, że teraz będzie mu lżej kontynuować. Właśnie rozsypał się wielki mur strachu, teraz pozostała już tylko ta reszta. No właśnie.

– Leżałem na tylnym siedzeniu. Pamiętam, że na dworze chyba było ciemno. Nocą uliczne lampy wyglądają dość dziwnie, kiedy mija się je na leżąco.

Tak, teraz naprawdę było mu lżej. Wiedział już, że to się zdarzyło. Był przytomny, świadomy, żył w realnym świecie, tak, wszystko było realne.

– Byłem taki... zmęczony. Mdlilo mnie. Czułem się tak, jakby bez przerwy chciało mi

się wymiotować. Spytałem, gdzie jesteśmy. Usłyszałem, że jedziemy na północ, do Cleveland, że właśnie minęliśmy Columbus.

– Kto to powiedział?

Hermansson szukała wzrokiem jego oczu.

– To nieważne.

– Kto był jeszcze w samochodzie? Kto siedział obok ciebie? No i kto prowadził?

– Tu chodzi tylko o mnie.

John przymknął oczy, przez chwilę znalazł się w swoim prywatnym świecie, do którego nikt inny nie wchodził.

– Zatrzymaliśmy się przy jakimś barze w pobliżu wjazdu do Cleveland i kupiliśmy jedzenie, potem pojechaliśmy dalej, w stronę jakiejś mniejszej miejscowości, chyba nazywa się Erie.

Ågestam stracił wreszcie cierpliwość. Zdjął krawat, bo było mu gorąco i pocił się w zbyt ciasnym pomieszczeniu.

– My? Jacy my?

– Tego nie powiem. Ani panu, ani jej.

John spojrzał na Ågestama i wskazał ręką na Hermansson. Ågestam nadal przemawiał cichym głosem.

– Oczywiście. Mów dalej.

Helena.

Siedzisz w ciszy przede mną. Wierzysz mi?

Tylko ty, jedyna w tym pokoju, znasz mnie dobrze. Mam gdzieś wszystkich pozostałych. Ale czy ty wierzysz w to, co mówię?

– Byłem przytomny, ale ciągle jakiś taki... odurzony, nieobecny. Zatrzymaliśmy się gdzieś za Erie, na prywatnym brzegu rzeki z prywatnym pomostem, skąd jak okiem sięgnąć rozciągała się tafla ciemnej wody. Przy pomoście stała łódź. Nie znam się na łodziach, ale ta musiała mieć dużą moc i rozwijać dużą prędkość.

Helena.

Szkoda, że się nie odzywasz. Nawet wtedy, na procesie, nie brakowało takich, którzy stanęli po mojej stronie i uwierzyli mi w to, co zeznałem.

Czy ty mi uwierzysz?

– Nie mam pojęcia, jak długo płynęliśmy. Chyba trochę pospałem. Było to piękne miejsce, nazywało się Long Point, cypel po kanadyjskiej stronie, a na nim niewielka, śliczna wioska, w pobliżu miejscowości St. Thomas. Czekał tam na nas samochód. Z kluczykiem w

środku. Trzy godziny do Toronto, dość wcześnie zaczęło się rozjaśniać, jak to latem.

Ågestam przeniósł się pod tylną ścianę, a John kontynuował:

– Przepraszam, ale ten gorąc w pokoju przeszkadza mi, muszę zaczerpnąć trochę powietrza.

John podniósł się z krzesła, przeciągnął się i wykonał skłon do przodu z rękami po bokach, powtórzył ćwiczenie kilka razy. Ågestam podniósł się, potem znowu usiadł i wyciągnął rękę w stronę Johna, jakby dawał mu znak, że może mówić dalej.

– Przez jakąś godzinę czekaliśmy na lotnisku w Toronto. W samochodzie dali mi nowe dokumenty, teraz nazywałem się John Schwarz. Zrozumiałem tylko tyle, że człowiek ten gdzieś istnieje, a jego imię, nazwisko i tożsamość przejąłem ja.

Lecieliśmy osiem, może dziewięć godzin liniami United Airlines do Moskwy, dzięki czemu wszystko teraz pamiętam. Później godzina oczekiwania i lot do Sztokholmu.

Ågestam znowu się pocił, otarł pot z czoła, tuż przy włosach.

– Kto z tobą leciał?

John roześmiał się szyderczo i potrząsnął głową.

– A jak było w Sztokholmie? Kiedy już doleciałeś? Ktoś musiał ci tam pomóc.

– Wszystko to nie jest aż tak ciekawe. Bo teraz siedzę tutaj. I zrobiłem to, o co mnie prosiliście. Powiedziałem wam, kim jestem, skąd pochodzę i jak się tu dostałem. A teraz chciałbym porozmawiać z Heleną, jeśli można.

– Nie.

Ågestam powiedział to krótko, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie życzy sobie kolejnych pytań.

– Nie wolno ci z nią rozmawiać na osobności.

– Nie?

– Absolutnie.

– W takim razie chcę wrócić do mojej celi.

John uniósł się z krzesła i odwrócił się w stronę drzwi, jakby naprawdę bardzo mu się spieszyło.

– Poczekał chwilę. Usiądź.

W czasie całego tego nieformalnego przesłuchania Grens siedział w milczeniu. Świadomie pozwolił, aby Hermansson i Ågestam zadawali Johnowi pytania, im pewniej się poczuje, tym lepiej. Ale dłużej nie mógł już czekać.

– Jest coś, czego nie rozumiem, Schwarz, Frey czy jak tam, do cholery, się nazywasz.

Grens zmienił pozycję na krześle. Teraz wyciągnął przed siebie nogi.

– Rozumiem, mogłeś udać, że umierasz w celi. Muszę przyznać, że masz talent. Rozumiem, że dwoje lekarzy potrafi z medycznego punktu widzenia doprowadzić do czyjejś pozornej śmierci, a przede wszystkim do tego, żeby wszyscy dookoła sądzili, że dana osoba nie żyje. A jeśli na dodatek ci sami lekarze pracują w więzieniu i postanowili pomóc jednemu z osadzonych uciec z celi – jako umarłemu – to ktoś taki ucieknie. Rozumiem też wszystko, co opowiadałeś o samochodzie, łodzi i o tym, że wraz z nowymi dokumentami zyskałeś nową tożsamość, podobnie jak bez problemu rozumiem i to, co mówiłeś o podróży samolotem przez Moskwę do Szwecji. Jeśli ma się właściwe kontakty, dobrego przewodnika w podróży i sporo pieniędzy, można to wszystko zorganizować.

Mówiąc to, Grens machał rękami i wykonywał niezręczne gesty.

– Nie rozumiem jednak, jak dostałeś się z kostnicy do samochodu? Przez bramę amerykańskiego więzienia, gdzie stosuje się zabezpieczenia czwartego stopnia?

Grens spojrzał Johnowi w oczy, żądał od niego odpowiedzi, wprawdzie nie było to formalne przesłuchanie, ale mimo wszystko nie pozwoli mu wyjść, dopóki się tego nie dowie.

John wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem.

Grens nie chciał jednak odpuścić.

– Nie wiesz?

– Nie.

– No to w takim razie rozumiem jeszcze mniej.

John, który miał na sobie zbyt duże ubranie aresztanta, mówił coraz bardziej ożywionym tonem:

– Wszystko, co pamiętam, wszystko, o czym wiem... to tylko to, że trafiłem do jakiegoś pomieszczenia, które – jak się później domyśliłem – było kostnicą. No a potem... ten samochód. O pozostałych sprawach... po prostu nie wiem.

– A nie pytałeś o szczegóły?

– Nie, nie pytałem. Przecież krótko przedtem umarłem. Albo przynajmniej sądziłem, że umarłem. Wtedy pytałem o inne rzeczy. A potem, po dziesięciu latach spędzonych w więzieniu, siedzę nagle w samolocie wiozącym mnie do Europy. Pewnie, że się nad tym wszystkim zastanawiałem, później też, ale nie miałem już kogo zapytać.

Grens przestał go naciskać.

Mówił prawdę i Grens o tym wiedział. Schwarzwald nie miał pojęcia, jak do tego wszystkiego doszło. Ci, co mu pomogli, znali się na rzeczy, nie pozwolili, żeby dowiedział się zbyt wiele, bo właśnie taki był warunek sukcesu.

Grens westchnął.

Najpierw umarł, a potem zniknął bez śladu. Nie ma się co łudzić, Amerykanie na pewno będą naciskać w jego sprawie. Prestiż tego państwa mógłby poważnie ucierpieć, gdyby skazani na śmierć więźniowie zabawiali się w Europie.

To był długi dzień i chociaż chwilę wcześniej zapadł wieczór, wiedział, że dopiero za kilka godzin będzie mógł zgasić lampkę na biurku, wyjść z pokoju znajdującego się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i wrócić na ulicę Nybrogatan.

Ktoś zamówił błyskawiczną rozmowę z Waszyngtonu i Thorulfa Wingego obudzono o wpół do piątej rano. Musiał odwołać wszystkie spotkania, które mógł odwołać, żeby zrozumieć okoliczności związane ze skazanym na śmierć Amerykaninem, który miał fałszywy kanadyjski paszport, a teraz siedział w areszcie w Kronobergu. Winge nie był zmęczony i nie skarżył się, ba, prawie rozkoszował się tą sprawą, był dobry w załatwianiu takich szalonych spraw, a ci, którzy z nim współpracowali, mieli zawsze nadzieję, że znajdzie jakieś rozwiązanie. Właśnie jedno z nich rysowało mu się coraz wyraźniej. Był przygotowany, przestudiował dwa warianty i już wiedział, jakich rad udzieli swojemu ministrowi i to niezależnie od tego, jakimi kanałami posłuży się strona amerykańska. Poza tym udało mu się uciszyć tego młodego, wyszczekanego prokuratora. John Schwarz nie stanie się sprawą szwedzką, dopóki nie postanowi tak ministerstwo.

Przeciągnął się. Jego szczupłe ciało miało mniej niż sześćdziesiąt lat, które skończył, bo każdego dnia szedł do pracy piechotą, a poza tym dwa razy w tygodniu chodził na lekkie ćwiczenia wzmacniające w sali gimnastycznej w budynku parlamentu. Kochał życie i dlatego chciał, żeby jego ciało pozwoliło mu pożyć jeszcze przez jakiś czas.

Telefon zadzwonił wcześniej, niż się tego spodziewał. Oczekiwał rozmowy, ale nie tak prędko, minęło zaledwie dwanaście godzin od chwili, kiedy z Waszyngtonu dotarły do niego te nowiny.

Sekretarz ambasady amerykańskiej poinformował go krótko, że ambasador zaprasza przedstawiciela MSZ na nieformalne spotkanie i najlepiej, gdyby to właśnie był podsekretarz stanu.

Winge ani przez chwilę nie wątpił, czego ma ono dotyczyć, i dlatego od razu odpowiedział, że może przyjechać na spotkanie wieczorem, o każdej godzinie.

* * *

Przez pewien czas musiał czekać na zewnątrz.

Kiedy ambasador wszedł do wielkiego pomieszczenia biurowego, Winge przyjrzał mu się dokładnie. Od rozmowy telefonicznej do chwili, gdy stanął przed ochroniarzem ambasady, upłynęło dokładnie piętnaście minut. Leonardo Stevens był dość sympatycznym człowiekiem, Winge często się z nim spotykał w ciągu ostatnich lat; tragedia, jaka rozegrała się jedenastego września, sprawiła, że przez pewien czas kontakty z amerykańskimi ambasadami, nie tylko w Szwecji, ale i w dużej części reszty świata, były dość przyjacielskie. Stevens był eleganckim mężczyzną, choć w trochę staromodny sposób: siwe, zaczesane włosy, gładka twarz, która przypominała oblicze podstarzałego aktora. Winge pomyślał, że ambasador sprawiał czasami wrażenie, jakby zszedł nagle z ekranu kinowego; ten jego sposób poruszania się i mówienia, głęboki głos i – jak sądził Winge – dialekt typowy dla wschodniego wybrzeża.

Było to krótkie spotkanie, nacechowane rytualną poprawnością i grzecnością, tak typową dla całej sfery dyplomatycznej.

Stevens oznajmił, że Departament Stanu w Waszyngtonie wystąpi za chwilę z formalną prośbą o ekstradycję obywatela USA, który został zidentyfikowany jako John Meyer Frey.

Wniosek o ekstradycję zostanie przedłożony bezpośrednio rządowi szwedzkiemu na podstawie umowy ekstradycyjnej między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi. W myśl niej kraj należący do Unii ma obowiązek wydać Stanom Zjednoczonym ich obywateli, którzy popełnili przestępstwo.

Potem trochę zbyt długo i zbyt natrętnie chwalił stosunki panujące między obu państwami w ciągu ostatnich lat, wzajemną chęć do komunikowania się ze sobą, a także fakt, jak ważna na tym wielkim świecie jest współpraca, której gotowość sygnalizują rządy Szwecji i Stanów Zjednoczonych; z zadowoleniem stwierdził, że obie strony dają sygnał do takiej współpracy i że mają zamiar ją kontynuować.

* * *

Thorulf Winge nie potrzebował żadnej pomocy, żeby poradzić sobie ze zrozumieniem tego dyplomatycznego belkotu.

On też posługiwał się nim równie płynnie przez całe swoje życie.

Ambasador dał mu właśnie wyraźnie do zrozumienia, że Stany Zjednoczone nie zaakceptują żadnej innej decyzji, John Schwarz alias John Meyer Frey musi zostać im

wydany, po czym umieszczą go w bloku śmierci, gdzie będzie oczekiwał na egzekucję.

* * *

Winge przygotował wcześniej dwa rozwiązania na dwa scenariusze.

I właśnie ten był najgorszy, właśnie tego chciał uniknąć.

Umówili się na spotkanie w parku Björns Trädgård, przy kiosku z kiełbaskami, od strony Medborgarplatsen. Grens zjawił się wcześniej, zawsze tak robił, a teraz chodził niespokojnie tam i z powrotem po chodniku, prawie nerwowo, i czekał. Miał kłopot z wyborem ubrania. Jego garnitury miały już ponad dziesięć lat, a rękawy marynarek, które wyciągał z szafy i kładł jedna obok drugiej na kapie łóżka, były białe od kurzu. Siedem, w całej gamie kolorów, od jasnego na lato aż po czarny jak na pogrzeb. Wszystkie przymierzył, szczęśliwy, że jeszcze na niego pasowały. Po czterdziestu pięciu minutach musiał wybrać już tylko między dwoma: ciemnoszarym, który trochę błyszczał, i całkiem jasnym lnianym garniturem kupionym przed ostatnią imprezą firmową, na której się zjawił. Była to tragiczna impreza: jego koledzy z pracy wpadali na siebie już po kilku kieliszkach wina, przyszli tam sami, bez osób towarzyszących... Grens przysiągł sobie, że kiedy znowu będzie miał trochę wolnego czasu, już nigdy więcej nie będzie się zadawał z tymi idiotami. Teraz, po pewnym wahaniu, wybrał ciemną marynarkę, cóż, w końcu była zima, za to ciemny odcień sprawił, że wyglądał szczuplej.

Zobaczył kilku narkomanów, którzy wisieli na sobie, stojąc na schodach prowadzących na plac zabaw w parku, trochę dalej kilku drobnych paserów, których znał od wielu lat, od czasu do czasu jakąś kurewkę, która marzła w przykusej spódniczce i cienkich pantoflach, i strach w oczach tych, co nie miały na kolejny strzał w żyłę. Wszyscy oni byli tacy sami. Od czasu gdy jeździł radiowozem, a nawet od chwili, gdy ulice patrolował pieszo i przeklinał swój los, niewiele się tu zmieniło.

Zobaczył kilku kolegów jadących samochodem ulicą Tjärhovsgatan, pomachali mu i on też ich pozdrowił.

Hermansson zjawiła się punktualnie o wpół do dziewiątej, tak jak się umówili. Przyjechała metrem, a gdy wyszła z podziemi i skierowała się chodnikiem w jego stronę, faceci oglądali się za nią. Kiedy znalazła się na wysokości wejścia do hotelu, pomachała mu, też podniósł rękę. Wyglądała na zadowoloną, a on się ucieszył, kiedy ją ujrzał.

– To znaczy... cholera, przecież mówiłem, że się boję... może zabrzmie to staromodnie, ale... do diabła, ładnie wyglądasz.

Hermansson uśmiechnęła się, prawie zażenowana.

– Dziękuję. A ty, jak widzę, włożyłeś garnitur. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę to na własne oczy.

Odeszli stamtąd, nie spieszyło im się, spacerowali wokół rynku na Medborgarplatsen, który o tej porze był już opustoszały. Tylko jakaś starsza para szukała miejsca, żeby coś zjeść, gdzieś tam w kącie widać było grupę nastolatków, którzy najwidoczniej nie bardzo wiedzieli, co z sobą począć, a poza tym widać było tylko samotne, znudzone osoby. Grens cieszył się, że Hermansson była taka uparta, przecież tak długo próbował się wymigać od spotkania, aż w końcu zabrakło mu argumentów i kilka godzin temu zgodził się, a wtedy ona wyszła do kiosku, żeby kupić gazetę i sprawdzić, jakie lokale są dziś czynne, wyjaśniła mu, że poszuka czegoś, co podoba się panom słuchającym muzyki Siwan, którzy przy okazji chcieliby trochę potańczyć.

Na otwartej przestrzeni czuć było zimne podmuchy wiatru; szli obok siebie, aż w pewnej chwili Grens wskazał w stronę, w którą się kierowali, i powiedział cicho:

– Göta Källare⁶. Nigdy tu wcześniej nie byłem.

Hermansson zauważyła, że Grens jest trochę spięty, a autorytet, którym cieszył się na komendzie i sprawiał, że wszyscy inni utrzymywali wobec niego pełen szacunek dystans, nagle znikł. Tutaj był innym człowiekiem, w garniturze i krawacie, po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat poszedł z kobietą potańczyć. Hermansson zauważyła tę odmianę i próbowała mu pomóc, żeby trochę odżył, spojrzał ludziom w oczy.

W szatni się rozebrali. Grens znowu stwierdził nieśmiało, że Hermansson ładnie wygląda, a gdy wzięła go pod ramię i odpowiedziała, że w garniturze jest taki elegancki, poczerwieniał.

Była środa, połowa pracowitego tygodnia, wiele dni do pierwszego, a po świętach i sylwestrze sporo osób miało jeszcze kaca, ale i tak lokal był prawie pełen. Hermansson z zaciekawieniem i zdziwieniem przyglądała się ludziom, którzy byli od niej na ogół dwa razy starsi. Na parkiecie, w barze, przy stołach, przy talerzach z antrykotem wszyscy oni wyglądali na zadowolonych z siebie, pełnych nadziei; przyszli tutaj, bo chcieli się głośno pośmiać, przytulić, zmęczyć w tańcu. Dzięki temu życie przez krótką chwilę stawało się prostsze.

Orkiestra i tańczący cisnęli się na parkiecie pod silnym światłem reflektorów. Ewert

⁶ Popularny lokal rozrywkowy w Sztokholmie istniejący od 1939 roku.

rozpoznał piosenkę *O, Carol*, słyszał ten utwór w radiu. Przez chwilę, tak krótką, że prawie nie zdążył jej doświadczyć, poczuł w żołądku przyjemne laskotanie; w każdym razie przez tę krótką chwilę znowu był zadowolony. Zrobił dodatkowy krok, jakby chciał zatańczyć, jego kalectwo sprawiło, że trochę się kiwał.

– Już teraz? – spytała Hermansson i zaśmiała się.

Grens wzruszył ramionami i dalej szedł przed siebie. *O, Carol, jesteś piękna jak letni dzień*. Dopchnęli się do baru, a potem długo przeciskali się między tymi, co stali przy kontuarze. Grens zamówił dla siebie i Hermansson po piwie i próbował utrzymać równowagę, szukając jednocześnie jakiegoś wolnego stolika.

– Grali to już pod koniec lat sześćdziesiątych. Kilka razy tańczyłem przy tej muzyce.

Grens wskazał na orkiestrę. Pięciu starszych panów w czarnych garniturach i koszulkach wyciągniętych na spodnie. Zauważył, że świetnie się bawią, że naprawdę uśmiechają się szczerze ze sceny. Jak, do diabła, potrafią robić to samo każdego wieczoru? Te same akordy, te same teksty.

– „Tonix”. Tak się nazywają. Dziesięć razy na pierwszym miejscu list przebojów. Dziewiętnaście płyt. Rozumiesz, Hermansson? To, co grają, nadal wciąga.

Sączyli piwo, przyglądali się ludziom wokół siebie, kilka razy spojrzeli na siebie. I nagle zabrakło im tematów do rozmów. Nie chciało im się dłużej komentować występów orkiestry albo wyglądu gości, a gdy później zabrakło im także tematów z pracy, stało się jasne, że dzieli ich zbyt wiele lat i że prawie się nie znają.

– Zatańczymy?

Hermansson naprawdę chciała potańczyć. Uśmiechnęła się i chciała wstać z krzesła... Grens słuchał muzyki, właśnie grali *Jesteś całym moim światem*, przy czym dało się potańczyć.

– Nie wiem. Nie. Jeszcze nie.

Wypili jeszcze trochę piwa, przyjrzeni się znowu otaczającym ich ludziom, a potem Hermansson spytała ostrożnie, kogo Grens oplakuje, bo domyśliła się, że właśnie o to chodzi, że Grens oplakuje jakąś kobietę, było to dla niej najzupełniej oczywiste.

Grens zawahał się przez chwilę, ale potem zaczął mówić i wtedy uświadomił sobie, że robi to po raz pierwszy. Opowiadał o pewnej kobiecie, która miała prawie tyle samo lat co Hermansson, była jego koleżanką z pracy i po pewnym czasie zaczęli się spotykać. Było to dla nich takie proste, tak oczywiste, ale nagle wszystko diabli wzięli.

Potem przestał mówić, a ona nie pytała więcej.

Dopili to, co mieli w szklankach, i Ewert zamierzał właśnie coś zamówić, gdy nagle

zadzwońnię komórka. Jego usta same złożyły się w słowo „Sven”, a Hermansson skinęła mu głową, żeby odebrał. Rozmowa trwała tylko dwie minuty.

– Odezwał się lekarz z aresztu śledczego. Zbadał Schwarza, ale wysłał go też na rentgen do St. Göran. Jest tak, jak sądziłem. Z jego sercem jest wszystko w porządku. Jest młode i zdrowe. Żadnego śladu kardiomiopatii.

Hermansson przysuwała właśnie swoje krzesło trochę bliżej stołu, gdy tuż obok niej jakiś potężnie zbudowany mężczyzna i jego drobna partnerka próbowali przedostać się na parkiet. Przyglądała im się z ciekawością i czekała, aż się obejmą i zaczną tańczyć w takt wolnej muzyki.

– To znaczy, że diagnoza była błędna.

– Jeśli jego historia jest prawdziwa, to niech mnie piorun strzeli, jeśli ktoś świadomie nie postawił jej błędnie. Wywołali u niego chorobę, by potem stwierdzić, że jest chory. No i żeby mieć odpowiednie wytłumaczenie, dlaczego młody mężczyzna umiera nagle na podłodze swej celi.

Skończył się właśnie jakiś wolny kawałek, ale orkiestra od razu zaczęła grać następny. Grens też zaczął się przyglądać parze, która przed chwilą przeszła obok nich, a teraz tańczyła, obejmując się czule.

– Lekarz powiedział, że gdybyśmy mu nie uwierzyli albo nie do końca byli pewni jego słów, zgodzi się na przeprowadzenie dodatkowego badania, chyba nazywa się to biopsją serca. Dodał jednak, że to ryzykowne badanie. Kazałem Svenowi, żeby mu przekazał, że to niepotrzebne.

Roześmiał się krótko.

– Cholera, Hermansson, oni naprawdę znali się na rzeczy. Weźmy choćby to, że tak poważną chorobę zaplanowali już kilka miesięcy wcześniej.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż skończył się drugi spokojny utwór. W tym momencie Hermansson podniosła się gwałtownie z krzesła i ruszyła w stronę parkietu między tańczących, którzy stali w parach, czekając na następny kawałek. Grens dostrzegł, że Hermansson rozmawia z jednym z muzyków stojących na scenie, z tym, co śpiewał i grał na gitarze i miał trochę za długie blond włosy. Potem wróciła i stanęła przed ich stolikiem.

– A teraz zatańczymy, Ewert.

Już chciał zaprotestować, gdy nagle usłyszał, co orkiestra zaczęła grać. To był jeden z utworów Siw. Nazywał się *Tunna skivor*. Chyba ten lubił najbardziej.

Grens spojrział na Hermansson, potrząsnął głową i roześmiał się głośno i hałaśliwie. Hermansson uświadomiła sobie, że po raz pierwszy słyszy, jak Ewert się śmieje, tak od serca,

szczerze, z głębi duszy, radośnie.

Kiedy szli na parkiet, trzymała go za rękę, a Grens nadal się śmiał, jakby nie mógł przestać.

Znał każde słowo tej piosenki, każdą przerwę, obie tonacje. *Zostaną z Ciebie cienkie plasterki*. Utwór nadawał się do tańczenia, Grens wiedział, że będzie mógł się poruszać w jego rytmie i że nie będzie to wyglądało niezgrabnie, chociaż kuleje. Już tak dawno nie przebywał między ludźmi, którzy wyglądali na szczęśliwych, już od tak dawna nie dotykał kobiety, która nie była o coś podejrzana albo nie leżała martwa na stole sekcyjnym w zakładzie medycyny sądowej. Spojrzał na Hermansson, na jej twarz, znowu przez chwilę przeniósł się trzydzieści lat wcześniej, patrzyła na niego inna kobieta, objął ją, poprowadził do tańca przy muzyce granej przez orkiestrę.

Zatańczyli jeszcze dwa razy. Jakiś wolny kawałek, którego nie znał, i drugi, trochę szybszy, który przypominał amerykańskie utwory z lat sześćdziesiątych.

Pomachał orkiestrze, dziękując za Siwan, na co solista z gitarą i zbyt długimi włosami uśmiechnął się i uniósł kciuk. Wrócili do stolika, gdzie stały dwie szklanki wypełnione do połowy piwem, tak jak je zostawili, gdy szli potańczyć.

Zrobiło się ciepło, więc opróżnili je do dna.

– Nadal spragniona? Mam jeszcze coś zamówić?

– Ja też umiem zamawiać.

– To ty mnie tu przyciągnęłaś. Cieszę się z tego. Zrobiłaś już wystarczająco dużo.

Czekał, aż Hermansson coś wybierze.

– Może colę. Jutro trzeba wstanie wcześniej.

– Przyniosę coś.

Odwrócił się i poszedł w stronę baru, a Hermansson odprowadzała go wzrokiem; robiło się późno, a ona nie miała ochoty siedzieć przy stole, jakby była samotna, odmawiając kolejnym facetom, którzy ją zapraszali.

W lokalu było pełno ludzi, tak jak wcześniej; stanęli więc przy jednym końcu, żeby nie cisnąć się z tymi, którzy coś zamawiali. Oczekali dwie minuty, gdy nagle Grens poczuł, jak ktoś uderzył go w plecy.

– Hej, ty, chcę wiedzieć, ile masz lat.

Mężczyzna stojący przed Grensem był dość wysoki, ciemne wąsy wyglądały na farbowane, podobnie jak włosy. Miał ponad czterdziestkę i śmierdziało od niego alkoholem.

Grens spojrział na niego i odwrócił się bez słowa.

I znowu poczuł na plecach jego palce.

– Słuchaj no, mówię do ciebie. Chcę wiedzieć, ile masz lat. Grens i tym razem opanował ogarniający go gniew.

– Gównu cię to obchodzi.

– A ona? Ile ona ma lat?

Pijak zrobił krok do przodu, wskazał palcem na Hermansson, a jego palec znalazł się nie dalej niż dwa centymetry od jej oczu. Dłużej nie wytrzymał.

Grens nie potrafił opanować złości, poczuł, jak wypełnia go od wewnątrz.

– Proponuję, żebyś stąd wyszedł.

Mężczyzna tylko się roześmiał na te słowa.

– Nigdzie nie pójdę. Chcę wiedzieć, ile dałeś. Chodzi mi o tę zdzirę z Rinkeby⁷.

Hermansson ujrzała to najpierw w oczach Grensa. Złość pojawiła się w nich nagle i sprawiła, że stał się inny, a może raczej stał się sobą. Garnitur znowu wyglądał na pognieciony, ciało wyprostowane, zrobił się jakiś większy i znowu wyglądał tak, jak na jednym z korytarzy komendy policji.

Hermansson nigdy nie słyszała, żeby mówił takim głosem.

– No to posłuchaj mnie uważnie, koleżko. Udam, że nie słyszałem, co powiedziałaś. Masz stąd spadać.

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo.

– No to jak nie słyszałeś, powiem to jeszcze raz. Zastanawiam się, ile zapłaciłeś za tę zdzirę z Rinkeby, którą tu przyciągnąłeś.

Hermansson była pewna, że wie, jak wygląda wściekłość Ewerta, i zrozumiała, że musi coś zrobić, zanim Grens zareaguje.

Podniosła rękę i uderzyła pijaka w twarz, wymierzając mu dwa mocne policzki. Mężczyzna zachwiał się, przytrzymał kontuaru, a Hermansson zaczęła szukać w kieszonce portfela swej legitymacji służbowej.

Potem przysunęła mu ją do twarzy, tak samo jak on przed chwilą trzymał przed jej oczami swój palec, i oznajmiła mu, że kobieta, którą właśnie nazwał zdzirą z Rinkeby, nazywa się Mariana Hermansson, jest inspektorem policji na komendzie w centrum miasta i że jeśli jeszcze raz powtórzy, co powiedział, spędzi resztę wieczoru w pokoju przesłuchań w Kronobergu.

Potem zatańczyli.

Żeby się go pozbyć.

⁷ Przedmieście Sztokholmu, które cieszy się dość złą reputacją.

Kiedy dwaj ochroniarze ubrani w zielone mundury zobaczyli dwie legitymacje policyjne, wyprowadzili pijaka na zewnątrz. Ale to nie wystarczyło. Facet nadal tam „był”, jego słowa nadal brzmiały w dusznym lokalu i żadnej orkiestrze na świecie nie udałooby się ich zagłuszyć.

Grens i Hermansson opuścili lokal i wyszli na dwór. Był styczeń, wieczór, powietrze rześkie i przyjemne.

Nie odzywali się za wiele, minęli Slussen, przeszli mostem Skeppsbron, minęli zamek królewski, przeszli mostem na plac Gustawa Adolfa, zatrzymali się na chwilę przy budynkach rządowych, operze i siedzibie MSZ.

Hermansson mieszkała na Kungsholmen, przy moście Västerbron. Grens na ulicy Sveavägen, przy skrzyżowaniu z Odengatan. Ich wspólny spacer nie trwał długo, tutaj musieli się rozstać.

Grens śledził ją wzrokiem, aż zniknęła mu z oczu. Potem stał bezradnie przez kilka minut. Nie chciało mu się wracać do domu.

Irytowało go to, że czuje się cholernie samotny.

Przez chwilę spoglądał w niebo, na płatki śniegu spadające mu na skórę. Zdążył już zmarznąć, poczuł, że ma zaczerwienione policzki. W pewnej chwili jego wzrok zatrzymał się na budynku MSZ, w oknie na trzecim piętrze nadal paliło się światło.

Wydawało mu się, że widzi sylwetkę człowieka.

Ktoś tam stał i spoglądał w ciemność.

Dałby sobie rękę uciąć, że to jeden z tych urzędasów, który siedzi tam i zмага się ze sprawą Johna Schwarza, próbując znaleźć rozwiązanie całej tej skomplikowanej sytuacji.

* * *

Do północy pozostał jeszcze kwadrans. Thorulf Winge stał w oknie swojego pokoju w budynku MSZ i patrzył roztargnionym wzrokiem na plac Gustawa Adolfa. Na dole zobaczył jakiegoś starszego mężczyznę i młodą kobietę, chyba się właśnie żegnali ze sobą, kobieta pocałowała go w policzek i rozstali się.

Winge ziewnął, przeciągnął się, uniósł ramiona nad głowę i wrócił do pokoju.

Zaczął już odczuwać zmęczenie. Dzień, który i tak już mu się dłużył, przeciągnął się. Wniosek o ekstradycję Freya przyszedł faksem, zaraz po tym, jak Leonardo Stevens życzył mu miłego wieczoru i zszedł schodami na parter, po czym wsiadł do czarnego samochodu i odjechał do swej ambasady.

Mimo to Winge nie narzekał, przecież to był cały jego świat.

Dyplomatyczne starcie bez udziału publiki.

W ciągu dnia kilka razy kontaktował się z ministrem spraw zagranicznych i dwa razy z premierem. W ciągu trzech ostatnich godzin razem z dwoma innymi urzędnikami siedział w swoim pokoju, gdzie dokładnie studiowali umowę o ekstradycji między Szwecją a Stanami Zjednoczonymi, analizował inne rozwiązania i starał się przewidzieć, jak odmowa ekstradycji Schwarza może wpłynąć na stosunki między obu krajami. Próbował odgadnąć reakcje społeczeństwa i opinii publicznej, gdy dowiedzą się, że do takiej ekstradycji może ewentualnie dojść.

Znowu się przeciągnął, pochylił do przodu, a potem do tyłu, tak jak zalecał jego fizykoterapeuta. Przyniósł ciepłej wody i przelał świeżą herbatę przez sitka leżące na filiżankach.

Do rana zostało jeszcze kilka godzin.

O świcie będą mieć na biurku propozycję dotyczącą przyszłości Johna Meyera Freya i opinię na temat tego, co zrobić, żeby działania przyniosły jak najmniej szkody.

* * *

Grens szedł w zimnej, cichej, sztokholmskiej nocy. Próbował zamówić dla Hermansson taksówkę, bo przecież elegancko ubrana ładna kobieta nie może czuć się w pełni bezpiecznie, gdy idzie samotnie przez centrum miasta. Hermansson zdecydowanie odmówiła, kazała mu skasować zamówienie i zapewniała, że sama potrafi o siebie zadbać. Grens też był o tym przekonany, ale mimo to nie bardzo mu się to spodobało, więc wymógł na niej, żeby trzymała w ręce telefon z jego numerem na wyświetlaczu, by wystarczyło tylko jedno wciśnięcie klawisza.

Pocałowała go w policzek i podziękowała za miły wieczór, a on poczuł się jakoś różnie, a zarazem bardziej samotnie niż kiedykolwiek indziej w ciągu wszystkich tych lat.

A teraz stał już przed otwartymi drzwiami swego wielkiego mieszkania i poczuł, jak gardło ściska mu poczucie beznadziejności. Kręcił się bez sensu po pokojach, które wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy był tu ostatni raz.

Napił się zimnej jak lód wody bezpośrednio z kranu w kuchni.

Przerzucił kilka stron książki, która leżała na stole w gabinecie.

Włączył nawet telewizor i obejrzał pół odcinka serialu kryminalnego, który oglądał wcześniej na innym kanale; na filmie widać było różnych ludzi, którzy biegali w rytm jakiejś

monotonnej muzyki, a kiedy strzelali, zawsze trzymali pistolet oburącz.

Nie miał na nic ochoty.

Ubrał się, zamówił taksówkę i zbiegł na dół.

Zamierzał pojechać do Kronobergu, do swojego biura, do płyt z muzyką Siw Malmkvist i do sprawy Schwarza; noc szybciej mu tam zejdzie wśród tego, co znał już od dawna.

CZWARTEK

To była ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili pragnął Sven Sundkvist: żeby kubek z kawą wyslizgnął mu się nagle z ręki. Zaklął, aż w pustym korytarzu rozeszło się echo, a potem z całych sił kopnął w brązową blachę automatu. Dopiero wówczas schylił się, żeby wytrzeć z podłogi jak najwięcej brunatnego płynu.

Dochodziła szósta rano, a on był zmęczony, poirytowany i zupełnie nie przypominał policjanta, który zazwyczaj emanował spokojem i cierpliwością.

Grens już drugi raz zadzwonił do niego w nocy i obudził go. Drugi raz z rzędu kazał mu stawić się na wczesne spotkanie w sprawie Schwarza.

Ale to jeszcze nie wszystko. Ewert dalej do niego mówił w sposób niekontrolowany, na początku o Johnie Schwarzu, a potem o tym, na czym polega praca policjanta. I nagle zaczął mówić o czymś innym, o życiu, to znaczy o czymś, o czym wcześniej rozmawiał niezbyt chętnie. W końcu Sven zapytał go wprost, czy jest pijany, a ten przyznał się, że wypił dwa piwa, ale zrobił to kilka godzin wcześniej, więc Sven nie ma prawa się czepiać.

Sven odłożył słuchawkę, wyciągnął końcówkę kabla z gniazdka i przysięgł sobie, że nie wyjdzie z domu wcześniej, niż obiecał to Anicie.

A teraz szedł już ciemnym korytarzem z nowym kubkiem kawy w ręce, kierując się w stronę pokoju Ewerta. Kiedy tam dotarł, zatrzymał się w progu. Ktoś już tam był. Jakaś osoba

stała plecami do drzwi, lekko pochylona, w dość drogim szarym garniturze. Sven odsunął się trochę na bok i postanowił poczekać, aż spotkanie się skończy.

– Sven, do cholery, dokąd się wybierasz?

Sven ponownie stanął w drzwiach. Spojrzał na mężczyznę w drogim garniturze. Głos należał do Ewerta, ale tylko głos.

– Co się z tobą dzieje, chłopcze?

– To ty, Ewert?

– Tak. A bo co?

– Jak ty wyglądasz?

Grens zrobił krok w stronę drzwi i Svena.

– Jak *hunk*.

– Jak co?

– *Hunk*. Co to, nigdy wcześniej nie widziałeś *hunka*?

– Chyba nie.

– To ktoś elegancki, przystojny. *Hunk*. Byłem wczoraj w lokalu z Hermansson, trochę potańczyliśmy. To ona mnie tak nazwała. To jedno z tych dziwnych słów, których używa młodzież. *Hunk*, do cholery!

Sven przyszedł na spotkanie kilka minut wcześniej. Usiadł na kanapie, która kiedyś miała ciemnobrązowy kolor i była obita materiałem z manchesteru z jaskrawym obramowaniem. Ewert przez krótką chwilę przypominał mu typowego urzędnika. Kiedy Grens zaczął opowiadać, Sven przyglądał się uważnie jego twarzy. Grens z jakiegoś powodu wyglądał na kogoś, komu spadł z serca wielki ciężar, opowiadał o pierwszym tańcu od dwudziestu pięciu lat, o tym, jak się bał, o Hermansson, która namówiła orkiestrę, żeby zagrała dla niego *Tunna skivor*, i o tym, jak się śmiał, a dźwięk, który wydobywał się z jego brzucha i gardła, zupełnie go zaskoczył.

Ågestam zjawiał się dokładnie o szóstej. Hermansson trzy minuty później.

Oboje wyglądali zaskakująco rześko, przez co Sven poczuł się nagle jeszcze bardziej zmęczony. Usiadł wygodniej na kanapie i zauważył, że Hermansson uśmiechnęła się z zadowoleniem, widząc, że jej szef nadal ma na sobie wczorajszy garnitur.

– Ågestam, czy jesteś zwolennikiem kary śmierci?

Kiedy Grens zadawał to pytanie, szukał czegoś w stosie papierów, które leżały porzucane na podłodze.

– Wiesz przecież, że nie.

– Sven?

– Nie.

Grens kuczał na podłodze i co jakiś czas podnosił z niej jakiś dokument, aby zaraz odłożyć go z powrotem.

– Tak też myślałem. A ponieważ ja też nim nie jestem, będziemy mieli z tym problem.

Zgarnął na jeden stos kilkanaście dokumentów i podniósł się. Sven, podobnie jak pozostali, przyglądał mu się i nie mógł powstrzymać się od myśli, że taki zwykły garnitur nie pasuje do kogoś, kto przyzwyczyił swoje otoczenie do pogniecionych, znoszonych, zbyt krótkich lub zbyt długich ubrań.

– Rozmawiałem w nocy z kilkoma osobami.

Nikt w to nie wątpił.

– Bardzo im się teraz spieszy. Mam na myśli tamtych wazeliniarzy, którzy za pośrednictwem Ågestama nałożyli na sprawę klauzulę tajności.

Ågestam poczerwieniał na twarzy, chciał się podnieść z krzesła, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Ten dureń i tak by tego nie zrozumiał.

Grens szczegółowo im opowiedział o swoich nocnych rozmowach telefonicznych i wyjaśnił, że wszystkie obecne działania prowadzone w obu krajach dotyczą człowieka, który siedzi w celi aresztu i wobec którego policja miejska prowadzi dochodzenie w sprawie o ciężkie pobicie. Ryzyko, iż dojdzie do ekstradycji, zaczęło powoli wzrastać, a Grens nie ma pojęcia, co trzeba by zrobić, żeby do niej nie dopuścić.

Potem dał Svenowi stos papierów, które zebrał z podłogi.

– Chciałbym, żebyście jeszcze raz je dokładnie przestudiowali. To wszystko, co w Stanach wiedzą o Schwarzu. Na razie wygląda to tak, jakbyśmy chcieli przyczynić się do tego, że wymiar kary ulegnie w tym kraju radykalnej zmianie. Wszystko wskazuje na to, że człowieka, który jest oskarżony o ciężkie pobicie, chcemy skazać na śmierć.

* * *

Samolot linii United Airlines, lot nr JA9358 z Chicago, wylądował na lotnisku w Arlandzie pod Sztokholmem o godzinie 6.45, to znaczy kwadrans przed planowanym czasem. Pilot mówił z jakimś dziwnym akcentem, którego Ruben Frey nie potrafił określić, i wyjaśnił przez mikrofon, że nad Atlantykiem mają silny wiatr w plecy. Ruben spytał siedzącego obok pasażera, który wyglądał na doświadczonego w tych sprawach, jak to możliwe, że wiatr wpływa w jakiś sposób na samolot lecący dziesięć tysięcy metrów nad ziemią; usłyszał długą i dość skomplikowaną odpowiedź, która brzmiała bardzo mądrze, ale i tak natychmiast

wszystko zapomniał.

Ruben Frey nigdy wcześniej nie był w Europie. Nigdy wcześniej nie latał nawet samolotem. Stan Ohio w zupełności mu wystarczał, a podróże na trasie z Marcusville do Columbus albo nawet do Cleveland dostarczały mu dokładnie tyle emocji, ilu oczekiwał od życia. Ten dzień w Marcusville zaczął się dla niego dość wcześnie. Skoro świt pojechał swym zużytym mercedesem, który miał już prawie od dwudziestu lat, na zachód, na lotnisko w Cincinnati. Odprawił się dwie godziny przed odlotem, dokładnie tak, jak polecono mu, gdy kupował bilet, a potem zjadł drogi lunch w jednej z zatłoczonych restauracji dla pasażerów z bagażem podręcznym. Później nastąpił krótki lot z Cincinnati do Chicago, ledwo zdążyli unieść się w powietrze, a już musieli lądować na lotnisku, które swymi rozmiarami mogło się równać z hrabstwem Scioto. Lot z Chicago do Sztokholmu trwał znacznie dłużej i chociaż stewardesy były bardzo uprzejme, a film pokazywany na ekranach wiszących między siedzeniami okazał się całkiem zabawny, postanowił, że po powrocie do Ohio już nigdy nie opuści granic swego stanu.

W Sztokholmie było chłodniej niż w Marcusville, a kiedy jechał taksówką z Arlandy do Sztokholmu, zobaczył głęboki śnieg leżący wzdłuż drogi. Kierowca mówił angielszczyzną, którą Ruben bez problemu rozumiał, a po drodze opowiedział mu ze szczegółami o prognozie pogody – miało być jeszcze więcej śniegu i dalsze ochłodzenie, i to już za kilka godzin.

Trudno mu było zaprzeczyć prawdzie. Przesłuchania w Cincinnati były dość nieprzyjemne i czuł się bardzo niekomfortowo, gdy musiał łączyć Huttonowi i jego kolegom w żywe oczy; kilka razy już prawie chciał powiedzieć o wszystkim, o czym nie wolno mu było mówić. Jeszcze trudniej było mu udawać szczęśliwego ojca, co na wieść o tym, że jego jedyny syn, którego sam pogrzebał, żyje, powinien tryskać radością. Ruben westchnął głośno, a kierowca taksówki zerknął na niego w lusterku wstecznym. Jeszcze trochę, a byłby pękł; uważał, że ma prawdziwe szczęście, że FBI nie zamknęło go w celi, i zastanawiał się, do jakiego stopnia zawdzięcza to faktowi, że po drugiej stronie stołu siedział właśnie Kevin Hutton.

Dotarcie na ulicę Bergsgatan, do Kronobergu, zabrało mu ponad pół godziny. W samolocie rozpytywał o Sztokholm i dowiedział się, że to ładne miasto, że jest tam dużo wody, dzielnice mieszkaniowe pobudowano na wyspach, a na morzu, w stronę Finlandii, znajduje się niezliczona liczba szkieł.

Miasto rzeczywiście wydawało się ładne, ale Frey nie dostrzegał tego. Szczerze mówiąc, miał to gdzieś. Nie przyjechał tu jako turysta. Zjawił się tutaj po to, żeby po raz drugi uratować syna.

Zapłacił i wysiadł z taksówki. Było jeszcze dość wcześnie i główną bramę zastał zamkniętą.

Wiedział, do kogo ma się zgłosić.

Po ostatnim przesłuchaniu, kiedy pozwolono mu wracać do domu, Kevin Hutton pokazał mu o jeden dokument za dużo. Położył go przed Rubenem na stole, a potem na chwilę odwrócił się do okna jakby przypadkiem i poczekał na tyle długo, żeby Ruben zdążył przeczytać, co jest w nim napisane.

Był to wniosek z prośbą o przesłuchanie Rubena Freya.

Wniosek wysłano faksem ze Szwecji, wystawił go szwedzki MSZ z adnotacją, że kopię wysłano do inspektora policji Ewerta Grensa.

* * *

Sven Sundkvist ważył przez chwilę w dłoni stos kartek, potem położył je na kolanach i spojrzał na Ewerta, który stał przy półce i szukał na niej czegoś między dwoma magnetofonami kasetowymi.

– Lekarzowi nie wolno uczestniczyć w egzekucji, wiedzieliście o tym?

Ewert nie odpowiedział, podobnie jak Ågestam i Hermansson, bo było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Przysięga, jaką składają lekarze, i etyka, której obiecują przestrzegać, nie pozwalają im brać udziału w odbieraniu przez społeczeństwo życia człowiekowi. Co ciekawe jednak – do nich należy dostarczenie leków, które wykorzystuje się do uśmiercania skazańców.

Sven nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Nie był nawet pewien, czy ktokolwiek z obecnych słyszał, co powiedział. Grens ciągle jeszcze wybierał płytę z muzyką Siwan, a Ågestam i Hermansson czytali dokumenty, które Grens im wręczył. Sven nie przejął się tym wcale. Irytacja, którą odczuwał do niedawna, ustąpiła, podobnie jak zmęczenie po nocnej pobudce. Ewert i jego garnitur, cała ta gadanina o tym, jaki to z niego *hunk*, dobry humor Ågestama i Hermansson, nieprawdopodobna historia, która im się trafiła, i świadomość, że zbliża się jakaś decydująca chwila – wszystko to sprawiło, że Sven nie protestował już przeciwko pracy o tak wczesnej porze, gdy ciemność za oknem zaczynała się dopiero rozjaśniać.

– Miał wtedy siedemnaście lat.

Ågestam potrząsnął głową i spojrzał na pozostałych.

– Czy zdajecie sobie sprawę, jak rzadko się zdarza, żeby na karę śmierci skazywać

nioletniego? Schwarz – a właściwie możemy go już nazywać Frey – został potraktowany i skazany jak dorosły. Siedemnaście lat i takie konsekwencje – makabra.

Ågestam usłyszał, jak Grens włącza cicho swoją naiwną muzykę, która miała teraz stanowić tło jego własnej wypowiedzi.

– Wygląda to następująco: w Stanach Zjednoczonych żaden z członków ławy przysięgłych rozpatrującej sprawę, w której oskarżonemu może grozić kara śmierci, nie może być przeciwnikiem tejże kary. Rozumiecie? Oznacza to, że już na samym początku wybrana ława przysięgłych składa się z samych zwolenników kary śmierci. A jeśli taka ława postanowi, że ktoś – tak jak w tym przypadku Frey – zasłużył na karę śmierci, to znaczy, że za popełnioną zbrodnię może być ona orzeczona – wtedy ta sama ława przysięgłych ma rozstrzygnąć, czy zapadnie wyrok dożywotniego więzienia z możliwością ułaskawienia po upływie czterdziestu lat, kara dożywocia bez możliwości ułaskawienia lub też – jako trzecie rozwiązanie – kara śmierci.

Grens puścił troszeczkę głośniejszą muzykę z piosenkami Siw Malmkvist, bo pomagało mu to w myśleniu, ale z dużym zainteresowaniem słuchał także słów prokuratora, który na ten temat wiedział więcej od niego. Ågestam spojrzał poirytowany na Grensa i jego magnetofon, ale Ewert tylko dał mu znak ręką, żeby mówił dalej.

– Członkowie ławy przysięgłych dochodzą do wniosku, że oskarżony jest winny i wybierają trzecie rozwiązanie, to znaczy karę śmierci. Rzeczywiście, jego odciski palców znajdują się w całym domu, to prawdopodobnie jego spermę znaleziono w ofierze, co potwierdziły badania krwi. Ale na miłość boską, wielu świadków zeznało, że oboje utrzymywali stosunki seksualne już od roku! Oczywiście jest więc, że jego odciski palców już tam były, i oczywiście jest, że lekarz medycyny sądowej znalazł w dziewczynie jego spermę. Ława przysięgłych powinna dość szybko dojść do takiego wniosku.

Twarz Ågestama robiła się coraz bardziej czerwona, a on coraz bardziej się wiercił; w pewnej chwili podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, kontynuując jednocześnie swój monolog:

– Nie mówię, że to nie był on. Twierdzę, że mogło tak być. Chcę tylko powiedzieć, że to zbyt mało, by wydać wyrok skazujący i orzec karę śmierci w stosunku do chłopaka, któryś ma siedemnaście lat. Prokurator, który do tego doprowadził, wykonał solidną robotę. Ja nigdy bym sobie z tym nie poradził. Nie wiem nawet, czy oskarżyłbym kogoś, mając tak mało materiału dowodowego.

Rozejrzał się po pokoju prawie ze złością i zaczął mówić podniesionym głosem, chociaż nie zauważył tego:

– W momencie gdy dokonano zbrodni, nikt go tam nie widział. Krew znaleziona na miejscu zbrodni nie należała do niego. Ani słowa o tym, że na nim albo na jego ubraniu odkryto ślady prochu. Mamy tylko, to znaczy ława przysięgłych miała, spermę i odciski palców należące do chłopaka, który wielokrotnie gościł w domu i regularnie, od roku, uprawiał z dziewczyną seks. Mamy też jego kartotekę: wcześniej był gwałtowny, dwa razy zamknięto go w zakładzie poprawczym dla młodocianych. Frey nie sprawia wrażenia miłego chłopca. Ale to nie czyni z niego mordercy. Nawet na podstawie łańcucha poszlak.

* * *

Ruben Frey zgłosił się u strażnika, pokazał paszport i poprosił, żeby zaprowadzono go do inspektora Ewerta Grensa. Bardzo się starał mówić wyraźnie i spokojnie, choć akurat to było trudne. Strażnik miał na sobie zielony mundur i siedział po drugiej stronie szklanej ściany w otoczeniu wielu monitorów, które na okrągło przesyłały obrazy z różnych miejsc wokół budynku. Po angielsku mówił w ten sam sposób co kierowca taksówki, to znaczy poprawnie, ale z pewnym trudem. Poprosił krótko niespodziewanego gościa, żeby usiadł na jednym z trzech krzesełek ustawionych przy wąskim wejściu i poczekał.

Frey wyraźnie czuł, że ma za sobą nieprzespaną noc. Próbował zasnąć podczas lotu, ale nieustanny szmer rozmów prowadzonych przez pasażerów i ostre oświetlenie kadłuba samolotu przeszkadzały mu w tym. Przetarł szczypiące oczy, dwa razy ziewnął, przejrzał z roztargnieniem jakiś tygodnik, z którego nie zrozumiał ani słowa, choć w pewnym sensie go rozpoznał. Było to jedno z tych popularnych czasopism ze zdjęciami różnych znanych osób, które pozowały do nich we dwójkę na czerwonym dywanie prowadzącym do wejścia budynku, gdzie odbywała się jakaś ważna, kulturalna premiera. Taki sam tabloid, jakich wiele, można było zobaczyć u fryzjera w Marcusville albo na stoliku w kąciku z prasą w restauracji Sofios; inne słowa i inne osoby, ale podobna treść.

Mniej więcej po kwadransie usłyszał, jak strażnik wywołuje jego nazwisko, więc podszedł szybko do okienka, trzymając brązową nieporęczną walizkę. Podeszła do niego kobieta w takim samym zielonym mundurze i pokazała mu, w którą stronę ma się skierować. Jej angielski był o wiele lepszy niż ten, którym posługiwał się strażnik. Niewiele mówiła, ale jeśli się odzywała, czyniła to w sposób niewymuszony. Minęli dwa brzydkie korytarze i dwie pary zamkniętych na klucz drzwi i stanęli przed pokojem, gdzie drzwi były otwarte, a ze środka dobiegały dźwięki zbyt głośnej muzyki.

Strażniczka zastukała w drzwi, a głos, który usłyszeli, kazał im wejść.

Był to dość duży pokój biurowy, znacznie większy od pokoju FBI w Cincinnati, gdzie poprzedniego dnia Frey przez kilka godzin odpowiadał na pytania. Na środku pokoju stał ten sam mężczyzna, który kazał im wejść; był dobrze zbudowany, ubrany w dość elegancki garnitur i miał tyle samo lat co Ruben. W głębi pokoju na szerokiej kanapie siedziały jeszcze trzy inne osoby – kobieta i dwóch mężczyzn.

Ruben wszedł do pokoju i postawił walizkę na podłodze.

– Nazywam się Ruben Meyer Frey.

Zakładał, że zgromadzone w pokoju osoby znają angielski, bo chyba wszyscy w tym kraju znali ten język. Spojrzeli na niego i nie odezwali się ani słowem, czekając, aż ten niski, otyły Amerykanin z czerwonymi policzkami i zmęczonymi oczyma powie coś więcej.

– Przyjechałem tutaj, żeby porozmawiać z Ewertem Grensem.

Jedna z osób obecnych w pokoju, ów wysoki mężczyzna w garniturze, skinęła głową.

– To ja jestem Ewert Grens. W czym mógłbym panu pomóc?

Frey próbował się uśmiechnąć, a jednocześnie zrobił ruch ręką w kierunku magnetofonu.

– Poznaję ten utwór. To *Everybody's somebody's fool* Connie Francis. Nigdy jednak nie słyszałem go w tym języku.

– *Tunna skivor*.

– Co?

– Taki ma tytuł. Po szwedzku. To Siw Malmkvist.

Frey uśmiechnął się wymuszenie. Potem z kieszeni w koszuli wyciągnął zdjęcie. Nie było to zbyt dobre ujęcie, postać na zdjęciu wyszła trochę zamazana, a słońce było chyba zbyt jaskrawe, żeby kolory na fotografii wyglądały jak należy. Na kamieniu siedziała jakaś zamglona postać, chłopak nagi od pasa w górę, który udawał, że napina mięśnie. Nastolatek, długie, ciemne włosy opadające na oczy, związane na plecach w warkocz, trądzik na obu policzkach, rzadki wąsik nad górną wargą.

– To mój syn, John. Przed wielu laty. To o nim chciałbym z panem porozmawiać. W cztery oczy, jeśli można.

* * *

Człowiek, który znał utwór Connie Francis, już dzięki temu zdobył odrobinę szacunku Grensa. Pół godziny później obaj siedzieli przy jego biurku, a ich wzajemny szacunek wzrósł jeszcze bardziej.

Frey już wcześniej postanowił, że będzie w miarę szczerzy i otwarty. Czyli przeciwnie niż poprzedniego dnia. Nie miał po prostu innego wyjścia. Grens podkreślił, że będą rozmawiać o przestępstwie popełnionym na terenie Stanów Zjednoczonych, a więc w kraju, który pozostaje poza jego jurysdykcją; oznacza to, że nawet gdyby Frey miał ochotę coś w tej sprawie zrobić, to Grens i tak nie za wiele może.

Za oknem wył porywisty wiatr, było już przedpołudnie, a wiatr nieustannie uderzał w szybę, czasami z tak dużą siłą, że dwa razy zamilkli i odwrócili się, żeby sprawdzić, czy podmuch nie wybił szyby.

Frey podziękował za kawę, poprosił o wodę mineralną, a Ewert kupił w automacie po puszcze dla każdego z nich. Na przedniej płycie automatu ktoś, kto miał już dość tego, że maszyna pochłania kolejne monety bez wydania zapłaconego produktu, przyczepił kartkę, prosząc o zwrot pieniędzy po uprzednim kontakcie telefonicznym. Grens często się zastanawiał, czy do którejś z tych osób kiedykolwiek zgłosił się właściciel automatu, przeprasząc za usterkę i obiecując zwrot straconych monet.

Frey pił wodę prosto z puszki, kilka łyków i od razu ją opróżnił.

– Czy ma pan dzieci?

Frey zadał to pytanie poważnym tonem, a Grens spuścił nagle głowę.

– Nie.

– A dlaczego nie?

– Z całym szacunkiem, ale to nie pana interes.

Ruben pocierał dłonią czerwone policzki, a Grens pomyślał, że ludzie z dużą nadwagą nie miewają zmarszczek.

– Okay, w takim razie zadam panu to pytanie w inny sposób. Czy wie pan, jakie to uczucie, kiedy się traci dziecko?

Grens przypomniał sobie ojca pięcioletniej dziewczynki zamordowanej na tle seksualnym dwa lata wcześniej; nadal pamiętał, jak strasznie wyglądała jego twarz, tego bólu nie można było nie zauważyć.

– Nie. Po prostu nie mam dzieci. Ale spotykałem rodziców, którzy przeżyli tragedię, widziałem to i domyślałem się, jak rozpacz zżerała ich od środka.

– A czy potrafi pan zrozumieć, jak daleko może się posunąć rodzic dziecka, żeby czegoś takiego nie doświadczać?

Wspomniany wcześniej ojciec odszukał i zastrzelił sprawcę zbrodni, który zamordował jego córkę, a w czasie dochodzenia Ewert doszedł do wniosku, że wcale go nie potępia.

– Tak, chyba tak.

Frey zaczął szukać czegoś w kieszeni spodni. Paczki papierosów. Czerwone pudełko, jakaś marka, której nie sprzedają w Szwecji.

– Czy mogę zapalić?

– Na terenie tego budynku nie wolno palić. Ale nie zamierzam pana za to aresztować.

Frey uśmiechnął się i zapalił papierosa. Odchylił się do tyłu, próbował się rozluźnić, zaciągnął się dwa razy, a potem zaczął wypuszczać dym w postaci małych, szarobiałych kółek.

– Jestem zwolennikiem kary śmierci. Głosowałem na każdego gubernatora, który się za nią opowiadał. Gdyby mój syn był winien, też z pewnością by sobie na nią zasłużył. Wierzę w słynne powiedzenie „oko za oko...”, ale niech pan zrozumie... John nie jest mordercą. Był chuliganem, to prawda. Lekarze nazywali to słabą samokontrolą. Dwóch z nich próbowało powiązać to ze śmiercią matki, że niby powodem jest smutek spowodowany jej śmiercią. Za diabła w to nie wierzę, to takie tezy terapeutów, żeby zwolnić sprawcę od odpowiedzialności. To prawda, John był trudnym dzieckiem, ale nie mordercą.

Kiedy minęło pół godziny, Grens nie musiał już stawiać żadnych dodatkowych pytań. Frey palił i bez przerwy mówił. Opisał pełną nienawiści atmosferę, jaka zapanowała po znalezieniu zwłok córki Finnigana. To jedna z tych zbrodni, które czasami rozdmuchuje prasa, żeby zrobić z wydarzenia jakąś symboliczną kwestię. Najwyraźniej historia śmierci Elizabeth Finnigan świetnie się sprzedawała na terenie całego Ohio. Żądania opinii publicznej, która domagała się znalezienia winnego i wymierzenia mu jak najsurowszej kary, przybierały na sile w miarę upływu kolejnych dni. Zbrodnia stała się sprawą wszystkich, wyzwoliła powszechny żal i zrobiono z niej element rozgrywek politycznych. Żadnemu bandycie w Ohio nie wolno odebrać życia młodej, ładnej dziewczynie, która miała przed sobą całe życie, a potem uniknąć kary. Ruben Frey był całkiem spokojny i opanowany, w chronologicznym porządku przedstawił przebieg całej historii, także wtedy, gdy opowiadał o dniu, w którym John został aresztowany, i o nienawiści, której doświadczał od pierwszej chwili aż do momentu, gdy ława przysięgłych wydała wyrok.

Opowiadał o czymś, o czym prawdopodobnie nigdy wcześniej nie mówił. Jego policzki zrobiły się purpurowe, a czoło pokryło się kropelkami potu. Od wyjazdu z Marcusville nie zmieniał ubrania, więc teraz wydzielał trochę nieemiły zapach potu i jeszcze czegoś. Grensowi to nie przeszkadzało, ale zauważył to i spytał Freya, czy po rozmowie chciałby może się trochę odświeżyć pod prysznicem. Frey zgodził się i przeprosił, że jest taki nieświeży; to był długi dzień.

Silny wiatr coraz mocniej uderzał w szyby. Na dworze padał śnieg, tyle samo leciało go z góry, co w górę, bo wiatr unosił stary śnieg leżący na ziemi. Grens podszedł do okna, spojrzał na panującą tam biel i czekał, wprawdzie Frey był zmęczony, ale miał jeszcze wiele do powiedzenia.

– A ucieczka?

– Co pan ma na myśli?

– Co pan wiedział na ten temat?

Frey przeczuwał, że i to pytanie w końcu padnie. Chciał wyjąć z paczki następnego papierosa, ale już się skończyły.

– Czy to jest rozmowa tylko między nami?

– Nikogo innego tu nie widzę.

– Czy może mi pan dać słowo, że to, co tu powiem, zostanie między nami?

– Tak. Ma pan moje słowo. Nikomu o tym nie powiem.

Frey zmiął opakowanie po papierosach, a potem próbował wrzucić je do kosza stojącego pod biurkiem Grensa i prawie mu się to udało. Pochylił się, sięgnął po nie i rzucił jeszcze raz. Za daleko.

Rozłożył ręce i położył je na biurku.

– Wszystko.

– Wszystko?

– Wiedziałem o wszystkim. Jechałem z nim przez całą drogę. Aż do chwili, kiedy samolot wystartował z Toronto i zniknął w chmurach, biorąc kurs na Moskwę. Trochę okrężna droga, ale ludzie, którym zaufaliśmy, zazwyczaj korzystali z tej trasy. Każdy etap ucieczki finansowany był za moje pieniądze.

Ruben westchnął.

– Minęło już sześć lat. Od tamtej pory już go nie widziałem i nie wiem, czy pan zrozumie, ale każdy kolejny dzień, kiedy o nim nie słyszałem, każdy spokojny dzień był dobry.

* * *

Zanim Ruben Frey poszedł wziąć prysznic, szczegółowo zdążył opisać przebieg ucieczki, o której wcześniej opowiadał jego syn. W historii opowiedzianej przez Johna było kilka luk, ale wszystko, co pamiętał i opowiedział, zgadzało się z tym, co przekazał jego ojciec. Grens uznał, że powinien uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał: Ruben Frey i

strażnik Vernon Eriksen, jak również dwaj lekarze więzienni, którzy później zmienili tożsamość, wspólnie zaplanowali ucieczkę i doprowadzili do uwolnienia człowieka, o którego niewinności byli przekonani.

Niebieską koszulę z białą obwódką Ruben zmienił na białą koszulę z niebieską obwódką, a czarną skórzaną kamizelkę na brązową. Miał wilgotne włosy, a zapach wody po goleniu czuć było jeszcze przed otwarciem drzwi. Ruben był teraz czysty, oczy miał mniej zmęczone. Postawił swoją wielką walizkę w miejscu, gdzie stała poprzednio, i spytał, czy mógłby gdzieś kupić coś do przekąszenia. Grens wskazał na korytarz, a Frey zrobił już kilka kroków, żeby wyjść z pokoju, gdy nagle się odwrócił.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– Trochę mi się spieszy. Ale jak pan je zada, zobaczę, czy zdążę na nie odpowiedzieć.

Frey przeciągnął dłonią po wilgotnych włosach, poprawił spodnie i pasek, który jakimś sposobem opadł mu pod brzuch. Na dworze nadal wiał silny wiatr, obaj go słyszeli.

– Sześć lat. Myślałem o nim każdego dnia, w każdej godzinie, kiedy nie spałem. Chciałbym się z nim spotkać. Czy mógłby pan to jakoś załatwić?

* * *

Dwadzieścia minut później Grens szedł obok Freya jednym z licznych korytarzy aresztu. Istniały oczywiście określone reguły, ale nie brakowało też sposobów, żeby je obejść. Grens towarzyszył swemu gościowi aż do samej celi, a potem stanął przed wizjerem, żeby ich obserwować i nie zabierać niepotrzebnie miejsca w środku. Kiedy Frey i John się objęli, zaczęli płakać; nie było to gwałtowne łkanie, tylko cichy, nieśmiały płacz jak wtedy, gdy ludzie spotykają się po wielu latach.

Grens jechał z dużą prędkością i przynajmniej dwa razy wjechał pod prąd w ulice jednokierunkowe. Był już spóźniony i nie chciał się spóźnić jeszcze bardziej.

Ledwo udało mu się odciągnąć Rubena Freya od syna.

Musiał im w końcu przypomnieć, że ich nieformalne spotkanie dobiegło końca i Ruben musi opuścić celę; chuda twarz Johna przylgnęła mocno do okrągłych policzków Rubena, stali tak blisko siebie i rozmawiali ściszone głosami o czymś, o czym Grens nie słyszał i czego nie chciał słyszeć. Dopilnował jeszcze, żeby Rubena odwieziono do hotelu Continental przy ulicy Vasagatan, a potem dał mu swoją wizytówkę ze wszystkimi numerami telefonów – służbowymi i prywatnym.

Zerknął na zegar umieszczony na tablicy rozdzielczej. Dwie minuty po jedenastej. Prom odpływa z Gåshaga siedemnaście po jedenastej. Powinien zdążyć.

Zaledwie trzy dni temu stał obok niej przy oknie, a ona uniosła dłoń i pomachała.

Widział to.

Był przekonany, że kiedy zahuczała syrena białego statku przepływającego kanałem Höggarnsfjärden, Anni pomachała. A przecież personel szpitala przekonywał go, że z neurologicznego punktu widzenia jest to niemożliwe. Co to znaczyło? Kiwnięcie dłonią to kiwnięcie dłonią, a on widział to, co widział. Miał w nosie, czy to możliwe czy nie.

Trzy dni, tylko tyle, a jednak odnosił wrażenie, jakby zdarzyło się to dawno temu. Powinien więcej o niej myśleć. Anni była we wszystkim, co robił, na przykład w powietrzu, którym oddychał; towarzyszyła mu na każdym kroku, dokądkolwiek poszedł, a on nauczył się to lubić i całkowicie się od tego uzależnił.

W ciągu ostatnich dni sprawiał wrażenie, jakby nie miał czasu. Kilka razy próbował, jak na przykład wtedy, gdy nagle uświadomił sobie, że na chwilę ją stracił, a wówczas zaczął znowu myśleć o jej twarzy, o pokoju, w którym mieszkała, i o tym, że za nią tęskni. Jednak takie myśli trudno było sprowokować, bo wymagały wewnętrznej siły, a jemu po raz pierwszy tej siły zabrakło.

Grens przejechał przez most Lidingöbron i także tym razem ze zbyt dużą prędkością, potem przejechał jeszcze pięć-sześć kilometrów na wschód przez dużą wyspę i osiedla, gdzie ceny domów były tak wyśrubowane, że można się było tylko śmiać. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego niektórzy twierdzili, że mieszkanie w tym miejscu to fantastyczna rzecz. Uważał natomiast, że jest to dobre otoczenie dla Anni – spokój, woda, no i on ma do niej blisko; ale na miłość boską, przecież upłynęło już dwadzieścia pięć lat, a wtedy ceny nieruchomości były zupełnie inne.

Znowu spojrzął na zegar, jeszcze cztery minuty, zatrzymał samochód i wysiadł z niego. Czekają tam już kilka osób, a trochę dalej autobus miejski, który właśnie zamknął tylne drzwi i odjechał. Zszedł ze wzgórza, a zimny wiatr smagał go po twarzy.

To był zwykły pomost, niezgrabna, cementowa bryła wystająca trochę nad wodą. Powierzchnia wokół pomostu była skuta lodem, wyglądało to tak, jakby pomost zrósł się z nim; pod warstwą śniegu trudno było się zorientować, gdzie kończy się pomost, a gdzie zaczyna lód. Zauważył tor wodny wolny od lodu, nie był zbyt szeroki, więc zaczął się zastanawiać, jak przepłynie nim tak duży statek.

Anni siedziała w swoim wózku w dużej, białej czapce na głowie i w grubym płaszczu z brązowym futrzanym kołnierzem, który podarował jej dwa lata wcześniej. Odczuwał to, co zwykle, gdy ją widział – czułość; przez chwilę był spokojny, przecież nigdzie mu się nie spieszyło. Kiedy do niej podszedł, nie powiedział nic, tylko pogłaskał ją po policzku; był czerwony i trochę zimny, a ona oparła głowę o jego dłoń.

Zobaczyła ten statek.

W oddali widać było biały statek przybrzeżny płynący w stronę pomostu w Gåshaga. Miał już pewne opóźnienie. Według rozkładu miał czekać przy pomoście już siedemnaście po jedenastej, ale tylko przez krótką chwilę, jakiej nowi pasażerowie potrzebowali, żeby wejść na pokład.

Kiedy Anni go ujrzała, nie spuszczała z niego wzroku. Grens nadal głaskał ją po policzku i był pewien, że Anni jest tak szczęśliwa, na jaką wygląda.

Pozdrowił Susann, studentkę medycyny, która dorabiała sobie w domu opieki, a którą on poprosił, by im towarzyszyła; obiecał, że za nadgodziny zapłaci jej z własnej kieszeni. Była w wieku Hermansson, trochę wyższa i nieco mocniej zbudowana, miała jasne włosy (a nie ciemne jak Hermansson) i chociaż obie nie były do siebie podobne, to jednak przypominały siebie nawzajem, na przykład sposobem mówienia, jaką pewnością siebie i autorytetem, jaki od nich bił. Zastanawiał się, czy wszystkie młode kobiety takie są i czy to tylko on nie nadąża za zmianami.

Starsza para stała na brzegu pomostu, samotny mężczyzna w czarnej skórzanej marynarce i grubych butach siedział na ławce pokrytej śniegiem, dwie dziewczyny stojące dwa metry od nich chichotały histerycznie i zerkwały w ich stronę, gdy im się wydawało, że nikt tego nie zauważa. Wszyscy czekali na statek, od czasu do czasu zerkali na zegarki i przestępowali z nogi na nogę, aby utrzymać trochę ciepła.

Statek był już blisko, rósł w oczach, gdy podpływał coraz bliżej. Przed dobieciem do brzegu kapitan zabuczał syreną jeszcze dwa razy. Anni wzdrygnęła się, a potem wydała z siebie dźwięk, który Grens uważał zawsze za śmiech; jej śmiech przypominał bulgotanie i syczenie wydobywające się gdzieś z przelyku.

M/S Söderarm. Anni machała do tego właśnie statku.

A teraz miała nim popłynąć, chciała tego, przecież mu to pokazała.

Statek był większy, niż sądził Grens. Czterdzieści metrów długości, dwa pokłady, komin połyskujący białą i niebiesko-żółtą farbą, długa lina przeciągnięta między rufą a dziobem z barwnymi chorągiewkami, które z głośnym łopotem trzepotały na wietrze. Grens pchał wózek, na którym siedziała Anni, małe kółka utknęły w trapie i musiał się sporo namęczyć, żeby je uwolnić i wepchnąć wózek na pokład. Zeszli do sali na dolnym pokładzie z pustymi drewnianymi ławkami, było tam ciepło i wszędzie czuć było silny zapach kawy płynący gdzieś z kuchni znajdującej się w rogu pomieszczenia.

Susann zdjęła Anni czapkę i rozpięła jej guziki płaszcza. Anni miała zmierzwiłone włosy, więc Grens wyciągnął swój grzebień i zaczął je ostrożnie rozczesywać, aż włosy znowu ułożyły się prosto.

– Kawy? – spytał Ewert i spojrzał na Susann, która ustawiała wózek, kilka razy przesunęła nim mocno w różnych kierunkach, aż znalazł się w bezpiecznym położeniu.

– Nie, dziękuję.

– Ja płacę.

– Nie, dziękuję.

– Nalegam. To dla mnie ważne, że tu dzisiaj jesteś.

Susann znowu na niego spojrzała; pochylała się nad wózkiem, starając się zabezpieczyć go przed przesuwaniem.

– No, jeśli tak...

Grens szedł wąskim korytarzem i starał się dopasować swój krok do ruchów statku. M/S Söderarm. Podobała mu się ta nazwa. Słyszał ją od lat w radiu, gdzie ktoś tym samym monotonnym głosem przekazywał prognozę pogody: „Söderarm, południowo-wschodni wiatr, osiem metrów na sekundę, dobra widoczność”. Kilka razy nawet tam był, w miejscu

najbardziej wysuniętym wśród szkierów, był wtedy młody, pożeglował tam z ojcem, pamiętał, że nie spędzali zbyt dużo czasu razem, ale nigdy nie zapomniał właśnie tych wycieczek żaglówką. Przypomnił sobie latarnię morską Tjärven, która dawała regularne sygnały świetlne, morze i niebo, które zlewały się w ten sam, niebieski kolor; tam, dokąd płynęli, było pusto, prawie brakowało śladów życia, wznosiły się tylko jakieś jałowe wzgórza, a potem już istniał tylko niekończący się bezmiar wód.

– Statek nazywa się Söderarm.

Chłopak, który stał za brązowym kontuarem i nalewał kawę do trzech filiżanek, spojrział na niego pytającym wzrokiem.

– Tak. Czy coś jeszcze mam podać?

– Dlaczego statek tak się nazywa?

Spłoszone spojrzenie przyszczatego chłopaka wskazywało, że nie wie, jak odpowiedzieć na to dziwne pytanie.

– Nie wiem. Jestem tu nowy. Czy mam jeszcze coś podać?

– Trzy kanapki. Te okrągłe, z serem.

Wypili kawę, zjedli kanapki i spoglądali przez okno, podczas gdy statek pokonywał fale, chociaż wodę widać było tylko w wąskim przesmyku między krawędziami lodu. Podróż miała trwać czterdzieści minut. Za trzy dwunasta zejść na ląd w Vaxholmie, a potem w hotelu Vaxholm zjedzą lunch – coś z ryb. Ewert zarezerwował wcześniej stolik dla trzech osób przy oknie, z widokiem na morze.

Grens siedział rozluźniony. Odczuwał spokój, ale mimo to ciągle myślał o tym cholernym Schwarzu, chociaż teraz otaczała go woda, lód i szkiery. Przecież musi odpocząć, przynajmniej przez te dwie godziny! Poradzi sobie z tą historią, przekopie się przez nią do samego dna, ale przez te dwie godziny musi o niej zapomnieć! Przymknął oczy i starał się myśleć o czymś innym niż Schwarz. Wytrzymał minutę, może dwie, a potem i tak w myślach pojawił się Ruben Frey, który pytał go, jak daleko Grens mógłby się posunąć, żeby uratować własne dziecko.

Przecież ja nie mam żadnych dzieci. Nie mieliśmy żadnych dzieci. Nie zdążyliśmy, Anni i ja.

A gdybyśmy mieli... na przykład taką córkę jak Hermansson.

Ale jej nie mamy. Chociaż gdybyśmy mieli, Anni, to wiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby ją chronić.

Ewert pochylił się nad stołem i czerwoną serwetką w świąteczny wzorek usunął okruszki z jej brody. Potem zapytał obie, czy chcą wyjść na pokład. Pomyślał, że może Anni

chciałyby poczuć, jak wieje wiatr, zachłysnąć się morzem, bo przecież w pokoju spędza długie dni i godziny, patrzy wtedy przez okno na świat, który nie jest jej światem, więc musi skorzystać z okazji, przecież machała ręką.

Statek nie płynął zbyt szybko. Grens nie wiedział zbyt wiele o prędkości statków na morzu, ale pryszczaty chłopak w barze twierdził, że ta jednostka może płynąć z maksymalną prędkością dwunastu węzłów, co nie brzmiało zbyt imponująco. Grens wniósł Anni po schodach, zatrzymał się tam i starał się utrzymać równowagę; Susann stała za nimi z wózkiem, na razie go złożyła, żeby móc precyzyjnie się przez drzwi prowadzące na pokład.

Na górze podmuchy wiatru były jeszcze gwałtowniejsze. Trudno było ustać w miejscu, więc oboje musieli przytrzymywać wózek. Od czasu do czasu na ich policzki spadały krople słonej wody, ale było to przyjemne uczucie, woda miała tylko odrobinę niższą temperaturę niż poranny prysznic. Grens spojrzał na Anni, która siedziała przy poręczy, jej broda wystawała trochę ponad poręcz, dzięki czemu mogła wszystko widzieć. I znowu ta jej radość, ta sama, którą czasem w nim wywoływała, może dlatego, że sama była pełna radości.

– Wiem, że pan ma ciągle nadzieję. I uważam, że to bardzo dobra postawa. Ale niech pan na wiele nie liczy.

– Mów mi Ewert.

– Chcę tylko powiedzieć, że jeśli nic z tego nie będzie, sprawi to panu ból.

– Ale ona naprawdę pomachała ręką.

Susann objęła Anni ramieniem, podczas gdy drugą ręką nadal przytrzymywała wózek. Mówiąc, nie patrzyła na Grensa, wzrok miała utkwiony w Vaxholmie, który coraz wyraźniej było widać od strony bakburty.

– Wydawało się panu, że to widział. To dlatego. Ale z punktu widzenia neurologii jest to niemożliwe. Odruch. Sądzę, że to był po prostu zwykły odruch. Nic więcej.

– Do diabła, dokładnie wiem, co widziałem.

Susann odwróciła się w jego stronę.

– Nie chciałabym pana ranić, ale dozna pan rozczarowania, jeśli nadal będzie żywił nadzieję. To był tylko odruch. Sądzę, że Anni może wychodzić na dwór, bo to dobre dla jej samopoczucia, ale nic więcej. I trzeba o tym pamiętać.

* * *

Sam do końca nie wiedział, czego się spodziewał. Że kiedy Anni zobaczy statek, to znowu pomacha ręką? Że udowodni coś tym gnojkom, że ich przekona? Jedli w milczeniu,

ryba smakowała wybornie, tak jak słyszał, ale nie mieli już za bardzo o czym rozmawiać. Anni miała dobry apetyt, jadła, ślinała się i wypluwała jedzenie, a Grens i Susann na wyścigi ją wycierali. Grens zamówił bus na wpół do drugiej i dokładnie o tej godzinie przyjechał, jakąś godzinę później pożegnali się na pomoście w Gåshaga, pocałował Anni w czoło i obiecał, że zjawi się najpóźniej w poniedziałek. Przez miasto przejechał dość szybko, do szczytu pozostało jeszcze trochę czasu, więc mógł skupić się na tym, aby zadzwonić do Svena i dowiedzieć się w skrócie, co działo się w ciągu ostatnich kilku godzin. Dzwonił też do Rubena Freya w hotelu Continental; chciał porozmawiać z tym nieszczęśnikiem, żeby go ostrzec, aby nie robił sobie zbyt wielkich nadziei.

Ostatnia doba była niepodobna do żadnej innej. Nie przypominała nawet tamtego dnia, kiedy przed osiemnastu laty jego jedyne dziecko znaleziono na wpół martwe na podłodze ich sypialni. W tamtych czasach był bardziej wrażliwy. Jej śmierć odbiła się na nim, czuł to i w końcu uświadomił sobie, że to zdarzyło się naprawdę. Kilka razy chciał nawet odebrać sobie życie, bo nie miał już dla kogo żyć. Od tamtej pory żył w odosobnieniu. Na początku – pomijając tamten czas na samym początku, gdy w desperacki sposób starali się o nowe dziecko – nie był w stanie wzbudzić w sobie pożądania do Alice ani zabrać się do czegokolwiek, chodził po świecie jak żywy trup.

Edward Finnigan jechał samochodem drogą numer dwadzieścia trzy na północ. Od kiedy sięgał pamięcią, pracował jako doradca gubernatora. Trwało to od dnia, kiedy dwadzieścia lat wcześniej, zanim Robert został gubernatorem, poznali się na wydziale prawa uniwersytetu stanowego Ohio. Później, kiedy cała ta długa kampania wyborcza, jaką prowadzili przez dwadzieścia lat, doprowadziła Roberta na stołek gubernatora, przenieśli po prostu swoje biuro do pomieszczeń przy South High Street w Columbus. Okazało się, że ich harówka się opłaciła, bo Edward został najbliższym współpracownikiem gubernatora i uczestniczył w tworzeniu wszystkiego, co oficjalnie i nieoficjalnie powstawało w murach budynku, gdzie swoją siedzibę miały władze stanowe.

Można było odnieść wrażenie, że z powodu śmierci Elizabeth jego wydajność pracy jeszcze wzrosła. Żeby nie odczuwać bólu, zaczął pracować jeszcze ciężiej. Miał nadzieję, że sukcesy w pracy zawodowej przyniosą mu pocieszenie w życiu prywatnym.

Opuścił szybę i ze złością splunął na zewnątrz. Ależ był naiwny!

Uświadomił sobie ten fakt w ciągu tamtych kilku godzin, jakie upłynęły od chwili, kiedy wczesnym rankiem poprzedniego dnia odwiedził go szef straży więziennej, Vernon Eriksen. Nagle, po tylu latach, poczuł, że znowu zaczyna odczuwać. Kiedy Eriksen poinformował go, z czym przychodzi, kiedy oznajmił mu, że Frey żyje, że siedzi za kratami w jakimś kraju w północnej Europie, poczuł się tak, jakby ktoś nagle zaczął okładać go

pięściami, jakby się chciał przekonać, że to naprawdę boli. Frey żyje! A więc będzie mógł umrzeć. Kiedy Eriksen wyszedł, Finnigan rozebrał się do naga i znowu zaczął nagabywać Alice, jego członek zrobił się twardy jak przed wielu laty. A ona nic nie rozumiała, kazała mu odejść.

Natychmiast zadzwonił. A Robert od razu zrozumiał, o co chodzi, i wykonał telefon do Waszyngtonu. Niech za wszelką cenę ściągną Freya do kraju. Obaj domagali się tego samego, choć z różnych powodów: Finnigan pragnął zemsty, a gubernator zamierzał ubiegać się o kolejną kadencję. Akurat ten drugi powód był mniej ważny, ten bydlak powinien tu wrócić, a potem razem z Robertem będą patrzeć, jak Frey umiera.

Z Marcusville do Columbus jest dwadzieścia kilometrów, Finnigan pokonywał tę trasę swym starym fordem kilka razy w tygodniu. Wprawdzie miał do dyspozycji mieszkanie położone zaledwie dwieście metrów od biura, w eleganckim wieżowcu, profesjonalnie urządzone na koszt stanu, ale nie czuł się w nim dobrze. Ciasne pokoje zwiększały poczucie samotności, a on, chociaż zupełnie się odsunął od innych, nie miał ochoty na samotność. Dlatego właśnie jeździł codziennie tam i z powrotem, a jeśli wyjechał z domu odpowiednio wcześniej i poruszał się z dużą prędkością, nie musiał stać w korkach, a cały przejazd zabierał mu około pół godziny.

Tamtego ranka było dość ślisko, więc jechał wolniej niż zwykle. Panowały zdradzieckie ciemności, a on już po przejechaniu dwóch kilometrów dwa razy zjechał niebezpiecznie na skraj drogi. Powoli zbliżał się do miasta, które pod względem geograficznym i politycznym stanowiło serce stanu Ohio; liczyło około sześciuset tysięcy mieszkańców, którzy mieli dochody wyższe niż przeciętne; mieli też lepsze wykształcenie i wyższy standard życia niż mieszkańcy Marcusville. Zadzwonił do gubernatora i poprosił go o spotkanie. Chciał się dowiedzieć, co zdarzyło się w sprawie Freya. A raczej dlaczego odnosi wrażenie, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w tej sprawie nie wydarzyło się nic.

* * *

Jego biuro znajdowało się na trzynastym piętrze przy 77 South High Street. Niczym szczególnym się nie wyróżniało, a nieliczni goście, którzy go tam odwiedzali, z trudem ukrywali swoje rozczarowanie faktem, że najbliższy współpracownik gubernatora urzęduje w pomieszczeniu przypominającym typowy pokój w przeciętnej firmie, w którym siedzi przeciętny urzędnik. Finnigan wykorzystał to; z jego jasnego pokoju rozciągał się wprawdzie

widok na pół miasta, ale powierzchnia było tu niewiele, a wyposażenie raziło swoją skromnością, choć było funkcjonalne. Starał się w ten sposób zaprezentować jako polityk oszczędny, co w stanie, któremu regularnie groziły podwyżki podatków, było szczególnie ważne.

Kiedy wszedł do pokoju, Robert już tam na niego czekał. Przed nim, na biurku, stał talerzyk z dwoma lepkimi ciastkami. Gubernator był opalony, bo wrócił niedawno z krótkiego wyjazdu na narty do Telluride w Kolorado, które leżało w wysokich partiach Gór Skalistych. Był wysokim mężczyzną i wyglądał na wysportowanego, miał brązową twarz i jasne włosy, dzięki czemu sprawiał wrażenie młodszego, niż był, a przynajmniej na młodszego od Edwarda. Różnica wieku między nimi wynosiła tylko miesiąc, ale patrząc na nich, nikt by się tego nie domyślił. Jeden szczupły, drugi otyły, jeden miał gęste włosy, drugi rzadkie, jeden był opalony, drugi blady. Najgorszy był jednak smutek Finnigana, to przez niego stopniowo odsuwał się od innych. Każdy rok, jaki upływał od śmierci Elizabeth, dla niego trwał dwa lata.

Finnigan wszedł do pokoju, przeszedł szybko po miękkim dywanie i stanął przy oknie. Słońce weszło za wieżowcami i świeciło mocno, a on nie lubił tego cholernego światła, żaluzje zapewniały mu mrok, więc opuścił je, aż w pokoju zrobiło się całkiem ciemno.

– Bob, chciałbym wiedzieć, dlaczego nic się w tej sprawie nie dzieje.

Gubernator sięgnął po ciastko, zjadł część pokrytą kremem, a resztę trzymał w dłoni.

– Czekasz od osiemnastu lat. Od osiemnastu! Nikt lepiej ode mnie nie wie, co czujesz i czego pragniesz, ale pozwól biurokratom, żeby wykonali swoją robotę. Bądź cierpliwy, przecież czekasz już od tak dawna. Któregoś dnia tu się zjawi. Wróci do swojej celi w bloku śmierci, a potem odbędzie się egzekucja. Za każdym razem, kiedy wraz z Alice będziecie się szykować do wyjścia na spacer, zapewniam cię, za każdym razem, kiedy będziecie przechodzić koło tego obrzydliwego muru, który tam stoi, przypomnicie sobie, że on tam siedział i tam skończył.

Finnigan zachnął się. I od razu uświadomił sobie, że nigdy przedtem nie zachował się tak wobec swojego starego przyjaciela. Sięgnął po aktówkę i zaczął szukać koperty, która zaplatała się gdzieś między przegródkami. W końcu, przeklinając, znalazł ją. Wysypał jej zawartość na biurko i poprosił gubernatora, żeby na coś spojrział.

Zdjęcie. Mężczyzna w ciemnej koszuli, który niespokojnie próbuje uciec od obiektywu aparatu.

– Czy wiesz, kto to jest?

– Domyślam się.

– Nienawidzę go!

– Jesteś najzupełniej pewien, że to on?

– Ostrzygł włosy, jest szczuplejszy, oczy jakby ciemniejsze, przybyło mu zmarszczek... ale to on. Widywałem go od dnia, kiedy zaczął chodzić do podstawówki. To on!

Gubernator sięgnął po zdjęcie i podsunął je pod lampę, żeby lepiej mu się przyjrzeć w zaciemnionym pokoju.

– Nie przejmuj się tym wszystkim. W końcu go tu przywiozą.

– Ale ja już nie mogę się doczekać!

Finnigan krążył niespokojnie po pokoju, mówił podniesionym głosem, a gubernator tego nie lubił.

– Edwardzie, usiądź i uspokój się, jeśli chcesz, żebym tu został dłużej. Zbyt często przez to przechodziliśmy. Jestem twoim przyjacielem i uważam cię za przyjaciela. Widziałem, jak dorasta twoja córka, i wiesz, że z radością będę przyglądał się jego egzekucji. Wiem, że tak to się zakończy. Ale nie wolno ci tracić głowy.

Obydwaj myśleli o tej sprawie, bo jeśli przez długi czas z kimś się pracuje, nie może być inaczej. Było to dla nich oczywiste jeszcze na studiach, kiedy Robert stawiał pierwsze kroki jako polityk, a Edward jako jego doradca. Żaden z nich tego nie wymyślił, tak się po prostu dobrali, weszli w swoje role i dobrze się w nich czuli. Rzadko, a właściwie nigdy, musieli utrzymywać dystans, byli przyjaciółmi, a przyjaciele nie krzyczą na siebie. Kiedy więc i Robert podniósł głos i zaczął mówić poirytowanym tonem, było to tak niezwykle, że obaj na chwilę umilkli, a Edward podszedł bliżej i wyrwał Robertowi zdjęcie Freya z dłoni.

– Przez sześć lat myślałem, że on nie żyje! Chciał mi odebrać prawo do zemsty. A teraz dowiaduję się, że on żyje i mieszka w jakimś zasranym kraju na biegunie północnym! Chcę go tu widzieć! Natychmiast! Dłużej nie wytrzymam.

* * *

Gubernator upewnił się wcześniej, że drzwi do pokoju Finnigana są zamknięte. Kiedy Edward wykrzykiwał swoje żądania, Robert podciągnął żaluzje, żeby wpuścić do środka trochę ożywczego światła. Uchylił nawet okno, żeby szum ulicznego ruchu wpadł do pokoju i zagłuszył ich rozmowę.

A potem zaczęli krzyczeć na siebie jak nigdy przedtem.

Przez wszystkie poprzednie lata świadomie unikali konfrontacji. Udało im się

zbudować związek, który chronili przed mocnymi słowami, ale bali się, że kiedyś taki dzień nadejdzie. A kiedy to się stało, poczuli jakby ulgę, że mogą z siebie wszystko wyrzucić. Krzyczeli, aż ochrypli, bo po raz pierwszy nie musieli zważać na współpracowników podsłuchujących za drzwiami ani na to, co o nich myślą.

Ich głośna kłótnia zakończyła się po dwudziestu minutach w gwałtowny sposób.

Robert przycisnął swego przyjaciela ze złością do ściany, a potem przysunął usta do jego ucha i wyszeptał, że jeśli Edward chce, by mu się udało, powinien zadbać o to, aby nikt nie uznał, że chodzi mu o prywatną zemstę. Muszą więc zrobić z tego sprawę o charakterze politycznym, a także posłużyć się rzeczowymi politycznymi argumentami. Podobnie jak poprzednim razem muszą pozwolić dziennikarzom, aby pisali o zbrodniarzu, który chodzi sobie na wolności i pokazuje figę amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości.

Gubernator stał przy Finniganie i nadal trzymał go mocno za kołnierz.

Nagle Finnigan wyrwał się, przewrócił Roberta na podłogę, a potem chwycił pojemnik na ołówki i rzucił go mu w twarz.

Gubernator upadł na podłogę z czołem zalany krwią. Słyszał jeszcze, jak jego najlepszy przyjaciel każe mu iść do diabła i z wściekłością wypada z pokoju.

Popołudnie w Sztokholmie było chłodne i wiał silny wiatr, a na wiosnę przyjdzie jeszcze długo czekać. Podsekretarz stanu, Thorulf Winge, zamiast zjeść lunch, wypił filiżankę earl greya i zjadł suche ciastko cyrulkowe, które leżało na stole od ostatniego spotkania poprzedniego wieczoru. Zanurzył je w gorącej wodzie, przez co straciło smak, ale na jakiś czas cały ten zestaw zaspokoił jego głód. Ostatnio zupełnie nie miał na nic czasu.

Pokonał pieszo odległość dzielącą Ministerstwo Spraw Zagranicznych od kancelarii premiera w Rosenbad. Ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w pokryty lodem asfalt wyglądał jak wszyscy inni ludzie, którzy tego styczniowego dnia starali się chronić twarze przed silnym chłodem. Szedł wzdłuż kanału biegnącego obok budynku parlamentu. To tutaj koncentrowało się jego życie, między budynkami stojącymi w miejscu, gdzie swoje siedziby miały centralne władze. To także tutaj ciągle się przemieszczał.

Skinął głową strażnikowi, który siedział w szklanej budce; miał na sobie jasny mundur, a na nim jakąś mosiężną odznakę. Strażnik – starszy mężczyzna, który pracował tam chyba tak samo długo jak Winge – też skinął głową na znak, że rozpoznał nowego gościa, i nacisnął guzik otwierający drzwi wejściowe.

Winge solidnie się wcześniej przygotowywał. Spotkanie z premierem i ministrem spraw zagranicznych było pierwszym, które dotyczyło sprawy Johna M. Freya, choć ze względu na sztywne terminy premiera trudno je było wpasować w jego grafik.

Winge wziął głęboki oddech i spojrzał na zegar wiszący na ścianie.

Miał dokładnie piętnaście minut na wyjaśnienie, dlaczego już wczesnym rankiem następnego dnia trzeba będzie przekazać z aresztu do Stanów Zjednoczonych obywatela tego kraju.

Twarz Edwarda Finnigana świeciła się od potu, gdy w windzie przeglądał się w długim lustrze. Nadal gwałtownie oddychał po tym, jak podniósł głos na Roberta, wyrwał się z jego objęć, a potem rzucił w niego tym cholernym pojemnikiem na ołówki. Czuł się tak, jakby przez kilka godzin biegał; wprawdzie wysiłek fizyczny nie był zbyt duży, ale odczuwał tak silne zmęczenie, że graniczyło prawie z wyczerpaniem. Ludzie wchodzili do windy jadącej w dół i wychodzili, ale prawie ich nie zauważał; był zwykłym pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną, który rozpaczliwie oglądał swoje odbicie w lustrze i zastanawiał się, co zrobić.

Bał się.

Nie żałował, że krzyczał i szarpał się z Robertem. Strach zaczął odczuwać dopiero wtedy, gdy sobie uświadomił, że jest do czegoś takiego zdolny. Do aktu przemocy. I to on, który nigdy przedtem się nie bił. Owładnęła go niepoohamowana złość i to w otoczeniu, w którym zawsze się kontrolował.

Mężczyzna widoczny w lustrze nadal gapił się na niego.

Od dawna obawiał się konfrontacji. Tak samo jak – jego zdaniem – obawiał się jej Robert. Spędzili ze sobą ponad dwadzieścia lat i ani razu nie próbowali oczyścić atmosfery, jakby ich przyjaźń była na tyle krucha, że obaj świadomie unikali pokusy, by wystawić ją na próbę. Teraz odczuwał niepewność, choć najbardziej męczył go irytujący niepokój. Nie był pewien, czy z powodu podniesionego głosu i zadanych uderzeń nie stracił poparcia władzy i to w chwili, kiedy potrzebował go najbardziej.

Wyszedł z windy od razu, kiedy zatrzymała się na parterze. Na dworze było zimno, ludzie kulili się przed wiatrem i chłodem. Na chwilę przystanął przy recepcji i skinął głową mężczyźnie o ciemnej skórze, który każdego ranka stał w tym miejscu w swoim jasnoczerwonym mundurze, uśmiechając się uprzejmie do wszystkich wchodzących osób; można było odnieść wrażenie, że nie ma on nic więcej do roboty oprócz pozdrawiania innych ludzi czy ustawiania żółtych plastikowych tablic z ostrzeżeniem, że podłoga jest wilgotna i że

przechodzące tędy osoby robią to na własne ryzyko. Finnigan wkurzał się zawsze na widok takich właśnie ludzi, którzy byli na miejscu na wszelki wypadek, gdyby ktoś się przewrócił, a potem postanowił pokuśtykać do adwokata, żeby wydębic odszkodowanie od właściciela nieruchomości, który nie zadbał o podłogę. Zbyt wiele osób zatrudnionych w systemie sprawiedliwości zajmowało się duperelami. Tego ranka Finnigan miał ochotę kopnąć z całej siły stojącą przed nim tablicę.

Odczekał chwilę w ciepłym budynku, aż upewnił się, że wie, co robić.

Nie kopnął żółtej tablicy, pozwolił jej stać spokojnie, a potem ruszył szybko w stronę samochodu, który stał zaparkowany nieprawidłowo przed wejściem.

Do międzynarodowego portu lotniczego Columbus nie było daleko. Jadąc samochodem, wyjął telefon z kieszeni płaszcza i wybrał bezpośredni numer do kasy biletowej. Zarezerwował jedno miejsce w samolocie linii United Airlines, który miał wystartować o 10.29.

* * *

Po godzinie lotu pojawiły się zarysy terminalu międzynarodowego lotniska Dullesa w Waszyngtonie. Pilot siedzący za sterami samolotu już od kilku minut szykował maszynę do lądowania, które zgodnie z rozkładem lotów miało się odbyć o godzinie 11.35. W ciągu ostatnich lat Finnigan latał na tym odcinku częściej, niżby spamiętał. Miał akurat tyle czasu, żeby przeczytać „USA Today” i „New York Timesa” i zjeść kanapkę popijaną piwem z puszkii. Potem już tylko taksówka i aktualne wydanie „Washington Post”, aż w końcu dojechał do centralnych dzielnic stolicy.

Jeśli coś dasz, to i tobie dadzą.

Tej złotej zasady obowiązującej w kręgach władzy nauczył się bardzo dawno temu.

Poprosił kierowcę, aby wysadził go spory kawałek przed D-Street. W restauracji The Monocle on Capitol Hill serwowano lunch. Zdaniem niektórych był gorszy niż sława, jaką cieszył się lokal. Tym razem nie poszedł tam tylko zjeść. Spotykali się przy jednym ze stolików na samym końcu pięknej sali już kilka razy wcześniej, kiedy wymieniali się informacjami, obiecując sobie pomoc w zamian za wyświadczone przysługi.

Jeśli coś dasz, to i tobie dadzą.

Podobały mu się stoły z obrusami w czerwono-białą kratę, kawałki kruchego, a zarazem dobrze wypieczonego mięsa i sałatki, które smakowały tak, jakby warzywa potrzebne do ich przyrządzenia dopiero zebrano. Lubił nawet nadskakujących kelnerów,

którzy czyhali na napiwki. Najbardziej jednak podobał mu się otwarty układ sali, w której dobrze było widać, kto wchodzi, a kto wychodzi, zwłaszcza w sytuacji, kiedy trzeba było ściszyć głos, ale bez niepotrzebnego przyciągania uwagi.

Norman Hill był od niego starszy o piętnaście lat. Był sympatycznym, statecznym dżentelmenem, który pochodził chyba stąd, jednym z tych, którzy już w przedszkolu uczą się, jak być senatorem. Hill był chudy, jeszcze chudszy, niż zapamiętał go Finnigan. Edward już kilka razy zbierał się na odwagę, żeby spytać go, czy nie jest chory, ale zawsze powstrzymywał się w ostatniej chwili. Oczy i twarz senatora Hilla tryskały tą samą siłą; należał do osób, które potrafią słuchać, i dlatego darzono go zaufaniem. Finnigan pomyślał sobie, że autorytet nie ma nic wspólnego z masą ciała.

W trakcie rozmowy Finnigan zaczął się uśmiechać. Po raz pierwszy od wizyty Eriksena odprężył się, czuł, jak spływa na niego ulga i znika napięcie. To dziwne, ale uczucie to nie było mu obce. Przed osiemnastu laty też tak siedzieli, choć w restauracji oddalonej od tej o dwieście metrów, a Finnigan zwrócił się wtedy do niego z prośbą o wywarcie politycznego nacisku, który miał wywołać odpowiednią reakcję mediów. Wtedy chodziło o siedemnastoletniego zbrodniarza, który odebrał życie młodziej o rok uczennicy. Chodziło mu o to, żeby opinia publiczna zaczęła się domagać najsurowszej kary przewidzianej przez prawo, chociaż sprawca zbrodni był niepełnoletni. Senator Hill uruchomił wtedy wszystkie znajomości, jakie miał po całym życiu spędzonym w dzielnicy leżącej między Dwudziestą Siódmą Ulicą i North Capitol Street.

Finnigan nie musiał nawet zbyt dużo mówić. Jadł swój stek wołowy i popijał go jakimś europejskim piwem, podczas gdy Hill smakował swoją sałatkę, a potem zamówił dodatkową wodę mineralną. Lecąc na spotkanie, Finnigan przygotował długie przemówienie, w którym chciał powiedzieć, że trzeba podtrzymać wiarę w amerykański system sprawiedliwości i wiarygodność partii reprezentowanej przez Hilla. Chciał też zaapelować, aby nadal podkreślać znaczenie kary śmierci jako metody, która ma funkcję odstraszącą i zapobiega przestępczości. Jednak nie było to konieczne. Mówił przez jakieś dwie minuty o śmierci i zmartwychwstaniu Johna Meyera Freya, gdy w pewnym momencie senator Hill dał mu znak swą chudą ręką, aby przestał, a potem na dodatek spojrzał na niego takim wzrokiem... Ani słowa o odwzajemnianiu przysług. Senator podziękował za lunch, uściśnął dłoń Finnigana i powiedział, że nie musi się już niczym niepokoić.

* * *

Dwadzieścia pięć minut później Finnigan zamówił dwie podwójne kawy espresso w Starbucks Coffee przy Pennsylvania Avenue. Pani kongresman Jane Ketterer starzała się z wdziękiem, ale Finnigan nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek myślał o niej jako o pięknej kobiecie. Teraz jednak musiał zmienić zdanie, bo kiedy uśmiechnęła się do niego, poczuł pożądanie, które odrzuciła Alice – chciał ją objąć i poczuć dotyk jej skóry przez materiał długiej sukni. Przyszedł tam jednak, żeby porozmawiać o tym, co się niedawno stało, a ona słuchała, kiwała głową i oburzała się. Finnigan pożądał jej jeszcze bardziej, również wtedy, gdy z pustymi kubkami po kawie rozstali się i w odstępie kilku minut wyszli z lokalu.

* * *

Finnigan pojechał taksówką do Mr Henry's. Było to wprawdzie przy tej samej ulicy, ale dobry kawałek dalej, między numerem 237 a 601. Kilka lat wcześniej przeszedł piechotą całą Pennsylvania Avenue i postanowił, że nigdy więcej tego nie zrobi. Wtedy był znacznie młodszy, ale z powodu przyciasnych pantofli narobił sobie pęcherzy w kilku miejscach. Bolało tak, że jeszcze przez tydzień z trudem chodził.

Mr Henry's był jednym z niewielu barów w Waszyngtonie, do którego chętnie wracał. Ściszone rozmowy, barman, który nie silił się na dowcip – wszystko to miało swoją wartość i odróżniało ten lokal od innych miejsc, gdzie panował hałas, a piwo lało się strumieniami.

Jonathan Apanovitch był znacznie młodszy od Finnigana, mógł mieć około czterdziestki. Był wysoki, miał jasne włosy i oczy jak Norman Hill. Apanovitch przepracował jako dziennikarz „Washington Post” prawie pół swego życia. Czekał na niego, Finnigan zdążył policzyć, że to ich dwunaste spotkanie w ciągu wszystkich tych lat. Obaj byli zadowoleni z dotychczasowej współpracy: Finnigan przekazywał mu różnorodne informacje, a Apanovitch umacniał swoją pozycję w środowisku dziennikarskim jako ten, który ma nosa do nowych tematów.

Tym razem historia brzmiała tak fantastycznie, że Finnigan specjalnie przeciągał opowieść. Wiedział, że to absurdałne uczucie, ale za to prawdziwe, więc opowiadał ze szczegółami o śmierci swojej córki i o wielkim żalu. Przez krótką chwilę odczuwał coś w rodzaju triumfu, że jego wiedza jest tak pożądana, bo być może tylko w ten sposób da się to wszystko wytrzymać.

Przekazał Apanovitchowi dwa nazwiska, wiedząc, że osoby te będą mogły skomentować tę historię. Był to senator Norman Hill i członek Kongresu, Jane Ketterer.

Postawił tylko jeden warunek: materiał musi ukazać się jak najszybciej. Historia

skazanego na śmierć Amerykanina, który poprzez zainscenizowaną śmierć uciekł z więzienia, a teraz siedzi cały i zdrowy w areszcie w jakimś europejskim kraju, miała być opublikowana już następnego dnia.

Jeśli coś dasz, to i tobie dadzą.

Apanovitch podziękował za piwo, którego nie dopił, i poszedł do samochodu zgodnie z umową zaparkowanego przecznicę dalej.

Było już późno, a zegar na jednym z kościołów na Starym Mieście wybił dwunastą. W miarę jak Winge zbliżał się do budynku rządowego, kontury gmachu coraz wyraźniej wyłaniały się z mroku. Tego dnia Winge już drugi raz szedł z Ministerstwa Spraw Zagranicznych do Rosenbad. Minęło już całe popołudnie i większa część wieczoru od chwili, kiedy w pokoju premiera starał się wykorzystać przyznane mu piętnaście minut, aby wyjaśnić, dlaczego John Meyer Frey musi być za kilka godzin wydany ze Szwecji.

Winge był przemarznięty. Jego drogi płaszcz, który włożył na garnitur, nie chronił przed chłodem bardziej niż cienki papier, a przecież słońce zaszło już jakiś czas temu. Nastąpiła jasna, piękna noc, choć jej chłód przypominał złośliwego raka, który daje przerzuty, aby dotrzeć jeszcze dalej, pozbawia ludzi sił i osłabia ich. Winge mógł wytrzymać co najwyżej minus siedemnaście stopni.

Poprzedni strażnik, który znał go z widzenia, poszedł już do domu, a jego miejsce zajęła młoda kobieta. Winge nigdy wcześniej jej nie widział, ona jego też zresztą nie. Pokazał więc legitymację służbową; strażniczka najpierw sprawdziła jego dane na ekranie monitora, a potem zrobiła to telefonicznie, podczas gdy on zaciskał palce na metalowej listwie. W końcu otworzyła mu drzwi z wielką szybkością i pozwoliła wejść.

W ciągu tamtych piętnastu minut udało mu się przekonać premiera i ministra spraw zagranicznych, że najlepiej będzie wydać Freya Amerykanom na podstawie wniosku, który przedłożył ambasador Stanów Zjednoczonych w Sztokholmie, popartego pismem z Waszyngtonu. Doszli do wspólnego wniosku, że jakiś łobuz, który morduje młode kobiety i kopie w twarz Finów podróżujących promem, nie może w żadnych okolicznościach popsuć dobrych stosunków między dwoma państwami, które z tak wielkim trudem budowano od czasów Olofa Palmego, to znaczy od czasu, gdy były premier Szwecji głośno wyrażał swą pogardę dla Amerykanów walczących w Wietnamie. Od tamtej pory szwedzki rząd krok po kroku starał się przywrócić dobre stosunki z jedyną potęgą światową, która pozostała na świecie. Psucie tych stosunków z powodu jakiegoś więźnia skazanego za morderstwo nie

wpisywało się w polityczne wysiłki mające na celu utrzymywanie dobrych stosunków.

Winge zdołał przekonać swych rozmówców, że należy to zrobić.

Niestety, nie udało mu się ich przekonać co do tego, jak to uczynić.

Poprosił o więcej czasu i otrzymał go, miał przyjść ponownie, kiedy przeładowany dzień roboczy dobiegnie końca, to znaczy dwadzieścia minut po północy, z czwartku na piątek, w tym cholernym chłodzie.

* * *

Na stole stał termos z kawą, dzbanek z herbatą i dwie butelki wody mineralnej, a pośrodku puszki z jakimś napojem chłodzącym, który w smaku przypominał colę. Każdy z nich zdążył już przywyknąć, że dni są takie długie, że zawsze powinni mieć gotowe odpowiedzi na wszystkie pytania, że będą one kwestionowane w razie najmniejszych oznak niepewności, że oni sami będą sprawdzani z powodu każdej pozbawionej treści odpowiedzi, a gdy podejmą błędną decyzję, będzie im grozić zwolnienie. Byli zmęczeni, najchętniej poszliby do domu, ale tę sprawę musieli rozstrzygnąć przed świtem.

Winge nalał premierowi i ministrowi herbaty, a sobie czarnej kawy, bo już dawno stracił nadzieję, że uda mu się zasnąć tej nocy.

Gabinet był bardzo elegancki, wysoki, obszerny i przewiewny, meble wyłącznie w szwedzkim stylu i nawet lampy robiły przyjemne wrażenie. Winge zdążył jeszcze pomyśleć, że taką sprawę można rozstrzygnąć tylko teraz, gdy oczy są już zmęczone od zbyt dużej ilości naturalnego światła.

Spojrzał na obu wysokich rangą urzędników siedzących w szerokich drewnianych krzesłach z miękkim, czerwonym, chyba jedwabnym obiciem, ale nie był tego pewien; musiał to być chyba jeden z tych materiałów, które są przyjemne w dotyku dla policzka, jeśli przez chwilę oprzeć na nim głowę.

Nie było czasu na gadaninę. Wiedzieli, po co tu przyszli.

Spoglądali na Wingego, który w końcu zabrał głos.

– Jutro rano napisze o tym „The Washington Post”.

Winge skopiował i powiększył faks, który otrzymał godzinę wcześniej. Był to fragment artykułu, który miał zająć dużą część pierwszej strony tej gazety. Winge położył na stole dwie odbitki, po jednej dla każdego ze swych rozmówców.

– Autor artykułu, niejaki Apanovitch, przysłał go nam z prośbą o komentarz.

Premier i minister sięgnęli do twardych etui po okulary do czytania; faks z artykułem

szeleścił im w dłoniach, czytali go uważnie i w ciszy. Była to historia pewnego amerykańskiego obywatela, który kilka lat po swoim zgonie w bloku śmierci odnalazł się nagle w szwedzkim areszcie. Artykuł zawierał opis zbrodni Freya i wydany na niego wyrok, a do tego dwa zdjęcia: na jednym chłopak w pomarańczowym ubraniu więziennym siedzi na sali sądowej, na drugim spogląda na nich znacznie starszy mężczyzna, krótko ostrzyżony, blady i chudy; zdjęcia zrobiono w jakiejś budce fotograficznej na ulicy; była to taka sama fotografia jak ta, którą wkleił potem do kanadyjskiego paszportu. W dalszej części artykułu dziennikarz opisywał, jak cztery dni wcześniej Frey został zatrzymany przez szwedzką policję, aresztowany, a potem doprowadzony na przesłuchanie. Apanovitch powoływał się w tekście na kilka anonimowych źródeł, a na końcu zamieści komentarze oburzonego senatora Hilla i pani kongresman Ketterer.

Winge przyglądał się uważnie premierowi i ministrowi. Mieli nadwagę, siwe włosy, ubrani byli w drogie i eleganckie, acz niezbyt dopasowane garnitury. Znał ich obu jeszcze z lat, kiedy byli młodzi, spotykali się i pracowali razem w ruchu młodzieżowym, ufali sobie i już wcześniej podejmowali decyzje w tym gronie.

– Opisz mi Hilla.

Senator Norman Hill posługiwał się sformułowaniami, które niby były jednoznaczne, ale jednak nie do końca jasne. Z jego wypowiedzi można było zrozumieć, że kraj, który ledwo jest widoczny na mapie świata, nie powinien przeszkadzać amerykańskiemu wymiarowi sprawiedliwości, który obejmował prawo do orzekania kary śmierci. Powiedział to jednak w trochę inny sposób, dość elegancko i dyplomatycznie. Potrafił zachować właściwe proporcje między dyplomacją wobec obcego państwa a utrzymaniem reputacji na scenie krajowej.

Winge spojrzał na premiera.

– Hill ma sześćdziesiąt osiem lat. Trzydzieści lat był senatorem. Odpowiada za sprawy polityczne i jest nieoficjalnym szefem kompanii urzędującego prezydenta w nadchodzących wyborach. Trzyma się dyskretnie w tle, ale powszechnie uważany jest za jednego z najbardziej wpływowych polityków Partii Republikańskiej.

Za oknem słychać było trąbienie jakiegoś samochodu dochodzące z oddali, ktoś wołał coś głośno, ale dźwięki dobiegające zza okna ucichły w porywach wiatru. Nocą Sztokholm wyglądał tak, jakby miasto ofiarowało żyjącym w nim ludziom dość przestrzeni. Umieszczenie kancelarii premiera w centrum miasta, przy pełnej sklepów alei, wśród knajpek, bezdomnych i turystów było decyzją symboliczną, bo oto władza wyszła do ludzi; zarazem zakrawało to na żart – w jednym miejscu ktoś popijał w klubie Rosita, a potem sikał

na fasady domów; gdzieś obok siedzieli najpotężniejsi ludzie w państwie i podejmowali decyzje w sprawie życia i śmierci jakiegoś człowieka.

Winge dolał sobie kawy i spytał wzrokiem, czy premier i minister też chcą dolewki, ale obaj potrzęsnęli przecząco głową. Pił więc sam, a potem odwrócił się w ich stronę, żeby rozpocząć dyskusję.

– Amerykanie nie zrezygnują. Możemy podjąć decyzję już teraz albo też sprawę przeciągać, aż wpadniemy po uszy w gówno, a wtedy i tak zrobimy to samo. Oni już szykują dla niego strzykawkę z trucizną.

Minister przeciągnął dłonią po siwych włosach. Zawsze tak robił, kiedy zaczynał o czymś myśleć, kiedy znajdował się pod presją.

– To polityczne samobójstwo.

– Zarówno ich ambasador, jak i sam Waszyngton wyraźnie podkreślali, że Szwecja jest zobowiązana przekazywać władzom amerykańskim przestępców, oczywiście pod warunkiem, że nie chodzi o naszych własnych obywateli. A przecież Frey jest Amerykaninem, choć uznano, że nie żyje.

– Polityczne samobójstwo. Jeśli dowie się o tym opinia publiczna.

Winge czekał jeszcze na opinię premiera, który jak na razie się nie wypowiedział. Trzy lata wcześniej byli w Luksemburgu na negocjacjach między krajami Unii Europejskiej a Stanami Zjednoczonymi w sprawie nowej umowy o ekstradycję. Doszło do nich z inicjatywy władz amerykańskich po zamachu 11 września 2001 roku.

Wreszcie premier podniósł się z krzesła, zdjął okulary i powiesił marynarkę na oparciu krzesła obitego miękkim, czerwonym materiałem.

– Thorulfie, obaj tam byliśmy. Pamiętamy wszystkie te pytania, prawda? Ja zapamiętałem między innymi to, że za twoją radą uśmiechałem się, próbując rozwiać niepokój dotyczący odpowiednich gwarancji, że osoby podlegające ekstradycji będą miały uczciwy proces i że nigdy nie będzie wobec nich orzeczona kara śmierci.

– Ja też to pamiętam. „To oczywiste, że żaden kraj należący do Unii Europejskiej nie wyda innemu państwu kogoś, kto może zostać skazany na karę śmierci”. I my dotrzymamy tego ustalenia. Nie zachodzi ryzyko, że John Meyer Frey zostanie skazany na śmierć. On już został na nią skazany.

Premier był wysoki. Teraz, gdy stał pod kryształowym żyrandolem, błyszczące kawałki szkła wisiały jak czapka nad jego spoconym czołem. Patrzył rozbieganym wzrokiem po pokoju, nerwowo unosił dłoń do nosa, a potem mlaskał, zupełnie nieświadomie.

– Wiem, że masz propozycję. Chcę jej wysłuchać. Jak zwykle. Potem zrobimy sobie

przerwę. Jest już późno. Chcę zadzwonić do domu, że przyjdę później. Po przerwie podejmę decyzję. Thorulfie?

Tak, wiedzieli, że muszą to zrobić. Teraz musieli wymyślić, jak.

– Nie chcę już więcej widzieć takich artykułów.

Winge wskazał na kopie tekstu z „Washington Post”, który nadal leżał wśród kubków na stole.

– Obaj zgadzamy się w tej sprawie. Co dalej?

Premier zdradzał oznaki zniecierpliwienia, choć niepotrzebnie, a Winge przez chwilę chciał go za to zganić, ale ostatecznie zrezygnował. Wszyscy byli zmęczeni i wiedzieli, że bez względu na rodzaj rozwiązania i niezależnie od tego, czy będzie ono korzystne dla kraju, znajdzie się w nim coś amoralnego, choć żaden z nich amoralny nie był.

– Mam propozycję, jak możemy rozwiązać tę sprawę.

Zarówno premier, który stał pod żyrandolem, jak i minister, który nadal przeczesywał włosy, zaczęli przysłuchiwać się uważniej.

– Wiemy, że Frey przyjechał do Szwecji przez Kanadę i Rosję. Leciał samolotem z Toronto do Moskwy, a stamtąd do Sztokholmu. Nie wiemy, dlaczego obrał tak okrężną drogę, ale teraz nie ma to znaczenia. Ważne jest, że Rosję można uznać za kraj tranzytowy. I to tam powinniśmy go wydalić. A w Rosji nie wykonają na nim żadnej egzekucji. Premier stał w bezruchu.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Mówię, że Frey przyjechał do nas z...

– Słyszałem, co powiedziałaś, ale zdawało mi się, że się przesłyszałem. Jeżeli odeślemy go do Rosji, Rosja natychmiast przekaże go Amerykanom.

– Nic na ten temat nie wiemy.

– Do bloku śmierci.

– To spekulacje. Trudno nam dzisiaj o tym wyrokować.

– Na śmierć.

– Z całym szacunkiem, ale to już nie nasz problem. Formalnie nie uczynimy nic, o co będzie nas można oskarżyć. To nie my wydamy go Amerykanom.

Winge spojrzął na pożółkły zegar wiszący nad kanapą dla gości. Za trzy minuty pierwsza. Przydałaby się jakaś przerwa. Będą musieli przetrwać to, co im przed chwilą zaproponował, żeby sobie uświadomić, że to jedyne rozwiązanie. Winge otworzył czarną aktówkę i położył na artykule przesłanym faksem kolejny dokument.

– Przeczytajcie jeszcze to, zanim zrobicie sobie przerwę. Premier machnął ręką w jego

stronę.

– Wystarczy, że nam powiesz, o co chodzi.

Winge sięgnął po dwie kartki.

– To decyzja o wydaleniu. Z Urzędu Imigracyjnego. Dostałem to wieczorem. Na wypadek gdybyśmy pozwolili mu stąd zniknąć. Mamy tu na piśmie, że zostanie wydalony.

W tym momencie Winge uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, gdy zjawiał się na spotkaniu.

– Do Rosji.

To była jedna z tych nocy.

Ewert Grens chodził niespokojnie po swym wielkim mieszkaniu i walczył z pustką, która z uporem starała się wtargnąć do jego wnętrza, gdy tylko na chwilę się odprężył. Tak, powinien zostać na swojej kanapie w Kronobergu. Kiedy głowa pękała mu od myślenia, mógł się tam przynajmniej przespać przez kilka godzin. Tu się nie da. W budynku panowała tak wielka cisza, że słysząc było odgłos każdego kroku; jego prawa noga, którą ciężiej stawiał na parkiecie, robiła tak duży hałas, że echo dźwięku, jaki wydawała, odbijało się od ścian. Już prawie chciał dzwonić do Hermansson i do Anni, już nawet stał ze słuchawką w dłoni i wybrał numery ich telefonów, ale zanim w słuchawce usłyszał sygnał, odłożył ją na widełki. Samotność jakoś nigdy nie dawała mu się we znaki, trzymał się od niej na dystans, a gdy się zjawiała, traktował ją jako przypadkowego gościa. Jednak teraz miał wrażenie, że kontrast jest bardzo wyraźny, zwłaszcza gdy przypominał sobie wieczór spędzony z Hermansson i wycieczkę z Anni. W obu tych wydarzeniach było o wiele więcej życia niż w tych jego pustych pokojach.

Poszedł do kuchni, zjadł dwie kanapki z pasztetem z wątróbek i popił to pół litrem soku pomarańczowego. Kiedy nie mógł spać, zaczynał jeść, ale już od dawna nie dbał o to, jak ten zwyczaj wpływa na jego wygląd. Gdy po chwili w kuchni rozległo się chrupanie, sięgnął po radio tranzystorowe stojące na końcu stołu. Przyzwyczyił się do słuchania nocą programu trzeciego, bo głosy prowadzących i muzyka wpływały na niego uspokajająco. Żadnych nagłych dzingli i żadnych głupich dowcipów, tylko szacunek dla tych wszystkich, którzy czuwali, żeby inni mogli spać spokojnie.

Jego spokój przerwał nagły dźwięk telefonu.

Dźwięk telefonu wymieszał się z ciszą i jakimś spokojnym przebojem jazzowym, ale już po chwili stał się dominujący, bo Grens nie podnosił słuchawki.

Spojrzał na zegarek. Wpół do trzeciej. Żaden trzeźwy człowiek nie dzwoni o tej porze. Grens nadal przeżuwał kawałek kanapki, ale przestał, kiedy rozległ się siódmy dzwonek i

wypełnił sobą całą kuchnię. Aparat wisiał na ścianie, a Grens nie musiał wstawać od stołu, żeby sięgnąć po słuchawkę.

– Słucham?

– Ewert Grens?

– Zależy, kto pyta.

– Już się kiedyś spotkaliśmy, nazywam się Thorulf Winge i jestem podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Grens pochylił się w stronę radia i je przyciszył, podczas gdy jakiś aksamitny głos kobiecy zapowiadał kolejny utwór muzyczny. Grens nie przypominał sobie mężczyzny, który twierdził, że jest podsekretarzem stanu.

– Nie pamiętam.

– Czy zechciałby pan do mnie oddzwonić?

– Najbardziej zastanawia mnie, skąd, u diabła, ma pan mój numer telefonu?

– Czy zechciałby pan oddzwonić?

– Proszę powiedzieć, o co chodzi, a potem będziemy mogli odłożyć słuchawki.

Grens zaczął czuć się nieswojo. Nie wątpił, że jego rozmówca jest tym, za kogo się podaje, ale zegar wskazywał wpół do trzeciej, a to zawsze oznaczało, że coś się wali.

– Chodzi o pewną osobę, która siedzi u was w areszcie, a dochodzenie w tej sprawie prowadzi właśnie pan. Nazywa się John Schwarz, a ściśle mówiąc, John Meyer Frey.

– Założę się, że to pan jest tym urzędnikiem, który biega po mieście, straszy ludzi i nakłada na dokumenty klauzulę tajności.

– Jak już powiedziałem, chodzi o Johna Meyera Freya. Mam przed sobą decyzję w jego sprawie. Z Urzędu Imigracyjnego. Jest to decyzja o wydaleniu go z kraju. Frey ma opuścić granice naszego kraju najpóźniej o siódmej rano.

Grens najpierw usiadł i zamilkł, aby po chwili odezwać się podniesionym głosem.

– O czym pan mówi?

– Decyzję podjęto wieczorem, o dziewiętnastej. Ma być wykonana w ciągu dwunastu godzin. Moja rozmowa z panem dotyczy prośby o pomoc w przeprowadzeniu całej procedury wydalenia.

Grens zacisnął mocno palce na słuchawce.

– Jak, do cholery, udało wam się załatwić to w ciągu jednej doby?!

Winge ani przez chwilę nie stracił panowania nad sobą. Miał do załatwienia konkretną sprawę i właśnie ją załatwiał.

– John Meyer Frey nie ma zgody na pobyt stały.

- Wysyłacie go na śmierć.
- Frey dostał się do Szwecji z terytorium Rosji w sposób nielegalny.
- Nigdy nie przyłożę ręki do tego, żeby człowiek aresztowany w Szwecji został skazany na karę śmierci.
- Z decyzji, którą mam przed sobą, wynika, że ma zostać wydalony do Rosji.

* * *

Sven Sundkvist powinien już spać. Rzadko miał problemy z zaśnięciem, kiedy słyszał tuż obok siebie oddech Anity i miał na wyciągnięcie ręki jej ciepłe ciało. Czuł się wtedy bezpiecznie, a to pozwalało mu się odprężyć.

Zaczął się od tego, że postanowili iść spać cztery godziny wcześniej. Sven położył się obok Anity, a wtedy ona spytała go, co się dzieje. A Sven nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

Jesteś inny.

Naprawdę?

Wiem, że coś się stało.

Ale nawet on sam nie był tego świadom. Zrozumiał dopiero wtedy, gdy zwróciła mu na to uwagę Anita. Później długo leżał i zastanawiał się nad tym. Stawiał sobie różne pytania, ale za każdym razem odpowiedź była taka sama.

Schwarz.

Nie rozumiem, jaki Schwarz?

Chyba to o nim myślę.

Aha, już mi o tym opowiadałeś. To straszne. Ale kochanie, czy musimy o tym myśleć tutaj, w naszej sypialni?

Sven wolałby, żeby Anita to rozumiała. Że ma to coś wspólnego z synem Schwarza. Kiedy dowiedział się, że w sprawie pojawia się także dziecko, spojrzał nagle na całą tę historię nieco inaczej, bo w dość wczesnym stadium domyślił się, jak sprawa może się zakończyć.

Nie interesuje mnie, czy jest winien czy nie.

A powinno.

Myślę o tym dziecku.

O dziecku?

Zastanawiam się, jak to się dzieje, kiedy władze, dokonując egzekucji skazańca, biorą na siebie prawo do decydowania o tym, że dziecko będzie się wychowywało bez jednego z

rodziców.

Takie jest prawo, kochanie.

Ale mnie chodzi o dziecko, przecież ono jest niewinne.

Taki już mają tam system.

To nie czyni go bardziej słusznym.

Naród amerykański postanowił tak w wolnych wyborach. Tak jak my decydujemy tutaj. U nas obowiązuje dożywocie albo długoletnie więzienie bez żadnej przepustki przez kilka lat. Często o tym przypominasz, prawda?

To nie to samo.

To dokładnie to samo, dla dziecka. Kara śmierci albo brak kontaktu z dzieckiem przez... powiedzmy, dwadzieścia lat. Co to za różnica?

No, nie wiem.

Żadna. Nie ma żadnej różnicy.

Wiem tylko i rozumiem, że dziecko Schwarza, chłopiec, który niedawno skończył pięć lat, zostaje skazany na utratę jednego ze swych rodziców, na zawsze i to dlatego, że pozwalamy na wydalenie jego ojca. Nie pojmujesz, Anita? Zawsze cierpią na tym bliscy. Myślę, że to właśnie oni ponoszą najcięższą karę.

Leżeli tak, aż wyczerpały im się argumenty. Potem wstali z łóżka i zeszli do kuchni, gdzie rozwiązywali krzyżówkę. Anita miała na sobie jego duży, czarny sweter i ładnie w nim wyglądała. Kiedy rozwiązali krzyżówkę i przestali już ciągnąć temat Schwarza, wrócili do sypialni i kochali się mocno objęci. Potem Anita zasnęła, a jej oddech przerywało od czasu do czasu lekkie chrapanie. Sven leżał i znowu nie mógł zasnąć.

* * *

Grens stał ze słuchawką w dłoni i nie mógł się zdecydować, czy powinien ją cisnąć na widelki na ścianie, czy może na stół, żeby rozprysła się na kawałki. W końcu wypuścił ją z ręki i przyglądał się, jak ląduje na krześle, na którym właśnie siedział. Potem otworzył drzwi i wyszedł boso na balkon pokryty lodem. Na zewnątrz było prawie minus dwadzieścia stopni, słyszał już pierwsze samochody jadące ulicą i w pewnej chwili zaczął wykrzykiwać na cały głos: „kurwa mać!”. Robił to tak długo, aż się zmęczył.

Stopy poczerwieniały mu z zimna, dwie minuty później poszedł do przedpokoju i wyciągnął z kieszeni zimowego płaszcza telefon komórkowy, który dzwonił od kilku chwil.

Niezbyt często zdarzało mu się rozmawiać ze swoim szefem.

Grens miał swoją „działkę” i jeśli pozostawiono go w spokoju, pracował więcej i wydajniej. W miarę upływu lat między nim a jego przełożonym powstało coś na kształt nieformalnego porozumienia opartego na zasadzie: zostaw mnie w spokoju, a ja też nie będę ci wchodził w paradę. Ale dziś jego szef dzwonił do niego nocą, a Grens nie umiał sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozmawiali ze sobą o tej porze.

– Rozmawiałem przed chwilą z podsekretarzem stanu Wingem i dlatego wiem, że nie śpisz.

Grens prawie widział swojego szefa przed sobą. Inspektor był młodszy od niego o dziesięć lat, zawsze miał elegancką fryzurę i równie elegancki garnitur. Przypominał mu trochę Ågestama swoją solidnością, której Grens zawsze na sobie doświadczał, a do której nauczył się odnosić z niechęcią.

– To ty tak twierdzisz.

– I coś mi się zdaje, że chyba nie do końca zrozumiałeś, czego się od ciebie oczekuje.

– Można to chyba tak nazwać. Żaden pieprzony polityk nie odbierze mi dochodzenia i nie wywiezie podejrzanego za granicę, jeśli mamy w szpitalu ofiarę, która niedawno walczyła o życie.

– To ja skierowałem do ciebie Wingego. To znaczy, że właśnie ja postawiłem ci konkretne zadanie. I dlatego...

– No to chyba najlepiej wiesz, jak bardzo mi się nie podoba ta śmierdząca sprawa.

– ...i dlatego to ja rozkazuję ci teraz, abyś w imieniu komendy miejskiej uczestniczył w wykonaniu postanowienia o ekstradycji.

– Masz na sobie piżamę?

Ewert zastanawiał się, czy jego szef siedzi na brzegu łóżka we flanelowej piżamie w biało-niebieskie paski. Ten palant nie należał do tych, co nie śpią nocą i chodzą po domu ubrani.

– Co?

– Chyba rozumiesz, że to nie do mnie należy realizacja postanowień, za którymi stoją jakieś skorumpowane gnojki.

– Co...

– Poza tym chyba sam rozumiesz, tak jak ja, że taka ekstradycja oznacza karę śmierci dla Freya.

Inspektor Göransson chrząknął.

– Pojedzie do Moskwy. Tam nie zostanie stracony.

– A skąd ty możesz, do cholery, o tym wiedzieć?

Göransson znowu chrząknął, tym razem głośniej, a jego głos zabrzmiał ostro:

– Szczerze mówiąc, możesz sobie o tym myśleć, co chcesz. Ale tylko u siebie w domu. Natomiast w sprawach służbowych masz słuchać moich poleceń. Nigdy wcześniej nie wypowiadałem się tak jasno i nigdy więcej już tego nie zrobię. Jeśli jednak tym razem nie wypełnisz rozkazu, to rano możesz zacząć szukać innej roboty.

Grens zacisnął dłoń na klamce drzwi balkonowych, potem je otworzył i wyszedł na zewnątrz. Na dworze było tak samo zimno jak poprzednio, ale i tym razem tego nie poczuł. Usiadł na jednym z plastikowych krzeseł, które stały tam od jesieni. Poduszkę, podobnie jak całą powierzchnię balkonu, pokrywał lód. Jego nagie stopy prawie przymarzły do betonu, a skóra jakby przykleiła się do gładkiej powierzchni.

To, co powiedział Göransson, było jasne jak słońce.

Łuna świetlna unosząca się nad miastem sprawiła, że niebo nigdy nie było czarne, ale tej nocy było tak czarne jak nigdy przedtem, a każdy promień światła kontrastował z tą czernią. Było to tak piękne zjawisko, że Grens przez kilka minut napawał się tym widokiem. Wokół widać było blaszane dachy domów, a w dole jadące samochody. W pewnej chwili uświadomił sobie, że zbyt rzadko tu wysiadywał i nigdy wcześniej nie wychodził nocą boso na balkon.

Bardzo łatwo wpadał w złość. Codziennie po kilka razy starał się ją opanować, ale tym razem doznawał innego uczucia. Było to coś bardziej złożonego niż wściekłość. Był jednocześnie zły, sfrustrowany, wzburzony, smutny, spanikowany, przestraszony, bezradny. Wszystkiego po trochu. Bez ładu i składu.

Siedział tam w zupełnym bezruchu.

Aż uznał, że musi dokąś pójść, choć na chwilę.

Następną godzinę musi spędzić przy telefonie. Ma do wykonania kilka rozmów. Kiedy wykręcał pierwszy numer, spojrzął na swoje nagie, czerwone stopy i stwierdził, że jakimś dziwnym zrządzeniem losu nie zmarł.

* * *

Był czwartek, godzina dziewiąta wieczorem czasu amerykańskiego, gdy Edward Finnigan zszedł do baru w jednym z hoteli położonych w zachodniej części Georgetown, gdzie zatrzymał się kilka godzin wcześniej. Nocował tam właściwie za każdym razem, kiedy przyjeżdżał służbowo do miasta, a recepcjonistka o pięknych oczach i uśmiechu Mony Lisy mrugnęła do niego porozumiewawczo, kiedy spytał, czy pokój pięćset cztery jest wolny.

Norman Hill siedział już przy stole w najdalszym zakątku sali, a na stoliku stał przed nim kieliszek czerwonego wina. Należał do tych, którzy pili niewiele, ale za to drogie trunki. Wiedział wszystko o produkcji, leżakowaniu i innych tajemnicach związanych z winem, a mówił o tym z takim zachwytem, jakby opowiadał o swoich kochankach. Finnigan degustował to, co pijał senator, i grzecznie chwalił każde z win, ale nigdy nie mógł zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Dla niego alkohol służył tylko do tego, żeby się rozluźnić i było mu zupełnie obojętne, jak nazywa się winnica, w której produkowano dany trunek.

Hill poprosił o dodatkowy kieliszek i o wino z tej samej butelki, którą wybrał przedtem. Finnigan posmakował i jak zwykle wyraził swój uprzejmy komentarz. Potem spojrzął na odbitkę artykułu, który za kilka godzin pójdzie do druku w „Washington Post”. Była to historia więźnia skazanego na śmierć, który uciekł z celi; autor pisał też o warunkach, które postawiono, aby można było sprowadzić go ponownie do więzienia. Finnigan przeczytał tekst, a potem uważnie wysłuchał Hilla, który opowiadał mu o swoich ostatnich rozmowach z przedstawicielami szwedzkiego rządu i o decyzji podjętej przez Szwedów, którzy poinformowali go, że Frey zostanie wydalony z kraju następnego dnia.

– Z jednego komunistycznego kraju do drugiego.

– A do Stanów Zjednoczonych?

– Edwardzie, cierpliwości.

– Kiedy?

– Powrotnym samolotem.

Finnigan wstał od stołu i kupił w barze cygaro. Obiecał Hillowi, że najpierw wypije wino, był to jakiś australijski szczep z winnicy w Adelaidzie. Zdążył się już nauczyć, że prawdziwy smakosz win nie miesza zapachów, to znaczy smaków. Cygaro wypali później, kiedy kieliszek będzie już pusty, może nawet zadzwoni do Alice, tak bardzo już za nią tęsknił.

* * *

Helena Schwarz zareagowała dokładnie tak, jak Grens się obawiał. Obudził i ją, i syna, w tle słyszał niespokojny, zaspany głos chłopca. Wiedział oczywiście, że rozmowa telefoniczna prowadzona o wpół do czwartej nad ranem skończy się w taki właśnie sposób, ale uznał, że to najlepsze wyjście. Jednak siedząc na zimnym balkonie, postanowił, że może olać takie subtelności jak klauzula tajności nałożona na dochodzenie wstępne. To dlatego żona Schwarz była pierwszą osobą, do której zadzwonił. Z jakiegoś powodu polubił ją, bo

przekonały go do niej jej reakcje w czasie przesłuchania, jej złość i zdumienie, a potem umiejętność zapanowania nad sobą.

Helena płakała i krzyczała na niego, a Grens jej nie powstrzymywał. Rozumiała, podobnie jak on, że ekstradycja do Rosji to tylko polityczna sztuczka, a celem podróży jest Ameryka. Kilka razy wypowiadała szeptem słowa „nie wolno wam tego zrobić” i powtarzała, że mają syna, a John twierdzi, że jest niewinny, a procedura ekstradycji nie obejmuje osób, którym grozi kara śmierci. Grens czekał, aż Helena uspokoi się i w końcu umilknie.

Poprosiła, aby poczekał przy telefonie, a sama poszła zajrzeć do syna i napić się wody; później rozmawiali stłumionym głosem o czymś, czego nie mógł sobie przypomnieć. I nagle poprosiła, żeby z nią poszedł.

Z początku Grens nie bardzo zrozumiał.

Poszedł? Dokąd?

Wtedy rozplakała się i zaczęła mu wyjaśniać.

Jeśli John rzeczywiście ma opuścić Szwecję, jeśli to postanowienie zostanie wykonane, to ona prosi, żeby Grens jej towarzyszył, bez względu na to, czy będzie brał w tym udział czy nie, i żeby byli tam także jego koledzy z pracy, ten drugi policjant, który sprawił na niej takie dobre wrażenie, ten drugi, trochę młodszy od Grensa, a także młoda policjantka o cudzoziemskim wyglądem, bo John w czasie przesłuchań chyba jej zaufał.

Jeśli oni wszyscy tam będą, John znajdzie się w towarzystwie osób, które zna.

* * *

W barze było na razie dość pusto, siedziała w nim tylko jakaś para, która dwa stoły dalej obejmowała się, i samotny mężczyzna zajmujący miejsce przy oknie, który czytał gazetę codzienną i czekał na hamburgera i frytki. Norman Hill właśnie wyszedł z lokalu. Miał na sobie szary płaszcz i kapelusz. Finnigan zamówił sobie butelkę piwa, wyjął telefon komórkowy, odczekał chwilę i dopiero wtedy zadzwonił.

Dzisiaj pobił swego przyjaciela, z którym przyjaźnił się najdłużej, a na koniec uderzył go w głowę pojemnikiem na ołówki. O tym mieli jednak porozmawiać później. On miał inną sprawę.

Robert słuchał uważnie, podczas gdy Finnigan opowiadał mu o swoich wcześniejszych spotkaniach i o ostatniej, wieczornej rozmowie z Hillem. Żaden z nich nie wspomniał o fakcie, że gubernator dopiero po porannej awanturze poprosił swego najbliższego współpracownika, aby pozwolił sprawie toczyć się swoim trybem. Niech stłumi nienawiść i

poczeka, aż wszystko się wyjaśni.

Próbował ukryć się przed niepokojem, który tak mu doskwierał, zwłaszcza wtedy, gdy atakował go najmocniej. Niepokój ten powoli ustępował, znikał, a jego nic już nie mogło przestraszyć. Podniesiony głos i ciosy, które zadał, nie pozbawiły go jak widać wsparcia, którego wkrótce będzie potrzebował. Ich przyjaźń wytrzymała tę pierwszą, trudną próbę, której obaj tak bardzo się obawiali. To właśnie z tego powodu nigdy wcześniej nawet nie zbliżyli się do tej granicy.

Robert był u niego, chciał posłuchać.

A Frey już za kilka godzin będzie w drodze do Stanów Zjednoczonych.

W tym samym czasie gubernator stanu Ohio skontaktuje się z sędzią, który kilkanaście lat temu skazał zabójcę Elizabeth Finnigan na śmierć, i poprosi go, aby przyspieszył procedurę wyznaczenia nowej daty egzekucji.

* * *

Sven Sundkvist poddał się, bo i tak noc miał z głowy. Takie leżenie i czekanie, aż zaśnie, może wywołać w nim uczucie zniecierpliwienia i ból w klatce piersiowej.

Stanął w drzwiach prowadzących do pokoju Jonasa. To ich chłopczyk, tak szybko podrośł. Miał mniej niż roczek, gdy odebrali go z wioski położonej o sto kilometrów na zachód od Phnom Penh. Był wtedy taki śliczny i spokojny, a oni pragnęli właśnie takiego dziecka. Wkrótce skończy osiem lat, chodzi do drugiej klasy i na dodatkowe zajęcia z angielskiego i przyrody. Sven przypomniał sobie rozmowę z Anitą, którą odbyli kilka godzin wcześniej. Rozmawiali o tym, że dzieci nie mogą same dokonywać wyboru. To nie Jonas postanowił, że tamtego dnia będzie leżał akurat w tamtej chacie. Sven miał nadzieję, że jego syn nigdy nie zażąda od niego wyjaśnień w tej sprawie. Jeśli jednak tak się stanie, Sven postara się wytłumaczyć mu Wszystko jak najlepiej.

Jeśli jednak syn Schwarza zacznie się zastanawiać, dlaczego jego ojciec został wydalony ze Szwecji i dlaczego wykonano na nim wyrok śmierci, to kto mu wtedy odpowie? Kto mu to wszystko wyjaśni?

Sven chciał właśnie wejść do pokoju i pocałować Jonasa w czoło, gdy nagle rozległ się irytujący dźwięk telefonu. Jonas poruszył się niespokojnie we śnie, a Sven pobiegł do sypialni, żeby odebrać. Westchnął głośno, gdy zobaczył na wyświetlaczu numer Ewerta. Kolejna noc z głowy.

* * *

Grens szybko zadzwonił do Sundkvista, Hermansson i Ågestama, żeby im wyjaśnić, jak wygląda obecna sytuacja.

Nie miał czasu, żeby odpowiadać na ich pytania, rozmowy trwały tylko kilka minut, ale wystarczyło to, żeby umówić się ze Svenem i Hermansson w Kronobergu na szóstą. Jeśli zajdzie taka potrzeba, mają być odpowiednio ubrani i przygotowani do lotu samolotem, a także nastawieni na to, że ich nieobecność może się przedłużyć ponad czas pracy.

Poszedł do kuchni i wyrztał przez okno, jakby szukał poranka, który miał się zacząć dopiero za kilka godzin. Wiedział, że musi się spieszyć. I że po raz drugi w ciągu godziny będzie musiał zlekceważyć klauzulę tajności, jaką opatrzone zostało dochodzenie wstępne.

Vincent Carlsson odpowiedział od razu.

Nie mówił zaspanym głosem, co oznaczało, że pracował całą noc.

Opisanie całej historii w sposób zrozumiały zabrało mu dziesięć minut. Carlsson od razu się domyślił, z kim rozmawia, i uświadomił sobie, że jest to nie tylko superinformacja, ale że otrzymał ją z siedziby policji, która zazwyczaj niechętnie odnosiła się do mediów.

Miał jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby dokonać zmian w porannym wydaniu wiadomości.

Trzeba będzie całkowicie zmienić zaplanowany grafik, usunąć wszystkie inne informacje, a całość wypełnić tylko jednym tematem. I to nie tylko w tej audycji, ale prawdopodobnie we wszystkich audycjach w ciągu najbliższego tygodnia.

Zerknął na zegarek, dochodziła czwarta. Wezwał całą nocną redakcję na spotkanie do pokoju newsów.

PIĄTEK

Było jeszcze ciemno, gdy jeden z policyjnych mikrobusów wjechał na terminal lotniska w Brommie⁸. Powietrze było mroźne, rześkie, światło reflektorów mikrobusu odbijało się od brył lodu, a spaliny wydzielane przez samochód jadący przodem unosiły się w postaci gęstej chmury, tak jak to często bywa, gdy na dworze jest bardzo zimno.

Jakieś dwie godziny wcześniej Grens wyszedł ze swego mieszkania przy Sveavägen i pojechał do Kronobergu. Helena Schwarz dzwoniła do niego dwa razy w ciągu dziesięciu minut i tak jak podczas pierwszej rozmowy poprosiła go, żeby jeśli decyzja w sprawie wydalenia jej męża ze Szwecji nie ulegnie zmianie, towarzyszyli mu w tych trudnych chwilach policjanci, których już znał.

Teraz jechali już mikrobusem na lotnisko. Grens siedział na tylnym siedzeniu obok Hermansson, mając przed sobą Svena, do którego kajdankami przykuto Schwarza. Pojazdem kierował wysoki policjant niższy rangą, ale Grensowi było obojętne, kim jest i jak się nazywa.

Miał za sobą kilka paskudnych godzin.

Obudził wszystkich, którzy mieli cokolwiek do czynienia z tą sprawą, i nakrzyczał na nich, żeby coś zrobili; innym kazał wynosić się do diabła, ale w końcu zrozumiał, że tak czy inaczej Schwarz zostanie wydalony, bez względu na to, czy on, Grens, będzie w tym w jakikolwiek sposób uczestniczył, bo chodzi o politykę, a władze zadziałały w tym wypadku znacznie szybciej, niż można było przewidzieć.

Nie cierpiał dziennikarzy i nigdy nie robił z tego tajemnicy. Jednak po raz pierwszy od czasu, gdy zaczął pracę w policji, musiał stłumić swą niechęć, aby nawiązać kontakt z jednym z nich. Carlssona poznał dwa lata wcześniej przy okazji słynnej sprawy pedofila. Carlsson znał ojca dziecka, który zastrzelił zabójcę swojej córki, i w przeciwieństwie do większości dziennikarzy telewizyjnych sprawiał wrażenie mądrego i opanowanego człowieka. W ciągu ostatnich kilku godzin rozmawiali ze sobą trzy razy, a teraz Carlsson znajdował się w hotelu Continental, w pokoju, gdzie mieszkał Ruben Frey. W tym samym czasie kilku jego dziennikarzy stało przed siedzibą policji i przed wejściem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, domagając się głośno odpowiedzi na swoje pytania. Grens nawet nie łudził się, że w czymkolwiek to pomoże, bo było na to po prostu za późno, ale miał nadzieję, że przynajmniej media rzucać więcej światła na tę brudną sprawę i choć przez chwilę postawią tych cholernych biurokratów w trudnej sytuacji.

Nocą zadzwonił też do Kristiny Björnsson, obrońcy z urzędu, której obecności John nie życzył sobie w trakcie przesłuchań. Nie spała jeszcze, a Grens poinformował ją w kilku

⁸ Bromma – dzielnica Sztokholmu; znajduje się tam niewielkie lotnisko.

słowach o decyzji w sprawie ekstradycji Johna, a potem zaproponował, aby złożyła apelację. Björnsson chciała mu odpowiedzieć, ale Grens mówił dalej, prosząc, aby zbadała możliwości ubiegania się przez Schwarza o azyl polityczny. Kiedy w końcu umilkł, Björnsson spytała go najpierw zmęczonym głosem, czy może już cokolwiek powiedzieć, a potem stwierdziła, że John nie upoważnił jej do niczego takiego i że sprawiał wrażenie człowieka, któremu jest już wszystko obojętne. Stracił nadzieję i już na nic nie czeka, a poza tym jest na to wszystko za mało czasu. Te ostatnie słowa wypowiedziała prawie szeptem. Na domiar złego Urząd Imigracyjny jeszcze nie pracuje, a zanim go otworzą, samolot ze Schwarzem wylądował w Moskwie. Grens nie słuchał jej, a może nie chciał się z tym pogodzić i dalej ją namawiał i prosił, aż w końcu doszedł do wniosku, że Björnsson ma rację.

Odwrócił się i spojrzał na Johna.

Wydawał mu się jeszcze mniejszy niż kiedykolwiek.

Siedział skurczony, ze spuszczoną głową, jego blada twarz była tym razem prawie szara, a pusty wzrok wskazywał na to, że myślimi jest gdzie indziej. Nie wypowiedział ani słowa, a kiedy otwarli jego celę i poprosili, aby się ubrał i poszedł z nimi, wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Sven próbował kilka razy nawiązać z nim rozmowę, mówił o wszystkim i o niczym, stawiał pytania, prowokował go swoimi wypowiedziami, ale na nic się to nie zdało. Schwarz błędził myślami w innym świecie.

Minęli długi rząd taksówek utworzony z pojazdów, które przywiozły na lotnisko pasażerów odlatujących porannymi samolotami. Zmęczeni ludzie wychodzili z taksówek, a bagaż ustawiali na ulicy przed głównym wejściem do terminalu. Kierowca mikrobusu zatrąbił poirytowany, a gdy podróżni zauważyli policyjne znaki namalowane na pojeździe, w pośpiechu weszli na chodnik.

Mikrobus przejechał jeszcze dwieście metrów wzdłuż terminalu, zatrzymał się przed dużą bramą i czekał, aż pojawił się strażnik w mundurze Urzędu Nadzoru Lotniczego, który otworzył im wjazd. Potem odwrócił się, skinął głową kierowcy, a następnie bez powodzenia próbował zajrzeć do wnętrza mikrobusu, żeby sprawdzić, kim jest człowiek przewożony specjalnym transportem.

Wydawało się, że nie ma wiatru. Jednak na otwartej przestrzeni czuło się jego uderzenia. Nie były zbyt silne, ale w temperaturze minus dwudziestu stopni nie trzeba było nic więcej, żeby na krótkim odcinku między mikrobusem a samolotem odczuć je wyraźnie na twarzy.

Grens zatrzymał się na chwilę, żeby obejrzeć sobie rządowy samolot.

Był to gulfstream, biały jak śnieg i o wiele niniejszy, niż mu się wydawało. Kupiono

go około pięciu lat temu, jeszcze przed szwedzkim przewodnictwem w Unii, aby korzystać z niego podczas przelotów między stolicami państw. Oficjalnym właścicielem samolotu było szwedzkie lotnictwo wojskowe, ale kiedy informacja o tym, że utrzymanie samolotu kosztuje podatników dwieście pięćdziesiąt milionów koron, wydostała się na zewnątrz, wywołało to falę krytyki. Grens wiedział, że z samolotu regularnie korzysta rząd szwedzki i rodzina królewska i był przekonany, że po raz pierwszy odleci nim z kraju osoba oskarżona o ciężkie pobicie.

Wokół kręciło się dwóch pracowników, a kolejny stał na pasie startowym; kilku innych ładowało bagaże do samolotu firmy Malmö Aviations, który miał lecieć na południe. Poza tym, jak okiem sięgnąć, było pusto. Sven zdjął grube palto i położył je łańcuchu kajdanek łączącym go ze Schwarzem. Im mniej widać, tym lepiej.

Samolot był wewnątrz zaskakująco przestronny. Znajdowało się w nim miejsce dla piętnastu pasażerów, którzy mieli do dyspozycji białe, miękkie skórzane fotele. Usiedli dokładnie tak, jak w mikrobusie: Sven i Schwarz obok siebie, a Ewert i Hermansson za nimi, żeby mieć ich na widoku. Czekali na lot, który nie miał trwać zbyt długo. Ilość paliwa znajdującego się w baku mogła wystarczyć nawet na lot przez Atlantyk, więc w drodze do Moskwy nie musieli robić międzylądowania.

Kiedy pilot uruchomił silniki, Grens pochylił się, żeby popatrzeć na Schwarza. Zagadnął go o coś, ale nie dostał odpowiedzi. Skazany na śmierć więzień nadal był zamknięty w sobie, a język ciała był zrozumiały. Schwarz wybierał się w bardzo daleką podróż.

* * *

Kiedy o szóstej rano telewizja szwedzka wyemitowała dziesięciominutowy skrót wiadomości, dało to początek trwającej prawie tydzień obecności Johna Freya w mediach i historii, której był głównym bohaterem. Każdy program informacyjny w telewizji i w radiu, każde wydanie szwedzkich gazet codziennych zawierało nową porcję wiadomości o skazanym na śmierć amerykańskim więźniu, który kilka lat wcześniej zdołał uciec, by niedawno zostać aresztowanym za ciężkie pobicie, a na koniec, za zgodą szwedzkiego rządu, usuniętym z kraju, co oznaczało, że egzekucja na nim zostanie w końcu wykonana.

Kilka krótkich rozmów, jakie pewien inspektor policji odbył z pewnym dziennikarzem, pokazało opinii publicznej kilku polityków, którzy mieli nadzieję, że uda im się uniknąć rozgłosu.

Vincent Carlsson miał wkrótce świętować swoje pięćdziesiąte urodziny, ale jego

wygląd wprawiał w zdumienie każdego, kto go poznał; pomijając lekką siwiznę, Carlsson wyglądał na maksimum trzydzieści pięć lat i przypominał raczej chłopca, który powoli przyobleka męskie ciało. Kiedy Grens zadzwonił do niego w samym środku nocy w trakcie przygotowań do porannych wiadomości, Carlsson od razu się domyślił, że rozmowa dotyczy czegoś bardzo ważnego. Inspektor Grens zazwyczaj boczył się na dziennikarzy, a najchętniej ich unikał aż do czasu, gdy dochodzenie dobiegało końca, a wtedy podsyłał im kogoś innego, kto w kilku zdaniach odpowiadał na pytania. Tym razem jednak Grens zadzwonił osobiście, a co miał do powiedzenia, brzmiało mało prawdopodobnie.

Konferencja prasowa w Rosenbad miała się zacząć o wpół do ósmej.

Naciski na udzielenie odpowiedzi na stawiane pytania były tak silne, a tłum dziennikarzy, którzy zgromadzili się przed wejściem do budynku MSZ, tak duży, że najlepszym rozwiązaniem okazało się zorganizowanie specjalnej konferencji prasowej dla wszystkich zainteresowanych.

Sala, gdzie zorganizowano spotkanie, była już szczelnie wypełniona. Dziennikarze siedzieli na składanych krzesłach ustawionych w siedemnastu rzędach, a na samym przedzie ustawili się fotoreporterzy, którzy skierowali obiektywy swoich kamer i aparatów na las mikrofonów. Na samym końcu sali rozstawili się dźwiękowcy, którzy w rozpaczliwy sposób próbowali ustawić poziom dźwięku wśród stu czterdziestu jeden ludzi. Szum panujący w sali odbijał się od pustych ścian i ginął gdzieś pod świetlikiem sufitowym na wysokości dwunastu metrów.

Carlsson już od dawna nie przekazywał żadnych informacji bezpośrednio z „miejsca zdarzenia”. Praca na stanowisku redaktora porannego wydania wiadomości wiązała się z lepszymi godzinami pracy i lepszym wynagrodzeniem, ale oznaczała także odcięcie od świata rzeczywistego, bo przez cały czas musiał przebywać w redakcji.

Teraz miał wrócić na dwa dni do tego drugiego świata, do pośpiechu i zgiełku, do tego, co naprawdę kochał.

Podszedł o krok bliżej i postanowił ustawić się przy ścianie, na wysokości pierwszego rzędu krzesel. W tej samej chwili przy stole znajdującym się na zielonkawym podeście usiedli dwaj inni mężczyźni w tym samym wieku i w podobnych garniturach.

Jednym z nich był minister spraw zagranicznych, drugi był podobny do podsekretarza stanu Thorulfa Wingeego.

* * *

W Moskwie zapowiadał się ładny dzień. Było chłodno, dość jasno, a rześkie powietrze sprawiało, że oddychało się łatwiej. Niedługo miało się pojawić słońce i oświetlić pokrytą śniegiem okolicę.

Niecały kilometr dalej na północ, patrząc w kierunku pasa startowego, znajdował się zewnętrzny terminal lotniska Szeremietiewo. Był to nowy budynek stanowiący element wydzielony z części wielkiego lotniska moskiewskiego. Co minutę lądowały tu lub odlatywały stąd samoloty.

Przed południem miały stąd odlecieć dwa samoloty, ale przekierowano je wczesnym rankiem na inny terminal. Wielki asfaltowy pas startowy stał pusty. Wszyscy czekali, aż niewielka grupa umundurowanych i uzbrojonych wojskowych otrzyma zgodę na wejście.

* * *

W sali MSZ zrobiło się tak duszno, że ledwo dawało się tam wytrzymać.

– Dlaczego wydalono kogoś, kto jest oskarżony o dokonanie ciężkiego pobicia?

Zbyt wiele osób w zbyt ciasnym pomieszczeniu, zbyt silne oświetlenie potrzebne do wyraźniejszego przekazywania obrazu, zbyt ciasne spodnie i zbyt grube koszule, które gdzie indziej miały chronić przed zimmem.

– Dlaczego decyzja Urzędu Imigracyjnego obłożona jest klauzulą tajności?

Już po krótkim wstępie ministra spraw zagranicznych na czołach, skórze i policzkach zebranych osób pojawiły się krople potu. W powietrzu wyczuwało się atmosferę złości, podekscytowania i oczekiwania.

– W jaki sposób rząd zdołał uzyskać taką decyzję w ciągu czterdziestu ośmiu godzin?

Vincent Carlsson stał na samym przedzie, mając u swego boku operatora kamery, który skierował lampę wprost na podium, gdzie siedzieli obaj przedstawiciele MSZ. Carlsson zaczął zadawać pytania, zanim jeszcze ucichły grzecznościowe formułki, ale za każdym otrzymywał odpowiedź, w której minister powoływał się na trwające dochodzenie, na bezpieczeństwo państwa i na fakt, że nie wolno mu komentować pojedynczych przypadków.

Carlsson z niecierpliwością czekał, aż minister przestanie wygłaszać swoje frazesy, a jednocześnie rozglądał się po sali.

Inni dziennikarze nie zadawali pytań.

Jak na razie była to więc jego historia, wszyscy inni zgodzili się, aby przez jakiś czas tylko on zadawał pytania.

Uśmiechnął się w myślach. Kiedy jakaś sprawa zaczynała śmierdzieć, tego rodzaju

konferencja prasowa mogła zamienić się w dość infantylne widowisko. Widział to już wiele razy przedtem. Na początku wszyscy walczyli, żeby zadać swoje pytanie, nasycić się informacjami, a potem zejść do poziomu piaskownicy, gdzie toczyła się ostra walka na zasadzie „to ja byłem pierwszy, a nie ty”.

Był im wdzięczny, że tym razem zachowali się inaczej.

– Będę tak długo zadawał pytania, aż usłyszę coś, co choć trochę przypomni mi odpowiedź.

Zrobił krok do przodu, a jego kamerzysta zrobił to samo. Stali blisko obok siebie, a obiektyw kamery skierowany był przez cały czas na twarz tylko jednej osoby.

– Panie podsekretarzu stanu, czy może pan wyjaśnić telewizjom, którzy w tej chwili czekają na pana odpowiedź, jak to się stało, że rząd szwedzki zaledwie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zdołał załatwić decyzję o ekstradycji? Przecież wiemy, że zazwyczaj procedura ta trwa miesiącami.

Obaj mężczyźni zasiadający na podium nie spali przez całą noc. Mieli zmęczone oczy i ziemistą cerę. Stu dwudziestu dziennikarzy czekało tylko, aby każde ich słowo rozłożyć na cząstki, aby wychwycić każdy moment zawahania.

Winge spojrzał zdecydowanym wzrokiem na Carlssona i jego kamerę.

– John Meyer przebywał w Szwecji nielegalnie, od sześciu lat mieszkał tu bez zezwolenia na pobyt. Tak więc procedura związana z decyzją o ekstradycji nie trwała czterdziestu ośmiu godzin. Przeciwnie, trwała sześć lat i dwa dni.

Winge brał kiedyś udział w specjalnym szkoleniu, gdzie uczono go, jak zachowywać się na konferencjach prasowych. Dlatego już wcześniej postanowił, co powie, i teraz ściśle się tego trzymał. Nie wahał się, nie uciekał ze wzrokiem. Wiedział, że każdy jego najdrobniejszy gest kamera powiększy, a każde słowo wypowiedziane z inną intonacją zabrzmie na ekranie telewizorów dobitniej.

Winge znał się na tym i Carlsson od razu to zrozumiał.

– Panie podsekretarzu, istnieje długa szwedzka tradycja polegająca na ustępowaniu wielkim potęgom. Pamiętamy niemieckie transporty, które w czasie drugiej wojny przejeżdżały przez terytorium Szwecji, pamiętamy też o Szwedach, którzy są więzieni nielegalnie na Kubie. My udajemy, że niczego nie widzimy. Natomiast ten przypadek... odnoszę wrażenie, że jeszcze bardziej przyczynia się on do wzmocnienia tej tradycji ustępstw.

– Czy to pytanie?

– Czy ma pan na nie odpowiedź?

– Wydalenie cudzoziemca, który przebywa tu nielegalnie i dopuścił się w Szwecji

ciężkiego przestępstwa, trudno jest uznać za ustępstwo.

Także i tym razem Carlsson nie posunął się ani o krok dalej. Pochylił się więc w stronę podium i podsunął mikrofon wprost pod usta Wingego, a jednocześnie poluzował krawat. Czuł, jak po plecach ścieka mu strużka potu.

– Ekstradycji poddano osobę, której grozi egzekucja. Czy nie stoi to w sprzeczności z treścią umowy o ekstradycji między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi?

I znowu opanowane spojrzenie Wingego.

– Wydaje mi się, że czegoś pan nie rozumiał. John Meyer Frey nie został wydalony do Stanów. Został wydalony do kraju, z którego przyjechał do Szwecji. Do Rosji.

* * *

Po upływie dwóch godzin i piętnastu minut od startu z lotniska Bromma samolot rządu szwedzkiego wylądował na lotnisku Szeremietiewo pod Moskwą. Przetoczył się kilkaset metrów po ziemi i zatrzymał przy mniejszym terminalu, który rano został zamknięty dla przedpołudniowych połączeń.

Przez cały lot John Schwarz nie odezwał się ani słowem.

Pierwszą godzinę siedział pochylony do przodu i opierał głowę o drugą rękę, która nie była skuta kajdankami. Gdzieś nad Finlandią próbował się podnieść z siedzenia. Sven chciał go powstrzymać, ale Grens zgodził się na to skinieniem głowy. Stali w milczeniu i czuli lekkie kołysanie samolotu. Kiedy po chwili Schwarz zaczął chodzić niespokojnie po samolocie, Sven chodził razem z nim, aż w końcu zajęli dwa wolne fotele w drugiej części maszyny. Prawie w tym samym momencie Schwarz zaczął śpiewać. Niewyraźnie, cichym głosem, można było rozróżnić jakieś angielskie słowa. Ta sama, monotonna zwrotka śpiewana bez przerwy przez pozostałą część lotu.

Wydawał się wtedy spokojniejszy, jego oczy zaczęły powoli oswajać się z rzeczywistością, tak jakby nagle postanowił, że choć na trochę wróci do tego świata.

Grens nie potrafił się odprężyć. Wiedział, że przegrywa tę sprawę, i właśnie to wprawiało go we wściekłość. W życiu jest tyle rzeczy, których nie da się przewidzieć. Jak, u diabła, przygotować się na coś, co nie powinno się zdarzyć? Więzień skazany wiele lat temu na śmierć pojawia się w prowadzonym przez Grensa dochodzeniu, a już kilka dni później – i to pod jego nadzorem – leci samolotem na spotkanie ze śmiercią. Ostatniej nocy, kiedy Grens siedział na balkonie, a potem w Kronobergu ze słuchawką przy uchu, kłął ile wlezie. Czuł wewnętrzną pustkę, był zmęczony i tęsknił do chwili, kiedy znowu oprze głowę na ramieniu

Anni. Chciał być w jej pokoju, przy niej, a potem tylko tam siedzieć i próbować zrozumieć, co Anni widziała za oknem, komu pomachała ręką.

Kiedy samolot wylądował, a pilot wyłączył silnik, zapanowała cisza. Siedzieli na swoich miejscach, aż do samolotu podciągnięto schodki. Dwie godziny różnicy, na dworze było już jasno, ostro świeciło słońce, dzień w Moskwie trwał już od kilku godzin.

* * *

Kiedy Carlsson przestał zadawać Wingemu pytania i zamiast tego poprosił go nagle, aby wysłuchał, co ma do powiedzenia niewysoki, otyły mężczyzna stojący obok niego, nikt nie zareagował. Po prostu nikt nie wiedział, kim jest ów mężczyzna. Aż do czasu, gdy mając przed ustami mikrofon podsunięty mu przez Carlssona, nieznajomy zaczął mówić głośno po angielsku z wyraźnym amerykańskim akcentem.

– Nazywam się Ruben Frey. Mam syna. Dlaczego chcecie go zabić?

Po rozmowie z Grensem Carlsson pojechał do hotelu Continental, obudził Freya i poinformował go o nocnej decyzji i o tym, że jego syn zostanie rano wydalony z kraju. Potem poprosił go, aby się ubrał i poszedł z nim na konferencję prasową. Wcześniej dał mu legitymację służbową pewnego producenta telewizyjnego, który był w tym samym wieku co Frey, a także akredytację dziennikarską.

Frey mówił ponurym, mocnym głosem, dzięki czemu rozumiały go wszystkie osoby zgromadzone na sali.

– Proszę mi odpowiedzieć! Chcę wiedzieć, dlaczego zamierzacie zabić mojego syna!

Jego wystąpienie przekraczało wszelkie dopuszczalne normy, jakie obowiązywały w środowisku dziennikarskim. Winge wiedział jednak, że w obecności kamer nie powinien pouczać zdesperowanego ojca, iż nie wolno mu stawiać pytań dotyczących jego syna, bo wtedy to on, Winge, wyjdzie z tej konfrontacji przegrany. Jeśli straci panowanie nad sobą i okaże złość, wszystkie stacje telewizyjne będą to pokazywać na okrągło. Dlatego spojrzał spokojnie na mężczyznę, który był mniej więcej w jego wieku, na jego twarz czerwoną ze wzburzenia i rozpacz.

– Z całym szacunkiem, panie Frey, ale pana syn jest mordercą skazanym w Stanach Zjednoczonych za zabójstwo, uciekł z więzienia. To nie my go zabijamy. To w pana kraju obowiązuje kara śmierci.

Frey odwrócił się w stronę Carlssona, jakby oczekiwał jakiegoś wsparcia w starciu z Wingem. Poczul, jak strach ustępuje miejsca złości, a bezradność zmusza go do zadania

ciosu.

– W Stanach zostanie stracony. Doskonale pan o tym wie!

– Panie Frey, Rosja była krajem tranzytowym, z którego pana syn...

– Pierdoleni mordercy!

– ...przyjechał do nas w sposób nielegalny. Został tam wydany przez Urząd Imigracyjny. Nie przez szwedzki rząd.

Frey nie mógł się już dłużej opanować.

Chwyił się za serce, jakby zaczął odczuwać ból, a gdy wychodził z sali, widać było, jak drga mu twarz.

* * *

Według informacji przekazanej Grensowi Rosjanie mieli wysłać oficera w randze pułkownika. Grens zerknął na pagony, wszystko się zgadza.

Pułkownik czekał już na nich na pasie startowym, gdy schodzili po schodkach z samolotu. Grensa uderzył widok oficera, który stał metr przed nim. Rosjanin wyglądał jak karykatura przeciętnego rosyjskiego wojskowego, których wielu widział na filmach. Wysoki, wyprostowany, krótko ostrzyżony, miał twarz, której od dawna obcy był śmiech czy choćby uśmiech; do tego głębokie bruzdy na gładko wygolonych policzkach, mocne szczęki, a dolna nieco wysunięta. Oficer stał tyłem do słońca i trudno było rozróżnić sześciu czy siedmiu uzbrojonych żołnierzy stojących obok niego.

Wszyscy mieli na sobie mundury.

W rękach prawdopodobnie trzymali kałasznikowy.

Grens przemógł się na chwilę i próbował uśmiechnąć się do żołnierzy, którzy przypominali postacie z filmu, a na dodatek mieli tak charakterystyczną broń.

Niestety, nie udało mu się.

Być może okolica pokryta białym śniegiem i oświetlona zimowym słońcem wyglądała pięknie, nawet jeśli tak było, Grens tego nie zauważył. Znajdowali się na lotnisku Szeremietiewo, na którym nigdy wcześniej nie był.

Pozdrowił Rosjanina, a ten uściśnął wyciągniętą w jego stronę ręką. Potem czekali w milczeniu, aż Grens – ku swojemu własnemu zdumieniu – wskazał najpierw na siebie, a potem na Johna i powiedział, że jako pełnomocnik Johna Meyera Freya domaga się przyznania Freyowi azylu politycznego w Rosji. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, a po chwili pułkownik oświadczył, że nie rozumie szkolnej angielszczyzny Grensa, na co

Hermansson wyjaśniła mu w skrócie, o co chodzi. Rosjanin odparł, że to niemożliwe i szwedzki policjant musi zrozumieć, że nie przyznaje się azylu politycznego osobie, która nie żyje.

Grens czuł silne podmuchy wiatru, który na otwartej przestrzeni ograniczał im swobodę ruchów. Widział, jak śnieg unosi się z betonowego podłoża i leci z wiatrem w tanecznym rytmie.

Przez cały czas trzymał w ręce plastikową teczkę z dokumentami. Była lekka i mało nie porwał jej wiatr. Poszczególne dokumenty już prawie z niej wypadły, lecz Grens chwycił je w ostatniej chwili. Pułkownik zerknął na poszczególne dokumenty, wyjął pióro i podpisał każdy z nich. Nadal stał na otwartej przestrzeni w silnych podmuchach wiatru, a dokumenty podpisywał bez żadnej sztywnej podkładki.

Grens spojrzął na Hermansson, która stała po jego lewej stronie. Z jej twarzy nie potrafił nic wyczytać. Z tyłu stał Sven. Jego czoło pokrywały zmarszczki jak zwykle, gdy odczuwał stres. Zdawało się, że tryska spokojem i tylko ktoś, kto znał go od wielu lat, wiedział, że wcale tak nie jest. Schwarzwiszak prawie wisiał na kajdankach, przykuty do przegubu Svena. I ciągle ten dźwięk, jakaś monotonna pieśń, te same angielskie słowa, które Schwarzwiszak mruzczał prawie bezgłośnie.

* * *

Ruben Frey wybiegł z sali konferencyjnej, zbiegł po białych marmurowych schodach i przez duże szklane drzwi wejściowe wypadł na ulicę. Nie miał na sobie wierzchniego okrycia, nie wiedział, dokąd idzie, chciał po prostu jak najszybciej wydostać się z sali, gdzie brakowało mu powietrza.

W końcu rozplakał się, a dwie kobiety, które mijały go na chodniku, przyglądały mu się z ciekawością. Obejrzały się za nim i widziały, jak idzie w stronę ulicy Vasagatan.

Był otyły i szybko rozboleły go kolana i biodra, dlatego zatrzymał się i oparł o ścianę domu, ból uniemożliwił mu dalszy bieg.

Nie obchodzili go idący ulicą ludzie, choć zbyt długo przyglądali się mężczyźnie, który mimo mrozu tak bardzo się spocił. Odczekał, aż serce znowu zaczęło bić równym rytmem, aż wydawało mu się, że może już normalnie mówić. Z kieszeni marynarki wyjął telefon i wybrał numer zakładu karnego w Marcusville.

Potem zrobił to, co uzgodnili. Kiedy usłyszał głos Eriksena, poprosił go, aby zadzwonił do niego z innego telefonu. Eriksen poinstruował go, aby poczekał piętnaście

minut. Obaj wiedzieli, że w ciągu tego czasu Eriksen musi dotrzeć do restauracji Sofios, bo w środku, koło toalet, znajduje się aparat, który wykorzystywali do rozmów.

* * *

Kiedy Sven rozpiął kajdanki, a Schwarz został oficjalnie przekazany pułkownikowi, który pokwitował także odbiór dokumentów, Schwarza otoczyła grupa uzbrojonych żołnierzy.

Transfer odbył się w błyskawicznym tempie. Przodem, po bokach i z tyłu szło sześciu ludzi. Mieli oni odprowadzić powierzonego ich opiece człowieka trzysta metrów dalej, do nowego terminalu.

Silne światło słoneczne uniemożliwiało zobaczenie czegokolwiek więcej niż kontury samolotu, który stał gotowy do odlotu.

Na jego skrzydłach Grens zobaczył amerykańską flagę.

Rosyjski oficer nadal stał w towarzystwie trzech szwedzkich policjantów. W pewnej chwili zauważył, że Grens przygląda mu się uważnie. Twarz pułkownika była pozbawiona wyrazu jak przedtem, jego postawa równie prosta, a gdy zaczął powoli mówić po angielsku z mocnym rosyjskim akcentem, gestykulował.

– Pan mi się przygląda. A my robimy to samo co wy.

– O czym pan mówi?

– O tym.

Oficer wskazał dłonią w stronę odległego o dwieście metrów miejsca, gdzie widać było Schwarza, żołnierzy i samolot, do którego się zbliżali. Powinni do niego dotrzeć za jakieś dwie minuty.

– Wy pozbyliście się waszego problemu ze Szwecji, a my pozbywamy się tego samego problemu z Rosji.

* * *

Vernon Eriksen usiadł w dużym, brązowym fotelu skórzanym koło szatni w restauracji Sofios, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu. Przypomniawszy sobie, jakim tonem Frey prosił go o to, i zastanawiając się, o co chodzi. Teraz już wiedział. Miał zadzwonić z aparatu telefonicznego, który ich zdaniem nie jest na podsłuchu. Ruben potrzebował aż dziesięciu minut, żeby opowiedzieć mu w skrócie, co się stało. Wystarczyło kilka dni i rząd Szwecji się ugiał. Mały, gówniany kraj, który posikał się ze strachu, gdy tylko jeden ze starszych braci lekko kaszlnął. Ruben miał przed oczyma Johna. To już sześć lat. Wtedy miał jeszcze

nadzieję, że przeszłość zostanie tu, po drugiej stronie Atlantyku.

Ruben wypowiadał się z trudem, kilkakrotnie głos mu się załamywał. Eriksen nie miał dzieci, ale przez ostatnie lata bardzo się starał zrozumieć, co czuje Ruben, jak to jest być ojcem, który ryzykuje utratę syna. Wydało mu się, że już wiedział.

Odwiesił słuchawkę i rozejrzał się po restauracji, która była czynna także nocą.

W środku, między pustymi stołami, siedziało zaledwie kilka osób; ktoś jadł kanapkę, ktoś inny pił ciepłą whisky, jeszcze ktoś inny siedział przy szklance piwa, czytając wieczorną gazetę. Z głośników dobiegały wolne dźwięki utworu w wykonaniu Milesa Davisa.

Eriksen zrozumiał, że to już koniec.

Już od dawna.

Nie chciał żyć w społeczeństwie, które morduje własnych obywateli. Tym razem naprawdę zamierzał zrealizować swój plan. Ten, który miał od samego początku. Do tej pory jednak brakowało mu odwagi, żeby wprowadzić go w życie. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Johna i tak spotka śmierć. A on nie ma już nic do stracenia.

Posłuchał jeszcze trochę muzyki granej przez trębacza solistę, a potem wbił wzrok w ciemność.

Tym razem.

Tym razem musi być na tyle odważny, żeby przejść całą drogę.

* * *

Grens, Sundkvist i Hermansson siedzieli już w samolocie, gdy nagle przez okienka ujrzeli przykład ludzkiego poniżenia.

Przez dwie minuty słońce zasłaniały chmury, dzięki czemu bez kłopotu można było zobaczyć, co dzieje się kawałek dalej.

Sześciu uzbrojonych żołnierzy rosyjskich odstawiło Schwarza do amerykańskiego samolotu. Wyszła z niego nowa obstawa. Czterech albo pięciu mężczyzn w ciemnych garniturach.

Szybko rozebrali Johna. Była zima, mróz, a jego blade, chude ciało drżało z zimna. Został dokładnie przeszukany, a potem, gdy pochylił się do przodu, podano mu doodbytniczo środki uspokajające.

Pielucha, którą mu wsunęli, była biała. Bluza w kolorze pomarańczowym miała wypisane duże litery DR na plecach i na nogawkach spodni na wysokości ud. Schwarz nie dostał butów, musiał stać boso na asfalcie.

Kajdanki na przegubach rąk, kajdanki na kostkach.

Kiedy prowadzono go do samolotu, szedł małymi kroczkami.

* * *

Gdy Ruben Frey podszedł do recepcji hotelu Continental, żeby wziąć klucz od pokoju, z jednego z pokoiów biurowych pomachał w jego stronę jakiś mężczyzna w granatowym stroju służbowym. Frey odebrał klucz od młodej recepcjonistki, która uśmiechnęła się do niego, ale nadal stał w miejscu, czekając na mężczyznę próbującego przyciągnąć jego uwagę.

– Pan Frey?

– Tak.

Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie w taki sam rutynowy sposób jak recepcjonistka, która przed chwilą wydawała klucz.

– Dzwoniła tu jakaś kobieta i pytała o pana. Odniosłem wrażenie, że strasznie jej zależy, aby się z panem skontaktować. Rozłączyła się dopiero wtedy, gdy jej obiecałem, że osobiście poinformuję pana o jej telefonie. I właśnie teraz to robię. Proszę. Zostawiła swój numer.

– Powiedział pan: kobieta?

Frey podziękował i poprosił, aby pozwolono mu skorzystać z telefonu w recepcji. Nie bardzo chciał dzwonić z własnego aparatu, żeby nie zostawiać śladu. Przecież nie wiedział, z kim będzie rozmawiał.

Kobieta, która odebrała, miała dźwięczny głos.

– Pan Ruben Frey?

Jego nazwisko wypowiedziała bezbłędną angielszczyzną. Frey wyczuł, że jest zdenerwowana.

– A z kim rozmawiam?

– Nazywam się Helena Schwarz.

Poczuł, jakby ktoś uderzył go w brzuch, tuż pod żebro.

– Halo?

Frey miał kłopoty z wypowiedzeniem tego słowa.

– Schwarz?

– Przybrałam to nazwisko, kiedy wyszłam za mąż za Johna. Nasz syn, Oscar, też się tak nazywa.

Frey usiadł na jednym z krzeseł ustawionych koło recepcji. – Muszę się z panią

spotkać.

– Nie wiedziałam, że pan istnieje. Że mam teścia, a Oscar dziadka.

– Gdzie pani teraz jest?

Frey stopniowo odzyskiwał spokój, a zanim kobieta odpowiedziała na jego ostatnie pytanie, uspokoił się całkowicie.

– Proszę się obejrzeć. Stolik przy oknie, trochę w głębi dużej sali.

Kiedy się obejmowali, oboje płakali. Przez kilka minut stali w sali restauracyjnej hotelu mocno objęci, choć nigdy wcześniej się nie widzieli. Frey pocałował ją w czoło, a ona pogłaskała go po policzku. Kiedy uwolnił ją w końcu z uścisku, Helena uśmiechnęła się i odsunęła go trochę od siebie, by mogli się sobie w końcu przyjrzeć.

– Proszę tam spojrzeć. Widzi go pan?

Mówiąc to, Helena wskazała na drugi koniec holu, gdzie kierownictwo hotelu urządziło coś w rodzaju kącika dla dzieci. Kolorowe, kartonowe figurki w indiańskim namiocie, dwa stoły z książkami, papier, kredki i wielkie różnokolorowe klocki lego. Przy jednym z nich siedział chłopiec zajęty rysowaniem na zielonej kartce papieru. Ruben nie potrafił określić jego wieku, bo z dziećmi miał do czynienia dawno temu, ale doszedł do wniosku, że chłopiec może mieć pięć-sześć lat.

– Ma pięć lat. Urodził się rok po przyjeździe Johna do Szwecji. Zaszłam w ciążę chyba za pierwszym razem.

Helena wzięła Rubena za rękę i zaczęli iść wolno w stronę chłopca. Zatrzymali się tuż za nim, chłopiec nadal ich nie widział. Dla niego istniał jedynie wielki dom, który rysował czerwoną kredką.

– Oscarze...

Helena przykucnęła obok syna i objęła go.

– Jest tu ktoś, kogo chciałabym ci przedstawić.

Dom nie był jeszcze skończony. Przy kominie trzeba było dorysować trochę dymu, a w oknie miała stać doniczka z kwiatkiem. No i jeszcze słońce widoczne w górnym, prawym rogu.

– *Nice house.*

Ruben wypowiedział te słowa po angielsku i od razu poczuł się niezręcznie, bo po szwedzku nie znał ani jednego.

Dom był już gotowy, więc chłopiec odwrócił się w stronę mężczyzny.

– Dziękuję.

Oscar uśmiechnął się przelotnie, a potem znowu się od nich odwrócił. Ruben domyślił

się, że słowo wypowiedziane przez chłopca może znaczyć „dziękuję”. Spojrzał na Helenę, która wybuchła śmiechem. Wyczuwało się w nim dużą ulgę, choć zabrzmiał nieoczekiwane głośno.

– Oscar mówi dwoma językami. Ja mówiłam do niego zawsze po szwedzku, a John rozmawiał z nim po angielsku. Uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli oba języki ojczyste pozna w sposób naturalny. Możecie więc ze sobą porozmawiać.

Frey usiadł przy długim stoliku dziecięcym stojącym przed indiańskim namiotem i został tam przez dwie godziny. Uchyłał się jednak od pytań, które chłopiec od czasu do czasu mu zadawał, na przykład, czy wie, gdzie jest tata, kiedy tata wróci do domu i dlaczego nie ma go tam, gdzie powinien być.

Razem zjedli lunch w hotelowej restauracji, a potem poszli na górę do pokoju. Oscar położył się na łóżku i oglądał w telewizji jakiś film rysunkowy, którego bohaterowie wyglądali tak samo jak postacie z wielu innych kreskówek. W tym samym czasie Ruben i Helena usiedli w fotelach stojących w drugiej części pokoju, aby porozmawiać.

Ruben opowiadał o swym synu, który dorastał w Marcusville, i o tym, jak już we wczesnych latach wszystko zaczęło się psuć, o agresji Johna, której nie potrafili sobie wytłumaczyć, i o dwóch krótkich odsiadkach w domu poprawczym za pobicie. Nie był to łatwy okres, a Johna trudno było wtedy lubić.

Opowiadając o tym, Ruben trzymał Helenę mocno za rękę.

Mroczna przeszłość Johna wpędziła go w pułapkę. Stało się to w dniu, kiedy w sypialni Finniganów znaleziono zwłoki ich córki.

John nie jest zbrodniarzem.

Ruben zapomniał przez chwilę, że Oscar ogląda telewizję, i zaczął mówić podniesionym głosem.

On nie jest zbrodniarzem.

W tamtym czasie John kompletnie zgłupiał i zaczął spotykać się z Elizabeth Finnigan. Wszystko wskazuje na to, że tamtego dnia uprawiali seks. W całym domu znaleziono ślady Johna, ale z tego powodu nie można uznać go za mordercę.

Ruben Frey wyznał swej synowej, że jest zwolennikiem kary śmierci. Głosował za jej utrzymaniem za każdym razem, odkąd stał się pełnoletni, więc gdyby to John popełnił tę zbrodnię, powinien zapłacić za to życiem. Jednak prawnicy, z którymi konsultował później całą dokumentację sprawy, poparli go, wykazując liczne braki. Wskazywali także na fakt, że oskarżenie opiera się na łańcuchu poszlak, brak jednak konkretnych dowodów.

Ruben opowiedział jej też o ucieczce.

Helena słuchała i doszła do wniosku, że to, co opowiada jej Ruben, zgadza się z tym, co usłyszała od Johna.

Oznaczało to, że podczas przesłuchania John mówił prawdę.

Powiedział też wtedy, że jest niewinny.

Chwyciła Rubena za rękę i spojrzała na syna, który usypiał na łóżku przy dźwiękach dochodzących z telewizora. Nie miała już sił, żeby zastanawiać się, gdzie obecnie znajduje się jej mąż.

Ponizający sposób, w jaki potraktowano Johna Schwarza, był chyba najbardziej oburzającą rzeczą, jaką Ewert Grens kiedykolwiek widział. W ciągu trzydziestu lat swej służby w policji zajmował się sprawami, których jego zdaniem nikt inny nie potrafiłby poprowadzić; spotykał ludzi tak zdemoralizowanych, że w zasadzie nie zasługiwali na miano ludzi. Niecałe dwa lata wcześniej, w czasie sekcji zwłok, widział resztki podbrzusza pięcioletniej dziewczynki posiekanego jakimś metalowym przedmiotem. Już wtedy uznał, że nie ma chyba bardziej ponizającego sposobu na potraktowanie człowieka.

A jednak. To, co zobaczył na lotnisku, było równie haniebne.

Nie chodziło mu o fizyczny ból ani o fizyczne konsekwencje, ani o to, co było widoczne na zewnątrz. Schwarz przy piętnastostopniowym mrozie stał nago na płycie lotniska, gdzie do odbytnicy podano mu jakieś lekarstwo, zanim popędzono go boso po asfalcie.

Chodziło o to, kto dopuścił się czegoś takiego.

Człowiek, który wciska metalowe przedmioty w ciało małej dziewczynki, to chory bydlak, którego należy zamknąć. Grens był o tym przekonany, tak samo należy zamykać gwałcicieli, a także tych, którzy dopuścili się ciężkiego pobicia innej osoby. Każdy człowiek, który świadomie poniża innego człowieka, powinien zostać ukarany. Przynajmniej w tym świecie, w którym żył Ewert Grens. Dla niego wszystkie takie przypadki były proste w ocenie i nawet jeśli nie dało się wytłumaczyć motywów działania sprawców, to przynajmniej mógł sobie wyobrazić, że czynów tych mogły się dopuścić osoby chore, które aresztował. Ale to?

Ci, którzy w taki sposób potraktowali Johna, byli z pewnością ludźmi zdrowymi, znajdowali się na służbie i postępowali tak, jak nakazały im władze, które płaciły im za wykonywaną pracę.

Ponizyc.

Tyle, ile się da.

Kiedy go w końcu dostaniemy w swoje ręce, będziemy mogli rozebrać go na dworze, a

wtedy każdy poogląda jego nagie narządy, on będzie musiał się pochylić, a my wsuniemy mu do odbytnicy tabletkę; potem założymy mu pieluchę, a on będzie wiedział, że się temu wszystkiemu przyglądamy i że państwo dopuszcza się na nim gwałtu, bo państwo tak chce.

Grens wyrzwał przez okno i oglądał białe chmury, wśród których leciał samolot.

Nigdy wcześniej nie spotkał się z poniżeniem, które byłoby tak trudne do wytłumaczenia. Sprawca tego czynu pozostawał nieokreślony. Państwo? Jakiś urząd? Tym razem nie dało się tego wyjaśnić na gruncie choroby psychicznej. W tym wypadku chodziło o zgodę, jaką wydali na to wyborcy.

Do Szwecji wracali w milczeniu. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Słuchali muzyki w słuchawkach na głowach i przeglądali poranne gazety, które już przed odlotem ze Szwecji leżały na stoliku. Nie próbowali nawet spoglądać na siebie, bo bali się, że będą musieli rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

* * *

Rozstali się na lotnisku w Brommie. Grens polecił Svenowi i Hermansson, żeby od razu pojechali do domu, wzięli sobie wolne do końca dnia, a potem skorzystali z okazji, że jest weekend, i spróbowali o wszystkim zapomnieć. Mają się spotykać z ludźmi, których lubią. Sven mruknął, że wie, jak to się kończy, kiedy ktoś, czym szefem jest Grens, bierze wolne. Udało im się nawet trochę z tego pośmiać. Potem Sven wziął na koszt policji taksówkę, która zawiozła go z lotniska do domu w Gustavsbergu.

Już sam nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział swój szeregowy domek w dziennym świetle.

Zadzwoił do Anity i poprosił ją, żeby wróciła do domu trochę wcześniej. Poprosił też Jonasa, żeby został w domu, a nie rzucił tornister w przedpokoju, chwycił łyżwy i pędził na jedno z dwóch lodowisk. W ten piątek spróbują znowu pobyć rodziną. Razem. Tylko to miał, tylko tego ludziom potrzeba.

Nie do końca wszystko ułożyło się tak, jak zaplanował.

Przywitał się z nimi, nie zdejmując płaszcza, potem siedli przy stole i napili się napoju pomarańczowego, spróbowali bułeczek cynamonowych, obejrzeni zdjęcia ze szkoły, które Jonas przyniósł niedawno do domu, a potem głośno się śmiali, kiedy Sven przyniósł swoje stare zdjęcia i zaczął je porównywać ze zdjęciami Jonasa. Jonas leżał na podłodze i krztusił się ze śmiechu, gdy zobaczył, że chłopak z długimi, jasnymi włosami stojący po lewej stronie to jego tata, który miał wtedy tyle samo lat co on.

Nic to nie pomogło.

Sven już rano czuł, że do tego dojdzie. Kiedy już się naśmiali z chłopaka, który nie chciał skrócić włosów, nie mógł się powstrzymać i wybuchnął płaczem. Łzy spływały mu po policzkach, ale Sven nie chciał udawać, że to na niby.

– Tato, dlaczego płaczesz?

Zarówno Anita, jak i Jonas przyglądali mu się uważnie.

– Nie wiem.

– Dlaczego?

– Nie mogę o tym mówić.

– Dlaczego, tato?

Sven spojrzał na Anitę. Jak wytłumaczyć coś małemu chłopcu, jeśli nie potrafią tego zrozumieć nawet dorośli? Anita wzruszyła ramionami. Ona też nie wiedziała, ale nie przeszkadzała mu, kiedy zaczął mówić:

– Chodzi o pewnego chłopca. To dlatego jest mi tak smutno. Człowiekowi czasem robi się smutno, jeśli sytuacja jest tak przykra, zwłaszcza wtedy, gdy samemu ma się syna.

– Co to za chłopiec?

– Nie znasz go. Jego tata chyba niedługo umrze.

– Jesteś pewien?

– Nie.

– Nie rozumiem.

– Jego tata mieszka w innym kraju, w Stanach Zjednoczonych. Wiele osób, które tam mieszka, uważa, że zabił człowieka. A w Stanach Zjednoczonych zabija się ludzi, którzy zabili człowieka.

Jonas znowu usiadł na stołku. Dopił sok i spojrzał na ojca w taki sposób, jak robią to dzieci, których nie do końca zadowoliła odpowiedź na zadane pytanie.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie.

– Nie rozumiem, kto go zabije.

Sven był dumny z dziecka, które nauczyło się myśleć i zadawać pytania. Gorączkowo szukał więc właściwych odpowiedzi na postawione mu pytanie.

– Państwo. Kraj. Lepiej nie potrafię ci wyjaśnić.

– A kto decyduje o tym, że on musi umrzeć? Przecież ktoś taki musi być, prawda?

– Ława przysięgłych. I pan sędzia. Pamiętasz, taki sędzia, którego widziałeś w telewizji.

– Ława przysięgłych?
– Tak.
– I sędzia?
– Tak.
– Czy to są ludzie?
– Tak. To są ludzie. Zwykli ludzie.
– A kto ich zabije?
– Oni nie zostaną zabici.
– No dobrze, ale jeśli to oni decydują, że ktoś ma umrzeć, to znaczy, że oni też zabijają. A więc muszą umrzeć. Kto to zrobi, tato? Ja nie rozumiem.

* * *

Ewert Grens pojechał z lotniska prosto na posterunek w Kronobergu. Razem z nim do czekającego na nich mikrobusego weszła Hermansson. Grens nie wiedział jeszcze, czym zajmie się w biurze. Zjadł lunch złożony z dwóch kawałków chleba z serem, które popił sokiem pomarańczowym w kartoniku; kupił to wszystko w jednym z automatów ustawionych na korytarzu. Zadzwoił do domu opieki i rozmawiał z recepcjonistką, która powiedziała, że Anni śpi, zjadła lunch, jest zmęczona i zasnęła w wózku, nic się oczywiście nie stało, czuje się dobrze i wygląda na spokojną, głowa opadła jej na ramię, a zza drzwi słychać lekkie chrapanie. Potem Grens zajął się stosem spraw, które zaniedbał w ostatnim tygodniu, przejrzał dwie z nich – sprawę ciężkiego pobicia pewnego kierowcy samochodu, który w korku na ulicy Hamngatan pokazał innemu kierowcy palec w obraźliwym geście, i sprawę zabójstwa popełnionego za pomocą chilijskiego sznura do duszenia w Vårbergu; świadkowie nic nie widzieli, a tłumacze w zasadzie bali się przełożyć ich zeznania. Obie te sprawy były już cokolwiek nadpsute, a w miarę upływu czasu nadzieja na wykrycie sprawców malała.

Właściwie powinien iść do domu. Tutaj będzie go tylko trawił niepokój. Chodził po pokoju, słuchał swojej muzyki. Nie chce iść do domu.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Przecież kazałem ci iść do domu?

Hermansson uśmiechnęła się, słysząc jego gniewny głos, i spytała, czy może wejść, a zanim Grens zdążył odpowiedzieć, wsunęła się do pokoju.

– To prawda, ale nie chciało mi się wracać. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, nie mogę po prostu iść do domu. Jak sobie tam z tym wszystkim poradzę? Nie pozbędę się tego

nastroju w ciasnym, wynajętym mieszkaniu.

Usiadła na środku podniszczonej kanapy. Wyglądała na zmęczoną, a jej młode oczy zestarzały się od rana.

– Jak się czujesz?

Hermansson spojrzała najpierw na podłogę, a potem na Grensa.

– Pamiętasz teorię Ågestama na temat dwóch procent ludzi, którzy siedzą w więzieniach i są niewinni albo skazani w niewłaściwy sposób?

Znowu ten gogusiowaty prokurator. Gren cieszył się, że nie musi się z nim dzisiaj spotykać.

– To stara prawda.

– Rozmawiałam z kimś z Ohio Department of Rehabilitation and Correction. Tylko tam, w stanie Ohio, w celach śmierci siedzi dwieście dziewięć osób skazanych na karę śmierci. Wszyscy oni czekają na egzekucję. Dwustu ośmiu mężczyzn i jednak kobieta. Jeśli i w tym wypadku obowiązuje hipoteza o dwóch procentach – no bo niby dlaczego nie? – oznacza to, że cztery spośród tych osób zostaną stracone, chociaż są niewinne. Ewert, popatrz na mnie, rozumiesz, co do ciebie mówię? Jeśli kiedykolwiek okaże się, że to prawda, że faktycznie stracono kogoś niewinnego, będzie to sprzeczne z prawem. Rozumiesz?

Grens popatrzył na nią, tak jak prosiła. Była poruszona, ale raczej smutna niż zła. Młoda policjantka na początku swej kariery, czeka ją jeszcze wiele gówna, tyle brudnych spraw. Pomachał w jej stronę wieczorną gazetą, którą trzymał w ręku.

– Może wybierzemy się dziś wieczorem zjeść coś? W Hamburger Börs będzie koncert. Śpiewa Siw Malmkvist. Takie tam śpiewanie do kotleta. Nie widziałem jej od trzydziestu lat.

– Ewert, o czym ty mówisz? Ja cię pytam o ludzi, którym grozi egzekucja.

Grens przestał machać gazetą, usiadł i nagle zrobił się mały. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– A ja mówię o tym, że całkiem niedawno zmusiłaś mnie do wyjścia do lokalu, choć nie odczuwałem, że akurat tego mi potrzeba. Teraz ja chcę cię zmusić, żebyś zaczęła myśleć o czymś innym.

– Nie wiem.

Postanowił spróbować jeszcze raz. Musiał się do tego zmusić i patrzeć na nią, gdy słuchała, co ma do powiedzenia.

– Nie zapraszałem żadnej kobiety... nie wiem... to było tak dawno. Ale nie chcę, żebyś mnie traktowała jak... no wiesz... po prostu fajnie byłoby się zrewanżować. Tylko tyle.

* * *

W lokalu już od wejścia czuć było grillowane mięso, wodę kwiatową i ostry zapach potu, a w szatni musieli zapłacić po dwadzieścia koron za każdą sztukę pozostawionego ubrania. Grens włożył ten sam szary garnitur, który miał na sobie poprzednim razem. Uśmiechnął się i próbował czuć się lekko, prawie szczęśliwie. Cały powinien promieniować radością. W ciągu kilku najbliższych godzin chciał zapomnieć o całym tym brudzie, o wszystkich głupcach i poniżeniu i dlatego przyszedł tu z młodą kobietą, a na scenie już za chwilę pojawi się Siw Malmkvist. W tym momencie czuł się zupełnie dobrze, choć to popieprzone życie nie przestało go zdumiewać.

Hermansson miała na sobie beżowy kostium, a na wierzchu coś błyszczącego. Wyglądała tak ładnie, że Grens poczuł się trochę zażenowany, kiedy jej o tym powiedział. Hermansson podziękowała, wzięła go pod ramię, a Grens patrzył przed siebie z dumą, gdy wchodzili do dużej sali pełnej stołów nakrytych białymi obrusami z rozstawioną na nich błyszczącą porcelaną. Policzył nawet, że na sali jest jakieś czterysta osób, może trochę więcej. Wszystkie one przyszły tu coś zjeść, wypić, porozmawiać, a potem, w oczekiwaniu na występ Siw, wypić jeszcze parę kieliszków.

Grens lubił Hermansson. Nigdy nie miał córki, a ona sprawiała, że czuł się radośniej, bardziej potrzebny, żywy. Okazywał jej to, a ona to rozumiała. Miał nadzieję, że jej nie przestraszy.

Dokoła słychać było ludzi: śmiali się głośno, zamawiali kolejne butelki wina, w tle płynęły dźwięki muzyki, jakieś żywe amerykańskie przeboje z lat sześćdziesiątych; nawet jakiś starszy pan siedzący po prawej stronie Hermansson wydawał się ożywiony; odstawił swoją łaskę i bezczelnie flirtował z koleżanką Grensa. Starła się uśmiechać, był przecież taki miły, miał ponad osiemdziesiątkę, ale po chwili i to przestało pomagać.

I tak zapomną. Kiedyś nie będą pamiętać o tym wieczorze.

– Czy wiesz, kiedy w Szwecji zniesiono karę śmierci?

Hermansson odsunęła talerz i pochyliła się nad stolikiem. Grens nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Przykro mi, ale tak się nie da. To nie zniknie. Elegancko się ubrałeś, jedzenie jest smaczne i zaraz wystąpi Siw... ale to nie pomaga. Nigdy nie zapomnę tego przedpołudnia i tego, co zdarzyło się na Szeremietewie.

Czasami całego tego gówna nie można się pozbyć, chociaż bardzo by się chciało.

Staruszek siedzący po prawej stronie od Hermansson poklepał ją po ramieniu, szepnął

jej coś do ucha i czekał, aż wybuchnie śmiechem. Hermansson nie zrobiła tego.

– Przepraszam pana, ale rozmawiam z moim przyjacielem. Po tych słowach ponownie odwróciła się w stronę Grensa.

– No to wiesz czy nie wiesz?

– Hermansson!

– Kiedy w Szwecji zniesiono karę śmierci?

Grens westchnął i wypił resztę czerwonego wina z kieliszka.

– Nie wiem. Przyszedłem tutaj z innego powodu.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku.

Postanowił, że nie będzie jej słuchał, ale to, co powiedziała, zdumiało go.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Poprawkę do konstytucji wprowadzono w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym. Aż do tamtego roku w Szwecji obowiązywała kara śmierci, chociaż ostatnią egzekucję wykonano wiele lat wcześniej.

Za plecami Grensa pojawił się kelner, który na srebrnej tacy przyniósł kilka butelek. Grens kiwnął na niego i poprosił, aby im nałóż wina do pustych kieliszków.

– Trzy lata później w Stanach Zjednoczonych wykonano pierwszą egzekucję po przywróceniu kary śmierci. W Salt Lake City w Utah pluton egzekucyjny w obecności światowych mediów rozstrzelał człowieka.

Hermansson zachnęła się i mówiła dalej:

– To tyle, jeśli chodzi o miłosierne chrześcijaństwo, które propaguje się w tamtym stanie.

Grens uniósł kieliszek i wypił, ale nie poczuł smaku.

– Widzę, że trochę o tym poczytałaś.

– Po powrocie z Brommy. Nie umiałam się skoncentrować na niczym innym.

Kiedy chwilę później Siw Malmkvist przez dziesięć minut stała na scenie i w zupełnej ciszy śpiewała w odległości zaledwie kilku metrów od niego, Grens poczuł, że świat mimo wszystko może się czasem zatrzymać, na krótką chwilę, że staje się chwilą, gdy nie ma już „wczoraj” ani „jutro”, jest tylko „teraz”. Jest tylko Siw, która stoi blisko niego i śpiewa o tym, co od lat gromadziło się w jego sercu, a teraz odżyło; on też śpiewał na głos, na tyle głośno, na ile starczyło mu odwagi.

Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz zobaczył ją na scenie. Było to w Parku Ludowym w Kristianstad. Podszedł nawet bliżej i zrobił jej czarno-białe zdjęcie. Od czasu do czasu brał je do ręki i oglądał. Był wtedy taki odważny, taki silny i chociaż był już z Anni, kochał się w

tej, która śpiewała na scenie. Przez wszystkie te lata odczuwał to samo. Siw błyszczała na scenie, nie była już młoda i ruszała się wolniej, miała też grubszy głos, ale śpiewała tylko dla niego, a on, tak jak przedtem, nadal był w niej zakochany.

Kiedy śpiewała refren piątej piosenki, Grens usłyszał ostry dźwięk swojego telefonu komórkowego. *Tänk att få se just dej på knä* – przypomniał sobie okładkę singla wytwórni płytowej Metronome: widać na niej, jak Siw w czerwonym szalu na głowie i szminką na ustach w tym samym czerwonym kolorze uśmiecha się do tego, kto kupuje jej płytę.

Telefon zdążył zadzwonić trzy razy, więc wiele poirytowanych osób skierowało swój wzrok w stronę, z której dobiegał dźwięk. Dopiero wtedy Grensowi udało się wyciągnąć komórkę z kieszeni spodni.

Dzwoniła Helena Schwarz.

Nie zrozumiał, o co chodzi, bo mówiła podniesionym tonem.

Próbował ją uspokoić, gdy nagle, po trzeciej zwrotce, muzyka nagle ucichła. Goście zgromadzeni w jednym z największych lokali rozrywkowych w Sztokholmie wstrzymali oddech, czterysta osób spoglądało zdumionym wzrokiem to na scenę, gdzie w milczeniu stała artystka z mikrofonem w ręce, to na barczystego mężczyznę po pięćdziesiątce siedzącego przy jednym ze stołów najbliżej sceny, który przyciskał do ust słuchawkę telefonu i szeptał coś zbyt głośno.

– Czy ja panu nie przeszkadzam?

Siw Malmkvist odwróciła się w stronę stołu i spojrzała na Grensa; jej głos był uprzejmy, choć treść przekazu wyraźna.

– Proszę się mną nie przejmować, mogę oczywiście poczekać, aż pan skończy.

Cała sala wybuchła śmiechem. Rozgrzani winem goście podziwiali legendę, która tak zręcznie wybrnęła z tej kłopotliwej sytuacji. Hermansson spuściła wzrok, podczas gdy Grens podniósł się od stołu i wydukał słabym głosem, że jest policjantem, po czym wyszedł z sali tymi samymi drzwiami, którymi wszedł dwie godziny wcześniej.

Helena Schwarz nadal mówiła coś podniesionym tonem, aż w końcu miał tego dość; kazał jej wziąć głęboki oddech, uspokoić się i normalnym głosem opowiedzieć, co się stało.

W słuchawce usłyszał płacz.

Helena Schwarz dowiedziała się właśnie, że sędzia stanu Ohio zatwierdził datę egzekucji Johna Meyera Freya.

* * *

Kiedy samolot, którym leciał Schwarz, wystartował z Szeremietiewa, procedura związana z ustaleniem daty jego egzekucji był już zakończona. Oznaczało to, że Schwarz nie zdążył nawet wylądować w kraju, do którego go przewożono, a sąd zajął się jego sprawą i wyznaczył dokładną datę jego śmierci.

Grens słuchał przez kilka minut nieskładnego monologu Heleny Schwarz, a potem poprosił ją, żeby odłożyła słuchawkę. Obiecał, że oddzwoni później, bo musi jeszcze załatwić kilka spraw.

Wykonał krótki telefon do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i od pełniącego dyżur urzędnika otrzymał odpowiedzi na zadane pytania. Potem wrócił na salę, gdzie Siw śpiewała właśnie piosenkę *På våratfik*⁹, i przez połowę starego szlagieru kołysał się, stojąc w miejscu, z uśmiechem na ustach. Potem, podczas występu, po raz drugi w ciągu tego wieczoru przedelfował przez salę, ściągając na siebie pełne irytacji spojrzenia osób, które śpiewały kolejny przebój razem z artystką. Jakaś kobieta w jego wieku z rudymi włosami upiętymi w ogonek pogroziła mu zaciśniętą pięścią, gdy przechodził obok jej stolika.

Grens stanął za Hermansson, która udawała, że go nie widzi, i pochylony szeptał jej coś do ucha; przeprosił, że musi ją opuścić, ale jeśli ona chce zostać dłużej, niech to zrobi; jeśli jednak chciałaby wrócić do domu, może wziąć taksówkę na jego rachunek.

Hermansson wyszła z sali razem z Grensem, próbując ukryć się za jego szerokimi plecami, aby uniknąć pogardliwych spojrzeń innych osób.

Widok jej jasnego płaszcza, który wyglądał na nowy, i ciemnego płaszcza Grensa, który kiedyś też był nowy, zdumiona mina chłopaka obsługującego szatnię i cała sala śpiewająca wspólnie kolejny przebój...

– Ewert, powiesz mi, co się dzieje?

Na dworze było zimno, tak jak wczesnym rankiem; ten dzień chyba nigdy się nie skończy.

– Muszę iść do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Mam się tam spotkać z pewną ważną osobą. Ten człowiek dzwonił do mnie nocą niecałą dobę temu.

– Widzę, że jesteś wściekły.

– Dzwoniła Helena Schwarz. Ustalono już datę egzekucji Johna.

Grens jeszcze nigdy nie widział, jak Hermansson wpada w złość. Opanowanie – tego właśnie słowa mógłby użyć, aby opisać jej umiejętność kontrolowania uczuć. Teraz jednak Hermansson odwróciła twarz w stronę ciemnego nieba i toczyła wewnętrzną walkę, żeby nie

⁹ (Szw.) W naszej kafejce.

wybuchnąć płaczem i nie krzyczeć.

- Pójdę z tobą.
- Sam to załatwię.
- Ewert...
- Bez dyskusji. Zamówię ci taksówkę.
- Nie pozwolę, żebyś płacił za moje powroty do domu.

Ktoś wszedł do budynku przez główne wejście i usłyszeli głośnie oklaski. Goście zgromadzeni w sali świetnie się bawili.

– No dobrze, jak nie chcesz, to nie. Ale chcę, żebyś wróciła do domu samochodem. Chociażby ze względu na starszego, staromodnego pana.

Hermansson znowu zaprotestowała, ale Grens wykręcił numer oficera dyżurnego policji i zamówił na plac Jakobs Torg radiowóz, który miał odwieźć inspektor Hermansson do domu w Kungsholmen. Potem skierował się do ministerstwa. Chwilę później usłyszał dwa uderzenia zegara na wieży kościoła Świętego Jakuba. Grens spojrzał na oświetlony, wielki cyferblat, który pokazywał wpół do jedenastej. Od ministerstwa dzieliło go nie więcej niż dwieście metrów. Ubrany w swój elegancki garnitur szedł pustą ulicą; jego pąsowa ze złości twarz nie zwracała niczyjej uwagi.

CZEŚĆ IV

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

WTOREK, GODZINA 21.00
DO EGZEKUCJI POZOSTAŁY
DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY

Cztery pierwsze tygodnie przeleżał na pryczy. Jakby nie żył. Zielony sufit przemalowano na jasnoniebieski kolor, ale zapach w celi pozostał ten sam. Wystarczył jeden wdech, a sześć lat wolności odeszło w niepamięć. Próbował powstrzymać odruch wymiotny, ale w końcu się poddał, wymiotował, aż nie miał czym; wtedy znowu wziął głęboki oddech i znowu rzygał żółcią. Leżał i gapił się w lampę, która zawsze była zapalona, próbował nie mrugać, choć zaczynały go boleć oczy, a po dwóch dniach z trudem widział. Nie odezwał się ani słowem: ani do Indianina w sąsiedniej celi, ani do Latynosa, który siedział naprzeciwko. Nie odzywał się nawet do Eriksena, który stanął kiedyś przed jego celą i zadał mu kilka grzecznych pytań. John ani razu nie miał na tyle siły, żeby się podnieść, odwrócić na drugi bok, otworzyć usta.

Nadal było zimno, a od okienka pod sufitem nad korytarzem w skrzydle bloku wschodniego ciągnęło chłodem. Był już marzec, pora, gdy przed nadejściem wiosny na ziemi leżało jeszcze trochę śniegu.

* * *

Grens zasnął o północy. Leżał skulony na zbyt krótkiej kanapie w swoim służbowym pokoju, aż w końcu przestały go dręczyć senne wizje. Podniósł się na wpół przytomny i poczuł, że bolą go plecy, a kark ma bardziej sztywny niż kiedykolwiek.

Dochodzenie wstępne w jego sprawie zostało umorzone, dzięki czemu mógł powrócić do służby. Do końca nie było wiadomo, co tak naprawdę zdarzyło się dwa miesiące wcześniej. Wracał wtedy po koncercie, miał na sobie swój elegancki garnitur, a z ust cuchnęło mu alkoholem. Skierował się prosto do budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych, minął

strażnika i wpadł do pokoju podsekretarza stanu. Świadkowie zeznali, że między nim a Thorulfem Wingem doszło do dyskusji, ktoś inny, gdy przechodził obok pokoju, usłyszał podobno głośne uwagi wypowiedziane przez inspektora policji, które Winge przytoczył potem w swojej skardze. Można je było potraktować jako groźby karalne, ale nie udało się ich później potwierdzić.

Grens spojrzął na budzik stojący na biurku, niedługo minie trzecia, w Sztokholmie jest noc, w Ohio wieczór.

Nagle zrozumiał. To właśnie dlatego się obudził.

Do egzekucji została dokładnie doba.

Wstał z kanapy i wyszedł z pokoju. Kroczył bezwiednie jednym z wielu mrocznych korytarzy, jakich nie brakowało w budynku policji. Kawa z automatu, trochę suchego pszennego chleba z plecionego koszyczka stojącego na stole w pomieszczeniu socjalnym. Ktoś chyba świętował z jakiejś okazji, zaprosił innych na poczęstunek, a resztki zostawił.

Nigdy przedtem nie odsunięto go od obowiązków służbowych. Teraz przez miesiąc zabroniono mu tu przychodzić. Dochodzenie i kara zamieniły jego życie codzienne w piekło. Nie miał dokąd iść, nie umiał wykorzystać wolnego czasu, nie miał co z sobą zrobić. O ile nie dostrzegał tego wcześniej, uświadomił to sobie bardzo wyraźnie właśnie teraz.

Kiedy kuśtykał przez korytarz, odpowiadało mu echo. Czuł się tutaj jak u siebie, bez względu na to, czy był w dobrym czy w kiepskim nastroju, jest jak jest, i nie zamierza nikogo za nic przeproszać.

Jeszcze tylko dwadzieścia cztery godziny i pewien człowiek zostanie pozbawiony życia, a proces, któremu to on nieświadomie nadał bieg, dobiega właśnie końca. Człowiek – być może zupełnie niewinny – umrze za przyzwoleniem państwa. Odejdzie do wieczności w ślad za tymi idiotami i będzie się śmiał za każdym razem, gdy na jego widok będą pluć po drugiej stronie krat. Ale śmierć? Jeśli kiedykolwiek zastanawiał się, co tak naprawdę sądzi o karze śmierci, to właśnie teraz.

Wracając do pokoju, zjadł kolejny kawałek chleba z koszyczka. Usiadł przy biurku.

Musi do kogoś zadzwonić. Powinien był to zrobić już o wiele wcześniej.

Podniósł słuchawkę i poprosił dyżurną w centrali, aby połączyła go z podanym numerem w Ohio. Poczł się o wiele lepiej, kiedy kilka sekund później usłyszał zdumiony głos Rubena Freya. Grens wyjaśnił, że chce tylko powiedzieć jemu i Helenie Schwarz, że o nich myśli.

Naczelnik więzienia w Marcusville spojrział na telefon, który stał na jego biurku i właśnie dzwonił. Potem odwrócił się i całkowicie ignorował dźwięk, który odbijał się echem od wielkich ścian pokoju. Poruszał się wolno: przeszedł od biurka do kanapy, a stamtąd do okna z widokiem na miasteczko oddalone o kilometr. Na początku odbierał każdy telefon i wyjaśniał dziennikarzom i wszystkim zainteresowanym, że właśnie rozpoczął dochodzenie wstępne i że to jemu najbardziej ze wszystkich zależy na tym, aby dowiedzieć się, jak sześć lat wcześniej jednemu z osadzonych udało się uciec z tak dobrze strzeżonego więzienia i to na dodatek tuż przed egzekucją.

Spojrzał w ciemność za oknem, przebiegł wzrokiem po latarniach stojących wzdłuż drogi, która łączyła mur z resztą świata. Jasne kule oświetlały podłogę, na którym właściwie nie było już śniegu.

Minęło osiem tygodni, a on nadal nic nie wiedział.

Frey odmówił składania zeznań zarówno agentom FBI, jak i osobom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo więzienia. Przesłuchano więc wszystkich innych: personel więzienny i osoby, które kiedykolwiek znalazły się w pobliżu Freya, ale nie udało się absolutnie nic ustalić.

Eriksen tęsknił za takimi wieczorami jak ten, który widział na zewnątrz.

Zostały jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Odwrócił się i spojrział na telefon, który nadal dzwonił. Pozwolił jednak, by umilkł. Dochodzenia wstępne i przesłuchania nic nie dały; nie znaleziono nic, co mogłoby potwierdzić, że w okresie, gdy John zniknął z więzienia, doszło do jakichkolwiek zaniedbań.

Co się stało, to się nie odstanie.

Im wcześniej całe to zdarzenie zostanie w więzieniu zapomniane, tym lepiej. Poza więzieniem też.

* * *

Przypomniawszy sobie rozmowy z Marvem, Johnowi brakowało okazji do rozmów o śmierci. Potrzebował kogoś, kto wie, kogoś innego, kto wie, jak to jest naprawdę.

Marv często opowiadał mu o pewnej wiosce.

O dwustu białych i jednym czarnym.

John wszystko dokładnie zapamiętał. Przez całe swoje życie walczył się po takich dziurach. Młodość spędził na trawnikach w Marcusville, kolejne dziesięć lat na korytarzach bloku wschodniego, a ostatnie sześć lat i dwa dni jako wolny człowiek w Szwecji. Wiedział,

kto jest jedynym czarnuchem we wsi.

Zdarzało się, że stukał w ścianę i czekał na odpowiedź Marva. Wszystko wydawało mu się takie znajome, takie łatwe do zapomnienia, na przykład te wszystkie lata, które upłynęły od dnia, kiedy rozmawiali ze sobą po raz ostatni, zanim Marva wyprowadzono na egzekucję.

* * *

Alice Finnigan kładła właśnie ubranie na krzesło przy łóżku, gdy nagle poczuła dłonie, które zaczęły pieścić jej plecy, obejmować piersi i trzymać je tak, jak nikt nie czynił tego od wielu lat. Czuła na karku ciepły oddech swojego męża. Nie miała odwagi, żeby się poruszyć, bała się, że coś zepsuje w tym szczególnym dniu, gdy dowiedziała się, że John Frey nadal żyje, co oznaczało, że nadal można go będzie zabić. W tamtym okresie odpychała męża, nie chciała z nim tego robić. Teraz czuła, jak jego twardy członek dotyka jej pośladków. Odwróciła się i zobaczyła, że Edward ma czerwone policzki i szyję, a ją obejmował tak mocno, że kiedy się kładli, poczuła ból. Jego oczy – kiedy na nią patrzył – prawie promieniały szczęściem. Poruszał się z siłą, która ją zadziwiła, był taki dziarski, chciał poczuć ją do końca.

Potem, kiedy położył się obok niej, a jego lepki członek dotykał jej ud, próbowała nie myśleć o obrzydzeniu.

* * *

Sven usiadł na krzesło stojącym w pokoju Jonasa. Anita spała od kilku godzin w sąsiednim pokoju, a jego syn oddychał głęboko, śpiąc beztróskim dziecięcym snem. W ciągu ostatnich kilku tygodni, po tym, jak w obecności swoich rodziców wybuchnął płaczem, kilka razy rozmawiali o więźniu, któremu Sven towarzyszył podczas lotu do Moskwy, a który wkrótce miał umrzeć. Jonas z dużym zaciekawieniem śledził informacje, które pojawiały się na ten temat w telewizji i gazetach, a w szkole, na lekcjach szwedzkiego, pisał o ludziach, których karze się śmiercią. Na lekcjach rysunków rysował ludzi leżących przed katem w czarnym kapturze na głowie. Rysunki te tworzyły swoisty katalog ośmioletniego chłopca zawierający różne dziwne metody, za pomocą których wykonuje się egzekucje.

Sven spoglądał na syna, na jego małe ciało, które od czasu do czasu wykonywało jakiś ruch pod kołdrą. Rozmowa z synem na temat śmierci i życia była potrzebna i z pewnością kiedyś by do niej doszło, choć nie w takich okolicznościach. Był bowiem przekonany, że

rozważania dziecka dotyczące śmierci nie powinny zaczynać się od roztrząsania kwestii, czy jest rzeczą słuszną, aby państwo pozbawiało człowieka życia.

* * *

John Meyer Frey został poinformowany, że zarządzenie numer 2949.22 daje każdemu więźniowi prawo wyboru metody, jaką zostanie mu zadana śmierć. Z kolei od Department of Rehabilitation and Correction w Ohio przyszło zapewnienie, że bez względu na metodę, jaką wybierze, kara zostanie wykonana w sposób profesjonalny, humanitarny i godny.

Dla żartu poprosił więc o pluton egzekucyjny, ale naczelnik więzienia, który osobiście odwiedził go w celi, a teraz czekał na odpowiedź, odparł krótko, że stan Ohio nie ma zgody na rozstrzeliwanie ludzi.

John poprosił więc, aby go powieszono, bo w tej metodzie chodziło o złamanie karku, a nie o powolne duszenie; trwa to zaledwie kilka sekund, w jednej chwili jest się żywym, a już w następnej martwym. Niestety, w stanie Ohio nie wolno już wieszać więźniów.

Pozostała mu alternatywa: krzesło elektryczne albo zastrzyk z trucizną.

Dużo rozmyślał, także i tej nocy.

* * *

Helena Schwarz stała w przedpokoju wielkiego domu Rubena Freya w Marcusville. Patrzyła na plecy swego teścia, który kończył właśnie rozmawiać przez telefon. Słyszała odpowiedzi, jakich udzielał, i zrozumiała, że dzwoni ktoś z zapytaniem, jak John się czuje i jak czują się oni. Nie była pewna, czy to nie ten starszy policjant ze Sztokholmu, bo z kilku zdań wypowiedzianych przez Rubena można było wyciągnąć właśnie taki wniosek. Trudno jej było zrozumieć, wszystko toczyło się w tak szybkim tempie... Teraz jednak, od kiedy przyjechała tutaj sześć tygodni temu, nie myślała ani o nim, ani w ogóle o nikim innym. To, co było ważne, działo się tutaj.

– To Grens.

– Czego chciał?

– Niczego, jak sądzę. Pytał tylko, jak się czujemy.

Helena już od ósmej starała się, aby jej syn zasnął. Chłopiec rozumiał, że dzieje się coś ważnego, że jego mama i dziadek są zaniepokojeni i smutni; rozumiał to i dlatego sam był zaniepokojony, smutny i nie mógł spać.

Dłużej nie mogli już udawać.

Helena nie udawała, nie ukrywała swych zachowań i rozpląkała się po raz pierwszy od przyjazdu do Ohio. Jej syn to widział, może miał do tego prawo, a może po prostu jej to nie obchodziło?

Usiadła na kanapie w wielkie kwiaty stojącej w salonie domu Rubena i zaczęła czytać długi, świetnie napisany artykuł w gazecie „Cincinnati Post” na temat ludzi, którzy wykonywali egzekucje w zakładzie karnym w południowym Ohio. Przez ostatni miesiąc ćwiczili, przygotowując się do egzekucji Johna Freya, która miała się odbyć następnego wieczoru o godzinie 21.00. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego to robi, bo wcześniej świadomie unikała myślenia o tej sprawie. Teraz jednak jakby się poddała, jakby John rzeczywiście miał umrzeć. A jeśli tak, to musi wiedzieć jak – może przez wzgląd na Johna, może po prostu przez wzgląd na siebie.

Dziennikarz, który przygotował zestawienie zawierające dane z kilku egzekucji, a nawet spotkał się ze wszystkimi członkami grupy egzekucyjnej, postawił tezę, że najtrudniejszą rzeczą jest wkłucie się we właściwą żyłę. Od kiedy w 1982 roku w Huntsville na kolorowym skazańcu Charlesie Brooksie wykonano pierwszą egzekucję, używając do tego strzykawki z trucizną, kilka z nich zamieniło się w tragikomedie, gdy nie udało się znaleźć odpowiedniej żyły. Dziennikarz przytaczał jeden przykład za drugim, pokazując, jak skazaniec leży przywiązany do pryczy, a osoba wyznaczona do wstrzyknięcia trucizny szuka żyły na oczach oczekujących świadków. Trwało to trzydzieści pięć do czterdziestu pięciu sekund. W dwóch przypadkach skazańcy, którzy od wielu lat zażywali narkotyki, sami zaproponowali, że znajdą odpowiednią żyłę, na co uzyskali zgodę. Innym razem egzekucję po prostu przerwano, bo igły wysunęły się z żyły, a urządzenie pompujące rozpryskało truciznę po całym pokoju i na szybie, która oddzielała pomieszczenie od zszokowanych świadków obserwujących wykonywanie wyroku.

– Mamo!

Chłopiec miał na sobie niebieską piżamę w różnokolorowe krokodyle, które leżały w czymś, co przypominało wodę.

– Słucham.

– Ja też chcę iść.

– Nie tym razem. Wieczorem chcę się sama spotkać z tatą.

– Ale ja chcę.

– Jutro. Jutro cię z sobą zabiorę.

Przysunął się do niej i skulił na jednej z poduszek. Helena głaskała go po policzku i włosach. Telewizor nastawiony był na jeden z lokalnych kanałów, jakiś podekscytowany

dziennikarz informował spod grubych murów zakładu karnego w Marcusville, że do trzeciej egzekucji, jaka zostanie wykonana w tym roku w Ohio, została niecała doba. Mówił też o Johnie Freyu, jego ucieczce, powrocie i karze, która zostanie mu wymierzona z takim opóźnieniem. Potem jeszcze krótka migawka z konferencji prasowej gubernatora stanu Ohio, która została nagle przerwana, kiedy grupa przeciwników kary śmierci wskoczyła z wielkim hałasem na podium, aby przekazać setki listów protestacyjnych wraz z długą listą nazwisk i podpisów.

Helena Schwarz przysłuchiwała się jego relacji, ale nie była pewna, czy dobrze rozumiała.

Że chodzi o jej męża. Że sytuacja robi się poważna.

Kiedy przeprowadzano wywiad z katolickim biskupem, ten potępił karę śmierci, uznając ją za barbarzyński relikw w nowoczesnym społeczeństwie. W tym momencie Helena ponownie spojrzała na syna, zastanawiając się, czy coś z tego zrozumiał i czy wie, że jego tata niedługo umrze i że to właśnie o nim mówią wszyscy ci nieznanymi ludzie.

Przez kilka minut oglądała telewizję w milczeniu, a potem wstała z kanapy, podniosła chłopca i oświadczyła, że wychodzi, a dziadek zostanie z nim w domu.

Na dworze było zimno, na ziemi nadal leżał śnieg.

Szła w kierunku więzienia, gdzie wkrótce po raz ostatni spotka się ze swoim mężem w jego nowej celi. Spotkanie potrwa tylko dwie godziny.

Wiedziała, że nie praktykuje się zwyczaju przychodzenia do więzienia o tak późnej porze, i była wdzięczna Eriksenowi, że jej to umożliwił. Mimo to każdy kolejny krok robiła z wielką niechęcią, chciała nawet zawrócić, iść do domu, przymknąć oczy i obudzić się, kiedy będzie już po wszystkim.

* * *

John usłyszał ich, zanim minęli dyżurkę. I nawet nie dlatego, że coś mówili, bo żadne z nich nie odezwało się ani słowem. I nie z powodu nieprzyjemnego zgrzytu kluczy. Poznał ich po odgłosie kroków. Pięciu mężczyzn szło korytarzem, a ich czarne podkute buty uderzały o brudny beton. Leżał na pryczy z twarzą zwróconą w stronę kraty i czekał, aż staną przed celą, a Eriksen wypowie słowa:

– Jesteś gotowy, John?

Przez jakąś minutę leżał nieruchomo, patrzył na świeżo pomalowany sufit i zapaloną lampę i wdychał zapach, którego nie mógł dłużej wytrzymać. W końcu podniósł się i spojrzał

na szefa strażników, którego szanował, i na czterech pozostałych, którzy stali trochę dalej. Nie znał żadnego z nich.

– Nie.

– Musimy już iść.

– Nie jestem jeszcze gotowy.

– Przecież masz iść na spotkanie, ktoś już na ciebie czeka.

Kajdanki na przeguby rąk, potem stóp. Przypomniawszy sobie, jak wyprowadzano innych. Wiedział, jak to wygląda. Pójdą teraz do Domu Śmierci, do jeszcze mniejszej celi, która ma czerwoną podłogę i styka się przez ścianę z pomieszczeniem, gdzie za dwadzieścia cztery godziny zostanie przywiązany do pryczy. Po drugiej stronie szklanej ściany będą stali jacyś ludzie i będą mu się przyglądać.

CZWARTEK, GODZINA 9 00

DO EGZEKUCJI ZOSTAŁO DWANAŚCIE GODZIN

Nocą w celach zakładu karnego w Marcusville zaczął narastać niepokój. Słychać było głośne krzyki i wszędzie panował strach, że dotychczasowe długie oczekiwanie nagle się skończy. Szykowało się kolejna egzekucja, a za każdym razem, kiedy ktoś miał być stracony, oznaczało to, że zbliża się koniec także dla innych. Nie było to czymś niespodziewanym, niepokój był jak nienasycony rak, a personel więzienny wyczuwał go nie po raz pierwszy od czasu, gdy przed kilku lat stan Ohio zaczął ponownie wykonywać wyroki śmierci.

To właśnie dlatego nikt z personelu więziennego nie kwestionował decyzji kierownictwa zakładu, które postanowiło, że na dobę przed egzekucją wszystkie cele zostaną zamknięte o godzinie dziewiątej rano. Niepokój osadzonych mógłby zamienić się w jakieś protesty, mogłoby dojść do wybuchu niepokojów, więc zamknięcie wszystkich drzwi w celach aż do zakończenia egzekucji i na kolejną noc było najprostszym sposobem na

zapewnienie spokoju.

John Frey siedział na krześle w jednej z cel znajdujących się w Domu Śmierci. Cella była mniejsza od wszystkich innych, czysta aż do granic sterylności i nie było w niej ani jednej prywatnej rzeczy: cella niczym nie pachniała, znajdowało się w niej tylko krzesło, umywalka i kubeł, do którego załatwiała się potrzeby fizjologiczne, a na podłodze leżał czerwony dywanik. John został poinformowany, że kamera wisząca na przeciwległej ścianie nagrywa go bez przerwy, a obraz, jaki wysyła, jest odbierany w specjalnym pokoju przez nie mniej niż trzy osoby naraz. Istniała bowiem obawa, że dwanaście godzin przed egzekucją więzień może załamać się psychicznie.

John położył na kolanach kartkę papieru, a do ręki wziął ołówek.

Od dwóch godzin próbował napisać instrukcje w sprawie własnego pogrzebu i sporządzić testament, ale nie potrafił. Nie umiał też określić konsekwencji swej śmierci.

Spojrzał w górę na kamerę, machnął ręką i trochę zbyt podniesionym głosem poprosił tych, którzy go obserwowali, żeby przyszli do celi i odebrali testament w wersji, w jakiej jest.

* * *

Sześć lat wcześniej dwie młode prawniczki, Anna Mosley i Marie Mohrhaus, działały z Rubenem Freyem i Vernonem Eriksenem w organizacji Ohio Coalition to Abolish Death Penalty, która miała swoją siedzibę w kaplicy szpitala w Columbus. Teraz obie były już adwokatami i miały niewielkie biuro na pierwszym piętrze w niewykończonej czynszówce na North Ninth Street.

Tamtego dnia, gdy John zmarł w swej celi, spadło to na nie jak grom z jasnego nieba.

Przez sześć ostatnich lat nic nie wiedziały o ucieczce zaplanowanej i przeprowadzonej przez niewielką część ich grupy. Miały więc prawo czuć żal, że trzymano je z dala od tej sprawy. Jednak nawet jeśli tak było, na zewnątrz nic po sobie nie okazywały. Od powrotu Johna do więzienia w Marcusville dużą część swojego wolnego i przez nikogo nieopłaconego czasu poświęcały walce o odroczenie egzekucji. Czyniły to, zasypując wszystkie instancje prawne w Ohio argumentami na rzecz odroczenia daty wykonania wyroku.

Gdy do egzekucji pozostało już tylko dwanaście godzin, siedziały w dużej poczekalni dworca kolejowego w Columbus. Potrzebowały się wzajemnie, bo czuły się jak ktoś, kto zamierza zrezygnować, położyć się i mieć święty spokój. Były zmęczone, bo pracowały przez całą noc i wiedziały, że nie mogą już w żaden sposób wpłynąć na rozwój sytuacji. Wyrok śmierci dla Johna Meyera stał się sprawą całego stanu Ohio, a jego śmierć miała być

sprawiedliwym zadośćuczynieniem.

Miały przy sobie gruby plik papierów i w wielkiej poczekalni dworcowej były prawie zupełnie same. Marmurowa posadzka miała zielony kolor, a kolumny przypominały te, które kiedyś istniały w antycznej Europie.

Postanowiły, że jeszcze się nie poddadzą.

Zdażyły przygotować i wkrótce zamierzały przedłożyć swoje ostatnie wystąpienie do Sądu Najwyższego stanu Ohio. Potem pojedą samochodem do Cincinnati i do Szóstego Okręgowego Sądu Apelacyjnego. Przecież John Meyer już raz umarł i ożył, więc może to zrobić ponownie.

To nie był koniec walki. Końca nigdy nie będzie.

* * *

Kiedy John pomachał w stronę kamery testamentem, ci, którzy go obserwowali, powiadomili Eriksena. Żeby egzekucja mogła się odbyć, skazaniec powinien być zdrowy i nie mieć żadnych obrażeń. A przecież śmierć zaczęła go już nadgryzać. Eriksen szedł korytarzem wzdłuż pozamykanych cel, a gdy dotarł do Domu Śmierci, poprosił jednego ze strażników, aby go wpuścił do celi, gdzie siedzi więzień, któremu zostało jeszcze dwanaście godzin życia. Eriksen usiadł obok niego na krześle i przez chwilę rozmawiali o wszystkim z wyjątkiem egzekucji. Mówili ściszymi głosami, a od czasu do czasu Eriksen kładł dłoń na ramieniu Johna.

Ci, którzy obserwowali ich na ekranach monitorów, widzieli tylko swego szefa, który próbuje uspokoić skazanego na śmierć człowieka. Nie mogli jednak wyczuć więzi, jaka ich łączyła, a tym bardziej zdumienia, jakie wyraził John, kiedy Eriksen wyjawiał mu, jak ważną rolę odegrał w przygotowaniach do jego ucieczki. Nie mogli też słyszeć, jak skazany na śmierć więzień zaczyna nagle dziękować człowiekowi, który miał go pilnować aż do chwili śmierci, za dni, które przeżył podczas tych sześciu dodatkowych lat i za to, że dla obcego człowieka zaryzykował wszystko, co miał, że pozwolił mu dłużej oddychać.

* * *

Ewert Grens nie odczuwał żadnego zmęczenia. Sen jest rzeczą, której znaczenie ludzie przeceniają. Przez całą noc przynosił sobie kawę i trwało to aż do rana. Sprowadził Svena, który był błądliwy z niewyspania, i poprosił go, aby z nim pojechał do policyjnego centrum dowodzenia. Tego dnia, po dwóch miesiącach intensywnego zajmowania się sprawą

„politycznej decyzji dotyczącej wydalenia z kraju aresztowanej osoby, na którą czekał wyrok śmierci z wyznaczoną datą egzekucji”, miała nastąpić kulminacja wszystkich tych wydarzeń. Wielkie, zapowiedziane wcześniej demonstracje, jak również gwałtowne, niezapowiedziane rozruchy pochłonęły uwagę wszystkich ściągniętych na tę okazję jednostek policji. Grens zaproponował, że zastąpi jednego z operatorów telefonicznych, a gdy połączono pierwszą rozmowę z amerykańską ambasadą, która domagała się dodatkowych sił policji do kontrolowania rosnącego tłumu, będącego już o krok od wtargnięcia na teren ambasady, Grens podniósł słuchawkę i powiedział chłodnym tonem: *Sorry, no cars available*. Zignorował oburzony wzrok Svena Sundkvista i to samo powtórzył podczas następnej rozmowy, kiedy przerażony urzędnik ambasady poinformował go o coraz większym zagrożeniu ze strony tłumu: *Sony, no cars available*. Gdy za trzecim razem usłyszał w słuchawce wrzask demonstrującego tłumu, a urzędnik zaczął histerycznym głosem domagać się pomocy, Grens uśmiechnął się, a odkładając słuchawkę szepnął: *Then call in the marines*.

* * *

Podczas ostatniej wspólnej wizyty Helena, Oscar i Ruben otrzymali za pośrednictwem Eriksena zgodę na spotkanie z więźniem w jego celi w Domu Śmierci. Ujrzeli wtedy, że siedzi za zwykłą kratą, a nie w kwadratowym pomieszczeniu otoczonym stalowym drutem, do którego w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przed egzekucją kierowano odwiedzających.

Kiedy patrzyło się na obraz przekazywany przez kamery, trudno było się zorientować, dlaczego ze sobą nie rozmawiają; wyglądało to tak, jakby tam po prostu siedzieli – John na krześle przed zamkniętymi drzwiami, a jego rodzina na zewnątrz. Czy właśnie tego chcieli? Być ze sobą i nic nie mówić, bo i tak wszystko zostało już powiedziane?

* * *

Thorulf Winge opuścił swoje mieszkanie przy ulicy Nybrogatan i skierował się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy placu Gustawa Adolfa. Na dworze było nadal zupełnie ciemno, ranek jeszcze nie wstał. Kolejny długi dzień, jeszcze więcej kamer, jeszcze więcej pytań.

Czekał na taki dzień od dawna.

A kiedy się skończył, kiedy nadeszła noc i miasto spowity ciemności, dwa długie i pracowite miesiące dobiegły końca. Skończył już sześćdziesiąt lat i przez całe swoje dorosłe

życie przemierzał korytarze władzy; stawiał czoło głupocie, pod płaszczykiem dyplomacji ukrywał skandale, a przede wszystkim tłumił w zarodku krajowe i międzynarodowe kryzysy, zanim jeszcze zdążyły się rozwinąć. Jednak ten cholerny zabójca z Ameryki... przy nim wszystko, czym się zajmował, bladło. Czasami, kiedy wieczorami siedział samotnie w gabinecie, zastanawiał się, czy zaczyna być tym wszystkim zmęczony, czy starcza mu jeszcze sił, może po prostu jest już za stary... Każdego dnia to samo: nowe oświadczenia, wywiady, badania opinii publicznej, żądania dymisji. Ekstradycja zbrodniarza! Gazety i telewizja uwielbiały takie historie, podobnie jak widzowie i czytelnicy. Szum medialny nie ustawał, może skończy się wreszcie, gdy Frey zostanie stracony, może nie powinien był się w to aż tak bardzo angażować?

Słyszał, jak ludzie stojący na placu skandują: „Szwecja – morderca!”. Robili to bez przerwy, od obiadu, a Winge zastanawiał się, skąd mają tyle siły i czy nie powinni już wracać do pracy.

Odszedł od okna i wrócił do biurka. Dziś nie będzie już odpowiadał na żadne pytania, zostanie w swoim pokoju w ministerstwie, odczeka, aż im się znudzi, i wróci do domu, gdy będzie już po egzekucji.

* * *

Trzej strażnicy, którzy obserwowali Johna na monitorach, zdążyli się już trochę odprężyć, gdy nagle chłopiec, który przyszedł w odwiedziny do Johna – mógł mieć pięć, może sześć lat – wyrwał się matce i podbiegł do kraty oddzielającej go od ojca. Na czarnobiałym ekranie widzieli, jak Eriksen podbiega do chłopca i próbuje go zmusić, aby puścił dwa pręty, których się trzymał, jak ciągnie go za jedną rękę, a mama za drugą. Urządzenie zapisywało tylko obraz, nie dźwięk, więc strażnicy nie słyszeli głosów, ale widzieli, jak chłopiec krzyczy, jaką ma wykrzywioną twarz i jak mama bez przerwy coś do niego mówi. Dopiero po dwóch minutach chłopiec puścił kratę i położył się na podłodze w pozycji embrionalnej.

*ŚRODA, GODZINA TRZECIA PO POŁUDNIU
DO EGZEKUCJI ZOSTAŁO SZEŚĆ GODZIN*

Zaledwie dwa miesiące wcześniej schodził z promu wraz z grupą osób, które w jednej ręce niosły reklamówkę z butelkami wolnej od cła wódki Absolut, a drugą trzymały nieśmiało inną osobę, poznaną na promie ostatniej nocy. Tęskno mu było do domu, więc szybkim krokiem szedł chodnikiem, który śmierdział wilgocią i dwutlenkiem węgla, aż w końcu z niecierpliwością zatrzymał taksówkę, która zawiozła go pod wieżowiec stojący przy ulicy Alphyddevägen 43. Mieszkał tam z żoną i synem i miał nadzieję, że dalej tak będzie.

Zjedli pudding ryżowy polany sokiem jagodowym, bo tak wybrał Oscar. Jego tata wyjechał, ale teraz jest już w domu, więc będą jedli razem to, co uważał za najsmaczniejsze.

Trudno mu to było przełknąć.

John siedział przed talerzem z uniesioną łyżką, a granatowo-biała masa zdawała się rosnąć w miarę, jak zbliżała się do ust. Ostami posiłek.

Przecież to absurd. Człowiek, który zostanie stracony, otrzymał zgodę, aby wybrać, co ma się znaleźć w jego żołądku w razie ewentualnej sekcji. John zrezygnował z tego przywileju, twierdząc, że wcale mu nie zależy na jedzeniu, skoro wkrótce i tak będzie po wszystkim. Jednak Eriksen uparł się, powiedział, że to ważne, jeśli nie dla niego samego, to może dla jego rodziny; niech wiedzą, że jest mu tu w miarę dobrze. Poza tym jedzenie świadczy o czymś więcej, niż John sobie wyobraża.

Wybrał więc ulubiony pudding ryżowy Oscara. I naprawdę się starał. Kiedy jednak połykał jedzenie, miał uczucie, jakby utkwilo mu w przełyku, czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła i po prostu nie był w stanie jeść.

Poprosił Eriksena, aby siadł przy nim. Eriksen był mądrym człowiekiem, rozmawiali ze sobą już wtedy, gdy jako siedemnastolatek John trafił do zakładu na oddział dla skazanych na śmierć. John wiedział, że tego rodzaju poufałość ze strony strażników jest zabroniona i dlatego nigdy nie rozmawiali ze sobą w obecności innych osób. Teraz, gdy siedział w celi, obserwujący go przez kamerę strażnicy widzieli tylko, jak ich kolega próbuje uspokajać więźnia, którego czeka egzekucja.

– Nie mogę.

– W każdym razie próbowałeś.

– Nie przełknę ani trochę więcej. Czy ktoś mógłby tu przyjść i zabrać tacę?

Eriksen nie odezwał się, bo nie było co komentować, zostało już tylko kilka formalności. Właściwie nigdy nie umiał pocieszać innych.

– Zaraz i tak muszę iść, to wezmę ją z sobą.

John chciał się dowiedzieć, jaka jest pogoda. Tu, w więzieniu, nigdy nie oglądali dnia i nie widzieli, jak zmienia się pogoda. Siedział w zwykłej celi bez okien wychodzącej na

korytarz, gdzie też nie było okien. Właściwie nie miało to chyba żadnego znaczenia, czy pada śnieg czy też może robi się ciepiej.

– John, nie wybrałeś jeszcze nikogo z rodziny.

Eriksen spojrzał na młodszego od siebie o dwadzieścia lat mężczyznę, który z każdą upływającą minutą jakby coraz bardziej się kurczył.

– Musisz to zrobić.

John potrząsnął głową.

– Nie.

– Będzie tam mnóstwo innych ludzi, których nie znasz i nigdy nie widziałeś. Musi tam przyjść ktoś, komu będziesz mógł spojrzeć w oczy, któremu ufasz.

– Helena nie chce tego oglądać. Tata też nie. A Oscar... poza nimi nie mam nikogo.

– Proszę cię, żebyś się jednak zastanowił. Kiedy będziesz tam już leżał, będzie się dziać o wiele więcej, niż sobie wyobrażasz.

John przymknął oczy i znowu potrząsnął głową.

– Nie oni. Więc może ty? Chciałbym, żebyś to ty tam siedział. To ty masz oczy, które rozpoznam i którym zaufam.

* * *

Z każdą upływającą godziną Grensowi coraz trudniej było radzić sobie z bezczynnością. Kiedy demonstracje w mieście osiągnęły stadium, którego nikt się nie spodziewał, poprosił Svena, aby pozostał w centrum dowodzenia, a sam poszedł do samochodu, żeby pojechać do Djurgården, gdzie znajdowała się ambasada amerykańska, i przekonać się na własne oczy, co się tam dzieje.

Na miejscu zastał ogromny tłum. Już na ulicy Strandvägen ruch samochodowy zamarł, gdyż ludzie przebiegali przez ulicę, nie zwracając uwagi na samochody i autobusy, bo chcieli przyłączyć się do tłumy otaczającego pierścieniem ambasadę i wykrzykującego głośno hasła. Grensowi spieszyło się, więc jechał po chodnikach i miejscach do parkowania, a potem zatrzymał się w pewnej odległości i pośmiał przez chwilę z głupców, którzy znajdowali się w budynkach ambasady i srali ze strachu w gacie. Dobrze im tak, może to nie o taką sprawiedliwość chodzi, ale może choć przez kilka minut zagra im na nosie.

Potem odjechał, a w pewnej chwili zorientował się, że jedzie w stronę mostu Lidingöbron, do domu opieki po drugiej stronie kanaru.

A teraz już przy niej siedział, trzymał ją za rękę i wyglądał przez okno.

Potrzebował jej, a ona go słuchała. Była to długa opowieść o człowieku, który za sześć godzin zostanie stracony, choć pewnie na to zasłużył, jak również o tym, że chociaż pracuje w tym zawodzie już od trzydziestu czterech lat, nie potrafi powiedzieć, co należałoby zrobić, żeby tę sytuację zmienić.

Z ust Anni ciekło więcej śliny niż zazwyczaj.

Nie lubił tego widoku, zawsze wywoływał w nim pewien niepokój.

Zostawił ją więc na chwilę i wyszedł na korytarz, w recepcji poprosił, aby pozwolono mu porozmawiać z kimś z personelu, z jakąś starszą osobą, bardziej doświadczoną.

Opiekunka widziała, jak Grens się zbliża, ale nie umiała ukryć swej niechęci, gdy wraz z nim szła do sali. Jedno spojrzenie wystarczyło. Wiedziała jednak, jak takie sytuacje wyglądały wcześniej i dlatego pozostała kilka minut dłużej. Dłoń na czole Anni, puls, oddech... badała ją przez dwie minuty, a potem stwierdziła, że jest tak samo zdrowa jak za każdym razem, gdy Grens przybiegał spanikowany do recepcji.

Grens spojrzał znowu na Anni, która wyglądała przez okno i uśmiechała się; pocałował ją w policzek i ujął ją za rękę.

A potem powiedział, jak tylko mógł najostrożniej, że Anni musi przestać się bać i że on nie zdoła wytrzymać bez niej zbyt długo.

* * *

Kiedy ukazał się komunikat, że Sąd Najwyższy stanu Ohio jednogłośnie odrzucił wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy Johna Freya i nie zgodził się na odroczenie egzekucji, Anna Mosley i Marie Mohrhaus wracały samochodem z Cincinnati do domu. Anna gwałtownie zahamowała i zajechała pod mijaną właśnie kawiarnię. Była zbyt wzburzona, żeby dalej prowadzić samochód, potrzebowała kubka gorącej herbaty i papierosa, żeby powstrzymać się przed zbyt głośnym wyrażaniem swego rozczarowania.

* * *

W wielkim domu Rubena Freya pachniało kurczakiem i curry. Ruben miał na sobie fartuch. Lubił gotować i robił to każdego dnia, chociaż zawsze jadał sam. Od kiedy przed osiemnastu laty John został zabrany ze swego pokoju i doprowadzony na policję na przesłuchanie w sprawie zamordowania Elizabeth Finnigan, Ruben mieszkał sam, żył sam i sam też jadał.

Dziś zachowywał się dość dziwnie.

Jego syn za kilka godzin zostanie stracony i odejdzie już na zawsze. I właśnie dlatego życie Rubena Freya stało się bogatsze, niż było przez wiele ostatnich lat. Do dawnego pokoju Johna wprowadził się jego pięcioletni syn, który spał w jego dawnym łóżku. Przed Rubenem, przy stole kuchennym, siedziała młoda kobieta – jego synowa – która piła dwunastoletnią whisky, mówiła mu o Johnie, Oscarze i sobie samej, a także oferowała mu bliskość, o której Ruben nigdy nawet nie marzył. Było to cudowne uczucie, radość, która zrodziła się na skutek wyroku śmierci. Ruben nie wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Kiedy z jakiejś kawiarni położonej przy drodze numer czterdzieści prowadzącej do Cincinnati zadzwoniła Marie Mohrhaus, telefon odebrała Helena. Łatwo wyczuła w jej głosie rozczarowanie decyzją sądu. Ciężko i z uporem pracowały nad tym, aby rodzina Freyów/Schwarzów trwała w nadziei, a nawet zaczęła wierzyć, że argumenty, którymi posłużyły się młode panie adwokat, przekonają sędziów Sądu Najwyższego.

Helena nie była już w stanie płakać. Tymczasem Mohrhaus przekonywała ją, że można się jeszcze odwołać do innych instancji, że dokładnie za trzy godziny powinny otrzymać odpowiedź z Szóstego Okręgowego Sądu Apelacyjnego, sędziego, który nazywa się Anthony Glenn Adams i zasiada w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Każda z tych instancji mogła powstrzymać egzekucję i podjąć decyzję w sprawie przesunięcia godziny jej przeprowadzenia, którą wyznaczono na 21.00 i która nadal obowiązywała.

Potem Helena siadła w kuchni przy stole, zjadła posiłek, który już od dwóch godzin pachniał curry, i zaczęła odpowiadać na uporczywe pytania syna, których sama w zasadzie nie rozumiała: że dziś chłopiec nie spotka się już z tatą, że tak naprawdę to jego tata nie za bardzo chce przebywać w tamtym domu za wysokim murem widocznym z sypialni dziadka, że tata nadal ich kocha, ale całkiem możliwe, że mimo to już nigdy do nich nie wróci.

* * *

Eriksen nie był na to przygotowany. Pytanie pojawiło się tak nagle, że nawet nie zdążył się nad nim zastanowić ani sformułować we właściwy sposób odmowy.

– Nie dałbym rady, John. Nie będzie mnie tam.

Chwytał Johna za dłoń i lekko ją uściskał.

– Nie uczestniczyłem w wykonywaniu kary śmierci od ponad dwudziestu lat. I nigdy więcej tego nie zrobię. Brałem zwolnienia lekarskie i za każdym razem, gdy wiedziałem, że więzień, którego doglądałem, zostanie stracony, zostawałem w domu.

John podniósł się, próbował pochodzić trochę po ciasnej celi, ale było to niemożliwe,

bo w środku był Vernon. Przysunął się do kraty i ścisnął metalowe pręty, aż mu zbieleły palce.

– W takim razie chciałbym, żebyś ty się mną zajął.

– Co masz na myśli?

– Kiedy będę już martwy.

W tym momencie John spojrzał na Vernona, który był przecież synem przedsiębiorcy pogrzebowego. Obaj wychowywali się w Marcusville, gdzie wszyscy znali wszystkich. W pamięci utkwiło mu zaledwie jedno wspomnienie Vernona z tamtych czasów, za to bardzo wyraźnie, był wtedy mały, miał cztery lata i szedł za rękę z tatą, mama niedawno zmarła i obaj szli załatwić formalności związane z pogrzebem. Vernon pracował wtedy w domu – działa się to w tym samym roku, gdy zbudowano zakład karny – i przyjął ich w pomieszczeniu pełnym trumien.

Eriksen pochylił się i zabrał tacę z niemal nietkniętym jedzeniem. Hm, zająć się człowiekiem, który jest już martwy... *Tak jakbym to ja decydował o życiu i śmierci.* Spojrzał na Johna i zaczął zbierać się do wyjścia.

– Tak.

Wiedział, że i tak do tego nie dojdzie. Bo jeśli Johna rzeczywiście stracą, jego tam nie będzie. Mimo to powiedział:

– Dobrze. Zrobię to.

Na twarzy Johna pojawiła się lekka ulga.

– Jest jeszcze jedna rzecz, John.

John jeszcze mocniej zacisnął palce na kratkach, ale nie odezwał się.

– Nie wiem, czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie, ale jestem przekonany o twojej niewinności. Nie wierzę, że zamordowałaś dziewczynę Finniganów. Wierzyłem w to już wtedy, gdy rozmawiałem z tobą pierwszy raz, i teraz też w to wierzę.

ŚRODA, GODZINA 18.00

DO EGZEKUCJI ZOSTAŁY TRZY GODZINY

Na dworze było już ciemno, wiedział o tym, choć tego nie widział. W Marcusville zaczął się wieczór. Ludzie siadali w kuchni przy stole i razem jedli kolację. Większość z nich dopiero przed chwilą wróciła do domu, niewielu jadało w którejś z dwóch knajp w mieście, bo nigdy nie panował tu taki zwyczaj. John nadal pamiętał tamte lata z okresu swej wczesnej młodości, gdy rozpierała go energia, a Marcusville wydawało mu się zwykłą dziurą, w której się dusił. Chciał się stamtąd wyrwać, tak jak większość nastolatków, do życia, które toczyło się poza granicami miasta.

Trzy godziny.

Zerknął przez lewe ramię na strażnika, który stał najbliżej niego. Miał ciemne, gęste owłosienie i zegarek z posrebrzanego metalu, który było wyraźnie widać.

Jeszcze trzy godziny.

Strażnicy stali przed celą. Czarne czapki z daszkiem nasunięte nad same oczy, ciemnozielone koszule i spodnie, czarne, błyszczące buty. Przy każdym wykonywanym kroku albo ruchu słychać było brzęk pęku kluczy; wszyscy czterej strażnicy mieli identyczne mundury. Niecałe pięćdziesiąt metrów dalej czuć było zapach, jaki wydzielał świeżo oczyszczony odpływ w łazience. Dwóch strażników szło pół kroku przed nim, dwóch – pół kroku za nim. Żaden z nich się nie odzywał, a John nie był pewien, czy w ogóle na niego patrzą. Czuł się tak, jakby już nie żył.

Na wzięcie prysznicu dali mu dziesięć minut. Woda była gorąca i kąpiel dobrze mu zrobiła. Uniósł twarz w stronę sitka i pozwolił, żeby woda parzyła mu skórę. Potem odwrócił się, dodał więcej ciepłej wody, aż poczuł, jak parzy go w przyjemny sposób.

Potem kazali mu założyć pieluchę. Pochylił się i przez chwilę poczuł się jak na lotnisku w Moskwie. Pielucha różniła się trochę od tamtej, trzeba ją było zamocować na wysokości bioder, ale reszta była taka sama.

Nie pytał o nic w Moskwie, nie pytał i teraz. Wiedział, po co mu ją zakładają.

Granatowe spodnie były świeżo wyprane, poczuł znany sobie zapach środków piorących. Na spodniach zauważył czerwony pasek biegnący wzdłuż nich. John nie widział przedtem takich spodni. Biała koszula z krótkimi rękawami, żeby łatwiej było znaleźć żyły.

W drodze powrotnej do celi jeden ze strażników – ten z zegarkiem – pochylił się w jego stronę i szepnął mu coś do ucha. John nie usłyszał i poprosił, żeby tamten powtórzył.

Piętnastu sędziów podjęło decyzję jednogłośnie.

Oznaczało to, że także Szósty Okręgowy Sąd Apelacyjny odrzucił jego wniosek.

ŚRODA, GODZINA 20.00

DO EGZEKUCJI POZOSTAŁA GODZINA

Najwięcej myślał o jej uśmiechu. Elizabeth miała uśmiech, który sprawiał, że ktoś, kto na nią patrzył, zaczynał czuć się niepewnie. Czułość, szyderstwo, niepewność... nigdy nie było wiadomo, co tak naprawdę krył. John tęsknił za jej ustami, uśmiechem... Razem chodzili do tej samej szkoły i wracali tą samą ulicą. Miał szesnaście lat, kiedy Elizabeth poprosiła, żeby ją pocałował. Pierwsze, co poczuł, to miękkość – jej usta były takie miękkie...

* * *

Helena? Urzekł go chyba sposób, w jaki trzymała kieliszek. Nigdy nie umiałby tego nikomu wytłumaczyć. Trzymała go mocno i ostrożnie, żeby się nie potłukł.

* * *

Spojrzał w górę, na kamerę zamocowaną na ścianie. W jakimś pokoju siedzą ludzie, którzy obserwują innych ludzi. Podobało im się to? A może dla nich była to jedynie praca? Przez osiem godzin obserwowali osobę skazaną na śmierć, a potem szli do domu i robili sobie kolację? Może grali w karty? A może w stojącym obok monitorze oglądali na jakimś sportowym kanale mecz tenisowy, decydujący set?

* * *

John zaczął głośno wołać, aż przybiegł jeden ze strażników. John powiedział mu, że zmienił zdanie. Chce skorzystać ze swoich praw, żeby zadzwonić z telefonu stojącego na ruchomym wózku w głębi korytarza. Było to możliwe pod warunkiem, że rozmowa odbędzie się na koszt odbiorcy.

Wiedział, że rozmowa i tak będzie trwała zbyt krótko.

Jednak chciał jeszcze jeden raz usłyszeć ich głos.

ŚRODA, GODZINA 20.45

DO EGZEKUCJI POZOSTAŁO PIĘTNAŚCIE MINUT

Wiadomość, że sędzia Anthony Glenn Adams z Sądu Najwyższego odrzucił wniosek o przesunięcie terminu egzekucji, nigdy nie dotarła do więźnia, który czekał na egzekucję w jednej z dwóch cel znajdujących się w Domu Śmierci. Adams miał upoważnienie do samodzielnego podejmowania decyzji w pilnych sprawach. Jednak kiedy chodziło o karę śmierci, często przedkładał ją do dyskusji i decyzji wszystkim dziewięciu członkom, którzy mieli podjąć wspólne postanowienie.

Ich decyzja była jednogłówna.

To dlatego jeden z trzech aparatów telefonicznych zamontowanych na stałe na zwykłej drewnianej płycie wiszącej na ścianie pokoju przylegającego od tyłu do pomieszczenia, gdzie wykonywano wyrok, połączono z biurem gubernatora w Columbus.

Połączenie miało trwać aż do zakończenia egzekucji.

Jedynie decyzja gubernatora podjęta w ciągu ostatniego kwadransa, jaki pozostał do rozpoczęcia egzekucji Johna Mayera Freya, mogła ją wstrzymać.

ŚRODA, GODZINA 20.50

DO EGZEKUCJI POZOSTAŁO DZIESIĘĆ MINUT

– Pan Frey?

– Tak.

– Nazywam się Rodney Wiley. Jestem jednym z pielęgniarzy pracujących w Marcusville. Chciałbym prosić, aby pan usiadł.

John stał właśnie w swojej celi, gdy jakiś niewysoki mężczyzna w nieco przydużym fartuchu otworzył drzwi i wyciągnął w jego stronę chudą, spoconą rękę. Pozostało już niecałe piętnaście, może dziesięć minut. Wiley miał zegarek, który nosił przy sobie, odkąd skończył siedemnaście lat. Uznał, że jedyne, co mu pozostało, to odliczanie czasu.

John nigdy wcześniej go nie widział, nie znał go, ale oznaczało to, że Wiley jest jednym z ostatnich ludzi, których widzi i z którymi rozmawia.

– Teraz proszę się nie ruszać, panie Frey.

Ciecz, którą pielęgniarz wylał na wacik, miała intensywny zapach. Był to jakiś środek dezynfekujący. Wiley wcierał go w przedramię Johna kolistymi ruchami. Już niedługo osobiście przymocuje do każdego ramienia po jednej rurce, więc skóra musi być czysta. Nie powinna wdać się jakaś infekcja, bo każdego skazańca, który jeszcze żyje, trzeba nadal traktować jako osobę żywą.

– Heparyna. Rozcieńcza krew. Niedługo ją panu wstrzyknę. Nie chcemy przecież, żeby coś nam się tu zatkało, prawda, panie Frey?

Brzmiało to tak absurdalnie, że Wiley od razu pożałował swych słów. Był zdenerwowany i przestraszony, bo za każdym razem miał problem z zachowaniem się w takiej sytuacji. Nigdy nie nauczył się rozmawiać z osobami, które przygotowywał na śmierć.

Zostało jeszcze kilka sekund. Wiley starał się unikać wzroku więźnia i jak zwykle koncentrował uwagę na jego odkrytych ramionach i na strzykawce, którą wstrzykiwał mu dużą ilość środka rozrzedzającego krew.

– Skończyłem, panie Frey. Pójdę już. Więcej się nie zobaczymy.

Ponownie wyciągnął swoją chudą rękę, ale uścisk był słaby. Trwał przez jakiś czas, aż Wiley nie mógł dłużej wytrzymać.

* * *

Czterej strażnicy stali przed celą i czekali. Kiedy pielęgniarz odszedł, podeszli bliżej, spojrzeli na Johna i poprosili go, żeby sam wyszedł. Do pomieszczenia, gdzie miała się odbyć egzekucja, było niedaleko, ale każdy z nich go obserwował, bo ludziom, którzy szli na śmierć, musieli poświęcać o wiele więcej uwagi.

* * *

Pomieszczenie miało kolisty kształt i liczyło nie więcej niż cztery metry kwadratowe. Zamiast ścian umieszczono w nim ogromne szyby wychodzące na stronę, gdzie mieli siedzieć świadkowie egzekucji. Łóżko sięgało od ściany do ściany i pokryte było jakimś grubym, białym materiałem, który w chwili, gdy ciało Johna przywiązywano sześcioma pasami, wydawał szeleszczący dźwięk. Pasy były czarne, szerokie, cztery w poprzek i dwa wzdłuż. Ten, który przebiegał przez klatkę piersiową, przylegał do skóry najściślej.

Wężyki, które później podłączono do obu rurek, były przezroczyste, żeby łatwiej było widać, jak przepływa przez nie ciecz.

ŚRODA, GODZINA 21.00

John rozpoznał twarze kilku osób, które spoglądały na niego zza szklanej szyby, bo miały prawo stać w tamtym miejscu. Było to zgodne z rozporządzeniem nr 5120-9-54.

Po lewej stronie stał Charles Hartnett, który był o wiele starszy, niż John go zapamiętał. Teraz był już na emeryturze, ale to on aresztował go tamtego ranka w jego pokoju. John miał wtedy siedemnaście lat, był na wpół zaspany, a tu jakiś obcy facet każe mu stanąć przy łóżku z rozstawionymi szeroko nogami...

Obok Hartnetta stał Jacob Holt, szef ODCR, instytucji nadzorującej opiekę penitencjarną w stanie Ohio. Dwie godziny przed egzekucją opuścił swój wielki pokój w Columbus i pojechał do Marcusville. Obserwowanie więźniów podczas egzekucji należało do jego obowiązków.

Obok niego stał naczelnik więzienia, wysoki mężczyzna o smagłej karnacji, który miał tyle samo lat co John, jeden z tych, co odchylają szyję do tyłu, gdy na kogoś patrzą, jakby chcieli podkreślić w ten sposób swój wysoki wzrost.

Długi szereg innych osób, John był pewien, że to dziennikarze.

Kilka osób w garniturach, nigdy wcześniej ich nie widział.

Duchowny – ten sam, który kiedyś odwiedzał regularnie Marvina Williamsa; John słyszał, jak rozmawiają w sąsiedniej celi, jak się razem modlą; później Marv poczuł ulgę, czuł się jakby wyzwolony.

Pół kroku z tyłu stało czterech strażników, daszki czapek mieli nasunięte głęboko na oczy.

* * *

Wśród świadków egzekucji była tylko jedna kobieta.

John od razu ją rozpoznał. To Alice Finnigan. Zawsze ją lubił, miała w sobie tyle ciepła i gościnności, nawet w stosunku do chłopaka, który cieszył się złą sławą, a jednak zalecał się do jej córki.

John starał się unikać wzroku ojca Elizabeth, który go nienawidził, jego czerwonej twarzy, która znajdowała się tuż przy szybie.

* * *

John mógł wybrać trzech własnych świadków egzekucji, ale zrezygnował z tego przywileju.

Nie chciał, żeby przyszedł tu ktoś, na kim mu zależało.

* * *

W czasie egzekucji panowała zazwyczaj cisza.

Ostatnie cztery minuty były jednym długim oczekiwaniem, aż upłynie przewidziany czas. Wszyscy spoglądali na zegarki i mieli nadzieję, że szybko się to skończy. Widać było, że żadna z obecnych osób nie była przyzwyczajona do odliczania czasu.

Na tablicy wiszącej na ścianie zobaczył telefon. Była to jedyna rzecz, jaka znajdowała się w pomieszczeniu. Wystarczy, że gubernator zmieni zdanie i egzekucję trzeba będzie przerwać.

Zostało czterdzieści pięć sekund, na wszelki wypadek.

W końcu naczelnik więzienia skinął głową w stronę starszego mężczyzny z siwą, wypielęgowaną bródką. Nazywał się Patrick McCarthy i z dumą trzymał się prosto; należał

do grupy strażników, którzy w zakładzie karnym w Marcusville służyli najdłużej. McCarthy stał obok urządzenia, które miało tłoczyć zabójczą ciecz. Na sygnał naczelnika on też skinął głową i lekko nacisnął palcem duży, biały, plastikowy guzik.

* * *

Tiopental sodu, 5 g – John zaczyna ziewać i zapada w stan nieświadomości.

Bromek pankuronium, 100 mg – jego mięśnie obejmuje paraliż, następuje zatrzymanie oddechu.

Chlorek potasu, 100 mg – następuje zawał serca.

ŚRODA, GODZINA 21.11

Kiedy lekarz więzienny zbadał Johna i słabym głosem oświadczył, że egzekucja dobiegła końca, można było odnieść wrażenie, że jego słowa przywróciły do życia osoby znajdujące się w strefie dla świadków. Cisza, oczekiwanie... to już się skończyło. Naczelnik więzienia klasnął jak zwykle dwa razy w dłoń, żeby w ten sposób poprosić wszystkich o uwagę, i oznajmił, że lekarz dyżurny stwierdził śmierć więźnia o godzinie 21.11.

Edward Finnigan zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Chciał zobaczyć ciało, które już się nie ruszało, i poczuć spokój, na który od tak dawna czekał. Niepokój, ciemność i nienawiść, które tak bardzo przeszkadzały Alice, miały w tym momencie zniknąć.

Spojrzał na twarz, która była całkowicie rozluźniona.

Nienawiść.

Nadał ją czuł.

Finnigan splunął kilkakrotnie na szybę w stronę ciała, które zabierano właśnie z łoża pokrytego białym materiałem i wyposażonego w czarne pasy. Nagle podbiegła do niego Alice

i mocno uderzyła go dłońmi w plecy. Krzyknęła, że ma się uspokoić, płakała i tak długo okładała go pięściami, aż nie odwracając się, wyszedł z sali.

CZWARTEK

Był to jeden z tych chłodnych, bezchmurnych poranków, kiedy zima zaczęła ustępować miejsca wiosnie.

Vernon Eriksen obudził się kilka godzin wcześniej i leżał niespokojnie w ciemnościach. Znowu mu się śniło, że jest małym chłopcem, spogląda na swego ojca z górnego piętra i widzi ubrania i pomadki, dzięki którym martwi przez chwilę stawali się na powrót żywi, a także rodzinę, która płacze i czeka przed wejściem do budynku. Wstał z łóżka, otrząsnął się z resztek snu, napił się ciepłego mleka i zjadł kanapkę, choć była dopiero czwarta rano. Siedział w kuchni przy stole i wyglądał na jedną z opustoszałych ulic Marcusville, która powoli budziła się do życia. Od czasu do czasu obok domu przejeżdżał gazeciarz, na pustym asfalcie siadał jakiś ptak, a przed domy wychodzili ubrani w piżamy sąsiedzi, żeby zabrać poranną gazetę, którą będą czytać przy płatkach i jogurcie waniliowym. Eriksen nadal przebywał na całodniowym zwolnieniu lekarskim, do godziny osiemnastej, do czasu, aż w więzieniu zaczną w końcu odczuwać brak jego obecności.

Eriksen wiedział o czymś, o czym nie wiedział nikt inny: że już nigdy się tam nie zjawi.

Rozejrzył się wokół siebie. Lubił swoją kuchnię. To dom jego rodziców, a on mieszkał w nim od zawsze. Miał dziewiętnaście lat, gdy rodzice, nie informując go o niczym, po prostu go zostawili. Rozliczył się z siostrą za część domu przypadającą na nią, bo zawsze gdzieś ją nosiło, bardziej niż jego. Już kilka lat wcześniej przeniosła się do Cleveland, żeby rozpocząć studia, a potem już tam została.

On nie zrobił kariery.

Pracował jako szef strażników w bloku śmierci, od czasu do czasu spotykał się z ludźmi, którzy przerażali go, gdy próbowali nawiązać bliższy kontakt. Dużo czasu poświęcał czytaniu książek i długim spacerom. Po wszystkich tamtych miesiącach spędzonych z Alice wiele lat wcześniej, po jej wyjeździe po śmierci rodziców, zaczął odczuwać nieopisaną pustkę i tak naprawdę przestało mu na czymkolwiek zależeć. Zmiana nastąpiła dopiero wtedy, gdy zainteresował się działalnością grupy osób, które występowały na rzecz zniesienia kary śmierci. Zachowywali się jak członkowie ruchu oporu, a on był jednym z żołnierzy. Chciał tak myśleć i czuć w ten sposób, chciał aktywnie uczestniczyć w walce przeciwko przestarzałym poglądom społeczeństwa. Zawsze w tle i zawsze nieoficjalnie, bo rozumiał, że strażnik więzienny nie może się pokazywać w takim towarzystwie. A przecież potrzebował tej pracy, musiał przebywać wśród ludzi, którzy liczą czas, było to dla niego ważne, może równie ważne jak spotkania, listy protestacyjne i kontakty z adwokatami, których trzeba było przekonywać, aby w zamian za niewielkie honoraria zaangażowali się w działalność na rzecz przyszłości więźniów skazanych na śmierć.

Vernon czekał, aż wskazówka na zegarze pokaże ósmą. Podniósł słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie, wykręcił numer przychodni w Marcusville i poprosił do telefonu Alice Finnigan. A kiedy telefonistka w centrali połączyła go z nią, a w słuchawce usłyszał jej głos, przerwał połączenie.

Chciał tylko po raz ostatni usłyszeć jej głos.

Czuł, jak poranny mróz szczypie go w policzki, a słaby wiatr jeszcze bardziej potęgował chłód. Miał do przejścia tylko kawałek, dwie minuty, ale jakoś wytrzymał.

Właściwie nie potrzebował zbyt wiele. Białą papierową torbę z zielonym emblematem więziennym na wierzchu przygotował już poprzedniego wieczoru. Teraz niósł ją zwiniętą w jednej ręce, prawie nic nie ważyła.

Wielki dom Finnigana stał przy Mern Riffe Drive. Od poprzedniej wizyty, jaką tu złożył, minęły dwa miesiące. Opowiadał wtedy o Johnie, mówił, że żyje, że mieszka gdzieś w północnej Europie. Przypomniawszy sobie reakcję Finnigana i wspomnienie to nadal napawało go obrzydzeniem. Pomyślał wtedy, że to niezwykle, jak bardzo ludzie mogą w jednej chwili zbrzydnąć. Doświadczał takich sytuacji już wcześniej, kiedy ustalano datę jakiejś egzekucji, widział zadowoloną rodzinę ofiary, ich nienawiść i chęć zemsty, oba te uczucia tak bardzo tych ludzi ożywiały. Przypomniawszy sobie także żal Alice, która się wstydziła, i niesmak, który odczuwała z powodu zachowania swego męża. Vernon wyszedł wtedy stamtąd, bo zaczęło mu się kręcić w głowie. Ta zamężna przecież kobieta była strasznie samotna.

Dopiero gdy po raz trzeci nacisnął na dzwonek, usłyszał, że w domu ktoś jest.

Ciężkie, powolne kroki osoby schodzącej po schodach, teraz otwiera wewnętrzne drzwi, robi kilka kolejnych kroków i oto pojawia się twarz Edwarda Finnigana.

– Eriksen?

Finnigan miał bladą cerę, głębokie cienie pod oczami, a jego potężne ciało okrywał frotowy szlafrok.

– Chyba powinienem wcześniej zadzwonić.

Finnigan trzymał drzwi lekko uchylone, jego nagie stopy zaczęły marznąć.

– O co chodzi?

– Mogę wejść?

– To nie najlepszy moment. Wziąłem sobie dzisiaj wolne.

– Wiem.

– Wiesz?

– Słyszałem. Wpuścisz mnie?

Finnigan właśnie parzył kawę w ekspresie, który wydawał głośne dźwięki. Widać było, że nie ma w tym wprawy, takimi rzeczami zajmowała się Alice.

– Czarną?

– I trochę mleczka.

Popijali kawę z eleganckich porcelanowych kubków z ornamentami na spodzie i unikali swojego wzroku. Eriksen znał Finnigana od zawsze, a mimo to nic o nim nie wiedział.

– Chciałeś czegoś ode mnie?

– Chcę porozmawiać o Elizabeth.

– O Elizabeth?

– Tak.

– Nie dzisiaj.

– Właśnie że dzisiaj.

Finnigan odstawił kubek tak energicznie, aż na białym obrusie zrobiła się brunatna plama.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, co się wczoraj wydarzyło?

– Tak.

– No to chyba łatwo powinieneś zrozumieć, że właśnie dzisiaj nie mam zbyt wielkiej ochoty rozmawiać o mojej nieżyjącej córce z kimś, kogo to niespecjalnie obchodzi.

W salonie stał zegar, jeden z takich, które przy każdym ruchu wahadła wydają głośny dźwięk przypominający uderzenie pioruna. Vernon zawsze się zastanawiał, jak ktoś może to wytrzymać, ale teraz dźwięk ten sprawiał mu przyjemność, bo rozpraszał panującą ciszę.

– Ty chyba nie rozumiesz.

Po raz pierwszy, odkąd usiedli, Finnigan próbował spojrzeć mu oczy.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy chodzić przez dwadzieścia lat i w każdej chwili, każdego dnia, o każdej godzinie myśleć o ludzkiej śmierci. Nie masz za grosza pojęcia o tym, jak bardzo można nienawidzić, jeśli się musi.

Oczy Finnigana zaczerwieńczyły się i rozbłysły, jeszcze chwila, a pojawią się w nich łzy.

– Nie rozumiesz! On już nie żyje! Widziałem, że nie żyje! I w niczym mi to nie pomogło!

Uniósł dłoń do oczu i zaczął je energicznie pocierać.

– Nie pomaga za cholere! Alice miała rację, przez cały czas. Rozumiesz, jak trudno się z tym pogodzić? Że nie da się nienawidzić kogoś, kto nie żyje? Że to w niczym nie pomaga? Przecież mojej córce i tak to nie przywróci życia!

Finnigan pochylił się, a jego twarz znalazła się prawie nad samym blatem. Nie zauważył więc, że Vernon przez krótką chwilę się uśmiechał.

– Czy mogę skorzystać z toalety?

Eriksen skierował się w stronę, którą wskazał mu Finnigan, przeszedł przez kuchnię i znalazł się w korytarzu. Kiedy jednak doszedł do toalety, nie wszedł do środka, tylko ruszył dalej. Zszedł szybko do piwnicy, gdzie była strzelnica, właśnie tam spotkał się z Finniganem poprzednim razem. Stał przed gablotą z bronią wiszącą na ścianie, obwinął dłoń plastikową reklamówką i otworzył szafkę. Pistolet, którego szukał, leżał na drugiej półce. Dobrze pamiętał, jak Finnigan wyjął z pistoletu amunicję i odłożył go na swoje miejsce. Teraz uniósł go ostrożnie, tą samą dłonią owiniętą w reklamówkę, bo chciał zachować odciski palców znajdujące się na broni.

Zabrało mu to nie dłużej niż minutę.

Potem wrócił na górę, włożył pistolet do papierowej torby, którą zostawił na dywaniku w korytarzu, a następnie wszedł do toalety i spuścił wodę. Finnigan nadal siedział w tym samym miejscu, gdzie Eriksen go zostawił, z pustym wzrokiem spuszczone nad blatem stołu.

– Przyszedłem tu, żeby porozmawiać z tobą o Elizabeth.

– Słyszałem. A ja ci powiedziałem, że to nie najlepszy dzień.

– To właściwy dzień. Spodoba ci się. Ale najpierw opowiem ci trochę o Johnie.

– Ani słowa o nim w tym domu!

Finnigan walnął dłonią w stół z taką siłą, że szklany świecznik stojący w rogu spadł na podłogę i pękł na dwie części.

– Nigdy więcej!

Vernon odezwał się spokojnym, cichym głosem.

– Nie wyjdę stąd, dopóki nie posłuchasz, co mam do powiedzenia.

Jeszcze chwila, a doszłoby do bójk. Stali tak naprzeciwko siebie; biała twarz Finnigana zrobiła się czerwona, oddech miał gwałtowny, ale Eriksen był dobrze zbudowanym mężczyzną, więc Finnigan tylko przez chwilę spoglądał na niego ze złością, a potem prawie bezsilnie usiadł na kanapie.

Vernon spojrzał na niego, jakby się chciał upewnić, że dotrze do niego reakcja Finnigana.

– To ja w głównej mierze odpowiadam za ucieczkę Johna z Marcusville.

* * *

Edward Finnigan całkiem się skurczył, kiedy siedzący przed nim szef straży więziennej opowiadał mu o tym, jak skazany na śmierć więzień, morderca jego córki, uciekł z celi w bloku śmierci, a potem przez sześć lat żył sobie na wolności w innym zakątku świata. Eriksen szczegółowo opowiedział mu o trwającej trzydzieści minut ucieczce z więzienia: o przygotowaniach poczynionych przez lekarzy i o lekarstwach, które sprawiły, że więzień wyglądał, jakby nie żył, a także o transporcie do Kanady, Rosji i do Sztokholmu. Szczególnie dokładnie opisał fragment dotyczący przerzucenia Johna z więziennej kostnicy do samochodu, który czekał na nich na zewnątrz, bo właśnie ta część ucieczki podobała mu się najbardziej. I nawet szeroko się uśmiechał, gdy zaczął opisywać worki na zwłoki i dwóch lekarzy, którzy domagali się, aby pozwolono im zabrać zwłoki na sekcję w Columbus. Nikt ich nie otworzył, żeby sprawdzić, czy w środku rzeczywiście znajduje się ciało zmarłego. A gdy już worek z Johnem w środku wyjęli z pojazdu, który chwilę potem wrócił do Marcusville, przełożenie go do innego samochodu stojącego przy tej samej rampie zajęło tylko chwilę.

* * *

Finnigan leżał w bezruchu i milczał. Vernon spojrzał na mężczyznę leżącego na kanapie z rękami założonymi na brzuchu i poczuł spokój. Przez wszystkie te lata myślał o tej chwili, a teraz był już bardzo blisko.

– Ale to nie John zabił twoją córkę.

Finnigan poczuł się tak, jakby Eriksen go uderzył.

– Jesteś wielkim zwolennikiem kary śmierci, ale człowiek, którego wczoraj stracono, wobec którego ją orzeczono, był niewinny.

Finnigan próbował się podnieść, ale opadł na kanapę, bo ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

– Ty i Alice rzadko wracaliście do domu przed ósmą wieczorem. Elizabeth miała wtedy cały dom dla siebie, aż do tamtej chwili. Widziałem, jak John od niej wychodzi, przez chwilę stali objęci przy drzwiach wejściowych, a potem on odszedł.

Eriksen nadal spoglądał na Finnigana, bo chciał widzieć jego twarz, a właściwie chciał zobaczyć, jak ta twarz się zmieni, gdy powie mu prawdę.

– Wszedłem do środka dziesięć minut po jego wyjściu. John ją obejmował, odbył z nią stosunek, zawsze tak robili przed waszym powrotem. Nie wiedziałeś o tym? Odciski palców, sperma, na całym jej ciele pełno było jego śladów. Potrzebowałem tylko dwóch minut, nie więcej, a kiedy wychodziłem, ona leżała na podłodze.

* * *

Vernon mówił dalej aż do chwili, gdy Finnigan skoczył w jego stronę i z wściekłością próbował uderzyć go zaciśniętymi pięściami w twarz. Bo właśnie w nią chciał trafić. Czerwony na twarzy bił i gryzł Eriksena, a ten pozwalał mu na to, aż się upewnił, że na jego ciele jest już krew i skrawki skóry Finnigana.

Wtedy wyprowadził jeden silny cios i trafił go w pewien punkt na klatki piersiowej, aż Finnigan stracił przytomność. Eriksen wybiegł na korytarz, otworzył papierową torbę i wyjął z niej cienką szmatę i buteleczkę eteru.

Wyliczył sobie, że powinno to wystarczyć, aby Finnigan przez półtorej godziny leżał nieprzytomny. Właśnie tyle czasu potrzebował.

Eriksen nigdy wcześniej nie spotkał się z Richardem Hinesem. Jednak już od dziesięciu lat czytał jego artykuły o amerykańskim systemie prawnym, które Hines publikował w „Cincinnati Post”. Nie zawsze podzielał jego poglądy, ale doceniał ostrość wypowiedzi i precyzję, bo to, o czym pisał Hines, zawsze miało pokrycie w materiale, który zgromadził. Jego twierdzenia nie były poprawne, ale za to słuszne.

Umówili się na spotkanie w niewielkiej kawiarni przy wjeździe do Marcusville w odległości dziesięciu minut od miejsca, gdzie mieszkał Finnigan. Vernon wiedział, że o tej porze ten niewielki lokal jest prawie pusty. Samotna kelnerka, jakiś kierowca ciężarówki, okruszki starego jedzenia na stołach i męcząca muzyka płynąca z głośników.

Hines już tam był, a na stole stała przed nim butelka piwa i kanapka z czymś, co przypominało rostbef. Był niższy, niż Vernon sądził, mógł ważyć najwyżej sześćdziesiąt kilogramów. Miał jednak czujny wzrok, a na jego wąskiej twarzy gościł szeroki uśmiech.

– Pan Eriksen?

Vernon skinął głową, odszukał wzrokiem kelnerkę i pokazał jej, że prosi o to samo piwo, jakie pił Hines, a potem siadł przy stoliku.

– Dziękuję, że zgodził się pan przyjść.

Hines machnął ręką.

– Prawdę mówiąc, chciałem to na początku olać. Powiem szczerze: sądziłem, że znowu dzwoni do mnie jakiś czubek. Ciągłe wydzwaniania mądrale, którzy naczytali się różnych rzeczy i traktują mnie jako swojego nieformalnego rzecznika. Sprawdziłem jednak dane dotyczące pańskiego miejsca pracy i doszedłem do wniosku, że byłbym idiotą, gdybym nie posłuchał, co ma mi do powiedzenia szef strażników w bloku śmierci jednego z najcięższych zakładów karnych w tym stanie, który dzwoni do mnie dwanaście godzin po wykonanej egzekucji i twierdzi, że ma dla mnie sensacyjną wiadomość.

Kelnerka była młodą kobietą, właściwie dziewczyną, która dopiero wkraczała w dorosłe życie. Przyniosła piwo, a Vernon zastanawiał się, czy zadowala ją praca w tej nędznej

kawiarni w zapyziałej dziurze, podczas gdy świat stoi przed nią otworem.

– Dam panu materiał na pierwszą stronę. Ale mam jeden warunek: musi pan to opublikować już jutro.

Hines roześmiał się, w jego głosie zabrzmiała nutka szyderstwa.

– O tym zadecyduję ja.

– Jutro.

– Wyjaśnijmy sobie na początek jedną rzecz. To ja oceniam wartość materiału. Jeśli pana historia będzie się trzymać kupy, opiszę ją. Jeżeli nie, to po prostu uznam, że spotkaliśmy się, żeby wypić po piwie.

– Ta historia na pewno trzyma się kupy.

Znowu ta męcząca, a nawet irytująca muzyka. Vernon na chwilę przeprosił Hinesa, podszedł do kelnerki i poprosił ją, aby trochę ściszyła muzykę. Potem wrócił i znowu siadł przy sosnowym stoliku z czterema czerwonymi, plastikowymi podkładkami na blacie.

– Nareszcie, teraz będziemy się słyszeć.

Eriksen spojrział na Hinesa i zaczął opowiadać:

– Przepracowałem w więzieniu w Marcusville całe swoje dorosłe życie. Prawie mieszkałem wśród osadzonych przez ponad trzydzieści lat. Widziałem wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z przestępczością. Wszystkie kategorie przestępców i konsekwencje wszystkich rodzajów przestępstw. Wierzę, że kara jest potrzebna. Społeczeństwo, które wymierza karę, to społeczeństwo żyjące według określonych norm.

Przed oknem lokalu zahamowała ciężarówka. Obaj zerknęli w jej stronę i zobaczyli, jak jakiś silnie zbudowany mężczyzna z włosami związanymi w kucyk wysiadł z szoferki i podszedł do drzwi wejściowych.

– Jest jednak jeden wyjątek. Kara śmierci. Społeczeństwo kierujące się określonymi zasadami nie może funkcjonować w państwie, które pozbawia ludzi życia. Uświadomiłem to sobie po kilku latach pracy w bloku śmierci. Wie pan, w każdym więzieniu siedzą tacy, którzy są niewinni lub trafili tam na skutek pomyłki sądowej. Wiem o tym ja i wszyscy inni, którzy pracują w więzieniach. Jestem absolutnie pewien, że dwóch takich, którymi się opiekowałem, należało do tej właśnie kategorii.

Kierowca ciężarówki siadł przy stoliku w drugim końcu sali. Kiedy wszedł do środka, Vernon ściszył głos, ale teraz znowu zaczął mówić głośniej:

– Wystarczy, że egzekucji zostanie poddana jedna niewinna osoba i cały ten system okaże się niesprawny! Jeśli później ktoś zauważy pomyłkę, jest już za późno, aby ją naprawić. Prawda? I żadne odszkodowanie nie zwróci zabranego życia.

Eriksen od osiemnastu lat przygotowywał się do wypowiedzenia tych słów. A teraz nagle z takim trudem dobierał słowa.

– Poczucie sprawiedliwości dla ofiary... Panie Hines, to nic innego jak tylko zemsta. Czy pan naprawdę wierzy w takie pojęcia jak sprawiedliwość, godność ludzka itepe? Tu już nie o to chodzi i zastanawiam się, czy kiedykolwiek o to chodziło. Obserwuję to każdego dnia. Zemsta... to właśnie ona stała się siłą napędową państwa.

Dopił resztę piwa i zerknął na Hinesa, który nadal wyglądał na zainteresowanego.

– Czasem... czasem trzeba komuś odebrać życie, żeby uratować inne. Czy pan o tym wiedział? Ja wybrałem Edwarda Finnigana. Właśnie to zrobiłem – wybrałem. Finnigan należał do tych, których ludzie słuchali. Zwolennik kary śmierci posiadający w tym stanie wielką władzę. Wszystko się zgadzało. Miał córkę, na pewno będzie ją oplakiwał. Dziewczyna miała chłopaka, który sprawiał kłopoty wychowawcze, więc łatwo go będzie obarczyć winą. Dwa życia. Sprawa była tego warta. Poświęciłem życie dwojga ludzi, żeby wszyscy zrozumieli, jak wielkim błędem jest stosowanie kary śmierci. Jeśli z powodu dwóch ludzkich istnień będzie można zakwestionować system, który pozbawia życia znacznie więcej ludzi, warto to zrobić.

Hines siedział w całkowitym milczeniu. Przestał nawet notować, bo nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– To ja zabiłem Elizabeth Finnigan. Wiedziałem, że Johna skazą na śmierć, bo nie był już niepełnoletni. Zaplanowałem sobie, że gdy będzie już po egzekucji, zrobię właśnie to, co teraz: ujawnię publicznie, co zdarzyło się naprawdę.

Hines zaczął odczuwać niesmak. Oto siedzi przed nim strażnik więzienny i twierdzi, że to on popełnił zbrodnię, która wstrząsnęła całym stanem.

Był zwykłym człowiekiem, więc chciał stamtąd natychmiast wybiec, żeby zameldować gdzie trzeba o wszystkim, co opowiedział mu ten szaleniec. Ale był także dziennikarzem i chciał dowiedzieć się więcej.

– Frey uciekł. To, o czym pan mówi, nie zgadza się.

– Widzi pan, coś się zdarzyło. Nagle... okazało się, że nie mogę zrealizować tego, co tak dokładnie zaplanowałem. Zacząłem... zacząłem lubić tego chłopaka. John był taki mądry, wrażliwy... nigdy przedtem nie czułem do nikogo takiej sympatii. Wszyscy pozostali... no nie wiem... za każdym razem, gdy ktoś z tych, którymi się opiekowałem, umierał, czułem, jakby w tej samej chwili umierał członek mojej rodziny. A John był dla mnie jak syn, nie umiem tego lepiej wytłumaczyć. Nie miałem na tyle odwagi, żeby pozwolić na jego śmierć. Rozumie pan?

– Nie, nie rozumiem.

– Od kilku lat należę do ugrupowania walczącego o zniesienie kary śmierci. Zacząłem współpracować z grupą, która walczyła o Johna. Na koniec razem z kilkoma osobami zaplanowałem jego ucieczkę.

Eriksen machnął ręką.

– A potem ten jeden jedyny błąd popełniony na wolności! Od razu zrozumiałem, że szybko będzie po wszystkim. Chodziło przecież o ten cholerny prestiż. O pozycję Finnigana. Dlatego robię to teraz. Kończę coś, co zacząłem dawno temu.

Ostatnie krople piwa były już ciepłe, ale chciało mu się pić, więc wypił nawet pianę z dna szklanki. Potem zaczął czegoś szukać w kieszeniach spodni, wyjął cztery jednodolarówki i położył je obok pustej szklanki.

– To ja ją zabiłem, ale zamiast ukarać mnie, zabili Johna Freya. System, w którym kara śmierci jest dopuszczalna, nie powinien istnieć. Wiem, że pan o tym wszystkim napisze. Że zdąży pan do jutra. To zbyt dobry materiał, żeby pan go sobie odpuścił. A kiedy wszyscy się o tym dowiedzą, będzie to oznaczać koniec systemu.

Eriksen podniósł się z krzesła, zapiął płaszcz i skierował się do wyjścia.

– Proszę jeszcze zostać.

– Trochę mi się spieszy.

– Ale jeszcze nie skończyliśmy. Rozumiem, że nadal pan chce, żeby poszło to do druku?

Vernon spojrział na zegarek. Zostało mu piętnaście minut. Usiadł na krześle.

– Wszystko to brzmi trochę za prosto. To ciekawa historia, ale potrzeba mi czegoś więcej. Coś, co zawiera dowód, że wszystko, o czym mi pan opowiedział, jest prawdą.

– Kiedy wróci pan do redakcji, znajdzie pan wszystko na swoim biurku. W kopercie.

– W kopercie?

– W kopercie znajdzie pan szczegóły, o których mógł wiedzieć tylko ktoś, kto zabił Elizabeth. Jej zegarek, na przykład. Zawsze go nosiła. Nie pamiętam, żeby wspomiano o nim w materiałach śledczych. Jej rodzice potwierdzą, że to ten zegarek.

– Coś jeszcze?

– Coś, o czym wie tylko ktoś, kto organizował ucieczkę Johna. Znajdzie pan ośmiostronicowy dokument, w którym szczegółowo opisuję, jak do tego doszło. Kiedy pan to przeczyta i porówna z tym, co wiemy na temat jego śmierci, zrozumie pan.

– To pan tak twierdzi.

– Zdjęcia. Są tam zdjęcia, które mógł zrobić tylko ktoś, kto tam wtedy był. Ujęcia jej

ciała leżącego na podłodze. Zdjęcia ciała Johna w kostnicy i w worku na zwłoki, a nawet zdjęcie Johna wsiadającego na pokład samolotu lecącego do Toronto.

Hines szukał czegoś za oknem, chciał po prostu uciec wzrokiem w inne miejsce. Jego wzrok zatrzymał się na drodze, przy której stała wielka ciężarówka.

– Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z czymś takim. Szczerze mówiąc... uważam, że jest pan porąbany.

– Porąbany? Nie, proszę pana. Porąbany jest ten, kto twierdzi, że państwo ma prawo odebrać życie innemu człowiekowi. Cóż może być zdrowszego niż chwila, kiedy kara śmierci zostanie zniesiona?

Hines potrząsnął głową.

– Chwała Bogu, że to nie ja muszę o tym rozstrzygać. Zostanie pan za to postawiony przed sądem. A sąd pana za to skaże.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy Eriksen uśmiechnął się i poczuł pewną ulgę. Prawie skończył i zostało mu jeszcze dużo czasu.

– Przecież sam pan wie, że tak się nie stanie. Oznaczałoby to bowiem, że cały system jest bezwartościowy. Stan Ohio nigdy – powtarzam: nigdy – nie przyzna, że wykonał egzekucję na niewinnym człowieku. Żaden prokurator nie odważy się ponownie oskarżać w tej sprawie. Prawda?

Eriksen po raz drugi podniósł się z krzesła, żeby wyjść z lokalu. Nie podał Hinesowi ręki, ale skinął mu przyjaźnie głową. Wiedział, że Hines wróci zaraz do Cincinnati i napisze najbardziej niezwykły artykuł w swoim życiu.

– Dzięki, że pan przyszedł. Ja muszę się jeszcze wybrać do Finnigana. Jestem absolutnie pewien, że on też będzie chciał mnie posłuchać.

Spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze czterdzieści pięć minut. Powinien zdążyć.

Nadal było zimno, więc zapiał pod szyją guzik kurtki i naciągnął rękawiczki. Poszedł na Mern Riffe Drive, a przechodząc obok wielkiego domu Finnigana, zwolnił kroku. Gdyby ktoś akurat w tej chwili wyglądał przez okno, mógłby później potwierdzić, że Vernon Eriksen prawdopodobnie był u niego o tej godzinie.

Przeszedł jeszcze około kilometra leśną uliczką, która zaczyna się w miejscu, gdzie kończy się Mern Riffe Drive. To jego stała trasa; chodził tędy kilka razy na tydzień i oddychał powietrzem przesyconym zapachem drzew i mchów. Na samym końcu znajduje się niewielkie jezioro. W dzieciństwie jeździł tam latem na rowerze, woda była zimna, ale czysta, dno pokryte szlamem i ostrymi kamieniami. Było to jedyne funkcjonujące kąpielisko w Marcusville.

Vernon stał w milczeniu, przyglądał się spokojnej tafli wody, patrzył na drzewa i na błękitne, chłodne niebo.

Był to jeden z tych pięknych dni.

Podszedł do drzewa, które wyglądało na największe. Stało w odległości piętnastu, może dwudziestu metrów od wody. Ulubione miejsce srok. Nie było na nim liści i składało się właściwie z samych bezlistnych gałęzi, ale trudno to było dostrzec, bo siedziały na nich setki srok, dzięki którym drzewo żyło. Sroki nadawały mu ciemny kolor, który zastąpił ten prawdziwy, zielony.

W papierowej torbie miał pistolet Finnigana. Amunicja – dwa pociski – leżała luzem, w środku. Załadował broń i wycelował w powietrze nad drzewem.

Ptaki zerwały się do lotu jak zawsze, kiedy strzelał, skrzecząc i wrzeszcząc z powodu zamieszania. Trwało to jednak tylko chwilę. Odfrunęły trochę w górę, potem zbliżyły się na odległość kilku metrów, a po dwóch minutach znowu siedziały na starym miejscu.

Vernon nic nie czuł. Uświadomił sobie, że nigdy przedtem nie odczuwał takiej pustki.

Minęło już prawie dwadzieścia lat i w końcu dotarł do celu. Jeszcze tylko kilka minut,

nie więcej. To nie Bóg decyduje o życiu i śmierci. Jednak najważniejsze jest to, co będzie dalej: To ja o tym decyduję. Przez cały czas był święcie przekonany, że śmierć dwojga młodych ludzi wystarczy, aby cały stan, a może nawet cały naród zmieniły swoje nastawienie. Wszystko zacznie się jednak dopiero jutro, kiedy „Cincinnati Post” opíše, co naprawdę się stało. Dzięki temu sprawa trafi do ludzi, do ich domów, zaczną o niej rozmawiać przy kuchennych stołach, nabierze nowych wymiarów, kiedy prawdziwy symbol zwolenników kary śmierci w stanie Ohio, ojciec zamordowanej dziewczyny, który przez wszystkie te lata głosił prawo ofiary do sprawiedliwości i oczywistą według niego zasadę, jaka powinna obowiązywać w społeczeństwie – „oko za oko” – kiedy ten symbol zostanie zakwestionowany.

Wokół panowała cisza. Słyszał tylko skrzeczenie kilku ptaków i lekkie podmuchy wiatru kołyszącego trzcina.

Wyjął z pudełka cienki sznur z konopi i niewielką kulkę talku, który wydzieliał intensywny zapach. Podeszedł kamienistą ścieżką do wody, podarł torbę na drobne kawałki, wrzucił je do wody i zawrócił.

Zatrzymał się pod jednym z grubych, dolnych konarów drzewa. Przykucnął, potarł sznur talkiem na całej długości, aż zaczął połyskiwać, jakby pokrywało go srebro. Niech sroki to widzą. Niech czują ten zapach. Próbował tego już wcześniej i wiedział, że to działa.

Musiał posłużyć się lewą dłonią. Kiedy później przewróci się na ziemię, lewe ramię znajdzie się w zakrzywionej pozycji i nikt nie uzna tego za samobójstwo.

Owinął jedną z końcówek sznura wokół nadgarstka, drugi koniec zarzucił na konar i sprawdził, czy wisi nad głową. Z prawej kieszeni płaszcza wyjął pistolet i wziął go do lewej dłoni, a następnie chwycił drugi koniec sznura, który wisiał luzem.

Zamordował jedyne dziecko Edwarda Finnigana.

Potem, w ciągu dnia, spotkał się ze znanym dziennikarzem i poinformował go, że zamierza opowiedzieć całą prawdę Finniganowi.

Istnieje motyw.

Badania laboratoryjne potwierdzą później ślady jego pobytu w domu Finnigana; zostanie też udowodnione, że broń, z której oddano strzał, jest zarejestrowana na Edwarda Finnigana i są na niej odciski jego palców. Laboratorium potwierdzi też, że ślady krwi i strzępki skóry znalezione na ciele ofiary należą do Finnigana.

Trudno mu było wycelować lewą dłonią przywiązaną luźno do sznura. Jeśli jednak nie przymknie oczu i jeśli jeszcze trochę przesunie policzek, z pewnością trafi w skroń.

* * *

Odgłos strzału wystraszył setki srok siedzących na drzewie nad mężczyzną, który przewrócił się na ziemię. Sroki uniosły się w górę, zakreśliły koło, poskrzeczały niespokojnie, ale po dwóch minutach wróciły na miejsce. Ciało leżące na dole i silny zapach talku skusił je chwilę później, aby sfrunąć na dół. W ciągu pół godziny zjadły krótki, cienki sznur, a potem wróciły na swoje miejsce, na pozbawione liści drzewo.

Nie obchodził ich leżący na ziemi martwy człowiek z raną postrzałową głowy ani pistolet, który później znaleziono w odległości kilku metrów od zwłok.

KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Na zewnątrz było już lato, ale z cel znajdujących się przy długim korytarzu w bloku śmierci nie było nic widać. Tylko z okienka pod sufitem bił wąski snop ostrego słonecznego światła. Michael Oken pracował tam dopiero od dziewięciu tygodni i zdążył się już przyzwyczaić do twardego betonu, którym szedł dwa razy na dzień, aby zajrzeć do cel i nauczyć się nazwisk siedzących w nich więźniów. Chciał też pokazać, że po zmianie szefa strażników nadal panuje porządek i że w pełni panują nad sytuacją.

Często zatrzymywał się przy jednej z cel, która przedtem przez długi czas stała pusta, mniej więcej pośrodku korytarza. Więzień, który leżał w niej na pryczy, był jedynym, który do tej pory nie odezwał się ani słowem. Leżał po prostu i gapił się w sufit. Trudno było określić, czy jest przytomny czy śpi.

Kolejny dzień jak każdy inny. Potężne ciało leżące na plecach, twarz zwrócona w stronę sufitu, tyłem do wejścia, luźna, pomarańczowa bluza i litery DR na nogawkach spodni. Oken przyglądał mu się przez chwilę, bo bardzo chciał, żeby więzień odwrócił się do niego i zaczął mówić. Jest tyle rzeczy, o które chciałby go zapytać.

Ten szaleniiec zastrzelił Eriksena, wyglądało to na typową egzekucję, strzał prosto w skroń. A przecież był najbliższym współpracownikiem gubernatora.

Oken westchnął. No tak, każdy z osadzonych ma jakąś historię. A on chętnie wysłuchałby właśnie tej.

OD AUTORÓW

Odkupienie to powieść kryminalna.

Opisane w niej postacie są fikcyjne.

Postacią fikcyjną jest także Ewert Grens, którego tak lubimy. Jeśli tak, to i pozostali bohaterowie książki zostali przez nas wymyśleni.

Nie istnieje miejscowość Marcusville.

Natomiast stan Ohio nie ponosi żadnej odpowiedzialności za egzekucje opisane w książce, ponieważ nie istniał ani John Meyer Frey, ani jego towarzysz z sąsiedniej celi, Marvin Williams.

Wymysłem autorów książki jest też prawdopodobnie teza, że zarówno szwedzcy politycy, jak i politycy z innych krajów mogliby sprowadzić próby znalezienia rozwiązania kwestii coraz częstszych, brutalnych aktów przemocy do czystej retoryki o sprawiedliwości dla ofiar przemocy.

Wszystkim, którzy wspierali nas podczas pisania tej książki, składamy serdeczne podziękowania. Dziękujemy zwłaszcza takim osobom jak:

Johnnie, Tim, Cynth, Andy i Ron – za waszą nieocenioną pomoc.

Black Bob – za to, że zagrzewałeś ich do pracy.

Lasse Lagergren – za wyjaśnienie terminów medycznych.

Jan Stålhamre – za informacje o pracy policji.

Lars-Åke Pettersson – za informacje o zasadach funkcjonowania aresztu w Kronobergu.

Fia Svensson – za mnóstwo czasu spędzonego nad pierwszą wersją książki; korektorzy i wiele innych, nieznanym nam osób, które też tę książkę czytały przed publikacją.

Niclas Breimar, Ewa Eiman, Mikael Nyman i Vanja Svensson – za niezwykle trafne uwagi.

Nasi agenci, Niclas Salomonsson i Emma Tibblin – za to, że ciągle dodajecie nam sił.

Erie Thunfors – za projekty okładek naszych książek.

Astrid Sivander – za wielki wysiłek włożony w korektę tekstu Mattias Boström, Lotta Byqvist Lennartsson, Cherie Fusser, Lasse Jexell, Madeleine Lawass, Anna Carin Sigling, Ann-Marie Skarp i Lottis Wahlöö z wydawnictwa Piratförlaget – za kompetencję, ciepło i stworzenie dobrej atmosfery pracy.

Szczególne podziękowania składamy na ręce naszego wydawcy, Sofii Brattselius Thunfors.

SZTOKHOLM, MARZEC 2006 ROKU

Anders Roslund i Börge Hellström

Kilka uwag na temat książki Odkupienie

(Anders Roslund i Börge Hellström)

Anders:

Przed chwilą umarł człowiek. Właśnie Państwo o tym przeczytali. To postać fikcyjna, wymyślona przez autorów tej książki. Jednak okoliczności związane ze śmiercią Johna Meyera Freya, a także metody, jakimi państwo posługuje się w celu odebrania człowiekowi życia, odpowiadają rzeczywistości.

Karę śmierci przywrócono w USA w 1977 roku. Od tamtej pory aż do dnia dzisiejszego (tzn. 16 kwietnia 2007 roku): 901 osób stracono za pomocą zastrzyku z trucizną 153 osoby straciły życie na krześle elektrycznym 11 osób stracono w komorze gazowej 3 osoby powieszono 2 osoby zostały rozstrzelane przez plutony egzekucyjne.

Jednak kary nie przyczyniają się do spadku przestępczości. Jest to trochę zbyt proste i czarująco naiwne rozwiązanie. Społeczeństwo, które kształtuje ludzi dopuszczających się ciężkich przestępstw, musi lepiej się postarać, mianowicie wymierzać kary, ale także przedsięwziąć środki, które rzeczywiście zapobiegają przestępczości. Żadne badanie nigdy nie wykazało, że gdziekolwiek na świecie kara śmierci ma efekt odstraszący albo że przyczynia się do spadku przestępczości. Ktoś, kto zamierza popełnić zbrodnię, nie zajmuje się wtedy analizowaniem kwestii związanych z karą śmierci, bo musi zająć się czymś zupełnie innym. Weźmy dla przykładu Kanadę – kraj wzorcowy dla całego świata, jeśli chodzi o sposoby zapobiegania przestępczości. Również Szwecja zmierza w tym samym kierunku, wykorzystuje kanadyjskie doświadczenia.

W 1975 roku popełniono tam 3,09 morderstwa na 100 000 mieszkańców.

W następnym roku Kanada zlikwidowała karę śmierci i wybrała całkiem przeciwną metodę w porównaniu ze swym wielkim sąsiadem, Stanami Zjednoczonymi. Zaczęła mianowicie stosować kary w powiązaniu z innymi, rzeczywistymi środkami zapobiegającymi wzrostowi przestępczości.

Efekt był natychmiastowy:

W 1980 roku popełniono 2,41 morderstwa na 100 000 mieszkańców.

W 2003 roku popełniono 1,73 morderstwa na 100 000 mieszkańców.

27 lat po zniesieniu przez Kanadę kary śmierci liczba popełnionych morderstw spadła o 44 procent.

Nowoczesne metody badania DNA na dobre zmieniły pracę ekip dochodzeniowych i sądów. W niektórych starszych sprawach – gdy jeszcze nie stosowano tej metody – zachował się materiał dowodowy, który można było powtórnie sprawdzić. Testy DNA rozstrzygnęły w przypadkach wielu spośród 123 osób skazanych na karę śmierci, które od 1973 roku zwolniono z amerykańskich więzień. W kilku z tych przypadków ustalono już nawet datę egzekucji.

To właśnie dlatego kara śmierci jest nie do zaakceptowania. Z tego samego powodu temat ten opisaliśmy w formie thrillera.

Jednak uczyniliśmy to także z zupełnie innego powodu.

Nasza książka to właściwie opowieść o mrocznych, prymitywnych siłach drzemących w człowieku. O potrzebie zemsty, jaką odczuwa przeciętny człowiek, o zadośćuczynieniu i o wierze w to, że kara – a przecież kara śmierci jest skrajnym rodzajem kary – właśnie do tego prowadzi.

Wydaje się to takie proste.

Ktoś, kto wyrządza krzywdę, jest zły, a ten, komu krzywda jest wyrządzana, dobry.

Jeśli Państwo tak to postrzegają, proponuję zamknąć książkę i zrezygnować z czytania tego, co dalej pisze Börge.

Börge:

Popelnilem wiele przestępstw: pobicia, kradzieże, oszustwa i włamania. To z mojej winy – jako sprawcy – tyle osób stało się ofiarami. Rzadko o nich myślałem, o tym, jak wyglądają, o czym myślą i co czują z powodu przestępstw, które ich dotknęły. Moje ofiary nie miały twarzy ani wnętrza. Nigdy ich nie widziałem, nigdy ich nie znałem. Dla mnie nie istniały. Brak empatii? Tak, to prawda, ale jeśli jest się sprawcą, z bycia empatycznym nie odnosi się żadnych korzyści.

Ja też padłem ofiarą wielu przestępstw. Zostałem pobity, okradziony i oszukany. Kilkakrotnie padłem ofiarą przemocy seksualnej, a będąc ofiarą, często myślałem o tych, którzy mnie skrzywdzili. O tym, jak wyglądają, co myślą. Oni nie byli pozbawieni twarzy ani wnętrza. Widziałem ich, a to znaczyło, że istnieją. A jeśli tak, to mogłem odczuwać empatię – wobec samego siebie.

Za każdym razem, kiedy wiedziałem, kto mnie skrzywdził, mściłem się. To było moje prawo, sprawiało mi to przyjemność, ale nigdy nie traktowałem tego jako zadośćuczynienia.

Mimo zemsty, jaką wywierałem, nadal czułem się zraniony, przestraszony i upokorzony. W ciągu minionych lat kilka razy trafiła mi się okazja do zemsty, ale gdy ją już wywarłem, uczucie bycia poszkodowanym, przestraszonym i upokorzonym nadal we mnie tkwiło.

Nigdy jednak nie udało mi się zemścić za to, za co chciałem zemścić się najbardziej: za to, że wykorzystywano mnie seksualnie, kiedy byłem dzieckiem.

Konsekwencją przestępstw popełnionych wobec mnie było to, że kiedy podrosłem, też stałem się przestępcą. Przez wiele lat dosłownie biłem się o sprawiedliwość dla siebie. Moje zachowanie miało poważne konsekwencje, między innymi wiele lat spędziłem w więzieniu. Uważam, że słusznie, bo sprawcy przestępstw powinni ponosić konsekwencje swoich czynów. Niestety, ofiary moich przestępstw nigdy nie otrzymały zadośćuczynienia. Widziały tylko, jak jadę do więzienia. Ich udziałem była zemsta, ale nigdy nie otrzymali zadośćuczynienia.

Nie bardzo rozumiem, że kiedy mówi się dzisiaj o ustanowieniu surowszych kar za różne przestępstwa, uzasadnia się to chęcią zadośćuczynienia ofierze.

Sprawiedliwość stała się dzisiaj synonimem zemsty. Im dłuższą karę otrzyma sprawca, tym lepiej uda się zaspokoić poczucie sprawiedliwości ofiary. Sprawiedliwość polega na tym, że nam uwierzą, a nasze zwichnięte uczucia doznają satysfakcji.

Na przykład ci, którzy padli ofiarą włamania, wiedzą, że złodziej pozbawił ich nie tylko majątku, ale i poczucia bezpieczeństwa.

Kiedy byłem dzieckiem i wykorzystywano mnie seksualnie, sprawcy tych czynów zabrali mi nie tylko poczucie ufności, ale także przepełnili mnie strachem, a moje poczucie pewności siebie gdzieś znikło. Potem pojawiły się myśli samobójcze. Chciałbym, żeby to, co czułem przed tym wszystkim, wróciło. Żebym znowu mógł odczuwać to, co czułem, zanim zostałem wykorzystany seksualnie. O wiele częściej zależało mi na tym, niż żeby ich sprawcy zostali surowo ukarani.

Anders:

Piętnaście lat przepracowałem w szwedzkiej telewizji.

Przez dziesięć lat pracowałem tam w dziale informacji magazynu „Rapport och Aktuellt” jako reporter i szef wiadomości, a potem prowadziłem codzienny program informacyjny „Wiadomości kulturalne”. Byłem jego szefem przez cztery pierwsze lata. Jako dziennikarz „Rapport och Aktuellt” byłem autorem wielu ambitnych, długich reportaży o handlu ludźmi, o biciu kobiet, o przestępstwach na tle seksualnym, o ofiarach przestępstw i

wielu podobnych sprawach. Moje programy emitowano w najlepszym czasie antenowym i za każdym razem gromadziły milionową publiczność.

I o to mi właśnie chodzi w moim wspólnym pisarstwie z Brem. To właśnie tamte programy dały mi początek – że mogłem opowiadać, pokazywać społeczeństwo i dochodzić do sedna sprawy w innej formie. Produkowanie programów telewizyjnych zaczęło przypominać pisanie palcem na piasku. Zjawiałem się w mieszkaniach setek tysięcy osób, które oglądały moje programy, ale ich treść ginęła gdzieś w momencie, gdy odbijały się echem od ścian. Bo tak właśnie bywa z programami informacyjnymi. Wszystko wydaje się ważne, ale tylko wtedy, gdy coś oglądamy. Co jednak udaje się zapamiętać potem? Proponuję sprawdzić, kiedy następnym razem ktoś będzie oglądał taki program. Kiedy na ekranie pojawią się napisy, zastanówmy się: co tak naprawdę zobaczyliśmy? Zapamiętujemy pogodę, bo zawsze jest na końcu. Czasem jakiegoś losia, który zabłąkał się do centrum Sztokholmu, albo widok płonącego domu. Reszta staje się ważna tylko przez chwilę i znika, gdy wracamy do rzeczywistości. I właśnie dlatego pisanie powieści kryminalnych, które mają bawić, ale także dostarczyć trochę informacji na temat społeczeństwa i realnego świata – większość ludzi go nie zna – jest dla mnie o wiele ciekawszym sposobem komunikowania się z ludźmi. Chyba łatwiej jest być otwartym, kiedy rzeczywistość, której częścią nie chcę być, miesza się trochę z kłamstwem, bo taki jest warunek napisania powieści.

Ja i Börge spotkaliśmy się po raz pierwszy w czasie kręcenia reportażu, gdy pracowałem w „Aktuell”, a potem drugi raz, gdy kręciłem film dokumentalny o organizacji zajmującej się zapobieganiem przestępczości Kriminellas Revansch I Samhället, w skrócie KRIS. Börge był jednym z jej założycieli.

W tamtym okresie ja sam sprawowałem nadzór nad pewnym przestępcą o bogatym życiorysie i od dawna ciągnęło mnie do rzeczywistości istniejącej między światem więziennym a światem zewnętrznym. KRIS stał się takim właśnie łącznikiem. Jego członkowie kontaktowali się z przestępcami w chwili, kiedy ci wychodzili na wolność, już pod bramą więzienia, aby im pokazać, że mają wybór i nie muszą wracać do znanego im, destrukcyjnego środowiska.

Nakręcenie filmu zajęło mi cały rok. Nosił on tytuł *Lås in dom* i pokazywały go stacje telewizyjne w całej Europie. To właśnie w takiej chwili wielu dziennikarzy mówi: „No to żegnam”, aby przejść do realizacji następnego projektu. Jednak ja i Börge polubiliśmy się. Nadal się umawialiśmy na kolejne spotkania przy kawie. Nasze ówczesne dyskusje, podobnie jak te dzisiejsze, dziesięć lat później, wciąż dotyczą głównego tematu naszych zainteresowań, jakim jest opieka penitencjarna, przestępczość, kary, ofiary przestępstw, ich krzywdy i

konsekwencje tych krzywd i potrzeba sprawiedliwości, jaką odczuwa przeciętny człowiek. Wszystko to związane jest z rozważaniami, które opisaliśmy w naszych książkach.

Wszystko zaczęło się od książki *Bestia*¹⁰.

To właśnie tam zjawia się ów nieśmiertelny, przeklęty upiór, o którym Börge przed chwilą opowiadał, to, co ciągnie się za każdym wykorzystanym dzieckiem, to, przeciwko czemu walczymy – my po prostu wiemy, jak to jest, mamy prawo opisywać to w taki właśnie sposób.

Obaj jesteśmy rodzicami: ja mam siedemnastoletniego syna, a Börge siedemnastoletnią córkę. To drugi niezbędny warunek pisania. Obaj potrafiliśmy sobie wyobrazić, jaką rozpacz, nienawiść i złość czuje ojciec, kiedy dowiaduje się, że jego dziecko padło ofiarą brutalnego gwałtu, tak jak odczuwał to ojciec opisany w książce.

Postawiliśmy w tej książce następujące pytanie:

„Jak daleko może się posunąć ojciec, aby chronić życie własnego dziecka?”

W książce opisaliśmy ojca, który zaplanował i wykonał to, o czym wiele razy myślałem, o czym wiele razy myślał Börge, o czym prawdopodobnie wiele razy myśleli inni rodzice, a mianowicie: jeśli ktoś uzurpuje sobie prawo, żeby skrzywdzić moje dziecko, to i ja – ale tylko ten jeden raz – przekroczę granicę, odpowiem ciosem, zemszczę się.

Napisaliśmy po prostu książkę o tym, że człowiek ma prawo do sprawiedliwości.

Temat ten kontynuowaliśmy w książce *Dziewczyna, która chciała się zemścić*.

Jest to historia rozgrywająca się w zwykłych mieszkaniach zwykłych szwedzkich domów. Niestety, do takich mieszkań i do takich domów przyprowadzane są wbrew swojej woli młode kobiety, które stają się niewolnicami, ofiarami handlu ludźmi, zakładniczkami; są to młode dziewczyny, które są sprzedawane i kupowane, a służą one do zaspokajania seksualnych potrzeb Szwedów gotowych za to płacić. Jest to także książka o młodych dziewczynach, które figurują gdzieś w arkuszu kalkulacyjnym jako produkty do spożycia, za które się płaci i których się używa; potem po prostu kupuje nowe.

Główny wątek opisany w *Dziewczynie, która chciała się zemścić* to historia takich właśnie dwóch młodych kobiet, które mają na imię Lydia i Alena; są zmuszane do prostytucji, zamknięte w mieszkaniu, żyją w świecie przemocy, są niewolnicami, a więc znajdują się w sytuacji typowej dla ofiar zjawiska, jakim jest handel ludźmi, tak zwany trafficking. Jedynym miejscem ich duchowej ucieczki staje się skrzynka numer 21 do przechowywania rzeczy na dworcu centralnym w Sztokholmie. Jest to jedyne miejsce, które należy tylko do nich, bo

¹⁰ Szwedzkie wydanie książki ukazało się w 2006 roku.

znajduje się poza mieszkaniem, gdzie są zamykane na klucz i zmuszane do przyjmowania ośmiu, dziesięciu czy dwunastu mężczyzn dziennie. Jest to jedyne miejsce, o którym nie wiedzą ich alfonsi, i dzięki temu staje się ono dla nich źródłem nadziei, że kiedyś, w jakimś innym miejscu, będą mogły prowadzić inne życie. W skrzynce ukryły też swoje pragnienie zemsty... No cóż, autor książki ma przecież prawo do takiego kształtowania akcji, że kiedy zachodzi taka potrzeba, pojawia się w niej nadzieja, a także chęć wywarcia zemsty na tych, którzy wyrządzają komuś krzywdę.

Wiele z tego, o czym piszemy, oparte jest na faktach. Z drugiej strony – i takie jest prawo autora – pojawiają się elementy fikcji. Kiedy więc jako autorzy książki wywołujemy w dwóch kobietach pragnienie buntu i pozwalamy im, aby przestały tkwić w tym gównie, jeśli opisujemy, jak z większym albo mniejszym powodzeniem odwzajemniają ciosy, musimy także zrobić krok do tyłu, ponieważ w świecie, gdzie mężczyźni handlują kobietami, rzadko udaje im się z niego wydostać na własną rękę.

Tak więc – podobnie jak *Bestia – Dziewczyna, która chciała się zemścić* jest książką o tęsknocie człowieka za sprawiedliwością.

W naszej trzeciej książce postanowiliśmy przejść całą drogę.

To thriller, którego głównym tematem jest zemsta i skutek, jaki wywiera ona na ludziach.

Jest to książka o Edwardzie Finniganie i jego nieustannej walce o sprawiedliwość, o żalu, jaki tkwi w nim od dnia, kiedy osiemnaście lat wcześniej jego jedyna córka została zamordowana, a także o nienawiści, która stała się jedynym uczuciem, jakie w nim zostało, jak również o uldze, jakiej według własnego przekonania dozna w chwili, gdy sprawca zbrodni zostanie ukarany. W świecie Edwarda Finnigana istnieje bowiem tylko sprawiedliwość i kara, więc jest pewien, że jeśli sprawca zostanie ukarany, jego żal i nienawiść znikną, znowu będzie mógł kochać swoją żonę i razem z nią zacząć nowe życie.

Teraz, po przeczytaniu tej książki, wiedzą Państwo, tak jak Børge i jego ofiary, że jeśli ktoś próbuje żyć dalej, zemsta nie wystarczy, bo w chwili gdy sprawca zostanie ukarany, żal i nienawiść nie znikną.

Wie o tym także ojciec dziecka w *Bestii*, który na własną rękę wymierzył sprawiedliwość gwałcielowi swojej córki.

Wie o tym także Lydia, jedna z dwóch prostytutek opisanych w *Dziewczynie, która chciała się zemścić*, która najpierw swojego alfonsa rozbierze, a dopiero potem zastrzeli.

Cała trójka wie już, że aby poradzić sobie ze skutkami przestępstwa, potrzebne jest coś więcej niż zemsta.

Börge:

Popelnilem wiele przestępstw. Padłem ofiarą wielu innych przestępstw. Byłem i sprawcą, i ofiarą. Jaki więc byłem: dobry czy zły?

Jako sprawca byłem tym złym, demonem, kimś, kto wyrządza zło i staje się przedmiotem pogardy. To dzięki mnie wszyscy politycy kandydujący w wyborach zbierali dodatkowe głosy.

Jako ofiara przestępstw byłem kimś, kto ponosił ich konsekwencje, byłem ofiarą, wobec której wszyscy odczuwali empatię, kimś dobrym, skrzywdzonym przez kogoś złego. Ten sam problem staraliśmy się opisać w książce o Finniganie. Kto jest dobry? Kto jest zły? Kto ma rację, a kto nie? Kto jest sprawcą, a kto ofiarą? A może ktoś jest i jednym, i drugim?

O tym właśnie opowiada *Odkupienie*: o zemście, sprawcy i ofierze przestępstwa.

Anders:

Zemsta to coś, czego dokonujemy.

Natomiast sprawiedliwości doświadczamy.

Teoretycznie rzecz biorąc, kwestia sprawiedliwości między ludźmi powinna być całkiem prostą sprawą. Sprawca prosi swą ofiarę o wybaczenie. Jednak w rzeczywistości coś takiego nie istnieje, ponieważ zarówno sprawca, jak i ofiara przedstawiają zazwyczaj różne wersje tego, co się stało i co kto zrobił. Każde z nich przeżyło to na swój sposób.

Tak więc w świecie realnym jest to o wiele bardziej skomplikowane. W rzeczywistości bowiem słowo „sprawiedliwość” redukowane jest przez szwedzkich i zagranicznych polityków do jednego z tych modnych słów, które rzucają takim jak ja – dziennikarzem; jest słowem pustym, ale oczekują ode mnie, że je sobie zapiszę i przekażę dalej, bo brzmi ono tak cholernie dobrze.

Jeśli chodzi o opiekę penitencjarną, istnieje wiele takich określeń; wcześniej mówiło się o „bardziej surowych metodach”, ostatnio modne stały się „superwięzienia”, to znaczy najnowsze rozwiązania, które mają uniemożliwić więźniom ucieczki. Inny termin – podobnie jak „sprawiedliwość” – którym posługują się sprytni politycy, a który od czasu do czasu rzucają, aby zaraz się za nimi schować, to „opieka penitencjarna”, bo jest to o wiele prostsze niż mówienie o metodach służących zapobieganiu przestępczości. Metody te powinny doprowadzić do zmniejszenia liczby tych, którzy wracają na drogę przestępstwa, co w

konsekwencji powinno zmniejszyć liczbę ofiar oczekujących na sprawiedliwość.

Powinniśmy się nauczyć unikać takich słów, a gdy się pojawiają, żądać więcej, jakiejś konkretnej polityki penitencjarnej, a nie tylko słów. Więcej treści.

W zeszłym roku w Szwecji zanotowano 196 970 zgłoszeń o popełnieniu przestępstw, których ofiarą padli ludzie.

Każdego dnia 539 kolejnych osób traciło poczucie bezpieczeństwa.

Czy powinni postąpić tak jak Börge? Jak ojciec dziewczynki z *Bestii*? Jak Lydia z *Dziewczyny, która chciała się zemścić*? Albo jak Edward Finnigan? Zemścić się?

Czy powinni mieć nadzieję, że kara długiego więzienia to to samo co wewnętrzny spokój?

A może zamiast tego należałoby im pomóc, aby mogli żyć dalej?

Zemsta to coś, czego dokonujemy.

Natomiast sprawiedliwości doświadczamy.